

# GRZEGORZ KALINOWSKI

Gdy czytam *Załogę*, a szczególnie fragmenty z lat 80.,  
wyświetla mi się moje studencko-postpunkowe  
życie rozkraczone pomiędzy Żoliborzem,  
Grochowem, Remontem, Hybrydami i Śródmieściem  
z okolic skrzyżowania Świerczewskiego i Marchlewskiego,  
gdzie w budynku Sądu pracowała moja ówczesna  
ukochana, a dzisiejsza żona Marta...  
Piękny, prawdziwy film. **Szczerze polecam!**

**MUNIEK STASZCZYK**



# ZAŁOGA

#TeamPOCISK

# Spis treści

Karta tytułowa

INTRO

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 33 i 1/3

OUTRO

Karta redakcyjna

Okładka

**GRZEGORZ KALINOWSKI**

# **ZAŁOGA**



*Błyskotliwa opowieść, w której szalone  
lata osiemdziesiąte przeplatają się  
z tajemniczą teraźniejszością,  
a fikcyjni bohaterowie przypominają  
kogoś, kogo dobrze znasz.  
Nic nie jest takie, jakim się wydaje,  
czyli wielki rock'n'rollowy szwindel!*

Jacek „Dzej Dzej” Jędrzejak  
(Big Cyc, Czarno Czarni)

*Mamy dzień, mamy każdą noc  
Mamy swoje sny i swoje drogi  
Tak jak ty rozglądamy się  
Chcemy znać ostatnią wersję prawdy*

*Klus Mitroh, sł. i muz. Lech Janerka,  
wyk. Klaus Mitffoch*

*Co się z nami stało  
Pytanie zadaję  
Ilu z nas poszło w ciemność  
Ilu z nas nie poznaję*

*Co się z nami stało,  
sł. i muz. Krzysztof „Grabaż” Grabowski,  
wyk. Strachy na Lachy*

# INTRO

*Chłopak stał  
i z parapetu patrzył w dół.  
Lecieć chciał  
wysoko ponad ziemski pył<sup>[1]</sup>*

## EIGHTIES

### **9 marca 1985, Warszawa**

Black szybko przyzwyczał się do walkmana, którego pożyczyła mu Suzi. Zawistni kumple mówili, że był bananem, bo mieszkał na Żoliborzu i nie w jakimś tam mieszkaniu, tylko w segmencie przy Kaniowskiej. Jak dla reszty, to mieszkał w rajcu, a jak dla sąsiadów z tego rajcu, to był tylko gościem z nowych segmentów, a nie ze starej willi. Może dlatego nie stać go było na wszystko. Mały kaseciak był super, ale w ubiegłym tygodniu dziewczyna zabrała sprzęt z powrotem, miała ostatnio do niego jakieś wąty, chyba pozwalał jej na zbyt wiele i się rozpuściła.

Szkoda walkmana, bo to pudełeczko i dawało lepszy dźwięk od wieży Unitry, i słuchało się muzyki zamiast pieprzenia przechodniów. Przestał być jednym z wybrańców! Tak myśleli młodzi. Dziwacy! Tak z kolei myśleli starsi. Nihilisci! I z taką opinią się spotkał. Walić to! I bez japońskiego pudełka kosztującego fortunę, czyli całych dwadzieścia pięć dolarów, też dawał radę. Po prostu Black umiał się wyłączyć, zgubić cały ten syf, który go otaczał i uruchomić muzyczną bibliotekę. Miał w swojej głowie setki numerów, tych, które już nagrano, oraz tych, które sam chciał

stworzyć. Motywy, fragmenty, hasła, urywki, szумы, zlepy, ciągi, zupełnie jak u Mirona Białoszewskiego.

Ale to wszystko nie przekładało się na piosenkę, nie umiał się zamknąć w krótkiej impresji, nie potrafił spuentować, refreny zamieniały się w mantry i wszystko rozciągało się tak, że numery, które pisał, nie miały końca. Z kolei wszyscy jarali się kawałkami, które stworzył White. Chcieli je grać, może dlatego rzadziej chodził na próby swojego zespołu.

A przecież to był jego zespół! On stworzył Załogę, był jej frontmanem i liderem! Był blisko zmaterializowania swojej wizji, w której miał być Jimem Morrisonem lat osiemdziesiątych; chciał melorecytować, dawać nowofalowe, punkowe spektakle, snuć transową opowieść.

Kował był w stanie zagrać na bębnach wszystko, Greg na basie tworzył z nim wspaniałą sekcję rytmiczną. Klawiszowiec White umiał operować dźwiękiem, był prawie zawodowym muzykiem, ale wolał zwykłe piosenki, a Clash... No właśnie Clash! Był fantastycznym gitarzystą, ale coraz bardziej zbliżał się do hardcore rocka i metalu. Te jego fascynacje: Motörhead, Discharge, GBH, The Exploited...

Black chciał grać coś innego, muzykę idącą w kierunku tego, co robią ludzie z Killing Joke. W głowie cały czas miał ich numer *Eighties*:

*Eighties, get out of my way, I'm not for sale no more!*<sup>[2]</sup>

Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, bo w końcu zdecydował się sprzedać swoją muzykę. Inni też ją sprzedawali, bo w końcu Xenna i Dezerter, niezależne, punkowe kapele wydały swoje czwórki w Tonpressie, bo dlaczegóż by nie, skoro zrobiła to wcześniej Brygada Kryzys? I to nie czwórkę, a całą długogrającą płytę.

Oni mieli być następni, ale Black czuł, że w tym, co ostatnio grają, jest jakiś szwindel, coś, co mu nie pasuje. Mogą grać to, co lubią,



metal i synth pop, mogą nawet wystąpić na festiwalu piosenki radzieckiej w Zielonej Górze. Niech się bujają!

Na razie bujał się tramwaj, bo jechał po krzywych torach, ułożonych na rozsypujących się podkładach. Dwudziestkaczwórka skręciła ze Świerczewskiego w Marchlewskiego i dojechała pod Halę Mirowską, tam wiele osób wysiadło, ale do środka dobiło jeszcze więcej. Mimo soboty, od paru lat wolnej soboty, na tym odcinku było jak w dzień roboczy w godzinach szczytu. Ludzie pchali się, szturchali i opowiadali o tym, co się działo na zewnątrz blaszanej parówki, w której Black tkwił od pół godziny. Pasażerowie, którzy wbili się do tramwaju pod halą, byli czymś podjarani, nawijali tak, że nawet on nie był w stanie się wyłączyć. Musiałby chyba być joginem, by uciec od uczestnictwa w relacji prowadzonej na kilkanaście głosów.

– Pali się i pali, a dym jak z kotłowni idzie, pani Stefo – powiedział starszy mężczyzna, który wskoczył do środka z siłą i sprytem zaprzeczającym jego sylwetce i wiekowi.

– Oj, idzie, panie Ziutku, idzie. – Zażywna kobieta, którą wciągał do tramwaju, zaśmiała się.

Zrobił to z takim impetem, że targająca wielkie torby kobieta o mało nie straciła futrzanej, cętkowanej czapki. Mężczyzna błyskawicznie uratował przed spadnięciem na zabłoconą podłogę produkt spółdzielni pracy imienia Hanki Sawickiej.

– Wie pan, panie Ziutku – ciągnęła dalej, jak gdyby nigdy nic – może znowu Krwawego Feliksa ktoś rozruszał dla hecy, ha, ha, ha.

– Myśli pani, że znów kumpla Lenina puścili z dymem? – Pan Ziutek zarechotał.

Zaśmiało się jeszcze kilka innych osób, które to usłyszały, tylko człowieczek w uszance zachował powagę. Był ormowcem w cywilu i chętnie by zainterweniował, ale jak to zrobić? On przeciwko całemu tramwajowi? Licho wie, ilu jest wywrotowców, a ilu porządnych obywateli i towarzyszy? W końcu odpuścił i udał, że niczego nie słyszy. Tramwaj przejechał jeszcze jeden przystanek i zatrzymał się przy rondzie, które było tylko w połowie zabudowane, północna strona świeciła pustkami, a po czymś, co

szumnie nazywano trawnikiem, hulał wiatr. Był to jeden z wielu posepnych, wciąż nieodbudowanych fragmentów Warszawy.

Black wysiadł. Chciał opuścić to ponure miejsce nie tylko dlatego, że go nie lubił i się spieszył, ale także dlatego, że zauważył, jak od strony Świętokrzyskiej przebiega po pasach potężny żołnierz. Na jego widok przypomniała mu się przyśpiewka kibiców Legii: *Twarz goryla i chód słonia, poznajemy w nim Gorgonia*, i z miejsca włączył mu się sygnał alarmowy.

Tak, to był on: Gorgoń – gitarzysta i wokalista grupy Łomot. Nie miał, tak jak słynny stoper z kadry Górskiego, blond loków, ale był wielki jak on, brutalny i bezwzględny wobec wrogów. Załoganci bali się Gorgonia, bo lubił skubać, trącić, wjeżdzać w trakcie pogo, jakby to był mecz hokejowy ZSRR – USA. Tak zachowywał się na trzeźwo, a po wypiciu dwóch jaboli robił się nieobliczalny, mógł być duszą towarzystwa, ale mógł też dostać agresora i robił potężny dym. Nie każdy mógł z nim zasiąść do wspólnej flaszki, a jeśli ktoś mu podpadł, to na wieki wieków, apelacji nie było.

Black był kiedyś kimś w rodzaju jego kumpla, ale to zamierzchła przeszłość. Teraz miał powody, by się go obawiać, więc błyskawicznie zmienił kurs i zniosło go w kierunku Śliskiej, byle dalej od linii galopu Gorgonia, bo bał się, że ich spojrzenia się skrzyżują.

– Black, ty chuju! – usłyszał przypominający okrętową syrenę głos, a wraz z nim narastający tupot wojskowych trepów.

Uchylił się w ostatniej chwili, a może po prostu Gorgoń chciał go tylko postraszyć. Na pewno mógł mu jebnąć, ale zamiast tego złapał go za klapy, potrząsnął i syknął z bliska, tak że Black poczuł kwaśny zapach przetrawionego alkoholu, zmieszany z aromatem z pieca, w którym spalano całymi workami tani tytoń.

– Black... wiesz co?

Nie odpowiedział nic, bo co miał powiedzieć?

– Black, ty już, kurwa, dobrze wiesz co.

– Pały idą! – wyszeptał Black. Nie kłamał, drugą stroną ulicy szło dwóch krawężników.

– W dupie mam pały, moje zmartwienie to pieczary. – Gorgoń się zaśmiał. – Mnie tylko białe kaski ruszają, białe kaski robią laski, WSW, Wojskowa Służba Wewnętrzna, kumasz? – Mimo wszystko puścił go, widok milicjantów go przyhamował, ale to jeszcze nie był koniec. – Masz, kurwa, szczęście, ale jeszcze z tobą zatańczę, pedale!

Gorgoń, jak się wkurzył, to wszystkich nazywał kurwami, skurwysynami albo pedałami. Jeśli zaczynał rozmowę od „ty, chuju”, można było to uznać za sympatyczne zagajenie. W klasyfikacji obelg „pedał” był stopniem najwyższym i zwykle oznaczał wpierdol. Ale nie tym razem. Gorgoń przyciął wzrokiem milicjantów, którzy przystanęli i przez szerokość ośmiu pasów ruchu i torów tramwajowych badawczo przyglądali się rozmowie wojaka z punkiem. Splunął, zapalił papierosa i bez słowa ruszył w kierunku starej kamienicy, zapewne do baru Rondo, znanej mordowni z piwem.

Gorgoń mieszkał w Białymstoku, podobno służył gdzieś na Dolnym Śląsku, więc w Warszawie miał przesiadkę, pewnie wyskoczył na kufelka do miejsca, gdzie MO i WSW raczej nie zagładały. Wojak przeszedł parę kroków, po czym odwrócił się na pięcie i pokazał Blackowi środkowy palec. Był chyba pierwszym żołnierzem LWP, który w pełnym wyjściowym umundurowaniu wykonał taki gest.

„Idealny rysunek na okładkę” – pomyślał Black.

– Znajdę cię, kurwo, wcześniej, niż myślisz! – zawołał Gorgoń.

Black szybkim marszem minął bloki przy Pańskiej numer 57 i 61, te, w których kręcono serial „Czterdziestolatek”. Były jednymi z czterech jednakowych, dwunastopiętrowych budynków, on szedł do tego stojącego na rogu z Żelazną. Niemal wbiegł do klatki schodowej, nacisnął przycisk przy windzie. Zaklął, bo nie zauważył, że pali się lampka, która według instrukcji obsługi oznaczała, że „dźwig osobowy jest zajęty”.

Postał chwilę, ale bał się, że w drzwiach klatki schodowej może się pojawić Gorgoń. Nie ma na co czekać, może winda jest zepsuta, to się przecież często zdarza. Postanowił, że wbiegnie na górę po schodach. Do czwartego Black szedł jak burza, później starał się trzymać

w miarę przyzwoite tempo, na siódmym miał lekki kryzys, ósme, dziewiąte, dziesiąte... Uff, jedenaste i dwunaste, teraz jeszcze wyjście na dach.

Co jest? Ostatnie drzwi były zamknięte. Otworzył więc okno, wdrapał się na parapet i był po drugiej stronie, na dachu. Z dołu dochodziły odgłosy miasta, z lewej, tam gdzie była Wola, boczniczy kolejowej i zakładów Waryńskiego, a z prawej uliczny hałas z ronda. Teraz, patrząc z góry, mógł wreszcie zlokalizować miejsce, z którego unosiły się kłęby dymu.

To nie był pomnik Dzierżyńskiego, to palił się Teatr Wielki, pożar był ogromny, równie wielki jak ten sprzed kilku lat, kiedy z dymem poszedł Dom Towarowy Smyk. Spojrzał na zegarek, był kwadrans po czasie, nie było nikogo. Pusto. Może przez to zamieszanie na mieście.

Zapalił skręta, zaciągnął się mocno, chciał wlać w siebie coś pozytywnego, złapać balans. Nie bardzo pomogło, zamiast luzu i wesołości złapał doła, który zaczął go zasysać. Stuff był mocny, w głowie miał mętlik, czy tak ma wyglądać koniec tego wszystkiego?

*Może rano już nie będzie tego wszystkiego, może rano już nie będzie tego wszystkiego* – dobiegł do niego głos Frantza Lipińskiego z Brygady Kryzys, po czym w głowie odtworzył się kolejny fragment: *I tak tu już nie ma nic do stracenia!*<sup>[3]</sup> Inni słyszeli szumy, a on zawsze muzykę, *nie ma, nie ma, nie ma*, śpiewał Frantz, a Men, Jeżyk, Afa, Gruszka i Jasiu Rołt grali transowy podkład. Tak, nie było nic, nie było nikogo, był zjarany, ale to go absolutnie nie uspokajało, dlatego zwrotki numeru Brygady latały po głowie chaotycznie, bez początku, bez końca, bez środka, w kółko.

Podszedł do gzymsu, nie czuł go, bo trudno było czuć stopami gzyms, kiedy się miało glany. Staął na palcach, a potem opadł na stopy. *Nie ma, nie ma, nie ma*, wciąż towarzyszył mu głos frontmena Brygady. Na plecach ciary, w głowie zamęt, wtedy jakby ktoś zmiksował ścieżki i usłyszał inną piosenkę. *Fabrykę keksów*, stary numer, chyba Hołdysa, który niedawno nagrało Turbo. Zanucił dwie linijki:

*wczoraj znów  
widziałem ludzi dziwnych tłum*

Zrobił to inaczej niż gość z Turbo, bo nie miał metalowego głosu. Zastanawiał się, jak by to pociągnął Ian Curtis, jak by to zegrali Killing Joke. Wyobraził sobie perkusję i pomyślał, że nieźle by to zrobił Kukiz i Aya RL. Nieźle, ale tylko on i jego zespół – Załoga, zrobiliby to jak trzeba. Oczywiście gdyby wszyscy w zespole chcieli to zrobić.

Dlaczego jej tu nie było? Wszyscy inni się spóźniali, ale ona była zawsze wtedy, kiedy jej potrzebował. Dlaczego nie było Kowala, bo jakby był, to miałby przy sobie jakiś ciekawy wynalazek. Tylko Kowalowi jeszcze ufał. Chuj z nią, z Kowalem, chuj z tym wszystkim!

*chłopak stał  
i z parapetu patrzył w dół  
lecieć chciał  
wysoko ponad ziemski pył  
a w dole nie drgnął nikt  
gdy Bóg uchylał nieba drzwi*

Nie ma go, a uchyla drzwi, to akurat potrafi, stary cwaniak z siwą brodą. Olać go!

\* \* \*

Dziesięć minut później lokatorka z dwunastego piętra, Barbara Krawczyk, wyszła na balkon, kiedy Black leciał w dół. Mignęła mu jego twarz, nie widziała w jego oczach strachu, raczej zdziwienie, że to zrobił, że to się działo. Krzyknęła i osunęła się na podłogę balkonu.

Po paru sekundach uderzył o trawnik. Nie miał szans, zginął na miejscu. Wezwana przez przechodniów i patrol milicji karetka przyjechała bardzo szybko i zebrała do szpitala panią Krawczyk.

Miała siedemdziesiąt pięć lat i kłopoty z sercem, a to, co zobaczyła, o mało jej nie zabiło. Młodszemu od niej o prawie pięćdziesiąt lat chłopakowi już nic nie było w stanie pomóc. Leżał na trawniku przy Żelaznej, najpierw jego twarz przykryli starym numerem tygodnika „Na Przełaj”, na którego rozkładówce był reportaż z festiwalu w Jarocinie, a dopiero później ktoś uznał, że to niestosowne i dał swój koc.

## JESIEŃ 2019

Zdzisław Julinek podjechał i czekał na klienta przy Sienkiewicza, miało być szybko, więc nie wyłączył silnika. Prawie zawsze wyłączał, ale nie takiej nocy jak ta. Ruch był taki, że nie nadążali z zamówieniami, wiadomo, noc po meczu. O, idzie chyba ten pasażer, bo to Azjata miał być. Dyspozytorka tak mówiła, że zamówienia dokonał znany, solidny klient – agencja towarzyska, która największe obroty robiła na klientach z zagranicy. Nie mieli swojego kierowcy, uważali, że korporacja, dla której jeździł, jest solidną firmą i nie popsuje im renomy, naciągając zagranicznych pasażerów.

Julinek zerkał w kierunku bramy, nad którą w jednym z okien świecił się neon z czerwonym serduszkiem i w końcu się doczekał. Klient był blisko, kiedy Julinek zobaczył, jak trzech podchmielonych gości startuje z jednego z klubów i pokazuje sobie jego taryfę palcami. Ustawił palec przy blokadzie drzwi, tak na wszelki wypadek, bo wieczorami zdarzało się, że klienci wyrywali sobie kursy. Azjata już chwycił za klamkę, jak tylko wsiądzie, to ruszą i dopiero na Jasnej, jak odskoczą, zapyta się dokąd. Skrzypnął zamek, drzwi się uchyliły.

– Ty, samuraj! – krzyknął jeden z tej trójki, która podbiegała od strony klubu.

– Wsiadaj pan – syknął taksówkarz.

Azjata, zamiast wsiadać, odwrócił się i jakby czekał na kolejne wyzwiska.

– Te, żółtek, to nasza taryfa!

– *What?* – zapytał Azjata. – *Could you speak in English?*

– Wal się ze swoim inglisz, w Polsce, kurwa, jesteś.

– *I don't understand you*, ja słabo po polski...

– Nie pierdol, tylko grzecznie ustąp nam taksówki, trzech nas jest, więc się, kurwa, czuj przegłosowany – zachrypiał drugi z karków.

– Taxi? – Azjata puścił kłamkę.

– Wypierdalaj z tej taksówki – odezwał się trzeci.

Zdzisław był zbyt doświadczonym taryfiarzem, by nie wiedzieć, co będzie dalej. Dał gazu i odjechał parę metrów, wziął do ręki gruszkę, żeby się połączyć z centralą. Obserwował, co się dzieje we wstecznym lusterku.

– Przez ciebie, żółty złamasie, spierdoliła nam taksówka! – usłyszał.

Pchnięty w ramię Azjata zatoczył się, później grzecznie się kłaniając, zdołał uniknąć ciosu. Nagle temu, który chciał go zamachowym zwalić z nóg, sprzedał w krocze kopa. Facet skulił się, jakby był Małyszem, który najeżdża na belkę. Drugiego typa trafił pięścią w nos, a trzeci nie wiedział, co zrobić, miał w ustach przekleństwa. Już nie był taki duży i silny jak przed chwilą.

„Trzeba facetowi pomóc” – pomyślał taryfiarz i wyciągnął z bocznej kieszeni blondynkę. Ze starą milicyjną pałką w ręku Zdzisław ruszył do akcji. Na jego widok ostatni gotowy do walki typ rozłożył ręce i zaczął się cofać.

– No, co, kurwa, co? Rzucił się na nas! – zawołał gniewnie, choć bez większego przekonania.

– Się rzucił! Wezwałem policję, to im się poskarżysz!

– Jebany konfident!

– Tacy jak ty są konfidentami.

Taksówkarz poczuł zew krwi, przypomniały mu się stare dobre czasy, kiedy był dzielnicowym, a tacy jak ten zawsze mieli mu coś do powiedzenia. Szybko doskoczył i zaczął lać grubasa. Walił go po łydkach, a typ wił się i piszczał. Było jak za dawnych, dobrych lat!

– Już, kurwa, już, zabieram się! Chodźcie, chłopaki, to jakiś stary pies musi być!

Dwaj stłuczeni przez Azjatę z trudem dochodzili do siebie bez ładu i składu. Cała trójka wycofywała się w kierunku końca ulicy, gdzie schody prowadziły na plac Powstańców.

– *Thank you, mister, thank you* – powiedział Japończyk.

– *Police?* – zapytał taksówkarz. – *Dryń-dryń, police?* – Dla wzmocnienia przekazu dawny starszy chorąży Julinek potrząsał w rękę nokią.

– *No, no, no!* – ożywił się Japończyk. – *Take me to Załady, Wilanów, ale nie mniaścieśko Wilanów, Załady, Błuz-do-wa!*

Widząc, że taksówkarz nie do końca rozumie, wyciągnął biały kartonik. Taryfiarz przeczytał.

– „Panie kierowco, proszę odwieźć pana Kenichi Kasai do domu, Wilanów – Zawady, ulica Bruzdowa... Na taryfę dzienną z centrum ma przygotowane 50 złotych, na nocną 100...”. Cwana bestia! No to, panie Japończyk, jedziemy na ten Wilanów.

– *Yes, I'm Japanese* – ucieszył się pasażer, który w końcu coś zrozumiał.

– Japonia, wy lubicie Chopina! – rzucił Julinek, przekręcając kluczyk w stacyjce. Diesel zarzęził, a do tego podkładu kierowca zanucił: – *Tam ta dam, ta ta ta ta ta tam ta dam!*

– *Polonez A-dur!* – zawołał Kasai.

– No, kurwa, mówiłem, że lubicie Chopina! – Julinek powiedział to takim głosem, jakby był obrażony na to, że mógłby tego nie wiedzieć.

Postanowił odstawić go na miejsce, potem szybko wąwozem wjedzie na skarpę i raz, dwa znajdzie się na Natolinie, a stamtąd już tylko krok na Ursynów, gdzie mieszkał. To będzie jego ostatni kurs tej nocy.

– No, to jedziemy do tego Tokio Hotel! – Zaśmiał się ze swej wiedzy na jakiś bliżej nieokreślony temat. Słyszał gdzieś tę nazwę, od wnuczki chyba.

– Nie Tokio, Tokio nie – zaprotestował pasażer. – Jokohama!

– Jokohama bez dynama – zrymowało się Julinkowi, który był w bardzo dobrym nastroju. Zrobi dziś niezły utarg, a i będzie co



opowiadać. Jutro wpada szwagier, on też resortowy, więc opowie mu, jak popracował pałką.

Ech, te wspomnienia! Były sierżant sztabowy Zdzisław Julinek to w sumie sentymentalnym facetem był.

---

1 *Fabryka keksów*, wyk. Dzikie dziecko, sł. i muz. Zbigniew Hołdys.

2 *Eighties*, wyk. Killing Joke, sł. i muz. Jaz Coleman, Paul Ferguson, Paul Raven, Kevin „Geordie” Walker.

3 *Nie ma nic*, wyk. Brygada Kryzys, sł. Tomasz Lipiński, muz. Robert Brylewski.

# Rozdział 1

*Dlaczego wciąż brakuje nam idoli  
Wiemy dużo o niedoli  
Nikt nie wie skąd  
Podziemny front  
Telewizja!*<sup>[4]</sup>

## EIGHTHTIES

To chyba była wiosna. Greg, dokładnie nie pamiętał, ale na pewno rok 1981, już po stoczni, a jeszcze przed wojną. Brat był już w policealnej, gdzieś w dupie nigdzie, bo wymyślił sobie taki sposób na wyrwanie się z domu i odroczenie wojska. Siedział wtedy w dużym pokoju, właśnie zebrał od starych swoją wieczorną porcję zjebki. Słuchał i wszystko po nim spływało, bo i tak będzie robił to, co będzie chciał. Siedział ze spuszczoną głową, a jeśli ją podnosił w górę, to rodzice widzieli jego wystudiowaną zadumę. Z nadzwyczajną cierpliwością słuchał przemowy matki, w trakcie której ojciec potakiwał głową i robił minę cierpiętnika, jakby chciał w ten sposób wzmocnić efekt tyrady.

Za ojcem stał telewizor, był włączony, bo jak miał być niewłączony, skoro ojciec załatwił talon na kolorowy, ruski odbiornik. Kolory były takie, jakie pewnie widzieli hippisi, kiedy jechali na LSD. Rodzice byli dumni z pudła jak sąsiad z malucha, a kuzyn Leszek ze swojej żenującej kolekcji pudełek po zachodnich fajkach, którą przyczepił do makatki nad łóżkiem. Lepszy głupi telewizor niż smutne nawijki matki, więc udając skruchę i niby to patrząc w oblicze starego, Greg wgapiał się w ekran. Bezmyślnie się

wgapiał, bo po telewizorze można było oczekiwać dokładnie tego samego, co od starych, czyli jednego wielkiego nic.

Greg pochodził z przeciętnej rodziny. Ani patologia, ani high life. Blok, beton, winda, zsymp, podwórko, szkoła tysiąclatka, wakacje z FWP, matka wycofana, ojciec w Solidarności. Normalna nudna rodzina, która na pięćdziesięciu metrach betonowej klatki z cienkimi ściankami działowymi żyła sobie w czwórce z czarno-białym telewizorem, bez telefonu, ze skromną biblioteczką, której połowę wypełniały encyklopedie i albumy, z barkiem, w którym stała napoczęta dwa lata temu butelka whisky, z którą przyszedł na urodziny wujek lekarz, z bułgarskim koniakiem, radzieckim szampanem i dyżurną butelką wódki. Żytnia długo czekała na okazję i pewnie nieprędko się doczeka, bo żyli bez libacji, uniesień i sensacji. Tylko brat, który go wciągnął w muzykę, nadawał charakteru tej rodzinie.

W telewizji leciały jakieś nudy, program „Camerata”, w którym puszczali muzykę dla zgredów i gamoni. Wizyty w filharmoniach, szkołach i akademiach muzycznych, opery, partytury, interpretacje i wariacje. W programie wspomniano o „Warszawskiej Jesieni”, bo to awangarda, ale i tak wiało nudą. Nagle Greg zobaczył młodych kolesi, rockowy zespół z saksofonami i wokalistą w czerwonej chuście. Zobaczył i usłyszał, bo przez jazgot matki przebijał się głos *nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie tak!*

Takiej muzyki nie słyszał również redaktor z TV. I nie chciał jej więcej słuchać, bo ciął chłopaków równo z trawą. Nazywali się Kryzys i zdaniem redaktora nazwa ta definiowała poziom zespołu. Pewnie gdyby mógł, toby powiedział wprost, że grali coś głównianego i godnego politowania, kiła-mogła.

– Z całą powagą uświadomiamy sobie, jak wiele szkody uczynił lekceważący stosunek władz oświatowych do spraw wychowania muzycznego i estetycznego w polskim szkolnictwie – z telewizora płynął głos lektora nasiąknięty troską jak szmata, którą właśnie starto z podłogi wielką kałużę.

Ale Greg czuł coś zupełnie innego... to było wspaniałe. I ten gość, który mówił, Robert Brylewski! Młody, pewnie niewiele od niego

starszy blondynek z grzywą jak u popersów. Czytał o popersach, że to byli gogusie, którzy na Zachodzie bili się z punkami. A Kryzys, od razu to widać, to zespół punkowy! Potem poleciał jeszcze jeden fragment rozmowy z Robertem, przeplatany refrenami – *Twoja ambicja zabija ciebie*[5] i *Jestem już zmęczony, mam tak dość!*[6].

On też miał dość, wszystkiego miał dość, ale robić taką muzykę jak Kryzys, albo przynajmniej być wśród ludzi pod sceną na ich koncercie, to byłoby dopiero coś! Na pawlaczu i pod łóżkiem brata było wszystko, czego potrzebował!

– Czy ty w ogóle słuchasz tego, co mówię? – zagrzmiała matka.

– Słucham i jest mi z tego powodu głupio – zełgał Greg.

Ojciec pokiwał głową, on też miał dość tej wieczornej zjebki, w której miał obowiązek uczestniczyć jako kibic.

## LUTY 2020

Joanna nie była w dobrym nastroju. W zasadzie wszystko było okej, ale czekało ją spotkanie z programowym. Nie chodziło na pewno o wczorajsze wydanie jej programu publicystycznego „W środku tygodnia”. Nie było to jakieś szczególne wydanie, ta godzina nie przejdzie do historii telewizji tak jak program z 2012 roku, w którym morderca przyznał się do zabójstwa. Nie był to także słaby środowowy wieczór, oczywiście przez te wszystkie lata nie uniknęła wpadek, ale na pewno tym razem nie przytrafiło się nic złego. Solidny program, wzór, jak można robić ciekawą, uczciwą publicystykę, na którą składały się reportaże i rozmowy w studiu, wieczór, po którym w czwartek rano można się było obudzić bez kaca, spojrzeć w lustro i z wyciągniętym do góry kciukiem powiedzieć – prawdziwe dziennikarstwo jeszcze nie umarło, można robić dobrą telewizję! Wiedziała, czego od niej chciał szef, i że będzie tak, jak zdecyduje, nie mogła się z tym jednak pogodzić i zamiast dać sobie spokój, wciąż o tym myślała.

Trzeba to jakoś zresetować. Od dawna wybierała się do tej nowej, japońskiej knajpy, Yoyogi Park. Mówiono, że taka jak te stare, pierwsze, najlepsze, jak Tsubame przy Foksalu i Tokio przy Dobrej. Mówiono... Wszyscy ci, którzy mówili w ten sposób, byli – jeśli nie pięćdziesiąt plus – to grubo ponad plus. I choć Joanna była dopiero po czterdziestce, powoli dołączała do grona gderaczy, którzy jak Linda w piosence Świetlików powtarzali swoje mantry o doskonałej, baśniowej przeszłości: *Nigdy papieros nie będzie tak smaczny*[7]... I papieros, i wódka, ciastka, straż pożarna i dziewczyny. Wszystko.

Artur nie dawał znaku życia, więc umówi się z jakąś przyjaciółką. Najchętniej to z przyjacielem, z Miśkiem, ale jego kobieta nie była jej faworytką i vice versa zresztą. Joanna miała w sobie coś, co powodowało, że nie lubiła jej większość kobiet znajomych facetów. Czy były zazdrosne? O kogo? Miała swojego faceta, a poza tym nie miała w zwyczaju wyrywać żonatych facetów. No może z jednym wyjątkiem, przypomniał się jej ten nieszczęsny romans sprzed paru lat, z czasów, kiedy nie знаła jeszcze Artura. Ostatnim mężczyzną przed nim był wyjątkowy dupek, Sylwester Kordecki, wtedy prowadził programy sportowe, a teraz przeszedł do wielkiej polityki.

Pewnie inne babki nie zazdrościły jej pieniędzy, pozycji i popularności, ale samodzielności. Były tylko żonami swoich mężów i to je bolało najbardziej. Z połowicą Miśka to była insza inszość. Gocha była znaną dziennikarką sportową, nie musiała zaciskać pasa, była samodzielna, niezależna i spełniona, do tego z dorosłym synem, który już z nią nie mieszkał, ale do pełni szczęścia brakowało jej Miśka w domu. W połowie była to wina jej wyjazdów, a w połowie... no właśnie, przecież to Joanna była jego szefową, w związku z tym dla Gochy była jedyną przyczyną, dla której redaktor Michał Misiewicz za rzadko bywał w ich mieszkaniu z widokiem na Stadion Narodowy.

Nagle doznała olśnienia, eureka!, przecież Gocha miała tego popołudnia wyjechać na Cypr, na którym odbywały się zgrupowania parapiłkarzy z klubów Ekstraklasy! Zanim wykręciła numer do Miśka, postanowiła najpierw dokonać rezerwacji w knajpie, podobno Yoyogi Park była obleżona, więc lepiej będzie najpierw

zadzwoń. Wpisała w wyszukiwarke „yoyogi park warszawa”, szybko weszła na strone restauracji i... w poniedzialki lokal byl nieczynny. Trudno, sushi master tez czlowiek, pewnie zaloga restauracji relaksowala sie w towarzystwie gejsz albo przy dzwiekach muzyki Chopina.

Od razu skarcila sie w myslach za uleganie stereotypom, bo dlaczego mialoby tak byc? Moze dlatego ze kolega Misza opiekowal sie kiedyś japonskimi dzialaczami sportowymi, ktorzy mieli dwie podstawowe zyczenia: wizyta w agencji towarzyskiej i wycieczka do Zelazowej Woli. Po prostu poczyta ksiazke, w koncu nie ma zaliczonej calaj Tokarczuk, *Biegunow* czytala zaraz po wydaniu, ale *Ksiegi Jakubowe* musi nadrobic. Wciagnelo ja, czytala najpierw na kanapie, a potem w lozku, czytala, az padla po czwartej nad ranem. Artur wciadz nie wracal.

\* \* \*

Blysnal wyswietlacz telefonu. Byl wyciszony, ale zawibrowal, a Wisnia szybko zrzucil rozmowe.

„To na pewno jego zona – pomyslal komisarz Artur Konieczny – ze tez przez tyle lat nie nauczyla sie, ze jak jej maz nie wraca na noc do domu, to ma na tyle wazny powod, ze nie bedzie sobie zawracal glowy rozmowa”.

Wiedziala, co robi, nie byl glina od wczoraj tylko od przedostatniego dnia komuny. Slawomir „Wisnia” Wisniewski wciadz byl sierzantem sztabowym, mimo ze ze stazu, urzedu i kursu nalezalby mu sie aspirant. Ale na kurs trzeba bylo wyjechać, a pani Wisniewska robila sceny, a jak juz wyjechał... Tak, w sumie miala racje, nic dobrego z tego wyjazdu nie wyszlo.

W filmach prowadzacy sprawe zwykle sami wparowuja, zeby zgarnac przestepce, albo pakuja sie do meliny mordercy zaraz za gociem, ktory niesie tarcze. Ale zycie to nie ciagla akcja, to mozolne zbieranie puzzli i ukladanie je w obrazek, szukanie dowodow, czekanie na przełom, pozniej decyzja o zdjeciu delikwenta,

następnie szykowanie operacji, czekanie na właściwy moment, a na końcu sygnał – wchodzimy!

Na razie wciąż się szykowali. Był środek nocy, w klatce schodowej bloku na Tarchominie zbierali się uczestnicy akcji. Najpierw podjechały busiki, później antyterrorysty, zwani atekami, ostrożnie przenikali do klatki schodowej. Pierwsza grupa wspinała się po schodach, zajmując pozycje nad mieszkaniem bandytów, których miano ująć, po chwili zaczęła wchodzić druga grupa. Powoli, po cichu, krok po kroku, bezszelestnie podchodzili pod mieszkanie.

Gdy byli już blisko, nagle w jednym z mieszkań na samej górze coś skrzypnęło. Wszyscy zamarli, przycupnęli, kierując lufy w kierunku uchylających się drzwi. Z mieszkania zobaczyli sylwetkę, która trzymała pistolet. Zaraz zapali światło na klatce schodowej i będzie po wszystkim.

– Ruszamy! – dał sygnał dowódca.

Rozległ się huk eksplozji, bo drzwi były jak w sejfie i nie ryzykowano walenia taranem. Sygnał, który poszedł do słuchawek, uruchomił także ludzi, którzy błyskawicznie spuścili się z dachu po linach. Każdy wiedział, co ma robić, ci z góry obezwładnili człowieka z pistoletem.

– Gleba! – krzyczał antyterrorysta, który kolaniem dociskał do ziemi ochroniarza gangusów. Jego baba darła się, że to pomyłka, ale zawsze się tak drą.

Tymczasem w mieszkaniu bandziorów też było już pozamiatane. Klasyczny obrazek, wytatuowane schaby w majtkach leżące na podłodze. „Może nie klasycznie” – pomyślał Artur, patrząc na brązową smugę na gatkach jednego z bandziorów.

– No i zesrał się nam bohater – odezwał się z teatralną troską w głosie sierżant sztabowy Wiśniewski. – Ożeż kurwa, nie wystąpi w telewizji, chyba że się zamaże nie tylko facjatę, ale i ten zapaskudzony rów mariański.

Marian „Koks” Kokosiński nie odpowiedział, leżący obok niego Hubert „Ken” Wasilczuk też milczał, choć zapewne w innej sytuacji pewnie miałby polewkę z Koksa. Tylko zdziwy darły się tak głośno, że Artur czuł się jak w tunelu, którym jedzie wyjący pociąg.

– Przepraszam pana, panie Hubercie – zaczął Wiśnia. – Bo widzi pan, filmujemy, więc staram się być uprzejmy, żeby Rzecznik Praw Obywatelskich i prasa nie wszczęły alarmu... Czy mógłby pan powiedzieć nam, kogo pan zainstalował w mieszkaniu na górze?

Ken milczał, ale po chwili wydał z siebie jęk. To sierżant Wiśniewski, były piłkarz rezerw Gwardii Warszawa, dyskretnie pomacał żebra bandyty czubkiem buta.

– O, widzi pan, co za niespodzianka, chwilowo pan operator kameruje w drugim pokoju. – Znów rozległ się jęk, bo Wiśnia po raz drugi zachęcił Kena do mówienia kopniakiem. – Masz pecha, bo Koksa boję się pytać, jeszcze bym coś z niego wycisnął...

– Kurwa, nie wiem, o czym mówisz – jęknął Ken.

– On naprawdę nie wie, o co pytasz – powiedział jeden z ateków. – Idźcie z komisarzem na górę, tam już wiadomo, co było grane.

Artur i Wiśnia weszli na górę. Zobaczyli faceta, który pali papierosa i rozmawia z policjantami. Widzieli go z tyłu, ale gdy się odezwał bez pudła rozpoznali głos.

– Popuścił? Serio? – powiedział podinspektor Radosław Myśliwiec.

– Za to pan, panie rzeczniku, siła spokoju, sorry za te plecy.

– Nie ma sprawy, nie ma sprawy – mówił rzecznik komendy głównej, rozcierając obolałe plecy. – Dobrze, że mnie nie zdjęliście, ha, ha, ha – zaśmiał się, ale tak jakoś na pokaz, bez przekonania.

– Dzień dobry, panie inspektorze – przywitał się Artur. – Co pan tu robi?

– Wizyta prywatna, zasiedziałem się, rozumieją panowie...

„Raczej skok w bok” – pomyślał Wiśnia.

– Jestem tydzień po rozwodzie – rzecznik uciął spekulacje, od tego w końcu był rzecznikiem. – Przyszła teściowa mieszka na pierwszym piętrze...

„Nie zasłonili judaszy?” – zdziwił się w myślach Artur.

– Ma kamerę na podczerwień – powiedział Myśliwiec. – Lubi wiedzieć, co się dzieje na klatce. Kiedyś ukradli jej parasolkę, którą zostawiła pod drzwiami.

Tym razem wyjaśnienia rzecznika były już mało przekonujące, a Wiśnia pomyślał: „To ty, chłopie, masz już przejebane na starcie,



taka teściowa to prawdziwe hausgestapo”.

– Radek skończ już, mama dzwoni i się pyta, kiedy będzie mogła wyjść na klatkę – z mieszkania dobiegło wołanie.

– Przepraszam, panowie – rzecznik uśmiechnął się kwaśno.

– A ja myślałem, że mam słabą teściową i hausgestapo. – Wiśnia pokręcił głową.

Artur i Zygmunt postanowili dyskretnie się oddalić, w końcu nie wpadli tu rozmawiać z rzecznikiem i kradzieżach na klatce schodowej.

\* \* \*

Waldemar Jaszczółt nazywany „Bożkiem Telewizji”, a przez przyjaciół i najważniejszych podwładnych „Valdim”, kręcił się w lewo i w prawo w obrotowym fotelu, jednym z czterech, które stanowiły nowy element wyposażenia jego gabinetu. Stacja zwiększyła oglądalność i przychody, zatem wzrosła także jego pozycja, a wraz z nią gabinet. Stanowisko prezesa stacji w Holding TV po prostu mu się należało, podobnie jak większy gabinet.

Przyglądał mu się z lubością, bo symbolizował jego sukces. Zaczynał od boksu w openspejsie, a teraz miał sekretariat z dwiema asystentkami i nie tylko własny gabinet, ale spory aneks konferencyjny i kącik wypoczynkowy. Wszystko urządzone ze smakiem i w myśl obowiązującego od niedawna hasła „złote, a skromne”.

Nie było przepychu, ale koneserzy doceniali wartość wystroju. Desing był niezwykle staranny, każdy ze szczegółów nadawał temu zakątkowi charakteru znanego doskonale wielbicielom wczesnych Bondów i *Odysei kosmicznej* oraz bywalcom modnych klubokawiarni. Cztery płaskie, okrągłe fotele, długi, niski stolik z ciemnego, lakierowanego drzewa, lampa, a na półeczce klasyka audio vintage; gramofon oraz czterdziestoletni amplituner Marantza w obudowie z drewnianej sklejki, z aluminiowym frontem i gałkami oraz czarną, analogową skalą połyskującą niebieskim światłem.

Wskaźniki wychylały się w rytm muzyki, która przyjemnie, miękko rozlewała się po wnętrzu królestwa Waldemara Jaszczolta. Perfekcyjny dźwięk dobiegał ze stojących w rogach gabinetu starych kolumn. Żadne Bose czy Bangi i Olafsony, żadne mikro, mini, nowoczesne, misterne i obłędnie nowoczesne, tylko fornirowane skrzynki, na których było widać rysunek słoików drewna. Potężne, wiekowe, ale wyglądające jak nowe, słusznych rozmiarów, bo jak wiadomo, dobry bas musi być duży. Była też podręczna kolekcja winyli. Modnie, drogo, ale gustownie.

Zakręcił się raz jeszcze w fotelu i spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

„Kręci się jak gówno w przerębli” – pomyślała Joanna.

Bożek Telewizji zatrzymał się, jakby usłyszał jej myśl.

– I co? – zapytał. – Przemyślałaś to?

– A mam wybór?

– Tak. – Zaśmiał się. – Możemy nie przedłużać umowy, ta ramówka może być twoją ostatnią!

Ile razy sama sobie to mówiła! Tylko ta jesień, jeszcze wiosna i *arrivederci*! Ona ujmowała to tak, a większość używała zwrotu: „A może by pierdolnąć to wszystko i wyjechać w Bieszczady?”. Odpada. Bieszczady się skończyły, jak ktoś miał cztery dychy na karku, to zdawał sobie z tego sprawę. Poza tym marzyła o Włoszech i prawdziwej emeryturze, a nie prowadzeniu agroturystyki, zakładu wyplatania wikliny, sadzie czy produkcji ekożywności. Nie trafiały do niej hipsterskie reportaże z cyklu „rzucili korpo i w dupie-nigdzie założyli swój biznes”.

Bożek Telewizji zarządu spojrzał na zegarek. Chronometr szwajcarskiej marki przypominał, że jego właściciel był w światku polskiej telewizji człowiekiem skupiającym w swoich rękach niewyobrażalną władzę. Jaszczolt był nie tylko dyrektorem programowym, ale także prezesem stacji i członkiem zarządu holdingu.

– Joanna... – ponaglił ją, choć znał odpowiedź.

A może rzeczywiście pierdolnąć to wszystko i wyjechać? Ale dokąd? Hiszpania, Portugalia? Bo z Włochami dała sobie spokój,

może dlatego że oglądała *Dolce Fine Giornata* z Jandą. Wyobraziła sobie siebie samą, siedzącą w klatce na rynku miasteczka w Toskanii...

– Joanna!

– Tak, tak – powiedziała matowym głosem, po czym strzeliła telewizyjny uśmiech i zapytała: – Najbliższy program mam przygotowany, a ten z tym twoim śpiewającym cyrkiem to rozumiem, że ogarnie mi ich produkcja, a ty osobiście rozpiszesz to na głosy, czyż nie tak, Valdi?

Bożek Telewizji wzruszył ramionami i wyduł wargi, co oznaczało: „Formalnie nie, bo to twój program, ale może w istocie będzie tak, jak mówiłaś, zastanowię się”. Wyczuła to zawahanie i nacisnęła:

– Skoro wszystko jest gotowe, to może wezmę parę dni urlopu, okej?

– To twoje ryzyko, twój program i twoi ludzie, którzy pod twoją nieobecność będą sobie musieli jakoś poradzić. – Zrobił pauzę, ewidentnie miał jeszcze jedną sprawę do ugrania. – A jak tam Pati rokuje?

Patrycja Jasińska, stażystka! Zrzut z góry. Podobno była tu i tam, raczej się nie przepracowywała. Była ładna, skończyła szkoły i kursy, ale nie było w niej ognia. Chciała być prezenterką. Tkwiła u niej od trzech tygodni i nie rokowała. Pachniała, lansowała się, a całą robotę wykonywał za nią drugi ze stażystów, Wojtek. On też nie rokował, ciągle starał się przypodobać Patrycji.

– Czeka na swoją szansę.

– To ją jej daj!

– Musiałabym to za nią zrobić.

– Przesadzasz, Patrycja ma wielkie możliwości!

– Nie wątpię, ale się nimi nie chwali.

– Podobnie jak redaktor Misiewicz swoją dojrzałością i kulturą osobistą.

A więc o to chodziło! Bądź dobra dla Patrycji, bo nie wylałem Misiewicza!

– Jak pamiętam, banicja się już skończyła i mój ulubieniec wraca, pewnie będzie cię zastępował?

Kiwnęła głową, bo Michał Misiewicz, świetny dziennikarz i fachman, przyjaciel jej rodziny, od zawsze był człowiekiem krnąbrnym, w którym gen autodestrukcji i awantury nieraz wstrzymywał karierę. Ostatnio nastąpił na odcisk Valdiemu, wielu nawet myślało, że przypłaci to wylaniem z pracy, ale Joanna najpierw postawiła się Jaszczułtowi, a potem go uprosiła, żeby dał spokój. Właśnie kończyło się jego trzytygodniowe zawieszenie, któremu towarzyszyło obcięcie premii.

– Okej, odpokutował za swój szczeniacki numer, choćby dlatego że tak to się skończyło, powinnaś bez żadnych dyskusji zgodzić się na taki, a nie inny scenariusz twojego programu i wspierać młode talenty z energią wprost proporcjonalną do mojej wyrozumiałości i cierpliwości.

Miał ochotę na większą porcję dydaktyki, ale poprzestał na tym. Chciał mieć ją z głowy, bo za dwie minuty spotykał się z młodą, zadowoloną ze wszystkiego i wdzięczną za każdą kolejną chwilę spędzoną na antenie, nową gwiazdą telewizji.

Joanna wyszła od Valdiego wściekła, ale w sumie mogło być gorzej. Wiedziała, że kiedyś wypomni jej, że wstawiła się za Miśkiem, tymczasem wyrzucił to z siebie mimochodem. Chcąc nie chcąc, zrobi ten program. Kurwa, zrobi go, bo musi, za to w wkrótce... Tak, to będzie jej słodka zemsta, manifestacja niezależności i próba pokazania, że na ugorze współczesnej telewizji można zasiać coś mądrego i zmuszającego do myślenia.

Tymczasem Bożek Telewizji, zamiast smakować kolejne zwycięstwo, znów delektował się wystrojem swojego gabinetu. Minął już miesiąc, odkąd w nim urzędował, ale wciąż cieszył się nim, jakby był dzieckiem, które znalazło pod choinką upragniony prezent. Chodził po swoim królestwie i smakował je. Było piękne, z klasą, ale... rozmyślanie przerwało pukanie do drzwi.

– Wejść! – rzucił.

Do gabinetu wpłynęła Neya, cudowna dziewczyna, która poprowadzi „You On Stage!”, nowy, wiosenny talent show. Wyglądała perfekcyjnie, jak Billie Eilish z siwopłatynową fryzurą i w kanarkowym wdzianku. Jej styliści nie poszli jednak tak daleko

jak ich koledzy z Ameryki, bo bluza nie była zrobiona z torby Ikea. Śmiało, wyzywająco, ale nie nadmiernie awangardowo, bez szaleństw, na które nie jest jeszcze gotowa telewizyjna publiczność z Polski.

Neya była, oczywiście zachowując pewne proporcje, niemal równie znakomita co Billie – pomyślał, lustrując jej nienaganną figurę, stylizację i podziwiając miękkie, emanujące erotyzmem ruchy. Choć Neya ruszała się zmysłowo, to jednak nie potrafiła tańczyć i aby jej występy jako tako wyglądały, potrzebny był na scenie tłum tancerzy i tancerek. No i jeszcze jeden drobiazg! Wokalistka, która podbiła Polskę ostatnim przebojem lata i zapewne zrobi to po raz drugi w tym roku, nie potrafiła śpiewać! Ale to przecież drobiazgi. Uśmiechnął się, podając jej rękę – nie śpiewa, ale w końcu nie musi, chórki, produkcja, taniec i tak dalej.

– I na tym właśnie polega magia telewizji – powiedział jej na powitanie, po czym dodał – najpopularniejsza polska wokalistka poprowadzi show, który uczyni ją legendą i przy okazji wylansuje jej następców, to piękne!

– I takie ekscytujące! – zaszczębiotała. – Valdi, jestem taka podniecona! – dodała z uśmiechem, który przypomniał mu o jeszcze jednej wadze nowej megagwiazdy telewizji. Neya była totalną kretynką.

„Ale czy to wada?” – pomyślał Bożek Telewizji, kiedy siadali w fotelach, przecież w ten sposób publiczność ma się z kim utożsamiać!

\* \* \*

Joannie zrobiło się niedobrze, kiedy przypominała sobie, że do swojego programu musiała zaprosić Neyę.

„Jaki talent show, taka prowadząca – pomyślała – a zatem gwarantowany sukces, oglądalność i reklamy, czyli pieniądze na jej niemal misyjne, późnowieczorne ambicje”. Będzie gościć ją i ekspertów, którzy w nowym talent show na przemian będą

lukrować i grillować hurtowe dostawy świeżego, piosenkarskiego mięsa. Teoretycznie mogła poszukać szczęścia u konkurencji. Nawet robiono pod nią podchody, proponowano lepsze pieniądze, ale...

Opadła na fotel w swoim pokoju i odetchnęła głęboko. Takie analizy zawsze kończyły się tą samą, smutną konstatacją: nie było dokąd iść. A co miał powiedzieć jej facet, który był komisarzem policji i pracował w Wydziale do Walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Artur wrócił do domu, kiedy robiła sobie poranną kawę, był niewyspany i kompletnie wyczerpany. Ona ciężko pracowała, a on po prostu harował, a do tego wcale nie miał mądrzejszych szefów, zarabiał ułamek tego, co gwiazda telewizji, i na dodatek narażał życie. Tłumaczył jej, że to ateki tak naprawdę ryzykują, ale ona wiedziała swoje. Iść parę metrów za pierwszą linią... Po akcji w Magdalence nic nie było już takie samo i każda kobieta gliniarza miała prawo to przeżywać.

Już po wszystkim, po nocnej akcji policji i po jej rozmowie z Valdim Jaszczółtem, mogła sobie przemyśleć, jak będzie wyglądał jej program mający być odtrutką na czekającą ją wątpliwą przyjemność obcowania z paramuzyką. W tydzień po zjeździe imitatorów i wyznawców plastiku ma już w grafiku program o stosunkach polsko-ukraińskich, ale w kolejnym pokaże, jak się grało w latach osiemdziesiątych. Nie tęskniła za komuną, ale za kilkoma rzeczami z tamtych czasów.

Chodziła wtedy do podstawówki, miała starszego brata, który przynosił do domu kasety z nową muzyką i chodził z kumplami na koncerty. Jednym z jego kompanów, niemal członkiem rodziny był Michał „Misiek” Misiewicz. Jej braciszek spoważniał, a Misiek dalej był freakiem – miał pięć dych na karku i żył, a raczej starał się żyć, jakby wciąż były lata osiemdziesiąte. Od paru lat hamowała go Gocha, czyli Małgorzata Leśniewska, z którą zszedł się ponownie po tym, jak każde z nich zaliczyło parę nieudanych związków.

Gocha trzymała go krótko, ale były sytuacje, kiedy zrywał się ze smyczy, właśnie dziś skończyło się jego zawieszenie, wiedzieli o tym tylko Valdi i ona. To było trochę niehumanitarne, ale udawała, że nic nie wie, należało mu się to! Miał dzisiaj przyjść do fabryki i usłyszeć

dobrą nowinę, chyba że... Oby nie, miała nadzieję, że nie wykonał kolejnego, głupiego numeru.

\* \* \*

Kiedy Misiek się obudził, a przyszło mu to z niemałym trudem, pomyślał, że nie warto wstawać. Bo po co? Przyjdzie do firmy, odbije kartę, będzie szedł korytarzami, a ludzie będą szeptać za jego plecami, może nawet będą się zakładać, czy przyszedł po to, żeby otrzymać wymówienie, czy też Joanna Becker uratowała mu tyłek. Tego nie wiedział nawet on sam i czuł się jak gość z celi śmierci.

Raz go już wywalano z roboty, ale wtedy była to szybka piłka, bo na wizji dał w dziób selekcjonerowi reprezentacji. Jeśli chodzi o szczegóły, to mu oddał, bo tamten pierwszy ruszył do bójki, po tym jak Misiek powiedział, że sprzedawał i kupował mecze. Został bohaterem, miał swoje pięć minut, do dzisiaj filmik przedstawiający starcie dziennikarza i trenera był hitem sieci, ale ówczesni szefowie nie docenili tej darmowej reklamy. Potem rzucał jeszcze parę razy papierami, w końcu wycofał się z zawodu, aż parę lat temu pomógł Joannie w jej dziennikarskim śledztwie i wrócił do pracy w telewizji. W tym samym czasie zszedł się z Gochą, która uporządkowała jego życie i robiła, co mogła, żeby znów nie wywinął jakiegoś numeru.

Pilnowała go jak Cerber, mimo że nie miała trzech głów, ale była równie skuteczna. I był jej za to wdzięczny, bo pewnie gdyby parę lat temu się ponownie nie zeszli, a ona nie postawiłaby ultimatum: albo ja, albo alko, to pewnie miałyby rozwaloną wątrobę i gnęłyby u mamusi w swoim młodzieżowym pokoju. Trzymała go krótko, ale nie zawsze mogła przy nim być, a już na pewno nie na imprezie integracyjnej, pracowała bowiem w konkurencyjnej stacji telewizyjnej. Nie było jej także teraz, bo wyjechała służbowo na Cypr, więc po dniu ascezy i tęsknoty „w słabości ludzkie poszedł”.

A w zasadzie to pojechał na Służew nad Dolinką, żeby odwiedzić mamę, bo ostatnio do niej nie wpadał. Miała rentgena w oczach i także teraz doskonale wiedziała, kiedy coś zbroił. Kręcił, mówił, że

jest okej, ale w końcu rodzicielka wywierciła mu dziurę w brzuchu. Zaczęło się już przy obiedzie – jedz zupkę, bo zmizerniałeś, Michałku, czy ona w ogóle cię karmi, ta Gośka, a kiedy weźmiecie ślub i czy ona o ciebie dba, czy ty się w tej pracy nie przepracowujesz, źle jakoś mi wyglądasz, uważaj na siebie, Misiu... I dlaczego się tak golisz?

Matce przeszkadzało, jak miał przydługie włosy, ale jak sobie strzelił fryzurę na Kojaka, to dopiero zrobił się dramat jak z brazylijskiej telenoweli.

– Wyglądasz jak kryminalista! – Matka załamywała ręce.

Nie wyglądał jak kryminalista, tylko jak gość, który przegrał zakład i teraz honorowo raz na tydzień czesał się maszynką na zero.

– Ależ, Michałku, pewnie ci teraz zimno... Pamiętaj, noś czapkę!

Brakowało jeszcze, żeby usłyszał i „lataj, synku, nisko i powoli”. Jeszcze w drzwiach, ściskając go na pożegnanie, musiała dodać:

– No i nie popijaj! Nie popijasz, prawda?

Nie popijał. Od trzech tygodni wprost nie mógł patrzeć na alkohol, bo nawywijał i było mu głupio, ale teraz pękł. Matka go zdołowała i postanowił uderzyć piwko, tak dla higieny, poza tym od wieków nie widział kumpli i nie grał w bilard, więc prosto z domu rodzicielki, zamiast pojechać na Saską Kępę, zaszedł na partyjkę do pubu Land.

Partyjka zleciała szybko, więc zagrał kolejną, poza tym wpadł Robert, który powiedział, że Maniek by się obraził, gdyby na niego nie poczekał, więc poczekał na Mańka, a ten przyszedł z Robercikiem... Niby żadne halo, ale nie miał już trzydziestu ani nawet czterdziestu lat, był starym koniem pięćdziesiąt plus. Nieduże, ale jednak plus, więc metabolizm już nie ten...

Łeb mu dzisiaj pękał i tradycyjnie, jak to przy kacu, miał myśli samobójcze, bo samobójstwem byłoby wyskoczenie na drugą stronę ulicy i walnięcie jednego albo dwóch zimnych piwek. Zamiast tego była woda i kawa. Dużo kawy. Rozpuszczalnej, bo ekspres poszedł do naprawy. Rozpuszczalnej i ohydnej, najpaskudniejszej na rynku, za to otrzymanej w ilości hurtowej jako dowód wdzięczności za wypromowanie marki przez jakiś teleturniej dla przygłupów.



Właściciel firmy produkującej mielony żużel potroił dzięki wejściu do teleturnieju obroty i osobiście przywiózł kawę.

Oczywiście był to klasyczny *product placement*, taka parodia konwoju świętego mikołaja, który wiózł coca-colę tirami. Remigiusz Wilczak nie zajechał, prowadząc sznur tirów, tylko jedną furgonetkę, ale przypadkiem sfilmowało to dwóch operatorów, a jeszcze większym zbiegiem okoliczności kartony wynosili z samochodu uczestnicy programu. Przyglądający się temu z okna główny księgowy i Valdi zacierali ręce. Jak szybko obliczyli, przez najbliższych kilkanaście miesięcy pracownicy stacji będą pili wyłącznie kawę „Gonzales”.

Misiek zagwizdał melodię *Speedy Gonzales*, zalał wrzątkiem kubek kawy i zanucił tekst z reklamy „strzel szybkiego Gonzalesa, stań na nogi, zacznij dzień!”. Dolał mleka, żeby obniżyć temperaturę napoju i zabić smak, który nie był atutem kawy. Atutem była za to dostateczna zawartość kofeiny, więc Misiek zamruczał: „Nie ma boli, trzeba pić”, i wychylił czwartą w pracy, a siódmą tego dnia kolejną kawę. Serce żyło, radośnie łomocąc, ale mózg wciąż był ledwie na stendbaju.

Pilotem podgłośnił telewizor, bo na ekranie pojawiła się, nazywana Godzillą, posłanka Zdzisława Dworzak. Na pewno palnie coś, co da mu lepszego kopa niż kolejna kawa. Dworzak stała na sejmowym korytarzu, w ręku, jak zwykle, miała kubek z herbatą, przez co wyglądała jak nauczycielka, która idzie z gabinetu nauczycielskiego do klasy. Okulary oraz dokumenty, które trzymała pod pachą jak dziennik, potęgowały to wrażenie. W jednym z nielicznych wywiadów, co później zaowocowało typowym dla internetu leadem – „Zdzisława Dworzak wyznała” – „wyznała”, że w kubku ma mieszankę zwykłej herbaty z earl greyem, i że sporo słodzi, by wyrównać smak, po wciśnięciu do środka niemal połówki cytryny. Dworzak powiedziała, że pije taką herbatę od trzydziestu lat, co działało na wyobraźnię autorów wywiadu, którzy wtedy, jeśli byli już na świecie, pili nie herbatę, tylko mleko bebiko albo przecier owocowy.

Dworzak nie tylko wyglądała na nauczycielkę, ale i zachowywała się jak ostra belfrzyca, która ma już dość pracy w szkole. Posłów, z którymi się nie zgadzała, zwłaszcza tych młodszych, traktowała jak szkolną patologię i nieuków. Teraz niemal darła się na posłankę Luizę Kęcik, znaną z tego, że prowadziła fundację na rzecz pomocy walczącym z rakiem. Założył ją jej mąż, który cierpiał na nowotwór i zmarł wiosną ubiegłego roku. Był posłem, a Luiza Kęcik przejęła po nim nie tylko kierowanie fundacją, ale i polityczną pałeczkę.

– Jakie ma pani kompetencje, poza byciem żoną człowieka, który założył fundację walki z rakiem, żeby rzekomo ratować innych? – Dworzak mówiła swoim nieprzyjemnym, świdrującym głosem.

– Rzekomo? – posłanka Kęcik starała się być spokojna.

– Rzekomo! – prychnęła Dworzak. – Jak ta fundacja mogła pomagać chorym, skoro jemu samemu nie pomogła? Umarł i oni też umrą, to znaczy odejdą powołani przez Pana. Nie oszuka się przeznaczenia i pani dobrze o tym wie, więc po co to wszystko? Dla kasy? Dla biur, samochodów i wyjazdów? Już zgłosiłam sprawę do NiK-u, prześwietlą was jak trzeba!

Kęcik nie zdążyła jej odpowiedzieć, bo Godzilla Sejmu po prostu obróciła się na pięcie i przepychając się przez tłumek dziennikarzy, zostawiła swoją sejmową przeciwniczkę samą. Luiza Kęcik wyglądała, jakby się miała popłakać, tymczasem, idąca marszowym krokiem Dworzak, burknęła pod nosem:

– A teraz pewnie stoi i płacze, i się będzie na mnie skarżyć.

Godzilla nie zawiodła Miśka, dała mu kopa, ale i tak proces pionizacji trzeba było dokończyć wlaniem w siebie kubka kawy, wychylił go, jakby to było małe piwo.

\* \* \*

Pan Kasai patrzył w telewizor i pomyślał, że tu, w polskim parlamencie, nie dochodziło do bójek. A całkiem niedawno w Japonii opozycyjni deputowani wbiegli na podium i zaczęli bić szefa Komisji Obrony, pana Hamadę. Tego w Polsce nie było. Wielu rzeczy nie było.

Kiedy pierwszy raz poszedł na basen, to się bał, że ludzie wyjdą z wody. Tak się zdarzało Japończykom, kiedy do wody wchodził biały człowiek. Nic takiego nie nastąpiło. Szanowano go. Mieszkanie za granicą sporo zmieniło, ale parę spraw pozostało niezmiennych. Choć nie czuł się lepszy od innych Azjatów i polubił Koreańczyków, to jednak nie polubił koreańskiego popu, dlatego tej muzyki nigdy nie grano w Yoyogi Park, restauracji, którą prowadził w Warszawie.

---

4 *Telewizja*, wyk. Kryzys, sł. Maciej „Magura” Góralski, muz. Robert Brylewski.

5 *Ambicja*, wyk. Deadlock, sł. i muz. Deadlock.

6 *Mam dość*, wyk. Kryzys, sł. Maciej „Magura” Góralski, muz. Robert Brylewski.

7 *Filandia*, wyk. Linda i Świetliki, sł. Marcin Świetlicki, muz. Grzegorz Dyduch, Artur Gasik, Marek Piotrowicz, Tomasz Radziszewski.

# Rozdział 2

*Twoja ambicja zabija ciebie  
Ambicja to twój wróg[8]*

## EIGHTIES

Wtyczka była poszarpana. Suchy, który uczył się w elektroniku, polutował, ale wiele to nie pomogło. Pociągnął kostką, ostatnią, która mu została po strunach, grało, ale brumiło. Przydźwięk był wkurwiający, a to, co leciało z głośników, nie było tym, czego oczekiwał. Defil, z którym się mocował z trudem, stroił, nie brzmiał, a mostek dzwonił, chujnia straszna. No i ten wygląd, deska w kształcie rakiety, zrzynka z Gibsona Futury, czyli coś dla łepków grających metal, a Clash nie grał metalu tylko punk i nową falę.

Gitara Kosmos była szczytem obciachu, a ta była powypadkowa, dlatego cena była okazjna. Powinien ją dostać w ręce porządny lutnik i jakiś szpenio, który zna się na przetwornikach i kabelkach, a nie koleżka z technikum elektronicznego. Ale to kosztuje, a gdyby miał hajs, to pewnie wymieniłby głośnik w kolumnie. A gdyby miał go jeszcze więcej, to nie piłowałby gitary podłączonej do radia Amator Stereo tylko do wzmacniacza gitarowego. Do prawdziwego wzmacniacza, no, prawie prawdziwego, może być Vermona. Okej, może być nawet przechodzony Eltron!

Clash napierdalał na pudłowce tak jak inni nie potrafili na elektrycznej. Kiedyś zdarzyło mu się trzymać w ręku prawdziwe wiosło i wykurwiać na nim tak jak chłopaki z Disorder, GBH i The Exploited. I tak jak ci goście z tego nowego zespołu, z Metalliki. Metal, a dobry! *Motorbreath*, zajebisty numer, taki metal mógłby

grać. Ale co innego go teraz jarało, *Troops of Tomorrow* *The Exploited* i *Eighties Killing Joke*.

Pojechały to na cały regulator, tylko na czym i gdzie? Nawet jakby miał gitarę, wzmacniacz i kolumnę, to musiałby najpierw wysiedlić ten jebany blok. To była jawna niesprawiedliwość, bo jak ta gówniara z piątego piłowała na pianinie *Dla Elizy*, to było w porządku. Chuj z nimi, podniósł hebel mocy na samą górę, tak żeby była pełna moc, żeby kropnęło dwa razy piętnaście wat i walnął o struny z całych sił, by riff z numeru *The Exploited Let's Start a War* rozpieprzył ten cholerny blok.

Nastąpił huk, membrany wyskoczyły z głośników, kolumnienki Amatora Stereo nadawały się już tylko do tego, by postawić na nich doniczki z kwiatami.

– Kurwa – jęknął.

– Leszek, co ty robisz? Czemu klniesz? Co to za hałas?! Lekcje odrobiłeś?

W drzwiach stała matka, miała na sobie fartuch, a w ręku trzymała tłuczek do kartofli.

\* \* \*

Greg wybrał bas z przypadku. Można powiedzieć, że to raczej bas wybrał jego. Starszy brat rzeźbił bluesa i rocka, Breakouty, Zeppeliny, Purple i inne takie kocopały. Jak wielu, miał zapał, i to taki jak u Mike'a Oldfielda. Dowiedział się, że gość nagrał *Dzwony rurowe* sam! Zbyszek postanowił być polskim Oldfieldem i doszedł do wniosku, że musi opanować grę na basie, bo bas dużo wnosił do „dzwonów”. Miał smykałkę do interesów, wymienił, sprzedał, zakombinował i w końcu miał basówkę. Podróbkę Fendera, wielką jak kontrabas z błyszczącymi kluczami. Szło mu dobrze, ale pewnego dnia dowiedział się, że Oldfield, jak napisał, nagrał i wydał swoją słynną płytę, miał osiemnaście lat! Tyle samo miał Robert Plant, kiedy osiągnął sukces z Led Zeppelin.

– Rzucam wszystko w chuj, to nie ma sensu – powiedział Zbyszek, który skończył dwadzieścia lat i dotarło do niego, że nie zostanie już drugim Oldfieldem. Przez rok nie dotykał się do instrumentów.

Wybuchła punkowa rewolucja, o której Greg dowiedział się z telewizji, oglądając reportaż o Kryzysie, a przecież wiosła brata – gitara i bas – leżały odłogiem, więc Greg spróbował, jak to jest. Wziął bas, bo przecież łatwiej obcykać cztery, a nie sześć strun, poza tym fajna była. Brata nie było w domu, bo go rzuciło poza Warszawę do szkoły policealnej. Wiadomo, lepszy dziwny zawód i dwa lata mieszkania w internacie niż wojo.

Greg pogrywał kostką, bo nie do końca wiedział, że basiści głównie grają palcami. Szło mu coraz lepiej, aż... Zbyszek wrócił do grania, ale zabrał z domu tylko sześciostunową gitarę elektroakustyczną i z rocka przeszedł na Kaczmarskich, Dylanów i Wysockich. Basówka była już niepotrzebna, więc postanowił ją opchnąć. Dał ogłoszenie. Jak wpadł do Warszawy, to zaczął kleić, zaczął od przystanku autobusowego przy Rewolucji Październikowej, po czym pojechał na Nowotki, żeby się ogłosić na ścianie sklepu muzycznego. Kiedy wrócił do domu, Greg warował pod drzwiami jak pies.

- Co się stało?
- Sprzedajesz basówkę?
- Tak, a czemu pytasz?
- Bo ja na niej gram.
- Pierdolisz, pokaż.

Pokazał. Zbyszek Kociniak najpierw załamał się, a później zachwyił. Złapał siedemnastoletniego brata za wątle barki, potrząsnął nim i zawołał:

– Ty, kurwa, wymiatasz, to nie jest blues, ale... Ja pierdolę! No i kostką... – Pokręcił głową z uznaniem i niedowierzaniem.

Umówili się, że będzie spłacał instrument na raty.

Spojrzała na zegarek, potem przez szybę do pokoju redakcyjnego. Ani śladu Miśka, a muszą pogadać. Nocna przygoda z książką noblistki wyczerpała ją, spała tylko parę godzin, potrzebowała kawy. Z obrzydzeniem pomyślała o kawie „Gonzales” i zepsutym ekspresie. Nie chciała iść do kawiarni, szkoda czasu, pójdzie do pokoju socjalnego.

Przez szklane drzwi zobaczyła Miśka, który z kubkiem kawy w ręku wgapiał się w telewizor. Nie zauważył jej, chciała mu zrobić psikusa, ale jak zahipnotyzowana zaczęła patrzeć na niezwykły, nawet jak na warunki tego sejmku, show. Na koniec Misiek wypił duszkiem kawę.

– Suszy? – zagadnęła go.

– Nie sushi, kawa – zamruczał Misiek. – I batonik – dodał i zagryzł snickersem. – Uzupełniam cukier, pompuję ciśnienie w gumach, bo złapałem flaka.

– I wypłukujesz magnez.

– To legenda, wymyśliło to jakieś medyczne lobby, ale na wszelki wypadek możesz mnie poratować, na pewno mnie poczęstujesz, masz pewnie pełną torebkę suplementów, witamin i innych zdrowych gówien.

Miała. Wyjęła parę fiolek i zaordynowała mu zestaw pastylek. Łyknął je chciwie i popił butelką coca-coli, otarł usta i brodę, spojrzał na Joannę i zapytał:

– A nie masz może zestawu do robienia kroplówek?

– Aż tak? Nieźle zaszalałeś, powinieneś uważać, znów jesteś na cenzurowanym!

– Na cenzurowanym czy na aucie? Wiesz coś?

– Wiem, byłam u Valdiego, znów jesteś synem marnotrawnym, witaj ponownie na pokładzie.

Spodziewała się, że mu podziękuje, tymczasem Misiek odchylił się na krześle i pociągnął łyk kawy.

– Od kiedy o tym wiesz? – zapytał.

– Od teraz, byłam u Valdiego...

– Wszystko jedno, dalej jestem niewolnikiem wielkiego Babilonu – zaśmiał się, pocierając głowę. – Będę na cenzurowanym jak jakiś

robak po lupą albo rodzina piesków stepowych w filmie przyrodniczym. Wszyscy czekają na kolejną imprezę integracyjną i mój występ... – Machnął ręką i się zaśmiał. – Co się stało, to się nie odstanie. A co do ostatniej nocy, to żadne halo, stary jestem, i tyle, niedługo huknę parę piwek i będą mnie zbierać na szufelkę. Ledwo żyję.

– To masz pecha, zawijam się na parę dni.

– Żeby zdusić na wyjeździe morlaniaczka, odreagować, bo pani redaktor musi zrobić reklamę głównianego show?

– A żebyś wiedział, że odreaguję. Żeby się jakoś oczyścić z tej muzycznej tandety, kolejny program zrobię o muzyce alternatywnej lat osiemdziesiątych.

– Rychło w czas, jak już nie ma Roberta Brylewskiego, ale okej, pewnie mam zaprosić, kogo się da: Tomka Lipińskiego, Kazika, Kelnera, Muńka, Maleo i innych, wyciągnąć teledyski, materiały, zdjęcia i tak dalej.

– Nie.

– Jak to nie?

– Bo wszystko i wszyscy już byli, chcę czegoś nowego.

– Radek Liszewski?

– Kto?

– Radek Liszewski, lider Weekendu, *Ona tańczy dla mnie*. Radek grał na perkusji w punkowym bandzie Paczka Gwoździ, to jest temat! Zaczynał od punka, by wyjechać później z jednym z przebojów wszech czasów. Wyobraź sobie, jakby zagrał punkową wersję *Ona tańczy dla mnie*... Oglądałbym!

– Spadaj! Jestem zmęczona, mam dość, a to twój temat. Kombinuj!

– Mój temat, ale mimo wszystko będę potrzebował wsparcia, chyba że pościągasz ludzi z urlopów albo sama sobie odpuścisz.

– Nie mam zamiaru, ten wyjazd mi się po prostu należy! Zagonisz do pracy stażystów.

– To już wolę sam to zrobić, oni wszystko spieprzą, mimoza z czerwonymi pazurkami i chudy brodacz w musztardowych rurkach, ci parodyści do niczego się nie nadają.



– Muszą się nadawać, to znaczy ona musi. To była część dealu; jestem dobry dla Misiewicza, więc ty bądź dobra dla Patrycji Jasińskiej. Musimy ich holować, ale... mogą im się urwać kółka!

– I to mi się podoba! Przeczolgam ich jak stare wojsko młode koty!

– Przecież nie byłeś w wojsku, to co ty możesz o tym wiedzieć?

– Wiem wszystko, twój brat mi opowiedział, będą latać na wysokości lamperii!

– Należy im się, bo jak mówił papież telewizji: telewizja to nie fabryka marmolady! – zaśmiała się Joanna, wspominając ulubione powiedzonko ich pierwszego szefa redakcji Krzysztofa Wojtyły.

– Ja bym nawet powiedział, że to nie jest fabryka keksów.

– Dlaczego keksów?

– Bo tak mi się przypomniało, Turbo grali taką piosenkę, *Fabrykę keksów*, kogoś kowerowali, ale nie pamiętam kogo. Od takich spraw będę miał dwójkę młodych i chętnych do pracy erudyków!

– No to goń ich, już im wysłałam radosnego maila, że mają do obrobienia temat, który poszerzy ich horyzonty i że przez kolejny tydzień będą pod troskliwą opieką redaktora Misiewicza!

Wyrok na dwójkę stażystów został wydany. Joanna wyszła z pokoju socjalnego, a Misiek podreptał do ich pokoju redakcyjnego, rozciągnął się w fotelu i przy dźwiękach szemrzącego potoku inwektyw, którymi na ekranie okładali się politycy, udał się w objęcia Morfeusza. Z początku chrapał, ale później złapał właściwy rytm i sunął przez sen gładko i bezszelestnie.

\* \* \*

Kwadrans później do pokoju weszło dwoje młodych ludzi wgapionych w komórki.

– Co to za temat, Wojtek, co ona wymyśliła? – jęknęła drobna, dwudziestoparoletnia blondynka.

– Nie wiem, Patrycja, dla mnie to temat kompletnie z dupy – rzucił chłopak z modnie przystrzyżoną brodą i falą włosów zaczesanych na tył głowy.

– Myślałam, że skoro ma robić program o nowym talent show, to w końcu się wykażemy. Neya jako prowadząca i same gwiazdy w jury! – dziewczyna nie kryła rozczarowania. – Zamiast tego jakieś stare nerdy – czytała maila od Joanny i krzywiła się, jakby piła sok z cytryny.

– Spójrz na to – powiedział chłopak, który doczytał do końca wiadomość. – „Proszę o zrobienie riserczu, znalezienie bohaterów, nagranie ich oraz zmontowanie trzy-czterominutowego materiału. Liczę na waszą samodzielność, że po miesiącu stażu zrobicie coś, co pokaże, że to nie był stracony czas”. To brzmi jak ultimatum!

– Co za złośliwa suka... Jak mogliśmy się wykazać, to nam nie dała, ale za to wpakowała nas w *mission impossible*.

– Nie lubi nas stara pizda – podsumował chłopak.

– Słuchaj no, paziu – dobiegł ich głos z boksu w rogu redakcji. – Pizda to ty jesteś, a nie dziennikarz, stojak pod mikrofon, półryś[9]. A ciebie, panno, już by tu dawno nie było, gdyby nie wujek.

Zza ścianki dzielącej redakcję na mniejsze sekcje wyłoniła się łysa czaszka, po niej zobaczyli brodę, a następnie tors Michała Misiewicza. Milczeli, on też nic nie mówił, tylko patrzył na nich z politowaniem. Zapadła cisza.

– Ale my nie o niej... – odezwał się w końcu chłopak.

– Mateuszek-Kłamczuszek? – zażartował Misiek.

– Podśluchiwał pan! – rzuciła dziewczyna.

– Spałem, a wy mnie obudziliście, nie było to miłe przebudzenie, bo to, co usłyszałem, odebrałem jako osobistą potwarz. Joanna to moja przyjaciółka. Nie taka z fejsa czy z pracy, rozumiecie?

– Wiemy – bąknął Wojtek.

Misiek wygrzebał się z za biurka, zarzucił na ramię podniszczoną torbę i zaczął się

zbierać do wyjścia. Wydawało się, że to koniec niefortunnego spotkania, ale Misiewicz rzucił:

– Chuja wicie! Macie szczęście, że was nie podpierdolę. Nie chcę jej denerwować, wystarczy, że ją wkurwicie tym, że spartolicie tę robotę. A może ruszycie tyłki i zrobicie, co trzeba? Ruchy, ruchy, ruchy! A może nie wyrażam się jasno? *Go, go, go!*

Misiewicz zaczął wyjmować z biurka rzeczy, stawiał je na blacie, a gdy już opróżnił szuflady, zaczął się rozglądać. Patrycja i Wojtek spojrzeli po sobie porozumiewawczo, dziewczyna szepnęła chłopakowi coś do ucha. Chłopak zaśmiał się, wyciągnął zza jednego z biurek karton i postawił go na biurku.

– Po co mi to stawiasz? – spytał Misiek.

– Bo się pan pakuje – odpowiedziała za Wojtka Patrycja.

– Słucham? – Był zdziwiony, ale po chwili zaczął się śmiać. – Myśleliście, że się pakuję, że mnie wylali? Dostałem tylko naganę, poza tym nawet gdyby mnie wylali, to i tak Joanna Becker pozostanie moją przyjaciółką.

Patrzyli na niego z wyraźnym rozczarowaniem.

– Zresztą karton się przyda, nazbierało mi się śmieci, nie sprzątałem biurka od dwóch lat!

Misiek spakował rzeczy i wyszedł z pokoju.

Patrycja i Wojtek opadli ciężko na krzesła.

– Nie wylali go! – Wojtek kręcił głową. – To niemożliwe!

– A tak w ogóle to co on takiego zrobił? – zapytała Patrycja.

– Naprawdę nie wiesz? Wysikał się podczas imprezy integracyjnej – szepnął Wojtek.

– Przy wszystkich?

– Nie, wyszedł przed ośrodek i pod rzeźbą z lodu w kształcie loga stacji wysikał napis „V”! Monitoring go nagrał.

– Tak?

– Ta litera była ogromna, miała ze dwa metry wysokości!

– Przecież nie jest słoniem!

– Część dolał piwem – wyjaśnił Wojtek.

– V? Chodziło o Valdiego Jaszczółta? O prezesa?

– Dokładnie! Ale szefowie nie szli tak daleko w interpretacji, bo była dość niekorzystna, ograniczono się do samego faktu oddawania moczu w takim miejscu. Kompletnie nie jarzę, jak mu się to upiekło!

– To jasne, na pewno Becker się za nim wstawiła. Bożeż, nie mogła zrobić programu o jakichś znanych muzykach?

– Mogła, ale chyba chce zrobić wszystkim na złość. Co za chujowy pomysł. Trzeba spać się i zrobić to, nie dam się wyrzucić, skończę

staż i przeskoczę gdziekolwiek, ty mogłabyś na przykład do pogody. Z twoimi nogami dałabyś radę.

Fakt, kiedyś pogodynki nie biegały przed mapami, pokazując całą sylwetkę i nie ubierano ich w miniówki i szpilki.

– Serio?

– Wyglądałabyś zajebiście.

– Ale ja nie chcę pracować w pogodzie!

Nożę kurwa, znów nie zapunktował, więc wziął się do researchu. Przeglądał strony internetowe i rubryki kultura.

ZIMOWY FESTIWAL FOLKLORU  
ZOBACZ NARCIARSKIE KREACJE GWIAZD  
OSTRE SCENY W NOWYM FILMIE...

– Cholera, trzeba kliknąć w dział muzyka – powiedział pod nosem, sam do siebie.

Eksploracja działu muzycznego też nie przynosiła rezultatów.

WOKALISTA WALCZY Z RAKIEM  
NEYA POPROWADZI NOWY TALENT SHOW  
ZBLIŻA SIĘ PREMIERA FILMU O ZENKU MARTYNIUKU  
SŁAWOMIR NAGRA PŁYTY Z...

– Kurwa, mogła zrobić program o disco polo, przynajmniej z juwenaliów znam – zaklął.

– Jaka uczelnia, takie juwenalia – skwitowała Patrycja.

Wkurzyła go tym, ale nie odciął się, bo za bardzo mu się podobała. Nagle Patrycja wydała z siebie okrzyk radości, wskazała palcem na ekran komputera, a Wojtek zaczął sunąć wzrokiem za jej czerwonym paznokciem. Tak, to było to!

– Wow! – krzyknął. – *High five!*

Przybili sobie piątki. W tym momencie do pokoju wrócił Michał Misiewicz.

– No co tam, pracusie? – Pochylił się nad komputerem, po czym wyprostował się, pokręcił głową i zagwizdał z podziwem. – Ambitny strzał!

\* \* \*

Czy pan Kasai był ambitny? On nigdy nie postawiłby takiego pytania, bo nie rozważał tego, co robi w kategoriach własnych szczególnych ambicji, lecz obowiązku. Był w tym pewien fatalizm, dostał coś od życia i starał się temu sprostać. Szkoda czasu na takie pytania, pan Kasai wyszedł ze swojego kantorka i witał gości restauracji Yoyogi Park. Polubił to, choć nigdy nie przypuszczał, że będzie się tym zajmował, robił przecież inne rzeczy, był fachowcem w zupełnie innej dziedzinie, ale tak się stało i szanował to, co miał.

Znalazł się w innym świecie i nauczył się z tego korzystać, stare rozrywki zamienił na nowe. Zamiast chodzić na mecze baseballu i wyścigi rowerowe, zaczął grać w golfa. Nowe zajęcie w nowym życiu, w tym starym nie było źle, w końcu był kaikei, może nie takim zwykłym księgowym, choć mocno zależnym od szefa.

Pan Kitano i tak obdarzył go wielkim zaufaniem, na swój sposób wyróżnił, ale wyszło, jak wyszło. Jest teraz w Warszawie, daleko od prefektury Kanagawa, skąd pochodziła jego rodzina, i od Jokohamy, w której mieszkał. Był w kraju, w którym nie było yakuzy. Nie było albo jeszcze nie było, bo w każdej chwili może się to zmienić, jeśli tylko organizacja tego zechce. Nie było też ludzi, którzy potrafili jej odmówić, bo ilu jest takich, którzy odmawiają wielkim korporacjom?

---

8 *Ambicja*, wyk. Deadlock, Kryzys, sł. i muz. Deadlock.

9 Ryś – w telewizyjnym slangu asystent, który jedzie zadać pytanie napisane przez redakcję.

# Rozdział 3

*Karuzela, karuzela  
Świat się kręci i umiera  
Słońce świeci, słońce gaśnie  
Będzie ciemniej albo jaśniej*<sup>[10]</sup>

## EIGHTIES

Jak się nazywasz Białkowski, to jesteś skazany na to, żeby być Białkiem albo Białym. Jak jesteś Brzozowskim albo Brzozowiczem, to zostajesz Brzozą, jak Czarneckim to Czarnym, a jak Kalinowskim to Kalim. W sumie do zniesienia, bo starzy nie dali ci w spadku nazwiska Kotas, Chojas albo Duda. Nazwiska były, są i będą obiektem żartów, więc trzeba się pogodzić z tym, że był Białkiem. Mało rockandrollowa ksywka, wolałby White'a, ale nikt nie chciał tak do niego się zwracać.

Chciał też grać jak John Lord z Deep Purple, ale w pewnym momencie zrozumiał, że to niemożliwe. Hard rock zaczął go zniechęcać, z rocka symfonicznego zrezygnował, bo też był na to za krótki. A – o ironio! – był instruktorem muzyki w Domu Kultury imienia Franciszka Zubrzyckiego, tak zwanego Małego Franka. To była najgorsza z możliwych placówek, bo chociaż nie była młodzieżowa, tylko przyzakładowa, to przyłaziły dzieci. Urwanie głowy. Na szczęście główniarze nie mieli słuchu, a on nie uczył gry na gitarze. Wszyscy chcieli grać teraz na gitarach. Pewnie, jeśli się nie pospieszy, to mu się tu w końcu wprowadzi jakiś zespół.

Trzeba zagęścić ruchy, jak to mówili w wojsku. Dobrze, że się nie migał, nie robił scen, poszedł, odrobił, w zespole w kasynie

oficerskim pograł i szlus. Wyszedł w ostatniej chwili, przed stanem wojennym, nie musiał stać na mrozie przy koksowniku. Udało mu się! A teraz musi zdążyć dojechać na prywatną lekcję.

Gówniarz mógł być nieznośny i pozbawiony choćby cienia talentu, ale jego starzy płacili konkretną kasę. Jak się spóźni, to będzie kicha, bo dzieciak, do którego jechał, miał zaraz po jego lekcji angielski. Chyba jacyś prywaciarze albo mają rodzinę za granicą, bo stać ich na takie wydatki.

Gdyby nie wyjeździł benzyny, wziąłby syrenkę ojca, ale wczoraj dojechali do domu na oparach, bo wyjeździł całe paliwo, nawet zapasy, które trzymali w kanistrach na balkonie. Był dziesiąty lutego, a ich rejestracja kończyła się na cyfrach 7472, nie mogli więc zatankować ani wczoraj, ani dzisiaj, benzyna należała im się dopiero pojutrze, bo właściciel samochodu, którego rejestracja kończyła się na „2”, mógł brać paliwo tylko 2, 12 i 22 każdego miesiąca.

Nie było wyjścia, trzeba było jechać taryfą. Zadzwoił na Radio Taxi, ale numer 919 był zajęty. Trzeba było łapać na ulicy, bo na postoju nie było szans, przy słupku z napisem TAXI stało kilkanaście osób. Pojedzie „na łebka”, dorabiało tak wielu kierowców. Zamachał w kierunku przejeżdżających samochodów, niestety w szoferce śmieciarki było trzech facetów, nie licząc kierowcy. Machał i machał, ale wszyscy byli zajęci albo nie mieli ochoty dorobić.

W końcu zatrzymała się karetka.

– Mamy wolne miejsce, ale tylko na Pragę, pod szpital! – rzucił lekarz, chyba że nosił stetoskop tylko dla ozdoby. – No jak?

Potrzebował na Bródno, ale spod szpitala praskiego będzie bliżej.

– Pasuje!

– Marian, wpuść pana – lekarz dał dyspozycję sanitariuszowi, który siedział z tyłu. – Siądź z przodu, pan zasłabł, zgarnęliśmy go z ulicy, więc lekarz musi być blisko. – Zarechotał.

Faceci w fartuchach zamienili się miejscami, a on wślizgnął się do środka fiata kombi, który pełnił rolę karetki. Gdy już leżał na noszach, kierowca włączył syrenę, zapiszczało sprzęgło i auto wyrwało przed siebie.

– Za dziesięć minut będziemy na miejscu! – poinformował lekarz.

Sądząc po stylu jazdy kierowcy, nie było wątpliwości, że facet nie żartował. Kiedy zbliżali się do placu Dzierżyńskiego, kierowca zwolnił, bo pół jezdni blokował milicyjny gazik na kogucie. Kiedy go mijali, nagle zawył i pojechał w kierunku placu.

– Co jest, kurwa, tam coś się dzieje! – krzyknął kierowca.

– Nic się nie dzieje, jeszcze nas zatrzymają i pacjenta dołożą, omiń ten bałagan, jedź Senatorską, a później Bielańską – zakomenderował lekarz. – Klienta mamy i pracę kończymy, a przez radio nikt nas nie wołał. Pal gumę, bo nas mendy zaproszą do współpracy.

\* \* \*

Słońce właśnie zaszło, zostało mu sześć minut, tak na styk, trochę na zapalenie płuc. Greg przyspieszył kroku, żeby zdążyć, wszystko się uda, jak skróci sobie drogę przez ogród Saski. Nagle zrozumiał, że popełnił poważny błąd. Warszawa stanu wojennego była ciemna, ale w ogrodzie Saskim panował mrok jak w jakimś lesie. Nie był to Las Sherwood, tylko las Jaruzela, w którym zamiast wesołej bandy Robin Hooda, czekali zomowcy. Ruszyli z alejki, w której stali, zbliżali się w jego stronę, a może nie?

Zachował spokój, jak zacznie biec, to ruszą w pogoń, cholera wie. Może ich zgubi, a jeśli nie, to pociągnie zomoli za sobą i trafią na miejsce zbiórki, będzie wyspa! Delikatnie przyspieszył kroku, bo może to nie o niego chodzi, tylko o tego chłopaka, który wyglądał na studenta i niósł plecak. Takich z plecakami szczególnie lubili zatrzymywać, bo mogli przenosić ulotki.

– Stój! – usłyszał, ale przecież mogło to być do studenciaka z plecakiem.

– Stój! – Szedł jakby nigdy nic.

– Stój, do ciebie mówię, ty dziwołagu! – usłyszał niski głos i nie miał już wątpliwości.

To na bank było do niego, bo ktoś ubrany w wąskie spodnie i ciężkie buty (a do tego miał postawione włosy) musiał być dziwołagiem. Cholera, mógł założyć czapkę, inne spodnie, mniej



radykałnie, mniej punkowe. Dla zwykłych przechodniów był tylko kimś, komu się można było przyjrzeć i wytknąć palcem, dla gitoli kimś, kto dawał pretekst do tego, by zaczepić i obić pysk, a dla milicjantów – pacjentem do zatrzymania. Takich można było dla zasady wsadzić na cztery-osiem, wywieźć za miasto i kazać wracać pieszo albo zrobić małą ścieżkę zdrowia, czyli złomotać pałami.

Ale nie wszyscy wytykali palcami, gitole czepiali się rzadziej niż częściej, a i milicja z reguły ograniczała się do kontroli papierów. Zaczęli oglądać jego dokumenty. Stanęli blisko, jeden czytał, drugi się rozglądał, trzeci dłubał palcem w nosie.

– No i co my, kurwa, z tobą zrobimy? – zapytał ten, który czytał dokumenty.

– Ja bym go wziął na cztery-osiem, chuj wie, co to za jeden, mogliby go na Mostowie sprawdzić – powiedział drugi.

– A ja bym mu dał parę pał na dupę, to może by zmądrzał i zaczął się normalnie ubierać – przyłączył się trzeci, dłubiący w nosie.

Śmiali się, mieli z tego niezły ubaw, a dokumenty cały czas były w rękach dowódcy patrolu.

– Czego chcecie od chłopaka, mało wam tej całej wojny? – rzucił facet, który czekał na tramwaj.

Policjanci wyglądali tak, jakby ktoś ich ukłuł szpilką. Zaczęli się nerwowo kręcić. Dowódca pociągnął go w kierunku stojącej przy ulicy latarni, żeby porównać zdjęcie z legitymacji szkolnej z jego twarzą. Wtedy odezwała się starsza kobieta stojąca na przystanku.

– Proszę państwa, proszę państwa! Proszę zobaczyć, co te łobuzy chcą zrobić temu dziecku!

Rozległo się parę gniewnych okrzyków, milicjanci odwrócili się w stronę ludzi z przystanku, którzy ośmielili się zrobić parę kroków w ich stronę. Najstarszy zomol wskazał palcem na starszą panią. W oczach milicjantów była to agresywna demonstracja. Mogli odstąpić i zbagatelizować to, co się stało, ale ich dowódca był twardzielem, nie miał zamiaru puszczać chłopaka, co więcej – uznał, że skoro tak im na nim zależy, to za to zapłaci. Jedną ręką chwycił go za ramię, a drugą przystawił sobie do ust mikrofon radiostacji.

– Przystanek tramwajowy przy ogrodzie Saskim, chorąży sztabowy Antkowiak, mamy tu podejrzanego, jest jakiś transport?

Jego ludzie zdjęli z ramion kałachy i przeładowali je. Dowódca pchnął chłopka w stronę swoich ludzi, ci położyli na nim ręce, a starszy zomol podszedł dwa kroki w kierunku ludzi i trzymając się za kaburę, krzyknął:

– Rozejść się! Tu nie ma nic ciekawego do oglądania. Rozejść się, mówiłem!

Wydawało się, że to koniec, ale podjechał tramwaj, wysiadło z niego kilkadziesiąt pasażerów, ale niewielu wsiadło, zrobiło się zbiegowisko, nagle ktoś z tyłu krzyknął:

– My tu czekamy na tramwaj, pało!

Chorąży Antkowiak został w miejscu, nie chciał zbliżyć się do ludzi, wiedział też, że nie warto do nich mówić, bo jego słowa odbijają się i wrócą ze zdwojoną mocą. Był doświadczony i wiedział, co robić. Chwycił za radiotelefon i powiedział tak, żeby wszyscy słyszeli:

– Proszę o posiłki, proszę o posiłki, mam tutaj antyrządowe zgromadzenie!

Greg poczuł, jak pot spływa mu po plecach. Zrobiło się zamieszanie. Greg pomyślał, że ma przejebane. Chyba że go odbiją, w końcu było to już dwadzieścia–trzydzieści osób...

Jeden z gliniarzy przeładował kałacha, ludzie wydali pomruk niezadowolenia.

– Do Polaków będziesz strzelał, czerwony chuju?!

Sytuacja zrobiła się groźna, nawet jak na stan wojenny, trójka milicjantów nieco straciła rezon i pewnie wycofali się, ale kipiała w nich żądza odwetu. Dwa dni temu, podczas próby rozbrowienia, postrzelono w tramwaju sierżanta Karosa. Milicjant umierał w szpitalu.

– Tak, będę, kurwa, strzelał – jeden z szeregowych wycelował lufę w ludzi z przystanku.

Wtedy zawyła syrena i zrobiło się niebiesko. Przejeżdżający Marszałkowską milicyjny gazik musiał złapać ich sygnał, stanął na jezdni, od przystanku i protestujących ludzi dzieliły go tylko tory. Milicjant Antkowiak pchnął Grega w plecy, ruszyli w kierunku do

gazika. To już koniec, pozamiatane! Kiedy byli już przy torach, nagle od strony placu Dzierżyńskiego wystrzelił jakiś blask, coś się zapaliło.

– Kurwa, co to jest? – krzyknął jeden z zomoli.

Dowódca dał znać, milicjanci ruszyli w kierunku radiowozu, a chorąży, chowając do kieszeni legitymację Grega, przejechał go na pożegnanie pałą po plecach i warknął:

– Masz się zgłosić na Mostowo, inaczej przyjdziemy do ciebie, do domu!

Zomole zapakowali się do gazika, a ten z piskiem opon i z wyjącem kogutem ruszył w kierunku płomieni. Wszyscy patrzyli w kierunku placu Dzierżyńskiego, szeptano, zastanawiano się, co się stało. Nikt jednak nie myślał o tym tak intensywnie jak Greg, który zrozumiał, że naprawdę umawiał się na wielką rzecz. Poznał tego chłopaka na spacerze z psem, przypadli sobie do gustu, później wymieniali się ulotkami i informacjami, aż w końcu dostał propozycję, by zrobić coś, o czym będzie mówić całe miasto, a może i cała Polska. Kiedy przedwczoraj radio podało, że dwóch chłopaków zabiło sierżanta milicji, zmroziło go, ale wieczorem, podczas spaceru, został zapewniony, że ich akcja, choć głośna, będzie jednak pokojowa. Nie będą rozbierać milicjantów ani wojskowych jak ci, których poszukiwano teraz w całym kraju.

Wsiadł w tramwaj, a po minucie był już na Dzierżyniaku, jak warszawiacy nazywali plac Dzierżyńskiego. Z okna zobaczył, że pomnik Krwawego Feliksa płonie – jego ręce oblano czerwoną farbą. Ze wszystkich stron zjeżdżały się radiowozy, przecież Mostowo, czyli pałac Mostowskich, w którym mieściła się komenda stołeczna, znajdowało się tuż obok.

W tramwaju panowało poruszenie:

– No i patrz pan, jak załatwili polskiego patriotę. – Zaśmiał się ktoś.

– Panie, co pan pieprzysz?

– To nie wiesz pan, ilu Ruskich wysłał do Bozi ten funfel Lenina, ha, ha, ha! Miał lepszy wynik od Chodkiewicza, co Moskwę zdobył!

Na żaden komisariat nie pójdzie, mogą mu skoczyć, legitymację sfałszował, pierwsze, co zrobił po powrocie do domu, to ściął włosy

na jeża. Matka była zachwycona, gdyby jeszcze wiedziała, dlaczego to zrobił...

## 2020

Misiek pochylił się nad komputerem i pokręcił głową.

– Naprawdę ambitny strzał, no, no! Jak żeście to wymyślili?

– Wyguglowaliśmy – powiedział Wojtek, przeczesując swoje kruczoczarne włosy.

– Szukaliśmy zespołu z lat osiemdziesiątych, ale znaleźliśmy jeszcze starszy! – powiedział Wojtek. – Ten band powstał w sierpniu 1976! To chyba najstarszy zespół punkowy.

– No tak, nawet ja o nim nie słyszałem. – Misiek miał zatroskaną minę. – Upadek Komunistów... śmiała nazwa.

– I jakie typy! – rzucił z entuzjazmem Wojtek, ale mina redaktora Misiewicza, poważna i jednocześnie podniecona jak u katechety mówiącego o grzechu nieczystości, kazała mu włączyć mechanizm chroniący przed rozczarowaniem.

– Widzę, widzę... Wokalista Darek pracował przy totalizatorze na bazarze Różyckiego, przy trzech kolorach i grze w oczko robił sztuczny tłok. – Misiek zmrużył oczy i przeczytał: – Bębniarz Andrus był starym cynkiem i doliniarzem. Handlował papierem przed trumną na Świętokrzyskiej[11]. Notowany, dwa lata w puszcze. Niezły pancur! Fajne, zawadiackie, oldskulowe, bandyterka i tak dalej. Ale czy ty rozumiesz, co tu jest napisane?

– Byli przestępcami...

– Ale jakimi i gdzie?

– Na Świętokrzyskiej, na bazarze Różyckiego, to w Warszawie, zresztą zespół jest z Warszawy, prawda?

– Pewnie tak, ale co to jest trumna przy Świętokrzyskiej?

Zapadło krępujące milczenie.

– Cinkciarzy znacie tylko z filmu Lubaszenki, o ile oglądaliście, he?

– Misiek zapytał, przekrzywiając głowę, jak to robił Kwiczol

z Janosika.

– Oglądałem, Pazura i Nowicki grali, to o handlu dolarami było – powiedział Wojtek.

– I markami... zachodnioniemieckimi markami. No dobrze, prawie dobrze, bo tytułu nie pamiętam? – Redaktor postanowił się zabawić w pedagoga i zaczął proces grillowania ucznia przed tablicą.

– No, nie... – powiedział Wojtek, w myślach kończąc zdanie „ty łysy chuju”.

– Sztos się ten film nazywa.

– Ale czy to ważne? – Stażysta tylko siłą woli nie rzucał przy tym kurwami, trzymał nerwy na wodzy.

– Bo ja, jak czegoś nie wiem, to sprawdzam. Na przykład teraz sprawdzę, czy w Kędzierzynie jest ZK, znaczy Zakład Karny.

Chwila stukania klawiszami i okrzyk triumfu.

– Tak, jest! No proszę, piękny obiekt!

Wojtek z przerażeniem stwierdził, że redaktor Misiewicz się rozkręcał, Łysa Pała znów coś szykowała.

– Ładny, ponemiecki pierdel, linia architektury w sprawdzonym stylu wroniecko-strzelecko-opolsko-sztumskim – skwitował Misiewicz. – Dobra, pruska robota. Zawsze się czegoś można dowiedzieć, bo nie znałem tego więzienia, więc... Podejrzywałem was o jakąś wpadkę, że podjaraliście się jakimś tekstem, w którym był fejk news o odsiadce w Kędzierzynie...

Na twarzy Patrycji malowało się poczucie ulgi, ale Wojtek wiedział, że to dopiero początek i że koniec nie przyniesie im nic dobrego.

– ...Ale czy Andrus mógł siedzieć w Kędzierzynie? Sprawdziliście, czy ta grupa w ogóle istnieje?

– Przecież to ich oficjalny profil na Facebooku, a poza tym – uśmiechnęła się Patrycja – były relacje z ich koncertów, filmy, płyty i tak dalej...

– I tak dalej... – Misiek znów pogładził się po ogolonej czaszce. – A czy państwo pamiętają wybory prezydenckie, podczas których nieomylny redaktor powoływał się na słowa córki kandydata na prezydenta? Jej ojciec wyszedł w jej opinii na totalnego zjeba i była

z nim miła jazda, ale aż do czasu, kiedy się okazało, że to nie jej konto! Być może to był przełomowy moment kampanii, choć nieomylny redaktor nie chce tego pamiętać. A państwo pamiętają?

– Było coś takiego – powiedziała Patrycja.

– Było, było... – Misiek przybrał pozę filozofa.

– Tylko że to ponad wszelką wątpliwość profil zespołu Werwolff 77!

– Ale czy ich historia jest prawdziwa?

– Przecież to ich oficjalny profil – powiedziała tonem rozkapryszonej dziewczynki, która przekonuje rodziców, że jednorożce naprawdę istnieją.

– To żart punkowego zespołu! Nie czujecie? Aresztowani przez SB, całą „czwórkę” przewieziono pancernym pociągiem do ZSRR, gdzie w tajnym laboratorium KGB we Władywostoku zostali zahibernowani”. Kocham ich! – powiedział Misiewicz, śmiejąc się.

Wojtek siedział z grobową miną. Był zły na Patrycję, że przeczytała to po łebkach albo nie zrozumiała żartu. Przy okazji wściekał się na siebie, że tego nie sprawdził, tylko dał się ponieść entuzjazmowi dziewczyny, która krzyknęła: „Mamy to!”. Tymczasem Misiewicz niemal turlał się ze śmiechu.

– To jest zajebiste! To jest wielki rockandrollowy szwindel, jak historia z Sex Pistols, sprawdźcie, co to za band. Zabawili się wami, daliście się ograć jak Widzew Eintrachtowi! – powiedział Misiek i natychmiast zrozumiał, że palnął głupstwo. Skąd milenialsi mogą wiedzieć, o co chodzi, poza tym żadne z nich nie wyglądało na kibica piłki nożnej, więc na wszelki wypadek mruknął: – Ale przecież wy i tak nie macie pojęcia, o czym mówię.

– Widzew 09, zgłoś się! – zaskoczył go Wojtek. – Jestem z Łodzi, a u nas w domu wszyscy za ŁKS-em.

– To dobrze, bardzo dobrze, przynajmniej Marek Saganowski nas łączy – Misiek z nabożeństwem wymienił nazwisko klubowej legendy Legii i ŁKS.

Wojtek nie znał się na piłce, musiał wiedzieć tylko tyle, by przeżyć na Bałutach, gdzie mieszkał, a w innych dzielnicach zdawać egzamin z plemiennych pytań: „Za kim jesteś?”.

– No dobra, nie będę się już na was wyżywać, ale zapamiętajcie: pytać, sprawdzać, drążyć! Jesteście dziennikarzami, a nie stojakami na mikrofony, a stać macie w porządnej telewizji, a nie w internetowej stacji uzdatniania gówna. Są jeszcze jakieś pytania?

Patrycja się bała, ale Wojtek miał coś jeszcze do powiedzenia.

– Co to jest „trumna przy Świętokrzyskiej”?

– I to jest dobre pytanie! – ucieszył się Misiek. – Przy Świętokrzyskiej, a dokładnie przy placu Powstańców Warszawy, stoi smutny i czarny jak trumna budynek Narodowego Banku Polskiego. Pytać, sprawdzać, drążyć! Tak trzymać! Czółko! – rzucił na pożegnanie i wyszedł.

– Cipa... – burknęła po nosem Patrycja.

– Raczej łysy chuj.

– O tobie mówię, na pożegnanie z tym palantem wyłożyłeś się na plecy jak piesek, który przegrał, i to z wywieszonym języczkiem i skomleniem: „Cały jestem twój, straszny wilku!”.

– A nie dociera do ciebie, że byłem po prostu ciekawy?

– Co w tym ciekawego? Lepiej coś znajdź, bo mi nie poszło raczej. Idę, znajomi na mnie czekają. – W ten sposób pożegnała się z Wojtkiem i zakończyła nieprzesadnie pracowity dzień pracy. Wojtek powiedziałby jej coś, ale wciąż mu się podobała.

\* \* \*

Artur stawał na głowie, żeby zdążyć ze wszystkim na czas, miał, co prawda, dwa dni wolnego, ale nie zna życia, kto nie służył w marynarce, chyba że był w policji, bo tam wachty wypadały zniecka jak gwałtowne burze. A po burzy spokój nie przychodził zbyt szybko, zwłaszcza po takiej akcji jak z Koksem i Kenem. Przesłuchania, papierkowa robota i cały ten bałagan, który zamiast osłodzić sukces, był jak wrzód na dupie. Joanna pojechała więc sama. Nie chciała go słuchać, tłumaczyła, że robiła tę trasę dziesiątki razy, że jazda na noc też ma swoje zalety – pusta droga, wylotówka z Warszawy czysta, Kraków pusty, cztery i pół godziny i po

zawodach. Na pożegnanie dodała: „Wiem, że nie wyrobisz się jutro, czekam pojutrze, wpadnij choć na trochę”. Zarzekał się, że tak nie będzie, ale przecież znała go zbyt dobrze, by mógł jej wciskać kit.

\* \* \*

Internet. Pan Kasai za nim nie przepadał, ale czuł jego potęgę. Warto przeglądać internet. Warto, a nawet trzeba, bo to źródło wiedzy o klientach. Dzięki temu zorientował się, że Polacy mają bardzo proste skojarzenia z japońską kuchnią. Sushi, rzadziej sukiyaki, a ostatnio w modzie był ramen. No i marmurkowa wołowina wagyu. Powoli będzie wprowadzał chirashi, udon, mochi, senbei, a przede wszystkim okonomiyaki! Ale wszystko po kolei, krok po kroku. Jak w życiu.

Urodził się na prowincji, zamieszkał w wielkim mieście, zarobił pierwsze pieniądze, kupił motocykl, potem został bosozoku, członkiem motocyklowego gangu. To było w młodości, poza tym białym ludziom gang kojarzy się tylko z Hells Angels. Bosozoku są inni, mają kolorowe, często jaskrawe motory z dziwacznymi owiewkami i z jeszcze dziwniejszymi, wysokimi oparciami. Dodawanie i odejmowanie gazu, blokowanie ulic, przejazdy wielkimi grupami to dla nich była codzienność.

Dla jego klientów pewnie byłoby to po prostu śmieszne. Ale było i mniej zabawnie, nieraz się bili, dlatego nauczył się paru uników i ciosów.

---

<sup>10</sup> *Karuzela*, wyk. T.Love Alternative, sł. Wojciech Płocharski, Zygmunt Staszczuk, muz. Witold Krzemiński.

<sup>11</sup> Zdanie i pozostałe informacje pochodzą z oficjalnego facebookowego profilu grupy Werwolf 77.



# Rozdział 4

*Coraz trudniej jest zrozumieć drugiego  
Pełno świń wokół każdego  
Prowokacja – nowa religia[12]*

## EIGHTHIES

Hubert, kurwa, koń w spodniach! Jak można dać komuś tak chujowe imię! Jak się mieszkało na Piaskach, to skojarzenie było jedno; klub jeździecki Hubertus. Hubert – Hubertus! Ihahahaha, patataj, patataj – Hubertus! Rżeli za nim jak za koniem, galopowali, parskali. Musiał coś z tym robić, bo nie chciał być koniem.

Dziewczynę, tę głupią Monię, która mu chciała wepchnąć do ust kostkę cukru, pchnął tak, że wywinęła orła. „Dziewczynek się nie bije!” – grzmiał pan Kunc od geografii, a on przecież tej kretyнки nie walnął, tylko popchnął. Potem jeszcze stoczył solówkę ze Zbyniem i jeszcze przyładował w japę Mariuszowi. W szatni przed wuefem zwyczajnie go znokautował. Ale Mariuszek okazał się w porządku, nie był lizusem i nie poleciał na skargę do nauczyciela.

Żarciki się skończyły, ale jakby na zamówienie doszedł jeszcze do klubu jeździeckiego Hubertus, sklep Hubert. To był sklep tylko ze spodniami, przy Niskiej, zaraz przy Stawkach. Miał wielką szklaną witrynę z porozwieszanym towarem. Strasznie obciachowe wtedy były szwedy albo – jak się inaczej mówiło – dzwony.

Kiedy jechali Marchlewskiego do centrum, to każdy mógł zobaczyć ten sklep. Musiało to się skończyć awanturą. I skończyło się w tramwaju linii 19.

Ten pyskаты chujek, Staszek Drozd, gdy jechali całą klasą do kina na jakiś ruski film w rocznicę Rewolucji Październikowej, krzyknął: „Hubert, Hubert, sklep ze sztanami dla koni!”. Wtedy drugi chujek, Bolek Lipiec, od razu się dołączył i wydarł ryja: „Hubert, koń w spodniach, Hubert koń w spodniach, ihahaha!”.

Staszekowi sprzedał kopa w pizszczel, a Bolkowi wyjechał z grzywy i zrobiła się afera. Nie, żeby złamał nos, źle przycelował, bo szarpnęło tramwajem i trafił go czołem w policzek. Zrobiła się kotłowanina, widział to stary Beaty Bartnickiej, złapał go za ucho, a on mu się odwinął. Akurat szarpnęło w drugą stronę i trafił. A nie chciał, miał tylko się pozbyć jego dłoni na uchu, a stało się tak, że zgred Bartnickiej zebrał pigułę na czubek nosa, a to już było zupełnie nie halo.

Później nastąpił ciąg wydarzeń, który go zniechęcił do szkoły. Musiał zmienić budę i wylądował w tej, do której należała ulica Magiera i jej okolice. Sporo było tam kwaterunku, a w kwaterunku aniołowie nie mieszkali, więc było wiadomo, że albo dokończy podstawówkę jako frajer, albo jako łobuz. Git ludzi już nie było, ale tradycje pozostały, a on dołączył do tych, którzy rozrabiali.

Psycholog szkolny, która żywiła jeszcze wobec niego nadzieję, zarządziła, że skoro ma dobre stopnie ze śpiewu, to może w ramach ratunku skieruje go do ogniska muzycznego. To była pierwsza praca tej babki, więc jeszcze miała energię i cierpliwość do dzieci, jeszcze nie byli małymi, zepsutymi gnojkami. Pani Wielicka, bo tak się nazywała, zaprowadziła go na zajęcia, a on oczywiście wybrał perkusję, bo można było na niej łąić.

Tak z Huberta stał się Kowalem. A jak się zaczął punk, to był już niezłym pałkerem, nigdzie jednak miejsca nie zagrzał, bo jakby to dzisiaj powiedzieli, miał ADHD. Od czasu bijatyki w tramwaju rozwalił jeszcze parę jap, rósł szybko i jeszcze szybciej zaczynał i kończył wszystkie zatargi. Kowal walił w perkusję coraz sprawniej i coraz poważniej marzył o bandzie, który zdobędzie sławę i będzie miał chórek złożony z lasek o długich nogach i fajnych cyckach. Okej, chórek to obciach, ale mogą być jakieś groupies, anarchia chyba tego nie wyklucza?

\* \* \*

Mówili na nią Suzi. Zaczęło się to chyba, od kiedy skończyła pięć czy sześć lat, wtedy była w przedszkolu, a w radiu leciały przeboje Suzi Quatro. Pokazywali ją w telewizji, wtedy okazało się, że superpopularna amerykańska wokalistka grała także na basie i była niewielką, ruchliwą blondynką. Nie mogła oderwać od niej oczu, tak jak ona podskakiwała, ale zamiast z basówką, to z kijem od szczotki. Śpiewała *Can the can, can the can*, później dostała kaseciaka i ktoś podarował jej zagraniczny plakat rozkładówkę. To nie było byle co, tylko środek z młodzieżowego, erefenowskiego pisma „Bravo”. Każdy jej mówił, że jest nawet do niej podobna, w końcu ktoś, chyba ciotka Elżbieta, powiedziała o niej „nasza Suzi”. I tak została Suzi.

W pewnym momencie tak się tym wszystkim przejęła, że nawet chciała nią zostać tak na sto procent. A jak zostać Suzi Quatro? Najlepiej zaczynając w zespole szkolnym. Ale ich zespół nie był fajny, to nie była Gawęda, żadnych wyjazdów po świecie, tylko po okolicy, a do tego pan od muzyki, który prowadził zespół, lubił sobie sadzać dziewczynki na kolanach. Nie podobało się jej to i mimo że szło jej nieźle, wymyśliła sobie plastykę.

Też nie było kolorowo, bo jakieś rysowanie węglem zarządzili, a ona miała przecież flamastry, które ojciec przywiózł z Węgier, jak był w delegacji. Ale zabronili jej nimi rysować, bo źle, i poza tym nikt nie miał poza nią flamastrów. W Warszawie na pewno wszyscy mieli.

W Warszawie była Gawęda, Trasa Łazienkowska i Dworzec Centralny. W Warszawie mieszkał Czterdziestolatek, który to wszystko budował. I ten zabawny Maliniak też był z Warszawy, i pan doktor z brodą. Auta, wysokie bloki i schody ruchome przy trasie WZ, którymi jechała podczas szkolnej wycieczki. Chciała mieszkać w Warszawie i mieć pokój z widokiem na Pałac Kultury. Tymczasem z małego miasta przenieśli się do większego, co niby było dobre, ale nie tak do końca, bo wciąż czegoś jej do szczęścia brakowało.

Jedni ją chwalili, że jest świetna, że ma talent, wyczucie, dobrą rękę i gdyby nie to, że jeden z przełożonych ojca niechętnie patrzył na nią, toby wygrywała każdy konkurs plastyczny – tymczasem wciąż przyznawano jej drugie miejsce. Z kolei złośliwi twierdzili, że nigdy by nie osiągnęła takich wyników, gdyby jej ojciec nie zajmował wysokiego stanowiska urzędniczego. Zawsze był albo dyrektorem, albo kierownikiem, albo sekretarzem, taki miał zawód. Suzi uwierzyła złośliwym i cicho obwiniła ojca za niepowodzenia. To przecież przez ojca musiała cały czas zmieniać szkoły i koleżanki. Przeprowadzali się, ale wciąż nie mogli zakotwiczyć się w dużym mieście.

## 2020

*Thanks God It's Friday* – pomyślał Wojtek. Misiewicz lubi się zabawić, więc da na luz. Może już dał. I on i Patrycja się spóźniali.

W końcu pojawił się Misiewicz. Był świeży, pachnący, raczej nieskacowany.

– I co tam masz, chłopaku, z Ziemi Obiecanej? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, przeszedł dalej. – Skoro nie ma naszej lady, to referuj sam i tylko nie próbuj mi wmówić, że Patrycja cokolwiek przygotowała. No, dajesz! – popędził go Misiewicz.

– Takie zespoły sobie wynotowałem: TZN Xenna, Made in Poland, Variete, Sedes, Deuter, Dezerter...

– Stop, stop, stop, prrrrr! – rzucił Misiewicz. – To są legendy, a jak grają, to święto narodowe, no może nie wszyscy łapią sold outy, ale na Dezerterze jest zawsze full. Jak dla mnie, to za oczywiste. Tak w ogóle to ile masz lat?

– Dwadzieścia trzy. I pół.

– Musisz, chłopaku, poznać pewne konteksty, żeby wystawić głowę ponad stół. W tym fachu i tak dostaniesz po głowie, nie raz i nie dwa, ale chodzi o to, żebyś nie dostał zniecenacka. Piłką się nie interesujesz,

ale wiesz o co kaman. Na tyle wiesz, żeby wypić browara, jak gra repra i żeby przeżyć w Łodzi, rozumiesz?

– Rozumiem.

– Masz wiedzę minimum, która pozwala ci się utrzymać w towarzyskim mainstreamie i przeżyć na widzewsko-bałuckim pograniczu. To jest po prostu sztuka kontekstu, jak tego nie skumasz, to na szansę będziesz musiał czekać, aż się zestarzejesz, ale wtedy nie będzie już dziennikarstwa albo wytną cię młode cyborgi, które będą znały każdy cytat. A teraz o muzyce. Wybrałeś kapele, które nie zrobiły kariery jak Kazik z Kultem czy Muniek z T.Love, ale w każdej encyklopedii rocka muszą być, kombinuj dalej! Idę na obchód.

– Na obchód?

– Do newsroomu, do kantyny, na papierosa, trzeba wiedzieć, co w trawie piszczy.

– Nie palę...

– To się naucz albo wymyśl inny sposób na budowanie kontaktów. Najlepiej poderwij najładniejszą dupę, wyjdź z szafy albo... albo zrób zajebisty materiał, żeby wszyscy mówili o Wojtku z Łodzi.

Chłopak westchnął. Gdyby zastrzelił Misiewicza, to każdy sąd by go uniewinnił.

\* \* \*

Joanna odespała podróż, wzięła udział w zajęciach tao yin, a później poszła ze swoim gospodarzem, jego gośćmi i psami na wycieczkę. Uszli może kilkaset metrów, kiedy zadzwonił telefon. Nie odebrały, ale wyświetliło się „Misiek”. Westchnęła ciężko i odebrała.

– Sorki, bo sobie odpoczywasz, ale właśnie pracuję nad twoim programem, żebyś mogła się zrewanżować na stacji i Valdim za zmuszanie cię do głoszenia hymnów pochwalnych na cześć nowego talent show i glamour dla ubogich.

– Jak ci się podoba mój pomysł?

– Jestem za, ale musi być coś konkretniejszego, a to jest ogólnik, zarys zarysu. Trzeba zrobić coś dla publiczności, a nie tylko dla

siebie.

Pogadali jeszcze chwilę, a kiedy skończyli, Joanna zadała uczestnikom wycieczki pytanie.

– W Warszawie, w mojej redakcji, mają problem, przede wszystkim ja mam problem, bo trochę się zagubiłam. Pomożecie?

Opowiedziała, a oni pomogli, Fazi podrzucił pomysł, żeby to była taka punkowo-nowofalowa, alternatywna Nasza Klasa.

– Mówisz: „Nasza Klasa”, ta, która była przed Facebookiem? – zdziwiła się.

– No nie, coś innego miałem na myśli – powiedział Fazi i zanucił:

*Co się stało z naszą klasą? Pyta Adam w Tel Awiwie*

*Ciężko sprostać takim czasom, ciężko w ogóle żyć uczciwie*

*Co się stało z naszą klasą? Wojtek w Szwecji w porno-klubie*

*Pisze: dobrze mi tu płacą za to, co i tak wszak lubię*

*Za to, co i tak wszak lubię... [13]*

– Superpomysł. – Rzuciła mu się na szyję.

\* \* \*

Misiek czuł, że idzie w słabości. Ze środy na czwartek zalał pałę, wrócił do fajek, a w piątek złapał głodomora, jakby zjarał wagon trawy. Zjadł w kantynie lunch, potem przed budynkiem „na fajeczce” spotkał znajomych, którzy szli do pizzerii. No to poszedł na sok pomarańczowy. A jak wypił sok, to poczuł ssanie, a zresztą trochę się wyfitnesował, bo do knajpki był prawie kilometr. Będzie wracał, czyli robi kolejny kilometr, zatem zasłużył na pizzę albo makaronik. Wahał się i zamówił carbonarę oraz ze szczupłą koleżanką pizzę do podziału. Koleżanka spuchła po jednej trzeciej, więc nie mogło się zmarnować, polityka zero waste, ekologia i tak dalej. Nie prowadził ani nie występował na wizji, więc na koniec strzelił piwko. Do przejścia był kilometr, więc wziął na drogę jeszcze jedno.

Zaraz po wyjściu otworzył puszkę i zaczął sączyć browarek, wtedy zadzwonił telefon. Joanna. Odebrał.

– Chcę zrobić program z cyklu „Co się stało z naszą klasą?”. Zespół z ciekawymi życiorysami muzyków, to jest klucz!

\* \* \*

Na początku pan Kasai czuł się w Warszawie jak cudzoziemcy, którzy podróżując po Japonii bez przewodnika, musieli się wspomagać karteczkami z wypisanymi poszukiwanymi miejscami. Niewiele wyniósł z lekcji angielskiego, które były w szkole. Teraz robił postępy, w polskim także, ale wciąż udawał kogoś, kto mało rozumie, tak jest wygodniej, praktyczniej. Po polsku rozmawiał za to z rodziną. To były piękne chwile, bardzo je sobie cenił.

---

12 *Komplikacje*, cover utworu *Complications* zespołu Killing Joke, wykonywany przez KSU od 1981 roku.

13 *Nasza klasa*, muz., sł. i wyk. Jacek Kaczmarski.

# Rozdział 5

*Ulice toną w czerwieni  
My w rękach mamy kamienie  
Majowe słońce tak praży  
Chłodzą nas wody strumienie*<sup>[14]</sup>

## EIGHTIES

Puszczali gaz, napieprzali pałami, byli jak w amoku i zgarniali, kogo się dało. Po drodze Black dostał parę kuksańców, pały na plecy przy wchodzeniu do lodówki i jeszcze strzał końcem pałki na zachętę, żeby się nie ociągać z wejściem na komisariat. Musieli wielu zatrzymać, skoro zawieźli go aż na Grochów. Na pewno Mostowo i Wilcza były już pełne po brzegi.

– A więc znalazłeś się tam przez przypadek, tak jak parę tysięcy innych? Tak się złożyło, że trzeciego maja zachciało się wam przypadków, no to macie! – Tajniak klepnął jakby po przyjacielsku otwartą dłoń w blat biurka, a potem przyciszonym głosem zapytał: – I przypadkiem jesteście elementem antysocjalistycznym?

Esbek wyglądał w miarę sympatycznie, na inteligentnego i takiego, z którym się da pogadać. Burak z ZOMO nie pozostawiał żadnych wątpliwości, bydlak od bicia.

– Antysocjalistyczny? Piłsudski był socjalistą – odpowiedział, patrząc tajniakowi w oczy.

– No proszę, z liceum plastycznego, a wie co nieco o historii.

– Socjalistyczna ojczyzna dba o młodzież.

– Aleś dowcipny, może jeszcze powiesz, że tam byłeś przez przypadek? – huknął zomol.



– Przejrzemy zdjęcia, może coś dopasujemy i, powiedzmy, przez przypadek na coś trafimy – odezwał się tajniak. – A może na przykład za dwa tygodnie znów się znajdziesz, gdzie nie trzeba, a wtedy już będziesz pełnoletni? Wtedy będzie cię można porządnie ukarać. Najprościej byłoby ci dać parę pał na dupę, żebyś się, kurwa, nauczył cenić to, co masz. Szanuj nas, kurwa, to dobrze na tym wyjdiesz! – ryknął, a zomol się roześmiał.

Esbek znów zrobił przyjazną minę i klepnął go w ramię:

– Zbieraj papiery, oczywiście możemy je wysłać do szkoły, ale co będzie, jeśli w tramwaju kanar poprosi o legitymację, a tu brak dokumentu potwierdzającego zniżkę? Na chuj ci kłopoty?

– Nie na chuj tylko na recydywę. – Zomol się zaśmiał.

– No właśnie! Po co ci to? Chodź i go sobie weź. – Esbek otworzył szufladę po swojej stronie biurka.

Faktycznie na wierzchu wśród papierów, dowodów osobistych i legitymacji leżała też i jego z liceum plastycznego. Sięgnął po nią i kiedy dłoń już była w środku, esbek gwałtownie zamknął szufladę.

W oczach pokazały mu się gwiazdy, zawył z bólu, a zomol z esbekiem rechotali.

– Podziękuj panu kapitanowi, bo ja jebnąłbym z kopa – cieszył się zomol.

Nie powiedział nic, tylko ściskając dłoń, wyszedł z pokoju. Ojciec, który na niego czekał, chciał zrobić awanturę, ale Black poprosił go, żeby dał spokój, żeby poszli na pogotowie. Na tej samej ulicy, na Grenadierów, ale po drugiej stronie Waszyngtona, mieścił się szpital Grochowski. Lekarz dyżurny pokręcił głową.

– Musimy prześwietlić, wygląda mi na złamanie.

Przecież miał nową kapekę, w której nie tylko śpiewał, ale i grał na basie, wszystko poszło się pieprzyć!

\* \* \*

Przekombinował. A może miał po prostu pecha? Tak, miał pecha! Zaraz po stanie wojennym wkręcił się do ZSP, bo ubył im S. Było

Socjalistyczne Zrzeszenie Studentów Polskich, a od 1982 zrobiło się zwykłe ZSP, czyli klawo. Kolega ze studiów, Jędrrek, mówił, że to obciach i kolaboracja.

Jaka tam kolaboracja! ZSP to nie SZSP, a jemu nie o budowanie komuny chodziło, tylko o jakiś wyjazd na wakacje. No jasne, że przecież lepiej na obóz jechać niż na pielgrzymkę. I o dyskoteki mu chodziło, co w tym złego? O większe ambicje także, Dyskusyjny Klub Filmowy, jakieś koncerty, życie kulturalne i rozrywkowe w tym szarym, smutnym świecie. O życiowe sprawy chodziło!

Ale tu, w Słupsku, bo na pedagogicznej studiował, wpadł w lekki kanał. Nie miał wielkiej pozycji, kręcił się, konsumował, bawił się i organizował. Studia się kończyły i to bażancie życie także. A co by było, gdyby się wcześniej zapisał do Niezależnego Zrzeszenia Studentów, gdyby wziął udział w całym tym karnawale Solidarności?... A jakby go to wciągnęło, bo wiadomo, kumple, i by go internowano, garowałyby albo trafiłby do karnej jednostki?

Ale się nie zapisał, bo ponad rok spędził na arbecie w RFN. Jak mu się skończyła robota, a nowa miała się zacząć od stycznia 1982, to wrócił do Polski. Krótka trwała jego radość, bo trzeba mieć zasranego pecha, żeby tak się minąć ze szczęściem. Jakby go 13 grudnia zastał w Rzeszy, toby dostał azyl!

W Polsce sobie wreszcie poużywał, bo miał dojcze marki, trochę nimi szastał i wtedy zyskał ksywkę Boss. Podczas jednego z grubych wypadów na disco poderwał Za, co miała ojca wojskowego i też tu studiowała. Zaczęli ze sobą chodzić, ojciec trep, brat też, ale równi goście.

Fajnie było, no może poza tym 13 grudnia, bo trochę strachu było i kluby, dyskoteki i kina pozamykali. Bujał się więc dalej, a po zakończeniu dziekanki wrócił na uczelnię. I się zapisał do ZSP, co już nie było socjalistyczne, bo coś mu się od życia należało. Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi palcem nie ruszyli, a teraz są uchodźcami politycznymi, siedzą w Grecji, Austrii, we Włoszech, dupy grzeją w słońcu, czekają na USA i Kanadę, a on tu, nad zimnym morzem, bez żadnych perspektyw, bo do Polski na święta przyjechał.

Na chuj mu było to wszystko! Jędrak i paru kumpli nazywali go zsypancem, jakby sami nie byli nigdy na żadnym koncercie czy filmie. Tak na logikę to też kolaborowali! Oni nie rozumieli jego, a on ich. Wszystko jedno, tak czy owak trzeba coś sobie zorganizować, bo na działalności w ZSP w mieście takim jak Słupsk daleko nie dojedzie. Jak ktoś rok w Hamburgu mieszkał, to go ciągnie do metropolii. W Polsce to tylko Warszawa, inaczej tego nie widział, ale jeszcze nie wiedział, jak to zrobić. Zagrać na czas?

\* \* \*

Greg, tak jak wielu innych, zaczął od słuchania muzyki rockowej. Tej starej muzyki, choć nazywała się Muzyką Młodej Generacji. Exodus, Kombi, Krzak i inne zespoły, które rozciągały kompozycje, grały barokowe solówki, robiły to samo co ci nudziarze z Genesis, Yesi, Emersoni i cała reszta grająca symfonicznego rocka. Może Mech był inny, bo pożartowali i zrobili numer z wykopem *Czy to możliwe*.

Cała ta fascynacja skończyła się chyba na Pink Floyd i *Ścianie*. Wkręcili go tymi wszystkimi efektami; zegarami, dzwonami, odgłosami, a do tego na *The Wall*, było kilka dobrych piosenek. Oczywiście najbardziej znaną była *Another Brick in The Wall*, miała też przytomny tekst o tym, że szkoła potrafi zrobić z człowieka gówno i że nauczyciele powinni zostawić dzieci w spokoju, ale w sumie była to jednak hippisowska naftalina.

Lepsze już były stare numery Slade i Black Sabbath, tylko że trochę słabo wyglądali. Podobnie było z zespołem Kiss. To był lekki obciach, te skórzane albo srebrne spodnie, wysokie obcasy, dzwony, długie kudły. To się kojarzyło z jakimiś wujkami, starszymi braćmi. AC/DC wydawało się w porządku, wyglądali na hippów, ale wycinali całkiem nieźle, no i ci nowi z Anglii, Iron Maiden.

Tak naprawdę to ruszył go Motörhead. Czy dlatego, że w 1980 ktoś w sklepie z pamiątkami na Starówce zaczął sprzedawać ich znaczki? Jak to się stało, że ktoś zrobił z tego interes, że zespół stał się popularny, mimo że nikt nie słyszał jego muzyki? Trzeba mieć styl,

pojął wtedy, a jemu spodobały się wąskie spodnie, ciężkie buty i skórzane kurtki. Nie miał skóry, więc podpatrzył, że może być koszula z krawatem albo czarny podkoszulek. Muzyka była dodatkiem do stylu, przynajmniej w punk rocku i nowej fali.

To mu się spodobało, bo skracało drogę do grania, żadnej rzeźby, paluszków popierdalających po gryfie, tylko energia, przekaz i styl. Jeśli tylko cokolwiek umiałeś, to byłeś w stanie wziąć gitarę i zagrać to samo co facet, który był wielką gwiazdą – Sid Vicious z Sex Pistols ledwie sobie radził z graniem na basówce, a i tak był najśłynniejszym basistą świata. Każdy chciał być Sydem, jego klony tańczyły pogo pod wszystkimi punkowymi scenami świata, a wielu chłopaków chwyciło za wielki instrument o czterech grubych strunach, nawet jeśli wiedzieli, że jeśli już ktoś grał na basie w Sex Pistols, to poprzednik Syda, Glen Matlock, a po jego odejściu w studiu pracował za dwóch gitarzysta Steve Jones.

Nie było łatwo, ale nie załamał się i od początku był konsekwentny, nie grał palcami, tylko kostką. Gra palcami kojarzyła mu się ze szczytem obciachu, z gośćmi z dancingów, klezmerami i nudziarzami z Muzyki Młodej Generacji. Oczywiście łatwiej było grać jak Tkaczyk z Kombi z basem zawieszonym pod brodą, ale prawdziwi punkowcy i nowofalowcy musieli mieć gitarę opuszczoną na wysokość kolan.

Jeszcze gorsze było klangowanie, strzelanie kciukiem w struny, tak jak robili to basiści grający dyskotekowe funky. Takie pierdolety nie wchodziły w grę, za to chciał mieć fajne włosy, ale po tamtej historii z pomnikiem Dzierżyńskiego i sfałszowaną legitymacją nie miał już czarnych włosów, tylko niebieskosiwe i tak trochę przypadkiem miał zajebisty image.

## 2020

Okolice biurowca, w którym mieściły się studia telewizyjne, obrosły kafejkami i knajpami. Telewizja i wszystkie spółki należące do grupy

zatrudniały kilkaset osób, do tego była to część ciągu biurowego biegnąca wzdłuż torów kolejkowych. Taki mini-Mordor. Mini, bo przy Domaniewskiej i w jej okolicach, w prawdziwym, wielkim Mordorze pracowało więcej ludzi niż kiedyś w Hucie Warszawa i w Ursusie razem wziętych. W ich okolicy było to ledwie parę tysięcy pracowników korpo, agencji reklamowych i PR oraz firm producenckich, które usadowiły się przy wielkim plastrze miodu, którym była dla nich telewizja. Z nich wszystkich żyły knajpki i kawiarnie, panowie kanapki i gastrokurierzy.

W jednym z lokali, niestety tych droższych, zarządziła spotkanie Patrycja. To on płacił, nie musiał, ale Wojtek chciał się po prostu popisać, postawić, pokazać. A ona wybrała ten lokal, bo chodzili tu ważni ludzie z telewizji.

– Jak ci ten łysy menel poradził, żeby łapać kontakty, to musisz go posłuchać. – Zaśmiała się. – Ale jak proponuje, żebyś się lansował na papierosie z operatorami, rysiami i reporterami, to popukaj się w głowę i idź tam, gdzie siedzą ci, którzy rozdają karty!

Poszedł więc do krainy craftowych piw, świeżo wyciskanych soków, zdrowych koktajli, jarmużu, wegańskich kanapek i sojowego latte. Słabo tu się czuł, ale ona doskonale. Surfowali razem po sieci i szukali czegoś, co poprawi ich nędzną pozycję. Przypominało to scenę z filmu kryminalnego, w którym bohaterowie w napięciu czekają na telefon, a ten nagle dzwoni, a stłumiony głos w słuchawce informuje o czymś, co stanowi przełom. W ich przypadku był to tytuł z internetowego serwisu MUZA24.

## WIELKI POWRÓT KULTOWEGO ZESPOŁU Z LAT OSIEMDZIESIĄTYCH

Lider legendarnej grupy, alternatywnej kapeli Załoga, Tomasz „White” Białkowski, zapowiada podwójny album i trasę koncertową. Zespół zagra na największych festiwalach, a nad teledyskiem, tak jak przed laty, pracuje Robert Wagant.

– Grubo? – zapytał Patrycję.

– Grubo – odparła.

Na filmie, takim z happy endem, chwyciłaby go za rękę, a to był raczej dramat, a nie komedia romantyczna, bo Patrycja poprawiła opadające włosy i obojętnie patrzyła w kierunku faceta, którego kojarzyła z telewizji. Ostatnio rzadziej się pokazywał, ale w końcu był szefem magazynu „Telegraf”. Ich spojrzenia się skrzyżowały, niby to przypadkiem, uśmiechnął się i skierował głowę w kierunku Wojtka, ten czytał z zapalem.

Grupa Załoga działała w latach 1984–1985, konkurując z Republiką i innymi zespołami z czołówki. Zespół miał wyruszyć w międzynarodową trasę, mówiło się nawet o podpisaniu kontraktu z jedną z niezależnych, zachodnich wytwórni płytowych. O historii zespołu oraz o planowanym powrocie i wydaniu płyty z Tomaszem „White’em” Białkowskim rozmawia Dawid Skoczek.

– Nie wiem, kto to jest ten White, ale wiem, kim jest Skoczek! – powiedziała Patrycja.

Każdy wiedział, kim był Dawid Skoczek, każdy, kto choć raz słuchał w dzieciństwie jego radiowych programów, Telewizyjną Paradę Hitów. Skoczek był kiedyś radiowym didżejem, pisał o muzyce, realizował wywiady i kręcił pierwsze teledyski. Złotousty, niepoprawny politycznie, bezkompromisowy i z błyskiem w oku podbijał radia i magazyny, aż w końcu trafił do telewizji. Jego polski odpowiednik brytyjskiego „Top Of The Pop” szybko przerodził się w talk-show, bo okazało się, że ludzie wolą oglądać i słuchać Skoczka, a nie słuchać muzyki. Rozpoczął się trwający kilkanaście lat telewizyjny blitzkrieg. Skoczek zmieniał pracodawców, aż w końcu wzorem największych gwiazd sam zaczął produkować swoje programy. Teraz przechodził ze stacji do stacji, podpisując wielomilionowe kontrakty, aż... doszedł do ściany.

– Chyba się sknery dogadały – powiedział w wywiadzie dla serwisu Rozrywka24. – Ale ja im dam popalić.

I dał, postawił na internet, miał własny portal, w którym szybko większościowe udziały objął jeden z gigantów rynku. Kupili jego stronę dla jego codziennego przedpołudniowego show, który bił rekordy oglądalności. Oprócz tego pisał felietony. Złośliwe, obraźliwe, bezkompromisowe. Miał lepsze notowania niż politycy, więc nic dziwnego, że od czasu do czasu próbowano go zaprząć do jakiegoś partyjnego rydwanu, on jednak dziękował w swoim czarująco łajdackim stylu.

– Jeżeli Skoczek o tym pisze, to musi być coś ważnego – zawyrokowała Patrycja.

– Ale sprawdźmy to jeszcze w innym źródle... – Wojtek przypomniał sobie ostatnią, bolesną lekcję, której udzielił im Misiewicz.

– To sobie sprawdzaj, łysej pale powinno wystarczyć, że to mówi Skoczek. – Wzruszyła ramionami i wstała. – Wychodzę na chwilę – powiedziała i udała się w kierunku toalety. Po drodze przedfilowała przed redaktorem z „Telegrafu”, przypomniała nawet, jak się nazywa: Sylwester Kordecki!

W tym czasie Wojtek znalazł informację o zespole, nie było jej w Wikipedii, lecz na portalu EP.Rock.pl – Encyklopedia Polskiego Rocka.

Grupa Załoga powstała w Warszawie w 1984 roku, grali mieszkankę muzyki postpunkowej z zimną falą i co było wtedy nowością, tanecznej. Chcieli pójść o krok dalej niż Republika, która mając rockowe brzmienie, podbijała nie tylko listy przebojów, ale i dyskoteki. Załoga chciała zrobić to, co nie do końca udało się Kapitanowi Nemo i kieleckiemu zespołowi Dom Mody.

Mieli grać taneczną muzykę, która, jak twórczość New Order, łączyłaby świat zimnej fali z dyskoteką. Nie chcieli być jednak w szufladce opisanej jako New Romantic, do dziś krążą legendy, że nagrali swoje *Black Celebration*, zanim zrobili to Depeche Mode, którzy w roku 1984 byli jeszcze zespołem

synthpopowym. Chcieli grać tanecznego elektro-punka, zanim było to jeszcze modne, i co było niezwykle – mieli gitarzystę, który skręcał lekko brzmieniem do hard core’u i metalu.

Niestety karierę zespołu złamała tragiczna, samobójcza śmierć frontmana Blacka. Do dzisiaj nie upubliczniono nagrań z sesji do płyty *Orwell*, która obrosła w legendę. To właśnie tuż po niej, a przed planowaną realizacją teledysku Black popełnił samobójstwo, a próba kontynuowania kariery bez niego i gitarzysty Clasha, który wyemigrował do USA, zakończyła się fiaskiem. Perkusista Kowal przedawkował, a basista Greg założył dobrze prosperujący biznes. Na scenie muzycznej, pozostał klawiszowiec Tomasz „White” Białkowski, który jest autorem wielu hitów, cenionym producentem nagrań oraz kompozytorem muzyki do programów telewizyjnych i reklam.

– I to jest historia! Tego nawet ta Łysa Pała, Misiewicz, nie będzie mógł podważyć!

\* \* \*

Misiewicz zareagował po swojemu. Tym razem nie było klapsa – niespodzianki, który nastąpił po długim, misternym budowaniu napięcia. Po prostu wysłuchał kilku zdań i wyjechał prosto między oczy.

– Ktoś taki jak Skoczek rusza tyłek tylko wtedy, kiedy mu się opłaca. To już nie dziennikarz, to showman i pijarowiec. Czuję w tym szwindel, bo Załoga nieźle się zapowiadała. Tylko tyle, nic więcej.

– Ale samobójstwo lidera, perkusista narkoman, basista biznesmen, gitarzysta na emigracji, no i ten Białkowski. To jest znany gość – zaprotestował Wojtek.

– Życiorysy są cool, ale mam obawę, że jak za czymś stoi Skoczek... To geszefciarz, więc mam obawę, czy nie wejdziemy w jakąś akcję marketingową, którą rozkręca. Jakiś nowy *Wielki rockandrollowy*



*szwindel*. Pewnie ma w tym come backu Załogi jakiś biznes. Zadzwońię do niego, mnie nie wkręci.

– Znacie się? – Dla Patrycji było niezrozumiałe, że ktoś taki jak Misiewicz nie tylko może pracować w telewizji i znać Joannę Becker. Znali się od dawna, to jakiś dziwny układ, podobno szkolna znajomość z jej starszym bratem, ale że Skoczek? Przecież ktoś, kto nie wygląda na absolwenta zawodówki, nie może znać wszystkich ze szkoły, poza tym Skoczek był młodszy!

Wychodząc, pomachał im na pożegnanie.

– Jak ten menel może znać Skoczka? – zapytała Patrycja.

– Pewnie jechali kiedyś pociągiem, czyli dawno temu, kiedy jeszcze Skoczek jeździł pociągami – zażartował Wojtek.

Zaśmiali się, bo mimo delikatnego przełamania lodów Misiewicz nadal był przede wszystkim prawą ręką, oczami i uszami tej larwy Becker. Tradycyjnie wyszedł na papierosa, a Patrycja gdzieś zniknęła po tym, jak dostała esemesa. Wojtek został sam, jak partyzant w tym smutnym jak pizda mieście<sup>[15]</sup>. No to co zostało? Pizza na tłustym cieście. A może i kac gigant, jeśli będzie się z kim napić, w końcu jest piątek. Przeliczył pieniądze, a może sushi? Nie dzisiaj, chyba że zabrałby Patrycję, wtedy warte byłoby to zrujnowania się do spodu.

\* \* \*

Stereotypy. Co prawda, pan Kasai nigdy wcześniej nie był w Europie, wyjeżdżał tylko do Korei i Malezji, ale o tym, co myślą i wiedzą o Nipponie biali ludzie, wiedział od kolegów, którzy bywali tam oraz w Los Angeles i San Francisco. Niektóre stereotypy; manga, anime, pracowitość, szczególny rodzaj celebrowania posiłków był nawet zgodny z prawdą, ale niezmiennie, niemal każdemu *gaikoku-jin* (no właśnie, oni sami o sobie mówią *gaijin*, co zawiera w sobie pewną nutkę pogardy i jednocześnie jest oznaką ich dyletanctwa) wydawało się, że Japończyk interesuje się przede wszystkim judo, sumo i karate. *Gaikoku-jin* z Polski dokładają do tego przekonanie, że cała

Japonia siedzi przed telewizorami i patrzy jak ich bohater Stoch pojedynkuje się z japońskimi skoczkami narciarskimi.

Kasai! Czy jest pan krewnym tego skoczka? Czy jest pan skoczkiem? Nie? To pewnie uprawia pan kendo? Kendo, sumo, karate?

Pan Kasai liznął każdej z tych narodowych sztuk walki, ale tylko liznął, jego pasją był baseball! Nie został takim graczem jak Yoshitomo Tsutsugo, który zarabia czterysta milionów jenów rocznie i jest gwiazdą Yokohama DeNA BayStars, ale miał do tego smykałkę.

Mógł zostać baseballistą, ale pracował jako księgowy, a wszystko po to, by prowadzić restaurację, która znajduje się w odległym kraju i nazywa się jak tokijski park. Bo tak ktoś zdecydował, bo tak było trzeba. Jako syn rzeźnika z małego górskiego miasta, nie miał prawa narzekać.

---

14 *Parada wspomnień*, wyk. Kult, sł. Kazik Staszewski, muz. Kult.

15 „Jak partyzant w tym smutnym jak p\* \* \*\* mieście / Kac-gigant i pizza na tłustym cieście” – *Następna stacja*, sł., muz. i wyk. Taco Hemingway.

# Rozdział 6

*Porządny tatuś, mama dobra też  
A synek pije i bije czasem też  
Pijany gówniarz  
Pijany gówniarz  
Pijany gówniarz – bije cię w pysk[16]*

## EIGHTIES

Tego dnia było spokojnie, poprzednim razem w „Remoncie” był dym, często bywał tam dym, ale nie taki. Tamta akcja była wyjątkowa; kilku czołowych załogantów wjechało do pobliskiego sklepu spożywczego po piwo. Nie pieprzyli się w tańcu, przez szybę wjechali. Minuta, pięć i pod „Remont” przyjechało kilka milicyjnych suk.

Głuchy telefon zadziałał błyskawicznie. Na scenę wszedł basista TZN Xenna Sidney i krzyknął do mikrofonu: „Milicja bije naszych!”. Zakotłowało się, ale próba zmienienia losów kampanii się nie powiodła. Przeważające i lepiej zorganizowane siły ZOMO rozbiły kontratak, zgarniając punków, którzy wybiegli z klubu do lodówki. Tak nazywano milicyjne budy pozbawione okien, bo przypominały samochodowe chłodnie, którymi wożono do sklepów szybko psujące się towary.

Koncert nie doszedł do skutku, U-BOOT i V Gwardia nie weszły na scenę, a Xenna ograniczyła się do krótkiego spiczu Sidneya. Dziś grali, więc znów był. Poszedł do „Remontu” z kumplem z liceum, Kowalem. Nie znali nawet nazw kapeli poza Xenną, ale nie można

było tego wcześniej sprawdzić, bo gazety nie pisały o takich zespołach. Ale nie „kto”, lecz „gdzie” było najważniejsze.

Liczył się koncert sam w sobie i klub „Remont”, chodziło się, żeby być. I żeby się przekonać, że można grać i być na scenie. On na pewno mógł, mimo ciągłych awarii sprzętu zajebiście wymiatał na gitarze. Tak mówili ci, co słyszeli, ale słyszeli tylko nieliczni. Grał godzinami w domu, parę razy poszedł na próby różnych kapel w domu kultury. Nie przypasowało mu, hard rock, poezja śpiewana na rockowo, smętni hippisi. Takie sranie w banie. Nie dbał o wygląd, nie miał prawdziwej skóry, bo miał to totalnie w pompie. Skołował gdzieś taką ze ściągaczami, była wygodna, i tyle.

Pod klubem już się roiło, pojawiły się załogi z całego miasta, w porywach jakieś sto osób. Taka była codzienność, Jarocin i „Róbrege” były raz do roku i wtedy zjeżdżali się ludzie z całej Polski tysiącami. Jedynym miejscem, gdzie regularnie grano w Warszawie punk rocka i nową falę, był „Remont”. W okolicach murku przy drzwiach do klubu piwo popijali ci najważniejsi, mocni w gębie, w znajomościach i pięściach. Starszyzna plemienna. I jak plemię wyglądali: dużo irokezów, kolorowych czubów, wyćwiekowane skóry.

– Hej, ty, w chujowej skórze – zaśmiał się typek w schodzonych glanach i w brązowej kurtce z czaszką i napisem The Exploited – skroję ci ją, bo jest tak chujowa, że nie powinno się jej tutaj oglądać.

Clash nie miał wątpliwości, że to było do niego, bo facet stał mu na drodze do klubu. Uciekać było głupio, zresztą czuł się jak sparaliżowany, w końcu z trudem wydobył z siebie głos.

– Kowal! – zawołał kumpla, ale ten najwyraźniej go nie usłyszał.

Zresztą nie mógł usłyszeć. Pod klubem panował hałas, poza tym jego krzyk nie był zbyt donośny, głos ugrzązł w gardle, tak naprawdę pisnął, a nie krzyknął. To jeszcze bardziej nakręciło pancura. Próbował go złapać za ramiona i trafić kolanem w krocze. Udało mu się odskoczyć, ale to nie był koniec, znów doszło do zwania, nie bił się za dużo, ale wiedział, że trzeba się skulić, pochylić głowę, by nie dostać z grzywy, a właśnie do tego szykował się przeciwnik. Nie mogąc go trafić czołem w twarz, wyjechał pięścią w splot słoneczny,

trafił celnie, tak że zaparło mu dech, teraz miał nastąpić cios kończący.

Nie nastąpił, bo pancur, korzystając z tego, że Clash zgiął się w paragraf, chciał go kopnąć w twarz. Nie poszedł jednak na całość, nie sprzedał mu zwykłego kopa, nokaut miał być efektowny, zadany obcasem. Stanął jak czapla, uniósł wysoko nogę, rozpostarł ręce, by utrzymać równowagę, po czym przeniósł cały ciężar ciała do przodu, tak by flek jego glana wylądował na głowie Clasha.

Wtedy nastąpił nieoczekiwany zwrot akcji, zamiast do przodu, pancur poleciał do tyłu. Fiknął kozła i runął na ziemię, ten, który go wytrącił z równowagi, był niskim, krępyim typem, ostrzyżonym na jeża. Nosił wytartą, jeansową kurtkę i wyglądał na skina, ale jego lśniące glany nie miały białych sznurówek ułożonych w drabinkę. Po tym jak położył na ziemię pancura z irokezem, zamachnął się nogą, jakby miał mu dać kopa pod żebra. But jednak nie doleciał do celu, cały impet zatrzymał się kilka centymetrów przed ciałem leżącego, a wybawca tupnął nogami, jakby tańczył kujawiaka. Tamten musiał odetchnąć z ulgą, bo podniósł głowę i spojrzał w górę.

– No, kurwa, Kowal, nie świruj – mruknął niechętnie.

– To ty, Siwy, nie świruj, po chuj się sadzisz? – Kowal podał mu ręką i śmiejąc się, podniósł go do góry.

– O co ci chodzi? To jakiś frajerek!

– A ty gitolak. – Kowal stuknął go w ramię i wyszczerzył w uśmiechu poźółkłe zęby palacza. – To nie frajer, to w porządku men, zajebisty gitarzysta, zagram z nim tak, że ci te obsrane nachy spadną do kolan, więc mi go, kurwa, nie psuj. – Zarechotał. Raz jeszcze klepnął Siwego i podszedł do Clasha, który z trudem łapał oddech.

– Dzięki – wystękał i zobaczył, jak przez tłum przebija się jego kumpel Kowal, teraz skojarzył, co się stało.

Ten kozak, który go ocalił, był perkusistą! Bardzo dobrym perkusistą! Widział go raz w osiedlowym klubiku, jak bębnił w grupie The Nazyfikacja. Zespół cienki jak dupa węża, ale pałker robił wrażenie. Pałker, perkusista, czyli Kowal! Jego Kowal, kumpel

ze szkoły nie grał na perkusji, po prostu nazywał się Zbyszek Kowalski, taki zbieg okoliczności.

– Nie ma sprawy! – uśmiechnął się Kowal perkusista. – Masz szluga?

– Nie palę.

– Ale ja palę – włączył się Zbyszek Kowal i wyjął paczkę marlboro.

– No, no! – powiedział z podziwem Kowal perkusista i wziął dwa, pierwszego od razu wsadził w usta, drugiego umieścił za uchem. – Dla brata w wojsku. – Mrugnął okiem.

Zaciągnęli się dymem, do koncertu było jeszcze parę minut.

– Skąd wiesz, że gram na gitarze?

– Nie wiem, ihahahaha – zarżał, jakby był koniem. – A grasz?

– No gram, mówiłeś temu Siwemu, żeby ci nie psuł człowieka do kapeli.

– Ale jaja! – Zaśmiał się. – Ja tylko zażartowałem, serio grasz?

– Gram.

– W porządku grasz?

– Mówią, że dobrze.

– Zajebiecie gra! – włączył się Zbyszek Kowalski.

– Pierdolisz! – rzucił Kowal.

– Pewnie bym dał radę z takim pałkerem jak ty.

– Słyszałeś, jak gram?

– Byłem na Stegnach na The Nazyfikacji.

– Chujowy koncert. – Kowal się skrzywił. – Kapela się rozpadła, wokalista w wojsku, gitarzysta na studiach, a basista skończył z grą, myślał, że po paru tygodniach da radę się nauczyć.

– Ale ty byłeś dobry.

– No bo ja, kurwa, jestem najlepszy, tylko nie mam z kim grać!

– Spróbujesz ze mną?

– A na pewno jesteś dobry? – Wlepił w niego wzrok, przekrzywiając głowę i wybałuszając oczy. – Bo jak nie, to ci przyjebię!... Ha, ha, ha, żartowałem! To jak, kiedy gramy? Ja mogę po konkretnie!

Tak powstał załążek zespołu, który mógł wstrząsnąć polską sceną muzyczną.

## 2020

To oczywiste, że Misiek znał Skoczka, a Skoczek znał jego, nie mogło być inaczej. Razem wyrzucono ich z Jarocina w 1990 roku za pijaństwo. Kiedyś to były dziennikarskie debiuty! Wykręcił numer. Jeden i drugi, żaden nie odpowiadał, były tam komunikaty nagrane głosem showmana, oba miały podobną treść, by nie nagrywać się, tylko wysłać esemesa. Pewnie te numery były już spalone, a Skoczek, jako gwiazda, miał kolejną, tajną, prywatną komórkę, na którą dodzwaniali się znajomi. Misiek był znajomym, ale dawno się nie widzieli, więc zaklął i poszukał w sieci numeru do jego firmy producenckiej.

– Skąd panowie się znają, jeśli można spytać? – uprzejmie, ale z nutką powątpiewania w głosie zapytała asystentka Skoczka.

– Można. Spaliśmy ze sobą, to wszystko.

– Słucham?

– W jednym namiocie spaliśmy, w Jarocku na festiwalu. Przedstawię się raz jeszcze, Michał Misiewicz z redakcji „W Środku Tygodnia” Joanny Becker, sekretarz redakcji.

– Aha...

– Mam poczekać, czy Dawid do mnie przekreśli?

Po chwili otrzymał informację, że ma do niego wbijać, ale szybko, bo zaraz musi wychodzić. Więc wbił. Biuro Skoczka wyglądało jak siedziba agencji reklamowej albo firmy komputerowej. Willa z ogródkiem, ściany ze starannie wykonanymi graffiti, kawiarenko-klub, dobry sprzęt grający, wygodne kanapy, był nawet flipper i tarcza do rzutków. Atmosfera kreatywności, luzu i nowoczesności, w której powitała go asystentka Dawida Skoczka.

Przez telefon brzmiała surowo i w pewnym sensie tak wyglądała; wysoka – w szpilkach miała z metr osiemdziesiąt pięć wzrostu – blondynka, w eleganckiej garsonce. Gdyby nie kilka tatuaży, wyglądałaby jak stewardesa albo kobieta oficer. Piękna, młoda istota wprowadziła go do gabinetu Dawida Skoczka, który wyglądał jak krzyżówka biblioteczki angielskiego lorda z salonem gier. Ciężkie,

wygodne skórzane fotele i kanapy, za to stół z plastiku, a w rogu stał staroświecki automat do gier komputerowych.

– *Space Invaders* – cmoknął Misiek.

– Chcesz zagrać?

– Wolę flippery.

– Po spotkaniu możesz sobie pograć. Co cię sprowadza, szukasz dżobu?

– Dzięki, jakoś ciągnę. Jest nieźle, za stary jestem na takie szaleństwa!

Skoczek zrobił minę, która mogła wyrażać wszystko. Ten wieczny chłopak telewizji i mediów był już grubo po pięćdziesiątce, z rok, a może i trzy lata starszy od Miśka. Nie lubił swojego wieku, ale gość nie dał mu o nim zapomnieć.

– Zająłeś się promocją młodych, pięćdziesięciopięcioletnich talentów?

– Czemu nie, fajna historia.

– Można na nich zarobić? – Misiek zrobił przebiegłą minę.

– Na wszystkim można, nie jestem cnotka niewydymka i nie udaję, że nie robię szmalu. Ale nie wszystko da się zmonetyzować. – Skoczek zrobił taką minę, jakby tracił ostatnią szansę na zapewnienie rodzinie dachu nad głową. Której zresztą nie miał. – W sumie to można sprzedać wszystko, ale w tym przypadku decyduje sentyment!

– Nie znam aktualnego kursu sentymentu. – Misiek się zaśmiał.

– Sentyment... to przedziwna waluta, ma wiele odmian, jak kiedyś marka albo korona. Teraz można zarobić na sentymencie do międzywojnia, *Peaky Blinders* wymiatają, ale lata osiemdziesiąte i polska alternatywa? To jest jak stosunek marki zachodniemieckiej do tej enerdowskiej.

– Zatem?

– Po prostu mam do nich sentyment, i tyle! Ich gig dla pięćdziesięciu osób, który dali w małym klubiku.

– W Barciuchu przy Gagarina?

– W Barciuchu to byliśmy na Sstilu i Post Regimentie, a Załoga to przecież w Wołominie. To pierwszy prawdziwy koncert, na którym



byłem, a ich jedyny.

– Ty, kurwa, to jednak jesteś sentymentalny! – Misiek powiedział to z niedowierzaniem w głosie.

– Jestem, bo jakbym nie był, to powiedziałbym ochronie, żeby cię wyjebała za drzwi, bo się podszywasz pod byłą narzeczoną, której miałem płacić alimenty. Wierzę w sentymenty, w starych kumpli, dlatego zapytam: a może jednak chciałbyś mieć u mnie dżob? Cały czas potrzebuję kreatywnych ludzi, deficyt talentów jest porażający.

– Nie wszystkie pomysły by ci się spodobały.

– Na przykład?

– Ubrałbym cię w strój Pokraka z *Pulp Fiction*.

– Jesteś wtórny, byłem już przebrany za Borata, tego reportera, którego grał Sacha Baron Cohen.

– Bruno, Borat – skrzywił się Misiek – to przy Pokraku drobnica!

– Przekonałeś mnie, za dwa tygodnie mam na wizji starcie z królem Stand-up Comedy, Leszkiem Molem.

– Mocny zawodnik!

– Żebyś wiedział. Będę się musiał napocić, żeby mnie nie zjadł i wypluł, ale jak wyjdę w stroju Pokraka, to go ugotuję już na starcie.

– Ja bym cię zjadł i wysrał, ale nie jestem celebrytą, chyba że się obnażę podczas finału Ligi Mistrzów, nie znam szybszej drogi do sławy.

– Musisz coś dodać od siebie, bo warunki masz ubogie, mimo wszystko zapytam: mam prawo pierwokupu?

– Po starej znajomości będę twój na wyłączność.

– Coś jeszcze? – Skoczek popatrzył na zegarek, co oznaczało, że miło się gada, ale obowiązki wzywają.

– Wiem, wiem, czas to pieniądz. Powiedz mi tylko, czy to, co grała Załoga, czy ta muzyka to petarda i tak dalej i czy te zremasterowane nagrania są coś warte.

Po raz pierwszy Skoczek popatrzył na Miśka z pełną powagą.

– Gdyby z tym wyjechali wtedy, trzydzieści lat temu z hakiem, toby zostali bogami muzyki. Wszystko trzyma się tam kupy i jeszcze nazwa albumu: *Orwell*. Do tego singlowy numer oparty na wierszu *Testament Borgesa*, to jest epickie!

– Pierdolisz!

– Włóż słuchawki i sam oceń, znasz się, a ja idę na spotkanie, powiem asystentce, że zostaniesz sam w gabinecie. Docień to, to przywilej królów!

– Dzięki, stary...

– Możesz zamówić kawę, pa! – rzucił i skierował się do wyjścia. Zatrzymał się w drzwiach. – Wiem, że nie miałeś śmiałości pytać, ale chętnie wystąpię jako gość w programie Joanny, jako przedstawiciel zwycięskiego streamingu wesprę upadający przemysł telewizyjny, pa!

Skoczek opuścił swój gabinet, a Misiek odpalił odtwarzacz MP3.

\* \* \*

Wojtek miał coś zjeść, ale tak naprawdę poszedł szukać Patrycji. Im bardziej go olewała, tym bardziej go poruszała. Snuł się wzdłuż witryn knajpek i restauracji, niby to wypatrując fajnego miejsca na posiłek, a tak naprawdę chodziło mu o nią. Było to bez sensu, bo przecież dostała esemesa i wyszła, a taka laska jak Patrycja mogła pójść wszędzie.

W końcu doszedł do wniosku, że trzeba przestać się oszukiwać i dać sobie spokój. Wszedł do pierwszego z brzegu lokalu i zobaczył Patrycję siedzącą przy stoliku, dosiadł się z szerokim uśmiechem. Zmroziła do wzrokiem godnym Królowej Śniegu.

– Co tu robisz?

– Wpadłem na kawę.

– To masz pecha, czekam na kogoś, zaraz wychodzę.

– Na minutkę tylko, mam pomysł... – chciał skłamać, że jest jakiś temat związany z ich pracą w telewizji.

– Ja też mam, ale to nie jest już sprawa Becker i łysej pały. I twoja też nie. – Rozległ się dźwięk telefonu, spojrzęła na wyświetlacz, wstała, wzięła torebkę i ruszyła w kierunku wyjścia, zakładając na siebie kurtkę. – Miło było, ale trzeba iść do przodu, skoro cię spotkałam, to powiedz im, żeby nie czekali.

Wyszła z knajpki i wsiadła do samochodu, który właśnie podjechał. Miała z górki, faworyzowali ją, więc o co chodzi? Zostawiła go z własnymi myślami i zapachem swoich perfum. Trzeba było ten zapach zagłuszyć, wypchnąć z nozdrzy i gardła, więc zamówił burbona.

A potem duże piwo i jeszcze jedno. Koniec pracy na dziś, pójdzie w miasto, przecież dziś piątek. Puści esa do Misiewicza, że dziś nie wróci. A może nie warto, przecież jego na pewno już gdzieś poniosło, jak każdego, kto lubi wypić. Telefon zawibrował, przyszedł esemes.

*Kiedy będziesz? M.M.*

Nie była to Marilyn Monroe, ona od dawna nie żyła, a redaktor Michał Misiewicz nie planował melanzu.

\* \* \*

Pan Kasai zauważył, że Polacy uważają, że piją dużo i się upijają. Nie byli w Japonii, nie wiedzieli, co to *nomunication*, czyli nawiązywanie kontaktów poprzez wspólne picie. Było to połączenie japońskiego słowa *nomu* oznaczającego drinka i angielskiego *communication*. Kiedyś ludzie popijali, by zrzucić z siebie ciężar dnia codziennego, odstresować się. Ale to było kiedyś, teraz stało się rytuałem, owym *nomunication* przechodzącym w *nomisugi*, czyli picie na potęgę. W weekendy *izakayi*, czyli japońskie puby, się zapełniają. A potem, mimo że firmy dbają o pracowników i rozdają im vouchery na przejazd, to i tak w metrze, autobusach i tramwajach leżą pokotem pijani urzędnicy i biznesmeni. Japończycy są zupełnie inni, niż się Polakom wydaje. On też był kimś zupełnie innym.

# Rozdział 7

*Nie rozpaczaj, nie uciekaj  
Świat osiągnął samo dno  
Bezsensowna przyszłość czeka  
Ty po prostu olej ją[17]*

## EIGHTIES

Starzy to partia, dziadkowie to kościół. Suzi chodziła na religię, bo dziadkowie chcieli, matka uważała, że wypadalo, ojciec udawał, że nie widzi i nie interesowało go to wcale, a ona sama chodziła, bo wszyscy chodzili. Taka szkoła poza szkołą. Fajniejsza w sumie, bo się wychodziło z budy i szło całą grupą.

Zależy gdzie mieszkała, to takie były atrakcje: stare miasto, sad, budowa. Broiło się. Paliło papierosy. Chłopaki to nawet próbowali pić piwo. Fajnie było. Aż w końcu się skończyło, bo nastąpiło upragnione przeniesienie do Warszawy.

Tam z kolei była już nowa sprawa – bunt.

Ojciec był czerwony, więc na przekór biegała do kościoła. No i papież był Polakiem. Stary i jego kumple, szefowie, wszyscy ci towarzysze byli w rozkroku, bo nie wiedzieli, co z tym zrobić. Do tego Solidarność. Kręciło ją to wszystko i nowa szkoła także, na razie podstawówka, ale zaraz będzie ogólniak. Wciąż rysowała i to dobrze, a ojciec mówił, że to strata czasu, matka dodawała – języki, języki! Niby tylko Bułgaria, Berlin ten w NRD i Budapeszt, więc ruski wszędzie wystarczył, ale piosenki, te najfajniejsze piosenki były po angielsku, więc się uczyła, żeby wiedzieć, o czym śpiewają. Przeważnie były to piosenki o miłości.

Zawsze to inni musieli gonić, ale tu, w stolicy, to raczej ona była w tyle. Ale szybko się pozbierała, dalej rysowała i malowała, chciała iść do plastyka. Ojciec powiedział „ni chuja”. Wrócił z jakiejś narady, późno wrócił, był – jak to matka mówiła – „na fleku”. To była późna jesień 1981 roku, było zimno, na półkach świeciły pustki, chociaż im w domu niczego nie brakowało, a tych narad robiło się coraz więcej. Lepiej się było nie interesować, matka jak się zainteresowała, to zebrała od niego i przestała się pytać.

Gruchnął stan wojenny, wiosną złożyła papiery do plastyka. Zdała. W plastyku przeszła metamorfozę, dojrzała do nowych rzeczy, odkryła zupełnie inną muzykę, inne życie. W sumie kościół nie był już jej do buntu potrzebny, ale z rozpędu chodziła, towarzysko, bo w końcu raz w tygodniu w parafii można było spotkać znajomych z podstawówki.

\* \* \*

„A może by tak urlop zdrowotny?” – pomyślał Boss. Już tylko taka opcja została. Powtarzany rok był, dziekanka była, no to już tylko zdrowotny. Wujek Jolki był lekarzem, do tego wojskowym, bo u nich sami wojskowi byli. Już mu pomógł, komisję poborowych i dobrą kategorię miał w kieszeni, ale jeszcze by się poobijał. Jola tu siedziała, miała jeszcze dwa lata, a on chciał się jakoś na uczelni zatrzymać i mieć czas na klub, DKF i tak dalej.

Ale czy prosić jeszcze o jeden kwit, czy nie będzie to straszna chamówka? Załatwić sobie zwolnienie z woja i jeszcze prosić o zdrowotny na uczelni? To jak w tym kawale o szczycie bezczelności – zesrać się komuś na słomiankę, zapukać do drzwi, poprosić o papier toaletowy, a jak dadzą, to ponarzekać, że za gruby. To jednak byłaby przesada. Postanowił więc skończyć te studia i martwić się później, koń niech myśli, bo ma duży łeb, on musi po prostu wziąć to na spokoj.

Był piątek, więc poszli z Jolką do dyskoteki, a tam wpadł na Jerzego. To był chłopak, któremu się udało, był w SZSP, poszedł jak

burza i wylądował w Warszawie. Był w centrali albo blisko, bo ktoś go pociągnął w górę. Był z niego cwaniak pierwszej wody. Przy kasie i przy niezłych układach, bo spotkali się następnego dnia, żeby pogadać przy wódeczce. Jerzy stawiał i to nie byle gdzie, w milicyjnym kasynie. Boss pierwszy raz był w takim miejscu, Jerzy czuł się tam jak dewizowy gość w hotelu. Wypili po lufie pod śledzika i szybko przeszli do konkretów.

– Miałbym coś dla ciebie – zaczął Jerzy.

– Gdzie? – zapytał Boss.

– W Warszawie, taka fucha po linii organizacji. Odświeżanie kadr, tworzenie nowych elit, rozumiesz?

Rozumiał.

– No i co? Nie jara cię coś takiego? – dopytywał Jerzy. – Warszawka, biureczko, dyskoteki w „Hybrydach”, „Parku”, „Stodole” i „Rivierze”?

Nie mógł w to uwierzyć, taka propozycja...

– Kolego! – Jurek złapał go za ramię. – Ja tam kogoś swojego potrzebuję, rozumiesz? Ale nie tylko, że zaufanego, ale i takiego, który się co nieco zna na tej robocie. Bo to nie tylko посадка i patrzenie na ręce, ale i zapieprz, taki z kreacją, pomysłami i tak dalej. Nie dygasz?

– Nie dygam, absolutnie!

– To jak, pasi?

– Pasi, pasi jak skurwysyn, tylko...

– Ale że co? Bo zamiast się cieszyć, to ty, przyjacielu, masz minę srającego kota. – Jerzy przyglądał mu się uważnie. – Jola? Się zakochałeś! Okej, okej! Ślub weźmiesz, Jolka studia w Warszawie dokończy, kredyty dla młodych małżeństw, ruch spółdzielczy w budowlance się odbuduje wcześniej czy później, pewnie później raczej, ale... – uniósł palec w górę – pokój służbowy, standard akademika dla pracowników naukowych, taki hotel bardziej, z kuchenką krucho, ale kibel własny i prysznic.

– A ja? Piąty rok zacząłem, jeszcze magisterka do dokończenia...

– Nie rób scen, cztery pełne lata to prezydenckie wykształcenie, gdyby oczywiście u nas był prezydent, ha, ha, ha! Jak ci bardzo

zależy, to się na zaoczne przeniesiesz, bumagę się załatwi przed wojskiem i będzie hulało! Coś jeszcze? Co ci nie pasuje, mam tu, kurwa, ukłęknać? Przyjacielu...

– Bo ja nie należę.

Mina Jerzego się zmarszczyła. Po chwili wybuchnął z entuzjazmem Jana Ciszewskiego, który próbował z siebie wykrzesać ten nowy komentator, Szpakowski.

– Nie należysz? To będziesz należał. A może nawet i nie. – Nagle wyhamował, znów się zmarszczył, po czym uśmiechnął i powoli zaczął klarować. – Powiedzmy, że szukamy bezpartyjnego towarzysza! – Bardzo mu się spodobało to określenie, bezpartyjny towarzysz, coś takiego jak wybrany na ochotnika. – Wyjaśnię ci to pojutrze, a teraz muszę zmienić stolik! – Jerzy klepnął go w ramię, wstał i udał się do stolika, przy którym siedziało dwóch facetów i babka.

## 2020

Andrzej Czerwiński odchylił się w wielkim, klubowym fotelu. Przed chwilą nalał sobie whisky, do której dodał kropelkę wody. Sący ją, smakując jej torfową nutę. To nie był pięćdziesięcioletni Glenfiddich, bo kupowanie whisky za sto trzydzieści pięć tysięcy złotych było nieopłacalne. Chyba że na łapówkę, to co innego. Butelka, którą wieńczy splot zdarzeń, łańcuszek kopert i daje na koniec dziesiątki miliony złotych.

Pieniądze to nie wszystko, liczy się także splendor i pozycja. Parę minut temu skończył rozmowę, która upewniała go, że domyka się coś, co trwało niemal pół wieku. Może to i długo idzie, ale dla innych byłby to cel sam w sobie, skok na stołek, pięć minut sławy, a dla niego zwieńczenie. Pozycja, majątek, chwile przyjemne i wzniosłe, a teraz spinająca wszystko klamra, pokaz możliwości, sława i może... No właśnie, czy później już tylko emerytura, czy może dobra, ciepła placówka dyplomatyczna. To nie jest konieczne, ale byłoby miłe.

\* \* \*

Czasem cuda się zdarzają. Alicja, bo tak miała na imię asystentka Skoczka, zrobiła Miśkowi kawę i podała szklaneczkę burbona. To w takim razie jak obsługiwany jest Skoczek, no i cesarze? Miło być gwiazdą, czasem nawet i gościem gwiazdy. A teraz obowiązki.

Misiek nacisnął start i popłynęła muzyka. Dobra muzyka. Mocna, drapieżna. Siła i brud, postpunk, melancholijność i mrok nowej fali. Niby nic wielkiego, ale te klawisze! Ten Białkowski faktycznie wyprzedził epokę! Szkoda, że wtedy nie odpalili. Wyciągnął z kieszeni wielki smartfon i wystukał numer do Joanny.

– Mamy! Zespół Załoga. Superzyciorysy i ma być ich płyta o latach. Myślałem, że to marketingowa ściema Skoczka, ale to supermuzyka. Warto w to wejść!

– Serio? – Joanna słyszała w jego głosie podobny entuzjazm tylko podczas rozmów o futbolu.

– Brakuje mi słów, wszystko, co najlepsze z nowej fali, punka, Depeche Mode. Ostrzej niż Depeche Mode, bardziej jak Front 242 i Killing Joke. To genialny materiał!

– Czyli...

– Jedziemy!

Tak, na pewno pojedą. Wiedział, że Joanna goni ostatkiem sił, do tego mieli z Arturem jakiś kryzysik. Jej facet miał ostatnio wszystkiego dość, czego znakiem było, że przestał uprawiać swoje hobby. Podobno już od kilku miesięcy nie grał na gitarze. Trudno, będzie musiał przez parę dni sam ciągnąć ten wózek z parą nierozgarniętych stażystów. Wysłał esemesa do Wojtka.

\* \* \*

Wojtek przyspieszył kroku, Łysa Pała pewnie się niecierpliwiła i czekając na niego, ostrzyła swój niewybredny dowcip, siedząc nad stronami piłkarskimi. Pewnie ma jakiegoś awatara i popisuje się



swoją ciętą elokwencją podczas shitsztormów produkowanych przez wyznawców skopanej.

Spotkał go już przed wejściem do budynku. Palił i nie kwapił się z wejściem do środka, a robiło się coraz zimniej. Trzy kolejki Jacka Danielsa, na które tak beznadziejnie się wykosztował, kręciły jeszcze w głowie. Jak szedł, to się rozgrzał, nawet lekko spocił, a teraz, kiedy przystanął, poczuł zimno. Przeształ z nogi na nogę, a Misiewicz spokojnie palił.

W sieci chodziły dwa filmiki z jego udziałem. Jeden sprzed jakichś dwudziestu lat, na którym poszarpał się z selekcionerem reprezentacji. Obaj byli nawaleni, obu zwolniono, ale trenera za wyniki, a Misiewicza za zachowanie. Misiewicz był wtedy szczupły i miał czuprynę. Na nagraniu sprzed paru lat był już wieprzem. Ten film się znało, bo był w studiu u Joanny Becker, kiedy okazało się, że goście jej programu stali za morderstwem piłkarza. Teraz był chudszy niż wtedy, ale na pewno miał nadwagę, no i był łysy.

„Łysa pała z wielką brodą, wiking z dupy” – pomyślał mściwie, bo Misiewicz dalej palił, jakby stojąc w lekkiej, flajersopodobnej kurteczce, nie odczuwał żadnego zimna.

„Mors jebany!” – dodał na koniec w duchu, z pewnym podziwem, jakby oglądał w zoo hipopotama lub dziką świnię ryjącą wybieg.

– Słuchaj, młody z miasta z gondolą w herbie, urodziny masz?

– Nie mam.

– To jakiś kumpel musi mieć, bo już piątkowy melanż zaczęłeś. Ja wiem, że o tej porze słoje odcumowują swoje passerati, golfy i skody, by zacząć rejs do swoich macierzystych portów, ale tu jest telewizja: zakład pracy o ruchu ciągłym. My jeszcze nie kończymy! Oszczędzaj siły, bo jutro nie ma wolnej soboty, krótko z czasem się robi i razem z księżniczką musicie zagęszczać ruchy, rozumiesz? A teraz do redakcji!

Weszli na górę, usiedli w pokoju redakcyjnym, Wojtek tak na brzeżku, mając nadzieję, że to tylko krótkie pitu-pitu, ale Misiewicz rozsiadł się z kawą jak basza, jakby chciał dać do zrozumienia, że czekają go przydługie rekolekcje.

– Byłem u Skoczka... – zaczął, delektując się własnym przekazem.

Co miał powiedzieć? Wow! Ale ma pan znajomości? Szacun! Alleluja?

– To spotkanie dało mi sporo do myślenia. Podjąłem decyzję, poinformowałem już o niej Joannę.

Wojtek milczał.

– Odchodzę, Skoczek dał mi lepsze warunki, ha, ha, ha! To żart oczywiście, bo nie zrobiłbym tego Joannie.

– Ale Patrycja zrobiła. Nie przyjdzie.

– Dzisiaj nie przyjdzie? Bo wyjechała, ma wolne czy jak? – Misiewicz się zaśmiał, mieszając w kubku resztki cukru, które miały zabić odór najpopularniejszej polskiej kawy.

– Zrezygnowała.

– Tak po prostu? – W końcu to Misiewicz był skonfundowany.

– No tak.

– Poszła sobie i cię nie zabrała? No szkoda, że o tobie nie pomyślała, bo wyglądało to na obiecujący związek. Jednostronny, co prawda... ale gorący!

Wojtek miał ochotę dać mu prosto w pysk. Myślał, że Misiewicz przejmie się tym, że Patrycja odeszła, tymczasem spłynęło to po nim i jak zwykle zaczął bezpardonową zabawę jego kosztem.

– Co się tak stroszysz? Nie ma o co! Nie masz dziewczyny, impotentem nie jesteś. Po prostu z lekka się zabujałeś, ale ona na nasze szczęście zmieniła miejsce żerowania. Co za ulga, nie trzeba będzie jej wylewać, bo byłby z tego powodu jakiś smród, rozczarowana góra i tak dalej. Hmm... stąd nikt sam nie odchodzi, chyba że ktoś, na kogo choruje konkurencja. Jak ci to powiedziała?

– W knajpie. Wszedłem, a ona powiedziała, co miała do powiedzenia, wzięła torebkę i wyszła.

– No to spakowała torebkę jak Lwica Lewicy i poszła. – Misiek spojrzał tęsknie, jakby patrzył za jej nogami i dodał: – Ciekawe, gdzie się odnajdzie, bo Lwice Lewicy odnajdują się ze swoimi drogimi torebkami w mizerii i na prawym skrzydle. Wiesz, o kim mówię?

– Mniej więcej.

– Mniej więcej, czyli załapałeś coś, co sam widziałeś, znaczy się znasz połowę *story*. Właścicielkę najdroższych torebek we

współczesnej polityce znasz, bo nie jesteś niewidomy, a wiesz, co było wcześniej, dwadzieścia dziewięć lat wcześniej? Dziennikarstwo studiowałeś? A uczyli was, że przed tym jak się urodziście, było na tej planecie jakieś życie i że dinozaury takie jak ja to pamiętają? Mówili coś o tym, że nie kończy się dziennika wyjściem z torebką jak pani Jakubowska? Widzę, że nie masz pojęcia, o czym mówię, niby skąd, skoro parastudia trwają teraz tylko trzy lata. Trzy lata i nowy kurs, fakultet i tak dalej. A my studiowaliśmy po sześć, siedem lat, a jeden rok, jak nas coś wciągnęło, na przykład praca w Rzeszy, to czasem i osiem. – Misiek znów się zaśmiał, a Wojtek nie wiedział, czy żartuje, czy mówi na poważnie. – Wpisz na YouTube „Jakubowska torebka” to zobaczysz, o co chodzi.

A teraz do rzeczy! Znajdź namiary na wszystkich żyjących i nieżyjących członków zespołu Załoga, zrób listę, umawiaj rozmówców, kombinuj nad tematami materiałów. I tylko mi, kurwa, nie mów, że się nie znasz, że to niemodne, że nieciekawe. Twoja w tym głowa, żeby to było ciekawe. I prawdziwe! Żadnego „musimy dawać informacje, które ludzie chcą zobaczyć”, oglądałeś *Na cały głos* z Russellem Crowe? Nie? To masz zadanie domowe, obejrzyć to w weekend, jak nie masz HBO, to wbij do kumpla, co ma, albo najlepiej do laski, i obejrzyj. To tylko sześć odcinków. Aha i jeszcze jedno, WCK zobacz.

– Co?

– WCK – Wszystko co kocham, film taki, polski, ale zajebisty.

Dla świętego spokoju Wojtek pokiwał głową.

– A tak z ciekawości, to co ostatnio oglądałeś?

– *Casa de Papel, End of The F\* \* \*ing World, Peaky Blinders...*

– A czytałeś coś?

– Ostatnio *Bezmiar*, taki kryminał, trzecia część trylogii, wszystkie tytuły na „b”, a teraz to, nieźle pojechane. – Wojtek pokazał Miśkowi czarną okładkę ze szkieletem orła, była to powieść Jacka Denhela.

Czyżby było tam pod czaszką więcej komórek, niż przypuszczał? Jedna, żeby obsługiwać smartfon, druga na outfit i barbera, trzecia na sprawy ogólne, a teraz cudowne pomnożenie przez literaturę.

*Bezmiar* to nie był taki sobie kryminał, czytał i znał jego autora, który nie jest sprzedawcą kitu i waty.

– No ładnie, chłopaku – pochwalił go całkiem szczerze, ale ton artykułujący uznanie wydał się Wojtkowi kolejną podpułą. – To ja cię nie doceniałem, to ty inteligent jesteś, przedstawiciel ginącego gatunku, reprezentant pięciu procent społeczeństwa!

– Chyba trochę więcej ludzi czyta książki?

– Może i tak, ale jak odliczysz katalog Ikei, biografie celebrytów i ma się rozumieć książki kucharskie, to piątek się uzbiera z trudem. No i książki Noblistki trzeba, niestety, odliczyć.

– Dlaczego?

– Bo Janusze, Andrzejki i Grażynki czytelnictwa zrobili wjazd do księgarń. Kupują Noblistkę tak, jak kupują celebrytów. Na półkę, pod choinkę na prezent, do kolekcji i na Instagram. I ja mam, i ja kupiłam, i u mnie na biurku leży. Wszędzie są sezonowcy, ale ty nie jesteś sezonowicz, skoro czytasz to, co czytasz, a skoro tak, to dasz radę, pociągniesz ten program – pochwalił go szczerze, zachęcił i pomyślał, że wpadł w pułapkę pokoleniową, bo ocenił Wojtka po ciuchach, modzie i muzyce.

Ale Misiek nie byłby sobą, gdy jednak na koniec nie wbił jakiejś szpili:

– Intelktualnie dobrze się zapowiadasz, ale brak ci umiejętności. Wszystko ci zajmie więcej czasu, więc znajdę ci nową koleżankę, parytet musi być, także wśród stażystów. Przyjdzie ci na pomoc dziewczyna, ułożysz z nią sobie życie, w redakcji, rzecz jasna, bo reszta mnie nie interesuje. A teraz pogłówkuj, pokombinuj, nadrob stracony czas, a ja potracę zdrowie, idę na fajkę. I nie wracam z niej, nie będę cię pilnował, działaj, bo robisz na siebie. Pamiętaj, tylko na siebie, a nie na jakąś Patrycję, bo tak to chyba wcześniej wyglądało.

Jak on, kurwa, tego Misiewicza nienawidził, i to coraz bardziej, za jego obcesowość i belferstwo... czy może za to, że tak w zasadzie to miał rację.

Za całokształt tej łysej pały nienawidził.

\* \* \*

Misiek nie spotkał nikogo ciekawego na papierosowej giełdzie, więc ruszył w kierunku przystanku. Szybko się jednak zniechęcił, bo przecież sam mówił młodemu, że jest piątkowe popołudnie, dzień, w którym nawet najbardziej nieludzkie korpo nie przetrzymywało ludzi w pracy. No bo jak miano przetrzymywać, skoro to szefowie pierwsi rozpoczynali weekendową kaskadę – szybki start na city break, narty, działkę lub do rodzinnego domu. Po najważniejszych szefach, którzy odpalali swe limuzyny, wyprowadzał swe skodzianki niższy management, a po nich startowała cała reszta. Nie wszyscy mieli samochody, więc środki masowego rażenia, jak mówił o komunikacji miejskiej, zapełniały się weekendowymi uciekinierami z korpo.

Wszedł do pubu, zamówił piwo i wysłał esemesa do Joanny. Oddzwoniła.

– Baba z wozu, koniom lżej! – zaczął.

– Gocha od ciebie odeszła! Powiedz, że to nieprawda. – Joanna miała z nią na pieńku, ale wiedziała, że była to jedyna kobieta, która mogła trzymać Miśka w kupie.

– To nie ode mnie, tylko od nas odeszła, i nie Gocha, tylko Patrycja.

– Od nas odeszła, tak *for sure*?

– *For sure!*

– Dziwne.

– Też mi się tak wydaje, znała mnie zbyt krótko, by się zniechęcić do pracy w tej firmie. Najpierw byłyby skargi, perswazje i straszenie, a dopiero później odwrót.

– Zwłaszcza że miała dobre plecy.

– Nie wiem, nogi na pewno!

– To seksistowskie!

– Zupełnie jak twoje uwagi o mężczyznach. Lepiej załatw na jej miejsce kogoś, komu chciałaś dać szansę.

– Mam taką dziewczynę.

– Spodoba mi się?

– Pewnie nie, bo nie chce być prezenterką!

– Jestem monogamistą i w pracy podobają mi się kobiety, z którymi mogę pracować. Jakby chodziło o co innego, tobym przecież się zatrudnił u nieboszczyka „Playboya”.

– Ale tylko jako fotograf. – Joanna się zaśmiała, bo przecież wszyscy doskonale wiedzieli, że ci, którzy pracowali dla „Playboya”, nie robili castingów na playmate miesiąca, tylko wywiady. – À propos obrazków, sprawdź, czy materiały dostarczone przez produkcję „You on Stage” są odpowiedniej długości, jakby były przewalone, to okej, byleby nie za krótkie, chcę jak najmniej studia także...

– Wiem, co robić, pozdrawiam!

I się rozłączył.

\* \* \*

*Powrót legendarnej grupy, nagrany trzydzieści pięć lat temu nowatorski album Orwell ujrzy w końcu światło dzienne!* Nie spodziewał się, że to właśnie tak wróci. Przecież wszyscy dali z tym sobie spokój, przecież to zamknięty rozdział. Czy ma prawo narzekać? Czy musi rozdrapywać stare rany? Pieprzyć to, był daleko stąd i wcale nie powinno go to obchodzić! Miał się już położyć, ale nagle pomyślał, że w takim momencie zainteresowanie zespołem może zaszkodzić, i jak to się teraz mówiło, cały misterny plan też w pizdu... Było, minęło i wróciło jak zły sen. Wyłączył komputer, jakby chciał z tym skończyć, na pożegnanie na ekranie wyświetliło się logo E&G Spedition. Poland – Spain – Europe.

\* \* \*

Pan Kasai zrobił inną karierę, niż sobie wyobrażał. Życie wybrało za niego inaczej, bo gdyby to od niego zależało, to pewnie by tu nie trafił. A knajpę nazwałby Park Yamashita. Park położony w Jokohamie, nad samym morzem, obok przycumowany statek –

muzeum Hikawa, to było jego miejsce, a nie park w Tokio. Ale to szczególnie, teraz jest w odległym kraju i szefuje restauracji Yoyogi Park. Bo tak ktoś zdecydował, bo tak było trzeba.

Jako syn rzeźnika z małego górskiego miasta nie miał prawa narzekać. Europejczycy nie wiedzą o tym, że w Japonii żyje ponad sto dwadzieścia pięć milionów ludzi, że wobec prawa wszyscy są równi, bo w końcu XIX wieku zniesiono kasty i nikt już nie mógł być poddany segregacji. Ale w praktyce istniały one dalej i wielkie korporacje nie zatrudniały burakumin. Nikt nie chciał ludzi z kasty nietykalnych, choć oficjalnie jej nie było. Trzy miliony ludzi było za burtą! Nie mieli tego wypisanego na czole, nie było tego w dokumentach, ale istniały ich listy, spisy, byli posegregowani, informacjami o nich handlowano. Pracodawcy wyławiali ich podczas rekrutacji i skreślali z listy, by przypadkiem ich nie zatrudnić. Pochodząc z rodziny rzeźników, nie mógł liczyć na wiele, ale jednak udało mu się. Byli ludzie honoru, byli tacy, którzy zatrudniali, patrząc na kompetencje, a nie na to, że mieli nieodpowiednich przodków albo byli Koreańczykami.

Tutaj pan Kasai i jego kucharze byli Japończykami, może były jakieś żarty czy głupie stereotypy, ale ogólnie był szacunek. Za elektronikę, samochody i szybkie pociągi. I za sushi. Za sushi, które było tylko podobne do japońskiego.

# Rozdział 8

*Rano kac dopiero przyszedł, gdy mijalem Wawrzyszew  
Stale pijany, mijam stare Bielany*[\[18\]](#)

## EIGHTIES

Stracił w chuj czasu. Black wracał myślami do koncertu tuż przed stanem wojennym. To był ich najlepszy występ. Bo jedyny. Tak naprawdę próba generalna, a okazało się, że zagrali sztukę na pożegnanie. Przyszło ze dwadzieścia osób, gitary nie stroiły, on nie zawsze trafiał, ale był czad. Było pogo pod sceną, było poczucie robienia czegoś ważnego.

Im więcej czasu mijało od koncertu, tym bardziej go mitologizował. W jego głowie te dwadzieścia minut grania, bo cieć z domu kultury wkroczył do akcji, urosło do rangi wydarzenia. Wszystko było wtedy wydarzeniem i prawie każdy obcinał w towarzystwie kupony od przyszłej kariery. Ale wszystko się rozsypało przez „Mokotowską Jesień Muzyczną”.

Weszli do finału, to już było coś. Dzięki temu brali udział w obowiązkowych próbach, bez nich nie można było zagrać w finale. To praktycznie eliminowało zespoły spoza Warszawy. Ale nie wszystkie, bo chłopcy ze Współczynnika Inteligencji dojeżdżali tydzień w tydzień z Ostrowa Wielkopolskiego. Zapamiętał jeszcze czterech chłopaków z Elektronika na Zajęczka, którzy mieli charyzmatycznego wokalistę – Skandala i supernazwę – SS20. Tak nazywały się radzieckie rakiety średniego zasięgu, które były uzbrojone w głowice jądrowe.



Tyle że zanim Ruscy odpalili swoje rakiety, Jaruzel wysłał na ulice czołgi. Przez stan wojenny festiwal się wysypał. Do tego po 13 grudnia perkusiście nie udało się załatwić papierów, żeby wracać po godzinie milicyjnej, bo wcześniej dwa razy go spisali za złamanie tego przepisu. On też miał swoje kłopoty i nie mógł przez pół roku grać na basie. Bez basu na scenie było chujowo.

Zrozumiał, że przez wciąż nie do końca sprawną lewą rękę nie nadgoni straconego czasu. Poza tym nastąpiła zmiana, wbrew temu, co krakali, że po liceum plastycznym, z dyplomem technika wystawiennika na ASP się nie dostanie, on się dostał i miał wszystko w dupie. Dostał się, poczuł, że wraca energia, miał image, chciano go w zespołach, bo nawet jak szedł ulicą, to wyglądał, jakby właśnie miał wejść na scenę z czołowym nowofalowym zespołem. Był przystojny, dobrze ubrany i miał czarne, nastroszone włosy.

Nie miał zbyt dobrego głosu, ale czy Kazik z Kultu, czy ten chłopak z Częstochowy, Staszczyk, czy jak mu tam, potrafili śpiewać? Umiał za to wymyślać nazwy zespołów, miał ich tyle, że mógłby wystawić własną „Mokotowską Jesień Muzyczną”. Może dlatego tyle było składów: ostry, punkowy, antywojenny Sztukas, grający melodyjnego punka Ściek czy zimnofalowa Pielgrzymka. No i oczywiście najbardziej znany z jego zespołów – Patologia, z którą nawet dał jeden koncert.

\* \* \*

Białek chciał zostać znanym muzykiem, chciał być White'em, klawiszowcem, którego widać, który ze swoim zestawem stoi na brzegu sceny i patrzy na morze głów. Pomyślał o popie, ale takim nowym, innym, o czymś, co grali Anglicy z Depeche Mode, ale odrzucała go myśl, że musiałyby to być kwartet albo przynajmniej trio grające na klawiszach. Coś takiego by tu nie przeszło. Raz, że publiczność chciała albo Papa Dance, albo rocka, zresztą znalezienie trzech dobrych klawiatur i ludzi, którzy chcieliby grać w miarę przyzwoitą muzykę było marzeniem ściętej głowy.

Może więc New Romantic? To już byłby zwykły skład z jedną, może dwiema klawiaturami, ale znalezienie odpowiedniego wokalisty nie wydawało mu się możliwe.

Siedział więc w kanciapie, grał, komponował i szukał. Aż znalazł.

Nowa fala! Trzeba się w to wstrzelić! Niby grają to gówniarze, ale to nieprawda, przecież The Stranglers podpięli się pod to po trzech latach grania, a perkusista miał już wtedy trzydzieści dziewięć lat! A Maanam? Zanim Marek Jackowski zaczął grać nową falę, to był w Anawie u Jana Kantego i Grechuty i w Osjanie. Zrozumiał to teraz, kiedy zobaczył UK Subs i Republikę.

Lider punkowego zespołu z Anglii Charlie Harper miał prawie czterdzieści lat, był tylko rok młodszy od Nalepy i pięć od Niemena, którzy grali przecież od zawsze. Ten punkowiec Harper nie tylko miał swoje lata, ale wcześniej śpiewał chyba wszystko. Podobnie zresztą jak Ciechowski. Lider Republiky był tylko dwa lata starszy od Białka i też miał bogatą przeszłość muzyczną. Zaczynał przecież od rocka progresywnego i grał na flecie w stylu Iana Andersona z Jethro Tull, a teraz jedzie z nową falą! Grzegorz Ciechowski ma przemyślany image, choć plemienna publika nie jest jeszcze na to gotowa.

To właśnie ta droga, pójdzie nią i wygra na tym, nie jest wirtuozem jak ci od rocka progresywnego, ale jest solidnym muzykiem, który tak jak ci, co po latach grania innych gatunków rocka, wykorzystali swe doświadczenie i umiejętności do tworzenia punkowych i nowofalowych numerów. W końcu ma średnią muzyczną, więc będzie potrafił coś wymyślić, ale potrzebuje paru łebków, żeby ktoś inny nie wpakował tu swojego zespołu.

Zakłady były bogate, więc stała niezła perkusja, wzmacniacze, konsola i klawisze. Zaczął chodzić po koncertach, przeglądach, bo przede wszystkim musi znaleźć charyzmatycznego wokalistę, dodać dobrą sekcję i stworzyć wspólny image. Miał już wszystko rozpisane. Zacznie od tego, że będzie używał pseudonimu White, później załatwi wokala i sekcję, gitarzystę jakoś się znajdzie, zresztą nie był aż taki ważny w tego rodzaju graniu. Dla niego był złem koniecznym,

rekwizytem, potrzebował go, bo publiczność z Jarocina zniszczyłaby zespół bez gitarzysty, zdeptałaby go i wygwizdała.

Wierzył, że się uda, musiało się udać!

## 2020

Wojtek wracał metrem. Jechał na Młociny, czyli odwrotnie niż w kawałku Taco, bo tam jazda zaczynała się pod hutą. On jechał z Kabat i przy hucie miał się przesiąść na Tarchomin.

Przysnął i obudził się, jak głos lektora ogłaszał: „Następna stacja Dworzec Gdański”. Uff, długo nie spał, tylko kawałek przystanku, ale za parędziesiąt sekund usłyszał „następna stacja Plac Wilsona”. Cholera! Zawrócił przy hucie, przegapił Młociny i jechał z powrotem na Kabaty.

Zapił. I nie obejrzał serialu, który mu zadał Misiewicz. I filmu *Wszystko, co kocham* też nie zdążył zobaczyć. Wcześniej niewiele ugrał, próbując się z kimś skontaktować. Było piątkowe popołudnie, a że zima, to już wieczór, do tego ferie, więc kto normalny odbierze telefon? W studiu, które należało do tego całego White’a, powiedziano mu, że pracuje w swoim studiu za granicą i że nie ma i nie będzie z nim kontaktu, bo kończy ważny projekt, klawisze, remiksy i coś tam jeszcze. A prywatna komórka? Zapomnij! Ale powiemy, tak, przekażemy, oczywiście, na pewno, grzeczne spierdalaj. Ciekawe, czy w ogóle zanotowali telefon?

Znów przysnął, ale obudziła go wibrująca komórka. Dobijała się do niego Łysa Pała. Jebać to! Nie odebrał. Po chwili dwie wiadomości, pierwsza o nieodebranych połączeniach i druga – esemes od Misiewicza.

*Jak się panicz pozbiera po melanżu, to niech łaskawie do mnie zakręci. M.M.*

Oldskulowa pała, „zakręcił”, jakby komórki miały tarcze do wybierania numerów. Oddzwonił.

– No i jak, żyjesz, jesteś gotowy do roboty?

– Dzisiaj sobota...

– Ach, wy z Łodzi! Jak świętujesz, to najpierw do synagogi, orientuj się na plac Grzybowski.

Niepoprawny politycznie, stary, łysy dupek.

– Żyjesz? To wbijaj za dwie godziny do firmy.

Wbił od razu, przeszedł chyłkiem obok newsroomu, wjechał piętro wyżej, na szczęście, tak jak przypuszczał, u nich w redakcji było pusto, bo kto normalny chodzi w sobotę do pracy, nie są jakimiś pieprzonymi Japończykami, którzy dymają siedem na siedem. Zrobił sobie kawy, smakowała ohydnie, ale dała kopa. Za słabego jednak, by podtrzymać czynności życiowe pozwalające na wykonywanie pracy reportera. Zasnął w fotelu Misiewicza, bo ten był najwygodniejszy i odchyłał się prawie jak u dentysty.

\* \* \*

W Warszawie było prawie wszystko co trzeba. Prawie, bo pan Kasai na próżno szukał salonu Pachinko. Uwielbiał te miejsca, wewnątrz których szumiały dziesiątki małych wodospadów metalowych kulek. Muzyka automatów była nieregularna, bo gracze nakręcali w nich sprężyny, jak kto chciał, mocna, przewiercająca uszy jak ryk silników na lotnisku Narita. I opary dymu tytoniowego, tu w Polsce podobno jeszcze parę lat temu tak się właśnie paliło. Jeden od drugiego, bez wytchnienia.

W Warszawie nie było salonów Pachinko i na próżno było szukać baseballowego stadionu. No cóż, nikt nie jest doskonały, Warszawa miała też swoje zalety. Pod miastem był wspaniały tor kolarski. Można tam było wynająć rower i pojeździć. Zrobił to. Wsiadł na wynajętą wyścigówkę i pojeździł godzinę. To było piękne przeżycie, w tłumie uczestników przejażdżki poczuł się jak zawodnik Keirinu. Zobaczył od środka to, co oglądał na Kagetsu-en Velodrome. Bywał

tam często, lubił patrzeć i obstawiać, chciał żyć tak jak prawie sześćdziesiąt milionów innych Japończyków. Był księgowym, więc wiedział doskonale, ile to było warte!

Rocznie zawierano zakładów na ponad półtora biliona jenów, czyli około półtora miliarda euro. Transmisje, catering, pamiątki... Europejczycy nie mają pojęcia, jaka jest siła Keirin! To piękne, kiedy dziewięciu kolarzy stopniowo rozpędza się, jadąc za derną, albo jak kto woli: za zającem. Przez tysiąc trzysta metrów motor albo elektryczny rower rozpędza stawkę najpierw do trzydziestu kilometrów na godzinę na trzech pierwszych okrążeniach aż do pięćdziesięciu przed rozpoczęciem właściwego wyścigu. Ostatnie siedemset pięćdziesiąt metrów to szaleńczy sprint, walka o pozycje, zderzenia, wywrotki. To wszystko przy tempie siedemdziesięciu kilometrów na godzinę!

Obstawianie jest sztuką, trzeba znać zawodników oraz ich taktykę. Przed każdym z wyścigów kolarze ogłaszają swój plan na wygraną, czy będzie to *senko*, czyli długi atak zaczynający się na osiemset-czteryście metrów przed metą, *mak* – trzymanie się drugiego miejsca i wyskoczenie zza placów, czy może *makuri* – trzymanie się na końcu i atak dopiero na ostatnich trzystu metrach.

Piękne, prawda? Zwłaszcza jeśli się wygrywało, ale nie było to łatwe, obstawić w Keirinie triplę. W wyścigach konnych także, próbował tego na tokijskim torze w Fuchu i na torze Nakayama w Funabashi. Tu też mieli tor, na Służewcu. Kusił go, ale był tam tylko raz. Właśnie wszedł klient, ubrany jak brytyjski koniarz, jeden z tych, którzy kupowali sobie jaguary lub land rovery. Pan Kasai ruszył w jego kierunku, by go powitać.

# Rozdział 9

*Znowu szwindel szykują nowy  
Znów chcą się dobrać do twojej głowy.  
Nie możesz ciągle dostawać w ryj  
Nie daj się zabić – żyj!*[19]

## EIGHTIES

Spotkali się w restauracji, Jerzy stawiał, a ceny były tu o wiele wyższe niż w kasynie milicyjnym.

– W kasynie było taniej, ty masz tam jakieś wejście? – zapytał Boss.

– Jakbym nie miał, toby nas tam nie było. Coś jeszcze musisz wiedzieć?

Ton głosu Jerzego sprawił, że przestał być ciekawy, poza tym mieli się spotkać w sprawie Warszawy. To go interesowało.

– Rzuciło mnie na nowy odcinek – zaczął Jerzy. – Robię teraz jako menadżer. – Zaśmiał się. – Wiesz, jak na Zachodzie, jak Pułkownik Parker od Elvisa i inni. Chodzi o to, żeby coś dla młodzieży zrobić. Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe, Stołeczna Estrada i inne kojarzą się... no wiesz, z takim bardziej oficjalnym nurtem rozrywki, a nam chodzi o to, żeby jakoś skanalizować energię, którą produkują kluby studenckie, jarociny, rozumiesz, o co chodzi?

– Rock, alternatywa?

– Dokładnie. Niby to wszystko pod słusznymi patronatami, ZSMP, ZSP i tak dalej, ale to wszystko jest za bardzo niezależne. – Widząc zdziwioną minę Bossa, wyjaśnił: – Nie mylmy niezależności z anarchią, bałaganem, chaosem. Oczywiście można taką namiastkę stworzyć, ale bez przesady, po co to komu? Nic dobrego z czegoś

takiego nie wyjdzie. Trzeba to profesjonalnie ogarnąć, stworzyć warunki, wziąć to w garść, skończyć z bałaganiarstwem i amatorką, zamiast Jarocina i klubików zrobić coś zawodowego. Czy coś takiego ci pasuje? Widzisz siebie w roli zastępcy kierownika domu kultury do spraw młodzieżowych?

Widział się, no jasne, że się widział!

## 2020

Półtorej godziny, które by spędził na jeździe po Warszawie, przespał w redakcji. Czysty zysk, ale nadal zbyt mały, by zaspokoić potrzeby. Nawis inflacyjny na rynku wypoczynku, deficyt snu, doły nie do zasypania, wszystko przez spowolnienie. Przez kryzys! To tylko spowolnienie. Idziemy na dno, żyliśmy na kredyt! Rozwijaliśmy rynek wewnętrzny, polskie firmy, Polski i Polacy... O co kaman? To tylko telewizor, polityczny bełkot dopływał z zawieszonej na ścianie plazmy. Przecież włączał jakąś stację muzyczną?

– Wyspałeś się? – dobiegł do niego głos, który ostatnio za często pojawiał się w jego życiu. – Solidny melanżyk, z bzykaniem czy bez?

– Bez. – Kac wyzwolił w Wojtku nadspodziewanie głębokie pokłady szczerości. – Ani ładnych, ani chętnych.

– To może i lepiej, bo chyba tak popłynąłeś, że gdyby był jakiś seks, to raczej ciebie by bzykano, a nie ty kogoś. – Misiek zarechotał i pochylił się nad nim. – A teraz bujaj do łazienki, wypłucz usta, postaw kac kupę, odśwież się, bo za pięć minut będziemy mieli gościa.

\* \* \*

Kiedy wrócił, uderzając po drodze kolejną śmierdzącą, ale napakowaną kofeiną kawę od Gonzalesa, Misiewicz wdzięczył się do jakiejś dziewczyny. Miała krótkie, farbowane włosy i albo była daltonistką, albo fryzjer, który nakładał kolor, był pod wpływem

abstrakcjonistów albo kwasu. Rysy miała dość ostre, oczy zielone, a całe ucho zdobiły kolczyki, całe szczęście, że kolczyk w nosie był z boku, przeprowadzony przez jedną z dziurek, a nie pośrodku jak u krów. Niektórych to kręciło, a jego wcale. Outfit uzupełniał rozciągnięty sweter i wojskowa kurtka, zakrywające bliżej nieokreślonych rozmiarów biust, do tego długa spódnica urywająca spekulacje na temat jej sylwetki i wreszcie, jakby inaczej, buty – ortopedki. Latem, pewnie byłyby to sandały. Aż dziwne, że nie była przepasana jakąś torbą i okręcona dwumetrowym szalem. Po chwili zobaczył, że torba jak z inkaskiego targu i szalik z surowej wełny, wisiały na wieszaku.

– Jaga – powiedziała niskim głosem i uściśnięła mu dłoń.

– Wojtek – odpowiedział. Nie podobała mu się, za to Łysa Pała obskakiwała ją, jakby do redakcji zstąpiła Ania Rubik albo Dżoana.

– Zaraz przejdziemy do konkretów – powiedział Misiewicz. – A teraz przebój tygodnia, perełka z sejmu, widziałem to w newsach, zerknę jeszcze raz na Godzillę polskiego parlamentu! – Troglodyta, który się cesał gąbką był zachwycony, jakby do Biedry rzucili tanie peruki na każdą okazję.

Prezenter, mimo że miał góra trzydzieści, trzydzieści pięć lat, przybrał pozę zatroskanego o losy rodziny, sędziwego patriarchy, w głębokim zamyśleniu i ze wzrokiem smutnego Bazyliszka przemówił tonem kaznodziei z westernu.

– Dzisiaj w sejmie doszło do niecodziennego zdarzenia, posłanka Zdzisława Dworzak podzieliła dziennikarzy na lepszych i gorszych, a pomogła jej w tym straż marszałkowska, w sejmie jest nasza reporterka Zofia Szelağ.

Ubrana w granatową garsonkę dziennikarka stała na tle pustego korytarza sejmowego, mówiła spokojnie o tym, co stało się kilka minut temu, ruszyły obrazki, posłanka Dworzak rozmawiała z dziennikarzami, otaczali ją zwolennicy prasy prorządowej. Szelağ tłumaczyła, że inni nie weszli do strefy wyznaczonej przez straż marszałkowską. O tym, kto dostąpi zaszczytu uczestniczenia w briefingu z posłanką Dworzak, decydowała jej asystentka Julia Hulczyk.



Na ekranie było jednak zbliżenie twarzy posłanki, tak jakby ekipa ich stacji znalazła się w ekskluzywnym gronie pupili Zdzisławy Dworzak. To raczej nie było możliwe, bo na ich stację posłanka miała alergię i to nie tylko w przenośni, ale i dosłownie. Po sieci wciąż chodziło nagranie, w którym sejmowa Godzilla tak denerwuje się na widok ich pomarańczowo-granatowej kostki, że dostaje ataku kaszlu.

To by była zupełna nowość, zrobić briefing tylko dla wybranych, wyreżyserować całość i tak spreparowaną papkę podać dalej? Szybko przekonali się, że było zupełnie inaczej, obraz się chwiał, to znaczy, że operator jeszcze się ustawiał, a Dworzak, śmiejąc się, zapytała swoją asystentkę:

– To co, Julka, wszyscy są?

– Sami swoi, pani poseł – asystentka była równie ubawiona sytuacją.

– Żadnych obcych trolli, pani poseł – zabrzmiał basowy głos Jędrzeja Górki z telewizji publicznej.

– Są tylko nasze trolle – powiedziała, śmiejąc się, Leokadia Grabowska, reporterka posądzana przez opozycyjną prasę o kierowanie farmą trolli.

– Kogo tym razem grillujemy? – zainteresowała się Dworzak.

– Nie było jeszcze decyzji, ale chyba premiera z gabinetu cieni, ale to przecież nie my decydujemy, inwencję wykazujemy w inny sposób – wyjaśnił Bartosz Chojna z internetowej telewizji PatriaTV. – Panowie Stinger i Grzelak wskazują cel, a my już wiemy, co robić.

Właśnie przyznali się do tego, że działania prorządowej prasy są inspirowane przez rzecznika Marcina Grzelaka oraz Harry’ego Stingera, amerykańskiego eksperta, o którego obecności w sztabie zwycięskiego ugrupowania mówiło się od dawna. Za oceanem nazywano go Brudnym Harrym, bo nie cofał się przed niczym, wątpiono jednak, by rządzące sejmem Porozumienie stać było na jego zatrudnienie.

– Harry Stinger – rozmarzyła się Dworzak. – Chciałabym go poznać, czuję z nim duchową jedność.

– Jako polityk ma pani dynamikę, jaką preferuje pan Stinger – powiedział Chojna. – W przyszłym tygodniu będzie w Polsce, na

pewno znajdzie dla pani czas!

– Macie o to zadbać, bo jak nie – pogroziła palcem dziennikarzom – to rozdepczę was jak lewaków!

Była w doskonałym nastroju, który na moment przerwało pytanie któregoś z dziennikarzy.

– Ale stać nas na pana Stingera? Przecież przeciwnicy mówią o nim Brudny Harry, ale zwolennicy zwracają się do niego „Drogi Harry”...

– Drogi, to znaczy lubiany, czy muszę to tłumaczyć, chłopcze? – Godzilla się zaśmiała.

– Ale w Ameryce nie mówią do niego Dear Harry, lecz Expensive Harry!

– Bo wart jest każdych pieniędzy. – Hulczyk machnęła ręką. – Czy jesteśmy gotowi? Pani poseł się spieszy, poza tym macie zaplanowaną transmisję – zwróciła się do Górki. – Pani poseł, możemy przejść do części oficjalnej i włączyć kamery?

– Tak, zaczynamy! – potwierdziła Dworzak.

– Gotowi? – zapytał Chojna.

– Tak – odpowiedział chór kilkunastu głosów.

– No to, trzy, dwa, jeden, zero, start – odliczył ktoś.

– Szanowni państwo – uroczyście zaczęła asystentka posłanki. – Rozpoczynamy nową sejmową tradycję, cotygodniowy briefing dla prasy, dla uczciwej prasy, polskiej i mówiącej prawdę! Wobec kłopotów, jakich przysparzają nam przedstawiciele prasy, tylko z nazwy i języka polskiej, ale reprezentującej obce interesy, chcąc uniknąć prowokacji i często niestosownego zachowania, chcąc skupić się na merytoryce, postanowiliśmy zapraszać tych, którzy przychodzą na spotkanie z panią poseł, by czegoś się dowiedzieć, by wysłuchać jej argumentacji, a nie tylko szerzyć hejt. – Rozległ się pomruk wyrażający pełną zgodę i akceptację. – Pani poseł... – asystentka zwróciła się do Godzilli, która przez całą jej wypowiedź stała obok z poważną miną i przytakiwała z powagą, jakby słuchała słów pochodzących z Biblii.

– Pewnie spodziewacie się państwo oświadczenia, bo nikt mi nie przerwie i w końcu będę się mogła swobodnie wypowiedzieć –

zaczęła z zaciętą miną – ale otóż nie! – Uśmiechnęła się promiennie.  
– Jako że jestem w gronie ludzi kulturalnych, spragnionych rzeczowej rozmowy, proszę państwa o pytania!

– Czy Harry „Dirty” Stinger jest faktycznie wart każdych pieniędzy i czy tylko inspiruje, czy też kontroluje farmy trolli? – zapytał głos, który wcześniej mówił o różnicach między słowami *dear* i *expensive*.

– Chojna miał mówić... – pisnęła Julia Hulczyk. – Kim pan jest? – zapytała, chwytając za mikrofon z czerwoną kostką, na której widniał orzeł w koronie i napis Polska TV.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się, Jakub Andrzejewski z polskiej telewizji – odpowiedział chłopak, wyrywając z rąk rzeczniczki mikrofon. Zakotłowało się, obraz przechylił się, jakby kamera nie była na statywie czy ramieniu operatora, tylko na regatowej łódce. Za chwilę obraz z innej kamery pokazywał, jak straż wyciągała z kamery kabel i kartę pamięci.

– Straż marszałkowska skonfiskowała nasz sprzęt, ale na próżno, kamera była podłączona do naszego wozu transmisyjnego, a to, co się wydarzyło, widzieli państwo niemal na żywo, z kilkuminutowym opóźnieniem!

Ruszyła karuzela, wystąpienia opozycji, grzmiące głosy partii rządzącej mówiące o nielegalnym podsłuchu, prawnik tłumaczący z zapalem, że reporter nie kłamał, bo reprezentował polską telewizję i że podważanie tego, że jest Polakiem i pracuje dla polskiej stacji jest nie tylko śmieszne, ale i trąci zachowaniem o zabarwieniu rasistowskim. Zapanowało polityczne piekło na ziemi, czyli czasy urodzaju dla stacji newsowej. Wydawało się, że skandaliczna działalność Zdzisławy Dworzak osiągnęła apogeum. Godzilla prawicy przebiła sufit.

\* \* \*

„Godzilla jest tylko jedna” – pomyślał pan Kasai, przyglądając się z uwagą plakatowi, który reklamował pierwszy film z 1954 roku. Przybliżył się do antyramy, bo wydawało mu się, że dostrzegł jakąś

smugę. Na szczęście był to tylko świetlny refleks, pan Kasai obejrzał jednak pozostałe plakaty z filmów – *Godzilla kontra Hedorah*, *Terror Mechagodzilla* i *Ebirah, potwór z głębin*.

Klienci lubią te plakaty, jakiś pan powiedział, że dobrze byłoby jeszcze dodać plakat z *Pojedyńku potworów*. To, co prawda, film bez udziału Godzilli, ale także pochodzący z wytworni Toho.

Ten pan widział film, jak miał sześć lat, nie był siwy, żyli jeszcze wtedy jego rodzice i działało kino Sokół. Pan wyglądał na wzruszonego, pan Kasai również się wzruszył, bo Godzilla to przecież część jego życia, była przy nim od urodzenia. Był zadowolony, że nikt nie pytał o plakat z amerykańskiej Godzilli, bo ta nie była prawdziwa. Owszem była większa, stworzona cyfrowo, niedepcząca makiet, tylko komputerowe miasta, bez aktora wewnątrz kostiumu i bez duszy. Godzilla jest tylko jedna.

Na honorowym miejscu pan Kasai zawiesił zdjęcie z ceremonii przyznania obywatelstwa Japonii. Czy Polacy mają swojego potwora, którego tak kochają? Lepiej ich nie pytać, bo będą wymieniać polityków.

# Rozdział 10

*Jeżeli nam zabraknie sił  
jeżeli nam zabraknie sił  
zostaną jeszcze morze i wiatr  
zostaną jeszcze morze i wiatr  
nadejdzie nasz czas  
nadejdzie nasz czas[20]*

## EIGHTIES

Czy ktoś od razu słucha punka albo metalu, czy od razu można się zanurzyć w zimnej fali? To ewolucja. Najpierw słuchasz ABBY, bo wygrywa Eurowizję, bo Agnetha i Frida mają fajne ciuchy i fajnych facetów, bo płyta *Waterloo* wyszła w Polsce i jest w każdym domu, bo przyjechali do Studia 2 i w ogóle wszyscy marzą o Szwecji. Trzy Korony, Pippi Langstrumpf, volvo nie takie fajne jak mercedes, ale jednak zagraniczny samochód, *Dzieci z Bullerbyn* i Karlsson z dachu.

A później zabili Lennona i się zrobiła moda na Beatlesów, hippisów, bo grano film „Hair”, a potem na Elektryków, Electric Light Orchestra znaczy się, Budkę Suflera, Trojanowską, Muzykę Młodej Generacji, Maanam z Korą, Kiss i punk. Później okazało się, że Kiss to nie punk, że jest jeszcze reggae, ACe-Piorun-DeCe, że w ucho wchodzi ostre rzeczy, a w stanie wojennym wychodzi Brygada Kryzys. Płyta jest, ale zespołu nie ma, koncerty grają inni, taki na przykład Tangerine Dream czy Classix Nouveaux, ale to nie jest to, w szkole, w plastyku, do którego poszła, jest kapela Patologia.

Lider śpiewa i gra na basie, ma czarne włosy, cały na czarno się ubiera, jest jak Robert Smith z The Cure i Suzi natychmiast się w nim zakochała. Beznadziejnie się zakochała, bo ona chodziła do

pierwszej, a on do przedostatniej, czwartej klasy. Przedostatniej, bo plastyk był pięcioletni.

\* \* \*

Black skończył plastyka i został studentem ASP. Początek był obiecujący, zachłysnął się tym studiowaniem, a później zaczęli sypać w tryby piach. Nie tylko skakał z zespołu do zespołu, ale projektował też okładki płyt, które nigdy nie zostały nagrane i wydane, malował plakaty i koszulki. W środowisku był za to szanowany, ale profesorowie z Akademii Sztuk Pięknych uważali inaczej, a Black nie miał ochoty ich słuchać. Uważał, że umie już wszystko, że wystarczy mu to, czego nauczył się w liceum plastycznym.

Nie było szans, wyleją go, miał to jak w banku. Podczas drugiego semestru odpuścił sobie, złapał doła, nic nie szło, a przez kłopoty na studiach rzucił granie. Za to zaczął trochę dawać w organizm, rozluźniał się, było miło, otworzyły się nowe perspektywy. Punkt zwrotny nastąpił na jakiejś imprezie czy performansie w Dziekance. Tam poznał gościa, który grał na klawiszach. Wydawał mu się lamusem, ale jak zapodali dżojncika, zrobiło się sympatycznie, a typ okazał się muzycznie elastyczny.

Do tego miał dostęp do sali. Pracował w „Małym Franku”, szmalownym domu kultury, zaprosił, żeby się pochwalić. Niezła fucha! Miał tam do dyspozycji wszystko, co trzeba, nie przepracowywał się, ćwiczył i w sumie nieźle grał. A nawet bardzo dobrze, miał dużo czasu i szukał wokalisty. Spróbowali klawisze, automat perkusyjny i bas z syntezatora. I oczywiście jego śpiew. Nie do końca wiedzieli, co mają grać, trochę kowerowali, improwizowali, Black śpiewał po norwesku[21] i całkiem nieźle to brzmiało, dość obiecująco. Dlatego zaczęli szukać sekcji. Miał bas, więc dał ogłoszenie, że chce sprzedać, może się trafi tak, że ten, co go kupi, będzie z nimi grał.

## 2020

Andrzej Czerwiński, który był miłośnikiem dobrej whisky, wstał z fotela i podszedł do barku, dolał do szklanki bursztynowego płynu i po chwili zawahania dodał dwie kostki lodu. Niby to single malt, ale nie bądźmy tacy ortodoksyjni, przecież nie leje coli! Parę lat na stanowisku attaché kulturalnego uczyniło z niego specjalistę od savoir vivre'u i whisky, zresztą zawsze był w tych sprawach do przodu, choć potrafił przypierdolić, to jednak potrafił też mieć klasę.

Dla każdego miał coś odpowiedniego, dlatego nie wahał się nazywać Zdzisławy Dworzak „Godzillą”. Była potworem i to skończonym. Tym występem na dobre zakończyła panowanie, cholerna smoczyca! Teraz on i jej towarzystwo będą w niełasce, nie są na tyle bezczelni i tak głupi, żeby teraz fikać. Nie po takiej wpadce!

\* \* \*

Misiewicz i Nowa, bo Wojtek uważał, że nie należy się do niej zbyt przywiązywać, stąd będzie ją nazywał po prostu Nową, żywo dyskutowali nad spodziewanym upadkiem Godzilli. Gdyby Dworzak była działaczką obrony praw zwierząt, feministką albo choćby zwolenniczką żeńskich końcówek, to pewnie Nowa, nie bacząc na to, że Łysa Pała jest redaktorem, a ona tylko stażystką, i to połowę od niego młodszą, pouczyłaby go, że nie można tak mówić o kobietach. Grillowali więc wspólnie Godzillę Dworzak, jakby byli na pikniku, a kiedy już zwęglili ją doszczętnie, Misiewicz przypomniał sobie o istnieniu Wojtka.

– No dobrze, a co na froncie?

– Białkowski jest w zagranicznym studio, miksuje, mają się do mnie odezwać po weekendzie... *work in progress!* – Wojtek chciał wypaść na młodego i dziarskiego, niezwykle kompetentnego reportera, ale chyba nie wypadł.

Misiewicz popatrzył na niego i ze słodkim uśmiechem zapytał:

– Oczywiście tyle w sprawie Białkowskiego, a reszta?

– Jeszcze nie zacząłem... – Już nie był dziarskim i kompetentnym. Był już tylko młodym i nierokującym.

Zapanowała krępująca cisza, Wojtek miał nadzieję, że stanie się cud i rozlegnie się alarm przeciwpożarowy, bo była to chyba ostatnia szansa na wyjście z twarzą z tej sytuacji.

– Słucham?

– A ja nawiązałam kontakt ze zmarłymi – wyrwała się Nowa. – To znaczy wiem, gdzie jest pochowany ten chłopak, który skoczył z bloku. Cmentarz Północny, mam numer kwatery. Znalazłam też w sieci artykuł sprzed prawie dwudziestu lat, jest wywiad z jego nieżyjącym już ojcem, mówił w nim wprost: „Zabili mi syna”. Posądzał o to kolegę z zespołu, gitarzystę.

– N...no dobrze. – Łysa Pała była zadowolona, jakby rząd wprowadził program glaca+, czyli zimowy dodatek na czapki dla takich jak Michał Misiewicz.

– Znalazłam tego dziennikarza, który rozmawiał z ojcem Blacka, byłego dziennikarza, bo teraz prowadzi pub i ma dwa kioski na giełdzie elektronicznej przy ulicy Wolumen.

– Na Peraku... Misiewicz się zamyślił.

– Na Peraku?

– Tak się kiedyś mówiło na to miejsce, Jarmark Perski, było tam w niedzielę wszystko, mydło i powidło, elektronika, jeansy, psy i koty, płyty, elektronika. Z Persji to tam chyba niewiele było, raczej cuda z Zachodu oraz Dalekiego Wschodu. Gdzie wyszukałaś tego faceta?

– W sieci – powiedziała to takim tonem, jakby można było to wszystko znaleźć ot tak, od ręki.

Pieprzona Lisbeth Salander, zaraz zhakuje cały świat, dowie się wszystkiego i okaże się, że on, Wojtek, jest już niepotrzebny. Czuł się źle, więc była w nim taka pokusa, żeby to się ziściło, żeby Misiewicz kazał mu iść do domu, nawet jeśli to oznaczało, że raz na zawsze.

– Pojedźcie do ojca Solskiego – powiedział Misiewicz.

– Czyjego ojca? – wyrwał się Wojtek.



– Do tego ojca, co pracuje dla matki Boska. Kapujesz? – Misiewicz starał się nie irytować, ale wyszło mu średnio.

– Nie bardzo.

– Franciszek Solski, mówi ci to coś? Oglądasz czasem telewizję?

– Przecież sam pan kiedyś powiedział, że nie ogląda telewizji, bo się skończyła i z ekranu leci słodkie gówno i tandeta.

– Tak mówiłem. – Westchnął ciężko, jakby wypuszczał powietrze nie z płuc, tylko z kowalskich miechów. – Tylko ty nie potrafisz słuchać. Mówiłem, że nie oglądam dla przyjemności! Oczywiście zdarzają się wyjątki, są dobre rzeczy, na przykład ty pracujesz przy porządnej sztuce, kumasz?

– No kumam – przyznał niechętnie. – Więc o co chodzi z tym ojcem Solskiego, to ojciec jakiegoś poległego muzyka?

– Nie, kurwa, to twój ojciec. – Misiek, widząc wybałuszony wzrok Wojtka, szybko dodał: – Twój ojciec, jeśli jesteś katolikiem, bo to jest zakonnik, trąbo jerychońska! A on pracuje dla Matki Boskiej. Nie znasz tego dowcipu, że w odwiedzinach do jednostki wojskowej przyjechała matka szeregowego Boska?

Kiedy Wojtek przeżuwał w myślach koszarowy dowcip Misiewicza, Nowa wystrzeliła.

– To znany klecha!

Misiek nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, co gorsze: piękna, nadęta lalka, której się wydaje, że jest już gwiazdą i że „jej się należy”, czy charakterna, pracowita i pewnie uparta jak osioł kandydatka na szefową Kongresu Kobiet? Nie! Źle ją ocenił, bo za osła wydrapałaby mu oczy.

„Uparta jak oślica” – taka była dopuszczalna, a może nawet i pożądana forma, poprawił się w duchu Misiewicz. Bo jak eko i wege, to i osioł jest git! Bo przecież wszystkie zwierzęta są cool – świnię są piękne, osły cierpliwe, a kury inteligentne, tylko je człowiek ogranicza. Za to Kongres Kobiet to pewnie obciach, raczej naczelniczka komanda feministycznego, liderka Żelaznych Wagin.

Skąd mu te Żelazne Waginy przyszły do głowy? Aha, z Pożaru w Burdelu, najlepszego polskiego kabaretu, który skończył się, biorąc udział w telewizyjnym show. Skończyli się na glamourowej

antenie jak piłkarze Krychowiak w PSG i Piątek w Milanie, no ale kto by nie spróbował?

– To który miał bana od Kurii? – zapytała Jaga.

– Tak, Kuria-Skłodowska dała mu bana, ale tylko na jakiś czas i nie usunęła ze znajomych – podsumował Misiek. – A on dla zmylenia wszystkich załatwił sobie nowy adres IP.

Jaga uśmiechała się, a Wojtek nawet nie próbował tego zrozumieć. Wolał czekać, aż Misiewicz wszystko wyjaśni, przyzwyczał się już do tych piętrowych, szkatułkowych dowcipów dla koneserów ze świata zmurszałych starców. Łysa Pała obesza redakcję dookoła i wskazała na Wojtka palcem:

– Czy w szkole też się tak opierdalałeś? Znow nie rozumiesz, o co chodzi! Nie patrz tak na mnie, jakbym ci rodzinę harmonią zabił, tylko, kurwa, działaj! Jesteś przyspawany do tego swojego smartfona, którego kupiłeś za ciężką kasę, a wykorzystujesz go tylko do paplaniny i pierdół! Przez ten czas mogłeś tymi szybkimi paluszkami wystukać w wujku Googlu hasło „ksiądz Franciszek Solski” i wtedy by ci wyskoczyło, co trzeba. Co ty, kurwa, robisz!

– Szukam....

– Szukać trzeba było wcześniej, tu się, kurwa, liczy refleks!

– Czy tu są jakieś związki zawodowe? – zapytała Jaga. Ona chyba nie żartowała.

– Tak, owszem, dać, księżniczce, adres? Szukaj ich w pośredniaku! Zanim zdążyli się zawiązać już szukali roboty, a tu widzę, że pani stażystka idzie na rekord! Jeszcze nie zaczęła pracować, a już jest za bramą!

– Ja to opiszę! – powiedziała z werwą.

– A to już jest kompletna głupota! – Misiek z politowaniem pokręcił głową.

– Słucham?! – Podeszła do niego i była zła jak Beatrix Kiddo, którą w *Kill Billu* grała Uma Thurman.

– Głupota, moja droga! Bo takie rzeczy, to się woła, jak się jest już za bramą, a jak jest się w środku, to się zaciska zęby, orze, skamle, a wszystko po to, żeby jak najdłużej się utrzymać! A po co? Żeby

dokładnie opisać przypadki mobbingu, chamstwa i kapitalistycznego wyzysku. Czy to jest, kurwa, logiczne?

– No raczej – wypadło z Wojtka, a Beatrix Kiddo popatrzyła na niego, jakby miała za chwilę wyciągnąć samurajski miecz i odrąbać mu głowę. – No co się tak patrzysz? Ma rację! Nie można zrobić dobrego materiału na podstawie paru godzin spędzonych w redakcji.

– Młody w końcu powiedział coś z sensem. – Misiewicz parsknął śmiechem. – A teraz słuchaj, moja panno, robimy opcję zero, ty słuchasz, ufasz mi, i nie dlatego, że to jest poniżające działanie starego, tłustego i łysego samca, bo nie o seksizm i ejdżyzm tu chodzi. Pracuję w mediach tak długo, jak ty żyjesz. Wyrzucano mnie drzwiami, wracałem oknem, odchodziłem, a oni kupowali mnie, żebym znów był ich, poniewierali i nagradzali. Mam doświadczenie i parę prostych umiejętności, których nie można nauczyć się w szkole. Można w życiu, ale to zajmuje dużo czasu i per saldo boli jeszcze bardziej. Miej to za sobą, albo łykniesz, o co chodzi, albo się obrócisz na pięcie, pójdiesz w długą i zainteresujesz jakiś lewacki portal albo słuszną telewizję reportażem wcieleniowym: „byłam dziennikarską niewolnicą” albo „mobbingował mnie ohydny mizogin”. No to jak, wóz albo przewóz, zegnamy się, czy witamy, hę? – zapytał Misiek i wyciągnął dłoń do Agaty.

– Witamy się – powiedziała po dłuższym namyśle, ale na jej twarzy nie było jakiegoś entuzjazmu.

– Jestem uczciwy, tylko tyle i aż tyle, nie musicie mnie lubić, jeszcze nieraz będę waszym sennym koszmarem i nie będę pieprzył, że to dla waszego dobra. To dla dobra programu. Jest dobry program, to są zyski dla wszystkich.

– Wirtualne – bąknął Wojtek.

Misiewicz westchnął tak głęboko, jakby był jakimś wielkim ssakiem, wielorybem albo przynajmniej słoniem.

– Płaciłeś za studia?

– No płaciłem.

– A za ten staż płacisz?

– Nie.

– To chwała Bogu, są redakcje, gdzie się płaci i na koniec rodzina ogląda materiał w dziale z Michałkami, albo dają artykuł, który namaszczają wszyscy święci, a reszta toczy bekę. Cała rodzina puchnie z dumy, a absolwent dziennikarskiej akademii umiejętności trafia ze świstkiem, o pardon, dyplomem na wolny rynek, który mu uprzejmie dziękuje. Przynajmniej nic nie tracisz, a możesz zyskać, i to więcej niż na studiach dziennikarskich. Rynek jest zepsuty, bo rodzice takich jak ty płacą za studia, które nic nie dają. Nadprodukcja jest, czaisz? Całe szczęście, że nie poszedłeś na pełen pięcioletni program. Rodzina buliłaby za kolejne dwa lata, a tak jesteś tu i albo coś z ciebie będzie, albo będę rekomendował zmianę zawodu. – Słowo „rekomendował” Misiek wypowiedział z jakąś perwersyjną przyjemnością. – Jestem cyniczną, Łysą Pałą, ale uczciwą!

A teraz słuchajcie, jutro o dziesiątej macie być z kamerą w domu Franka Solskiego. Wielebny zaraz po joggingu zapodaje poranną mszę, to będzie rozluźniony winem i porwany energią słuchaczy. Jego eventy są całkiem spoko, to są niezłe spicze. No to co? Na dzisiaj koniec, bo jutro przechodzimy do zajęć praktycznych. Kierownik produkcji umówił operatora z samochodem na dziewiątą, wyjazd o wpół do dziesiątej. Pomoc artyście, który będzie zarządzał obrazem, mile widziana, to dobry, telewizyjny obyczaj, zwłaszcza jak się jeszcze nie ma Telekamery albo Pulitzera.

\* \* \*

Joanna odczytała esemesa od Miśka, szło nie za szybko, ale pojawiły się ciekawe wątki. Ojciec wokalisty uważał, że chłopak nie popełnił samobójstwa, tylko został zamordowany. Z jednej strony pociągające, nakręcające tempo, ale z drugiej... przecież nie chodziło jej o sensację. To miał być portret pokolenia, a nie kolejne „997”.

Fajnie, że będzie Franek Solski, czyli ktoś z zupełnie innego świata. Był jednym z dyżurnych kościelnych ekspertów zapraszanych do telewizji, miał nawet własny program, aż w końcu Kościół uznał, że

spełnia się w roli komentatora za uczciwie. Nie potrzebowali prawdy tylko PR-u, najpierw dostał zakaz, później ewakuował się na kilka lat do Afryki. Zrobił tam sporo filmów i chciał wrócić, by pokazać katolickiej Polsce, na czym może polegać chrześcijańskie miłosierdzie. Występ w jej programie będzie jego pierwszą telewizyjną rozmową po powrocie z misji.

\* \* \*

Niedziela wieczorem to był szczególny czas. Lokal wcześniej, bo i tak robiło się pusto. Ekipa zajmowała się restauracją, a pan Kasai jechał na domową kolację. Każdej niedzieli przygotowywała go jego polska rodzina. Tak, miał tu rodzinę! Uwielbiał ten wieczór, niespodzianki, które dla niego szykowali. Niedziela dla rodziny, a sobota... W soboty jeździł na Sienkiewicza, żeby zrelaksować się po najcięższym dniu pracy.

Prowadził cudownie uporządkowane życie – biznes, rodzina, przyjemności. Tu nie tylko nie był burakuminem, on tu żył jak ktoś wyżej postawiony, nie mając nad sobą żadnego szefa. Zapominał czasem o tym, ale szybko jakiś mail lub telefon przypominały mu, że nie do końca zerwał więzi z Japonią. Czasem marzył, że ma to już za sobą, że zamknął za sobą drzwi, ale telefon, który zadzwonił przed chwilą, przypomniał o wszystkim, o czym chciał zapomnieć. Wiedział, że dzisiaj nie zdążył na Sienkiewicza. Chyba nie zdąży. A co jeszcze straci? Tego nie wiedział.

---

20 *Jeżeli*, wyk. Armia, śl. i muz. Tomasz Budzyński.

21 Śpiewać po norwesku – wymyślać własne słowa na bazie angielskich wyrazów.

# Rozdział 11

*Zacząłem uczyć się grać na gitarze  
Wiadomo, co mogło być kolejnym krokiem  
Zajarałem mocno się punk rockiem[22]*

## EIGHTIES

Nie masz ojca, bo się wyprowadził parę lat temu do młodej dupy, w sumie nic dziwnego, bo tylko święty by wytrzymał z matką, nie masz dobrej gitary, nie dostałeś się na studia, chodzisz do studium księgarskiego i chociaż mówili, że się będziesz czuł się jak sułtan w haremie, to tym razem na roku trafiło się wyjątkowo dużo chłopaków i wyjątkowo słabe dziewczyny. Ale nie masz wyboru, musisz to odbębnić, żeby cię nie zgarnęli do woja. I nie masz telefonu, bo mało kto ma telefon. W ich bloku linię mieli tylko milicjant, lekarz, Pietrasiakowie, którzy podobno mieli kogoś w Ministerstwie Łączności, no i Stefańscy. Stefańscy wszystko mieli, bo byli prywaciarzami, mieli willę w Łomiankach, ale wyprowadzili się, bo cała była zastawiona maszynami.

To tak jak w tym filmie z Louisem de Funèsem, *Panowie, dbajcie o żony*, czy jakoś tak. Pazerak, którego grał de Funès, nie miał papierów na rozbudowanie fabryki, więc przeniósł produkcję do domu. Tak samo było ze Stefańskimi. Napieprzali na wtryskarce gumowe smerfy, malowali, pakowali i opylali po bazarach i sklepach. On jeździł mercedesem beczką, ona mirafiori, mieli złote łańcuszki, kozuchy, futra i mieszkali u teściowej. Skąd stara miała nadmetraż? Albo było to mieszkanie z puli za dolary, albo posmarowali w spółdzielni. Na pewno posmarowali za założenie telefonu.

Clash też mógł posmarować, ale bułkę. Margaryną Palma mógł posmarować. Matka sprzedała kartki na masło, bo nie starczało na opiekę nad babcią. Wszystko nie tak! Bez telefonu musiał chodzić na Nowy Świat i wystawać pod tą ogłoszeniową ścianą płaczu jak kurwa pod latarnią i czekać. Dziś się doczekał, przyszedł koleś ubrany jak trzeba. Wąskie, czarne spodnie z wywiniętymi nogawkami, czarne buty, czarny golf i farbowane na czarno włosy. Pod pachą miał wielką teczkę, taką, jaką nosili uczniowie plastyka i studenci ASP. Wyglądał bardziej na studenta, był starszy. Niewiele, ale starszy. Zmierzyli się wzrokiem.

– Ty jesteś Clash?

– Tak.

– Black – przedstawił się. – Mówisz, że potrafisz grać na gitarze?

– A ty masz grupę?

– Z klawiszowcem się spiknąłem. Sam grasz czy z kimś?

– Mam składzik, to znaczy z perkusistą jedziemy.

– Dobry jest?

– No dość.

Black zlustrował wzrokiem Clasha, dość obciachowo wyglądał, trochę jak punk z PGR-u.

– Co gracie? – Podejrzewał, że może usłyszeć: „pod Perfect i TSA gramy, a z zachodnich to *Hotel California* The Eagles”. I takich „załogantów” spotykał.

– Nowa fala, ale żadne tam *I znowu ktoś przestawił kamienie* – gitarzysta załkał, parodiując numer grupy Variété. – Agresywniej, jak Killing Joke. No i The Clash, ale żeby ich grać, to druga gitara potrzebna. Tak w ogóle, to mów mi Clash.

– To dobrze, Killing Joke! A do tego bas jak w New Order, perkusja podobnie, trochę Kraftwerku i... – Black jakby ugryzł się w język – mocna gitara.

– Jak w The Exploited?

– Dokładnie, pasuje?

– Pasuje.

– A dasz radę?

– Nie wiem, czy wy dacie.

– My dajemy, gitarzyści nie dawali rady, dlatego szukam. Dobrze, że jest bębniarz.

– My też szukamy, więc może się znaleźliśmy.

– Może...

Umówili się na próbę, Clash zapisał adres na kartce papieru, spalili po papierosie i się rozstali. Jutro się okaże.

## 2020

Artur minął Janki. Nawigacja pokazywała, że będzie około szóstej. I wcale nie zabarłóżył. Mieli jechać razem, ale sprawa nie zamknęła się ekspresowo. Nigdy się nie zamyka, takie rzeczy tylko w filmach. Po drugie matka. Zaczęła wydzwaniać, że ojciec i tak dalej. Gdyby we wszystko wierzył, to już dawno byłoby po wszystkim i do Szczytna jeździłby nie na rodzinne obiady, tylko na cmentarz, żeby zapalić znicz na grobie inspektora Koniecznego. Matka przesadzała, stary był w znakomitej kondycji, ale lubiła wszczynać panikę, by się z nim zobaczyć. Dziwnym trafem zawsze wtedy, kiedy wypadało mu coś z Joanną. Zaliczył pasjonujący wyjazd do rodziców, miał odpocząć i ruszyć nocą pod Tatry. I wtedy zadzwonił Patryk.

– Halo, tato, przyjeżdżam!

Panicz raczył poinformować ojca, że leci z Londynu. Tam studiował i do niedawna mieszkał u matki, z którą Artur rozwiódł się siedem lat temu. Po rozwodzie Patryk wybrał mieszkanie z nim, a nie z matką i ojczymem, bo nie polubił „wujka”. Tłusty, *succesfull* korporoszczur, który wypłynął z Naszej Klasy jak z kanału i zabrał Arturowi żonę. Ale nie zabrał syna. Może więc nie powinien go nienawidzić, bo tamten związek z młodzieńczego, szalonego romansu stał się niedojrzałym, szalonym małżeństwem, które nie przetrwało próby czasu.

Nasza Klasa zdechła, umarł król, niech żyje Facebook, ale tamci dalej byli razem. A on od siedmiu lat z Joanną, którą poznał, kiedy



prowadził sprawę zabójstwa jej sąsiada, piłkarza Dawida Błochowiaka.

– I za to powinieneś go szanować – zaczął mu kiedyś klarować Wiśnia. – Ten dzielny dupek zabrał złą kobietę, którą wymieniłeś na lepszą. Nie masz teraz narzekania i fochów, masz za to w łóżku gwiazdę telewizji, która nie jest lalką z porcelany, tylko fajną laską z jajami. Chłopaku, ty po prostu zacząłeś nowe życie! Ty mu flaszkę raz do roku stawiaj, kwiaty posyłaj, życzenia na urodziny składaj. Wiesz, kiedy ma urodziny?

– Pierdol się – Artur odpowiedział kumplowi ze słodkim uśmiechem.

– A ja chciałem być miły!

A teraz on się starał, nie z przymusu, bo kochał syna. Ucieszył się, oczywiście odebrał go z Okęcia i zawiózł do byłych teściów i tak oto jechał do Joanny, łapiąc na starcie wielogodzinne spóźnienie.

\* \* \*

Wojtek wyspał się konkretnie i wypoczęty, choć bez entuzjazmu, ruszył do pracy. Kiedyś ktoś mu powiedział, że roboty zawsze jest za mało albo za dużo. A tak dokładnie, to albo nie ma jej wcale, albo cię przytłacza. I tak źle, i tak niedobrze.

Poczytał trochę o tym księdzu, że dziennikarz i publicysta, że otrzymał jakąś Złotą Antenę czy inny Brylantowy Monitor za telewizyjną osobowość roku, że jak mu biskupi zaczęli robić jesień średniowiecza i nasyłać inkwizytorów, to najpierw zmienił diecezję, a później wyjechał na misję do Afryki. W sumie ciekawy gość, wśród czarnych też są ciekawe typy.

Z Nową będzie inaczej, miała w chuj energii, wrywała się, była przebojowa i zaorze go w lewo i prawo. Nie miał wewnętrznej siły, by stawić temu czoła, może to wciąż efekt melanżu? Po przyjeździe do redakcji nastrój mu się nie poprawił, był o kwadrans przed czasem, ale i tak ją zastał. Była jak sprinter w blokach, który trenuje start. Wstawiała i chodziła, znowu siadała. Zaglądała do komputera,

wierciła się, sto procent ADHD. Od czasu do czasu zaglądała do swojego plecaka, było w niej coś irytującego, ale i coś, co kazało się Wojtkowi w nią wgapiać.

– Coś chciałeś?

– Szukam długopisu.

– W kubku są, poskładałam je, bo były porozwalane.

Poukładana wiewióra, pracowita, przebojowa, niezatapialna.

\* \* \*

Zośka i Maria nie wiedziały, co robić. Lokal miał być otwarty jak zwykle w południe, a tu niespodzianka. Ani pana Kasai, ani żadnego z kucharzy, Myung-bo i Bum-kuna. Przychodzili z niebywałą dokładnością i regularnością, byli jak maszyny, zwłaszcza główny szef, a dzisiaj... Nie było ich kwadrans, a to już było jak wieczność.

Zadzwończyły. Raz, dwa i trzy – telefon do kucharzy, telefon do pana Kasai. I nic, a czas płynął. Pół godziny opóźnienia wywołało niepokój, ale nadal nie miały z nimi łączności.

Po godzinie zadzwoniły na policję. Odnotowali zgłoszenie, ale nie wzięli tego na poważnie i nikt nie przyjechał. Bo dlaczego ktoś miał przyjechać? Że szef się spóźnił do pracy godzinę? Kiedyś można było zadzwonić do szpitala, ale teraz było RODO. Próbowwały, tak na okrągło, pytały, czy nie przywieziono Japończyków.

I nic. A coś się przecież musiało stać, bo byli do tej pory jak cyborgi. Była jedenasta, kiedy zaczęły się martwić na całego, bo zbliżała się godzina otwarcia, co wtedy zrobić? Siedziały w sąsiedniej kawiarni i patrzyły przez witrynę, może przyjdą? Nie przyszli. Pojawili się pierwsi klienci, ciągnęli za drzwi, pukali, zaglądali do środka. Postanowiły zatem stać przed restauracją i informować.

Stały na zmianę, bo było zimo, a od trzeciej z Galiną, bo ona przychodziła dziś na późniejszą godzinę. W końcu postanowiły powiesić kartkę, wtedy podszedł wysoki mężczyzna, dość przystojny, chyba prawnik, bo to był stały klient i miał coś wspólnego z prawem

i sądami. Zaczął się rozpytywać, zainteresował się sytuacją i w końcu powiedział:

– Jestem prokuratorem, policja musi się zająć tą sprawą.

Podziękowały mu i poszły do kawiarni. Może się doczekają, a może ten prokurator naciśnie policję, a ona znajdzie pana Kasai i kucharzy? Ale czy jak ich znajdzie, to czy będą mogli od razu przyjść? Co się stało?

– Może mieli wypadek – zastanawiała się Zośka.

– Może ktoś ich zabił, to się i u was, i u nas, na Ukrainie, zdarza.

– A może zwiali z pieniędzmi, to i w Polsce, i na Ukrainie, i na całym świecie się zdarza – szepnęła Galina.

– Narkotyki?

– Przekręt?

– Bankructwo?

– Czy Yoyogi Park będzie jeszcze działać? Co z nami będzie?

Pracowały ciężko, kokosów nie było, ale klienci odwdzięczali się im jak trzeba, mimo że Japończycy chcieli to na początku ukrócić. Potem pogodzili się z tym, a kucharze odkryli, że dobrze mieć swoją działkę z napiwków. A dzisiaj nie będzie dniówki, a nawet jak będzie, to i tak nici z napiwków, a to one robiły im kasę. Co teraz będzie?

\* \* \*

Zjazd na obwodnicę Radomia. Telefon. Karski. Wal się, Melex! Mam dzisiaj wolne, a prywatnie nie mam przyjemności. Zwolnił, bo jechała drogówka cywilnym autem. Kiedyś się dawało dogadać, a dzisiaj... Dzisiaj najczęściej były punkty, bo ciężko było się pozbyć materiału z kamery.

\* \* \*

Artur musiał wyłączyć telefon albo zrzucić Karskiego, bo to jasne, że zadzwoniłby najpierw do niego. Wiśnia niechętnie patrzył na zieloną ikonkę na smartfonie, bo nie był wyjechany, ale był

w pogotowiu, nie to co zasrani posłowie, którym zawsze coś wypadło. Na to cało stado sześćdziesiąt parę nieobecności, takie rzeczy wychodziły tylko przy grubszych głosowaniach. Co oni, kurwa, wiedzą o służbie, o tym, co mają na głowie lekarze, kierowcy, kolejarze, wojsko i policja. „Chuj z nimi” – pomyślał i odebrał. I zdębiał. Otóż Melex chciał interwencji w sprawie knajpy! Przyszedł do swojej ulubionej suszarni, a ta była zamknięta, bo trzech samurajów nie stawiało się do pracy! To nawet poprawiło nastrój Wiśni, bo zawsze to miło dowiedzieć się, że nie tylko sejmowi prymusi chodzą na wagary.

– Może pojechali na wakacje, panie prokuratorze! – wypalił bez zastanowienia. – Przecież pan wie, że nie było formalnego zgłoszenia o zaginięciu, a nawet jakby było, to trzeba zaszeregować tych Japończyków do którejś z trzech kategorii poszukiwanych, bo pewnie pan prokurator pamięta, że trzy kategorie mamy: pierwszą, osoby, co do których istnieje podejrzenie, że zagrożone jest ich życie, zdrowie lub wolność. Drugą, która się dotyczy ludzi, którzy okazywali niezadowolenie z sytuacji życiowej lub zamiar jej zmiany, no i trzecią, do której zaliczają się osoby małoletnie wielokrotnie uciekające z domu lub ośrodka, no i takie, co do których zachodzi podejrzenie, że są zagrożone porwaniem rodzicielskim. Ten cały pan Kasai i jego kuchciki nie łapią się do żadnej z kategorii. No pod jedyneką jest jeszcze zmuszanie do prostytucji, ale chyba nie sądzi pan, że byli jacyś amatorzy, żeby ich porwać i zniewolić jak jakieś gejsze?

– Jest jeszcze samobójstwo, nieprawdaż? – powiedział Karski.

– No tak, w końcu to Japończycy, więc mogą sobie strzelić seppuku albo, co gorsza, zrobić coś innego z ich folkloru, na przykład kamikadze.

– Proszę sobie nie żartować.

– Analizuję sytuację. – Wiśnia miał już na końcu języka, że w związku z tym i całą starannością, z jaką podchodzi do sprawy, obdzwoni lotniska z zapytaniem, czy nie skradziono samolotu, jakby zginęły trzy, to oznaczałoby, że planują skoordynowany atak. Zamiast tego powiedział: – Skoro sytuacja wydaje się panu poważna,

skoro są przesłanki, to proszę to zgłosić albo powiedzieć tym laskom, żeby to zrobiły. Ale osobiście. No przecież dyżurny nie może tego przyjąć przez telefon, tak jak ja teraz od pana, a pan pewnie i tak nie zgłosi tak na biegu, bo nie sądzę, że pan zna wszystkie regulaminowe personalia.

Oczywiście, że nie znał. Wiedział tylko, że szef knajpy nazywa się Kasai i zatrudnia dwóch kucharzy. Z imienia znał tylko kelnerki, Polkę Zosię i Ukrainkę Marię oraz pomoc kuchenną, kolejną Ukrainkę, Galę, która też czasem pokazywała się na sali. Bo były ładne, a prokurator starał się znać personalia wszystkich ładnych kobiet. Miał nawet numer telefonu do jednej z nich... Ech, zagalopował się, bo sądził, że Konieczny i Wiśniewski coś zrobią, tymczasem jednego nie było pod telefonem, a drugi skutecznie i niestety regulaminowo go szachował.

Wiśnia zdecydowanie nie zapunktował u prokuratora Karskiego, ale to już wyłącznie wina Artura, jakby nie wyjeżdżał, jakby odbierał, toby to lepiej rozegrał.

\* \* \*

Przyszła Łysa Pała, zabrała ich ze sobą do magazynu, przedstawiła operatorowi, spakowali więc graty i pojechali do Solskiego. Misiewicz i operator przywitani się z księdzem, jakby spędzili ze sobą parę pielgrzymkowych sezonów. Za to Nowa była oschła, zdystansowana. Operator ustawiał światło, ksiądz opowiadał o Afryce, a łysol sprzedawał mu różne historyjki z telewizji. W końcu wszystko było gotowe i Misiewicz zarządził – państwo młodzi pytają wielebny, proszę! Wojtek wrywał się pierwszy:

– Ulubiony zespół z lat osiemdziesiątych, była taka kapela?

Ksiądz zaczął się śmiać, Misiewicz do niego dołączył, jakby to miało być coś cholernie zabawnego.

– Wiemy, że Corpus Christi, ale czy mógłby pan – Nowa położyła wyraźny nacisk na słowo pan – odpowiedzieć tak, żeby na początku zdania padła jego nazwa, będzie łatwiej zmontować.

Wojtek czuł się wypunktowany, poczytał o nim, a tu jakaś kapela, o której nic nie wiedział.

– Okej, okej. – Solski się zaśmiał. – Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze pamięta tę nazwę, a zatem zaczynamy. – Klasnął dłońmi, jakby robił filmowy klaps: – Corpus Christi... Byliśmy trendsetterami, łoiłiśmy w imię Pana. – Ojciec Franek zrobił przeproszącą minę i pomachał w kierunku kamery. – To się wytnie, okej? I tak miałem zakaz występów w mediach, więc wolę nie przesadzać, pojedę od początku.

Przekręcił się na krześle, jakby chciał podkreślić, że zaczyna nową kwestię, odchrząknął, znów zrobił klapsa i zaczął mówić:

– Corpus Christi to był, powiem nieskromnie, pionierski projekt. W 1983 roku uznałem, że punkowa i metalowa muzyka to doskonały środek wyrazu, silny, ekspresyjny, w sam raz do głoszenia Ewangelii. Byłem zbuntowany, chciałem głosić Słowo Boże sam, poza Kościołem, chciałem być anarchistycznym kapłanem ulicy. Założyłem grupę, nazwałem ją Corpus Christi i zacząłem śpiewać psalmy. Robił to wcześniej Izrael Roberta Brylewskiego, ale były one podane w łagodnej formie, a my graliśmy muzykę z pogranicza metalu i punka. Zaskoczenie było totalne, myślano, że to prowokacja, że tak jak Dezterter i inni wykonawcy kontestowali system, śpiewając piosenki i wiersze z czasów stalinowskich, tak my pogrywamy z Panem Bogiem. A nie pogrywaliśmy. Corpus Christi rozwiązał się, bo za wcześnie było na taką ewangelizację, teraz to co innego, są wykonawcy, festiwale, publiczność, cały ruch CCM, Contemporary Christian Music... Poza tym, mówiąc zupełnie wprost, nie miałem wystarczającego talentu. To wszystko.

– A jak ksiądz skomentuje te słowa – Misiek wyciągnął gęsto zadrukowaną kartkę – „W Kościele łacińskim organy piszczałkowe należy mieć w wielkim poszanowaniu jako tradycyjny instrument muzyczny, którego brzmienie potęguje wzniosłość kościelnych obrzędów, a umysły wiernych porywa ku Bogu i rzeczywistości nadziemskiej”. – W tym miejscu Misiek przeskoczył z tekstu biskupiego na swój własny: – Przeto dążyć trzeba do budowania organów piszczałkowych, a organy inne niż piszczałkowe, diabelskie Hammondy, Korgi, Casio i inne klawisze wyklęte niech ogień

piekielny pochłonie! I niech spłoną z nimi gitary, a zwłaszcza te elektryczne, perkusje, a zwłaszcza fortepiany! – Na koniec wrócił do kościelnego oryginału: – „Kościół nie może aprobować organizowania w kościołach koncertów muzyki o charakterze wyraźnie rozrywkowym. Nawet o wysokich walorach artystycznych”. Amen!

– Brawo – ojciec Solski klaskał – ze swoją dostojną sylwetką byłbyś znakomitym opatem! – Po czym dodał już serio: – Szkoda, że kiedyś w Podkowie Leśnej były msze bitowe, w Toruniu wiesz, kto miał band z późniejszym posłem Wenderlichem w składzie, a teraz pięknie grają muzycy z 2Tm2,3, Armii, Luxtorpedy i oczywiście Arki Noego. – Zrobił pauzę i zakrył dłonią mikrofon. – A teraz off record; stracona szansa, konserwa bierze górę! To oczywiście nie pójdzie?

Misiek kiwnął głową.

– Coś jeszcze chcecie?

– Czy słyszał pan o zespole Załoga? – Nowa znów musiała zaznaczyć swoją obecność.

– Wiem, że była taka grupa, że tak jak wiele innych zespołów była po prostu epizodem w życiu młodych ludzi, etapem w drodze życia, doświadczeniem. Prawie każdy albo gdzieś gra w piłkę, bije się, bo jest w gangu, odbywa podróż życia, albo ma swój band. I każdego te chłopięce zabawy doprowadzają do różnych miejsc, Black odebrał sobie życie, Białkowski jest cenionym producentem, podobno ktoś wyemigrował, ktoś inny ma swój biznes, zupełnie jak w moim zespole; mamy nauczyciela, spawacza, kierowcę i księdza, *It's Only Rock and Roll (But I Like It)*! – zakończył Franciszek Solski, a Misiewicz zaczął klaskać.

– Jesteś boski, o pardon, złotousty – powiedział i dworsko się skłonił. – Teraz państwo wiedzą, na co nam było nagranie z klechą!

– Kiedy przyjdiesz do mnie do spowiedzi? – odciął się Solski.

– Jak się o to z kimś założę i znów przegram.

\* \* \*

Anna Szewczenko zawsze przychodziła w środy i niedziele. Nietypowo. Kto go tam wie, w końcu Japończyk. Zawsze była w domu sama. Pan Kasai dał jej klucze, więc mogła sobie przyjść, kiedy chciała, nie wcześniej niż o ósmej rano i wyjść we wtorek przed północą, a w niedzielę uwinąć się do szesnastej. W niedziele było mało do sprzątanania, jeszcze mniej niż w środę. Świetny klient, czysty i miły.

Przekręciła klucz, weszła do środka i rażno ruszyła w kierunku kuchni, gdzie się zwykle przebierała. Spieszyła się, bo miała dziś jeszcze jedno sprzątanie. Kiedy szła przez salon, poślizgnęła się, wywróciła i boleśnie potłukła.

Źle to się zaczęło. Bardzo źle, bo poczuła, że do poślizgu doszło przez kałużę, która była na podłodze. Podnosząc się, położyła na niej dłonie, to było coś lepkiego, gęstego, jakby zastygający sok. Rozejrzała się.

Jej krzyk było słyhać nie tylko w całym budynku, na całej Bruzdowej, na połowie Zawad.



# Rozdział 12

*Chciałbym zagrać w Moskwie, zobaczyć Londyn, Rzym  
Wejść na wieżę Eiffle'a, w Hamburgu wypić piwo  
Lecz muszę siedzieć tutaj i walić głową w mur  
Lecz muszę siedzieć tutaj jak osaczony szczur[23]*

## EIGHTIES

Niby były dobre ciuchy, jeansy z Pewexu i sweterki z Węgier, które przywiózł z delegacji ojciec, ale nawet jeśli miała te swoje metr siedemdziesiąt i kolorowe rzeczy, to i tak czuła się jak szara, nijaka, przygarbiona mysz. Ale pewnego dnia się wyprostowała, koledzy dostrzegli, że ma niezły biust. I nogi, które śmiało pokazywała, nosząc krótkie spódniczki.

W wakacje sparzyła się, dopuściła do siebie chłopaka niezdare, który skończył, zanim zaczął. Myślała o starszych, o tym chłopaku z zespołu, który chodził kiedyś do plastyka. Nazywał się Black. Ciekawe, co się z nim dzieje? Dostał się na ASP, ale chyba zmienił uczelnię.

On miał styl, nie to co łykowaci rówieśnicy. Jak zaczęła naukę, ona miała piętnaście, a on osiemnaście lat i chodził do czwartej klasy. Była dziewczynką z podstawówki, która przeskoczyła do nowego świata, w którym rządzą już dorośli chłopcy. Trzecioklasiści mieli już dowody osobiste i jeszcze rok temu dostawali kartki na wódkę i papierosy, próg dorosłości zaznaczał się w sposób namacalny. Kartki na imprezowe towary zniesiono, ale zdarzali się kioskarze i ekspedientki sprawdzający wiek kupujących. Poza tym trawka.

Starsi mieli do niej dostęp, jarali ją, kiedy tacy jak ona nie wiedzieli jeszcze, o co chodzi. Znow parę lat różnicy budowało przepaść.

\* \* \*

Boss przyjechał do Warszawy jako magister i niezdolny do służby wojskowej, czyli w pełni sprawny do rozpoczęcia nowego etapu życia. Przyjechał razem z Jolką i zatrzymali się w akademiku, który na czas wakacji pełnił funkcję hotelu. W pracy miał się stawić za tydzień, wtedy też miał otrzymać klucze do pokoju z łazienką, który mu wynajęto w jakimś lepszym hotelu robotniczym. Na razie był tam remont, więc nie było pośpiechu. Chodzili po Warszawie, chłonęli wielkowiejski sznyt, Boss planował świetlaną przyszłość.

– A może by tak pojechać za rok, dwa na wycieczkę i dać nogę? – zapytała Jolka.

Siedzieli w kawiarni Ulubiona przy Polnej, a z głośników leciało *Obudź się* Oddziału Zamkniętego, chciałby, żeby i Jolka się obudziła.

– Zwariowałaś? Teraz jak mam warszawski meldunek? Wiesz, jak tu trudno dostać pracę i zameldowanie?

Wyrwał ją z tego głupiego letargu, ale nie delikatnie, jak planował, tylko tak, że przy sąsiednich stolikach ludzie zwrócili na nich uwagę. A czemu mieli nie zwrócić? Czemu miałyby być spokojny? Spetował papierosa, myślał, że spokojnie dokończy krem po sułtańsku i colę, ale Jolka zaczęła smędzić.

– Byłeś tam i mówiłeś, że jest lepiej.

– Bo jest lepiej, ale na krótką metę.

– Wtedy mówiłeś coś innego, że gdyby nie stan wojenny, tobyś tam pewnie został.

– Różne rzeczy mówiłem, a teraz mam tu pracę. Jestem zaraz po studiach i jestem kierownikiem, rozumiesz?

– Co ten Jerzy za to od ciebie chce?

– Nic, po prostu chce mieć swojego człowieka, i tyle.

– Po coś chce cię mieć.

– Wszystko jest po coś.

- A jak nie załatwię przeniesienia na studia?
- Załatwimy.
- A jak nie?

Pomyślał wtedy pierwszy raz, że może to byłby jakiś sposób na to, żeby przestała narzekać. To znaczy narzekałaby, ale w Słupsku, a nie tutaj. Tutaj wszystko grało i nie potrzebował żadnych cholernych wątpliwości. Wyciągnął z kieszeni plik banknotów ze Świerczewskim i zapłacił kelnerce. Kiedy wychodzili, do kawiarni weszła grupa punków. Postawione włosy, skóry, ciężkie buty. W akademiku na dole był klub „Remont”, w którym mieli swoje koncerty.

Komu się to kalkulowało? Bo wszystko się musi kalkulować, prawda? U nich, w Słupsku, mniej było punków, to rozumiałe, bo w Warszawie wszystkiego było więcej. W Słupsku była kapela Karcer, tutaj tego towaru było więcej. Tacy kolesie nie znajdą u niego przystani. U niego, to znaczy u kierownika do spraw młodzieżowych Domu Kultury imienia Małego Franka.

\* \* \*

Coś zaczynało się kleić. White to czuł! Zebrał dobrych muzyków, młodych chłopaków, których trzymał w garści. Byli zachwyceni, że mają salę prób, z której nikt ich nie goni, z perkusją i wzmacniaczami. Każdy coś wnosił, Black image i kontakty, Clash był świetnym gitarzystą, bębniarz wymiatał. Trzeba było to jakoś ogarnąć, przede wszystkim znaleźć basistę. Na razie ćwiczyli różne numery, nie zawsze byli zgodni co do repertuaru, ale cieszyli się, że razem grają. I mieli nazwę – Załoga! Wymyślił ją Black. W slangu każda punkowa ekipa i każdy zespół nazywano załogą, więc to był naprawdę świetny pomysł. Greg trochę marudził, że załoga „Załoga”, ale Clash przekonał go, że Bob Dylan grał z bandem The Band i stanęło na pomysłe Blacka.

Za oknem syf, w „Hybrydach”, gdzie próbuje elita, biegają szczury, gdzie indziej nie ma szczurów, ale nie ma sprzętu. Raj na ziemi.

A będzie jeszcze lepiej, gdy pojawi się basista. W przyszłym tygodniu ma się pojawić nowy człowiek kierownictwa. Dyrektor, który nie wiedział, co się dzieje i nie zna się na niczym, ale potrafi skołować szmal. Ma otrzymać zastępcę. Różnie o nim mówiono, bo go nie znano. Podobno młody koleś. To dobrze, nie powinien się wpieprzać.

## 2020

Wojtek przycinał materiały, które zrobiono poza redakcją. Pierwszy z nich przyszedł z zagranicy, chyba z Niemiec. Poprosili wokalistę z grupy Mr. Zoob Andrzeja Donarskiego, żeby wyjaśnił, jak to było z nazwą. Chodziła legenda, że nazwali się prześmiewczo Pan z UB, ale żeby cenzura się do nich nie dopieprzyła, to dali to po angielsku – Mr. Zoob. Okazało się, że było trochę inaczej.

– Nazwa przyśniła się basiście – mówił wokalista kapeli Andrzej Donarski. – Jechał sobie autem w tym śnie i stanął przy przydrożnym barze, który nazywał się Mr. Zoob. Wtedy pokazywali w telewizji „Muppet Show”, w którym występował saksofonista Mr. Zoob. Podobało się nam, pasowało do kapeli ska, dopiero potem daliśmy apostrof i wyszedł Pan z UB.

Zabawna historia, trochę jak z *Misia*, ale kolejne nagranie nie było już takie wesołe. Mówił Rafał Bryndał, który napisał kiedyś parę numerów rockowych i był prezenterem w radiu studenckim w Toruniu. Powiedział tam coś, co się nie spodobało jednemu dziennikarzowi, takiemu, który niby siedł pod prąd i był niezależny. Okazało się, że nie był. Delikatne nastąpienie na odcisk spowodowało ostrą reakcję, ten ostatni sprawiedliwy chciał, żeby rektor usunął Bryndała ze studiów, straszył koneksjami w KC, wyszło szydło z worka. Na szczęście rektor olał tego typu. Wojtek pomyślał wtedy, że jednak nie do końca było tak jak w *Misiu*, w sumie to były chujowe czasy.

\* \* \*

Artur dojeżdżał do Szydłowca, kiedy telefon zadzwonił po raz kolejny. Już nie Melex i nie Joanna, która zrozumiała, że od częstotliwości połączeń czas się nie cofnie, a Artur nie teleportuje się do górskiej chaty. Tym razem Wiśnia. Zrzucił go. Za kolejnym razem odebrał.

– Cześć, Sławek! – powiedział raczej bez entuzjazmu.

– Cześć, Arczi. Jesteś gotowy?

– Na co?

– Na wycieczkę na Zawady, podczas której nasz ulubiony prokurator będzie mnie ujeżdżać jak dziką świnie.

– Czegoś takiego nie widziałem, więc chętnie popatrzę.

– Ty nie tylko będziesz na to patrzył, ale i w tym uczestniczył.

– Jako ujeżdżający czy jako rezerwowa dzika świnia?

– Zobaczysz na miejscu.

Z pewnością zobaczy góry i Joannę jak świnia niebo. Wybrał do niej numer i czekał na połączenie jak skazaniec.

\* \* \*

Wrócili do redakcji, zrobili podsumowanie. Misiek chciał zrobić krótkiego conf calla, tyle że szybko zrozumiał, że Joanna nie tylko wędruje w górach, ale i jest ciężko wkurzona. Zrozumiał, że chodzi o Artura i jakiś życiowy *fuck-up* związany z jego psią robotą. Postanowił więc wlać w ich pracę trochę pozytywów. Pochwalił Jagę, ale jednocześnie dał jej do zrozumienia, że nie zawsze będzie tak łatwo. Że ojciec Franek to telewizyjne zwierzę, że wie, jak odpowiadać, żeby realizatorzy mieli potem mniej pracy. To kwestia wprawy, umiejętności syntezy, budowania zamkniętych zdań.

– Ona na przykład tego nie potrafi. – Misiewicz wybuchnął śmiechem, bo w telewizji leciał wybór najsłynniejszych zdań posłanki Dworzak.

Była teraz na topie, dziennikarze oraz politycy, którym załazła za skórę, nie tylko zresztą ci opozycyjni, mieli używanie. Rzecznik Porozumienia i czołowi politycy przytomnie zniknęli w czeluściach

weekendu, więc zamiast ich komentarzy na antenie hulały co lepsze kawałki Zdzisławy Dworzak. – *The Best of Godzilla*. – Misiek się ucieszył i podgłośnił telewizor. Poszczególne wypowiedzi posłanki Dworzak były przedzielane efektami dźwiękowymi, a całość wzbogacona była muzyką jak z filmu sensacyjnego.

– Dają akredytacje polskojęzycznej prasie z Eurokołchozu?

Dżingiel.

– Ooooo, pismaki, które nasyła na mnie bydło poselskie. Tak, powtórzę to, bydło poselskie, które nie ma ław, tylko zagrody z lewej strony sejmu! Chcecie zrobić z tej izby chlew, a z Polski kondominium, przejrzałam was, każdy patriota zorientował się, o co wam chodzi, wy, podłe szumowiny.

Werbel.

– *Tłok* chodzi w cylindrze, a nie w rurze wydechowej, wam z LGTB coś się najwyraźniej pomyliło!

Odgłos tłuczonego szkła.

– Świnia was obraża? Świnia? Wegan może obrazić słowo świnia? Wolne żarty, uspokójcie się, weźcie tabletkę przed albo po, może wam pomoże!

Odgłos syreny okrętowej.

– Czy podważa pani poseł traktat lizboński?

– Lizboński, masoński, oszołomski, szmaciarski! – wypaliła Dworzak. – Targowica się to miasto nazywa, nie Lizbona! Druga Targowica, traktat targowicki, nazywajmy rzeczy po imieniu, to traktat zdrady narodowej! Jego postanowienia są kolejnym krokiem w kierunku tworzenia Eurokołchozu! To kolejny krok na drodze do osłabiania demokracji nie tylko w Polsce, ale we wszystkich państwach Związku Radzieckiego Jewropejskiej Unii.

Na koniec armatni wystrzał.

Nowej już nie było, zebrała pochwały i spokojnie mogła pójść do domu, a Wojtek siedział, żeby pokazać, że może robił ostatnio za statystę, ale ma szczerą chęć. Niespodziewanie Misiewicz klepnął go w plecy i powiedział:

– Przytłacza cię ta laska?

– Słucham?

– Jedna cię wodziła za nos, druga rozstawia po kątach. Weź się w kupę, to jest fajna dupa, z charakterem, ale i problemami, bo każda ma jakieś problemy. Jak ma faceta, to ma mały problem, a jak nie ma, to duży – zarechotał psycholog z Koziej Wólki. – Tak czy owak Zenon Nowak.

– Co?

– Tak czy owak bzyknąłbyś ją.

– Nie podoba mi się.

– Co ty tam wiesz! I pamiętaj, pojutrze przyjeżdżają. Obie moje szefowe. Prawie żona i prawie młodsza siostra. Panie kierowniczk! Ostatnia szansa, żeby się przyjemnie sponiewierać i omówić parę spraw na zupełnym luzie, od wtorku musimy być grzeczni i pachnący! Hej, młody, byłeś kiedyś na Legii?

– No ja się raczej piłką nie interesuję.

– Ale tu nie chodzi o sport, raczej o obserwację socjologiczną, i o nutkę perwersji...

– Perwersji?

– Kibic z Łodzi, pół kibic ŁKS-u pijący piwo w klubowym pubie Legii to niezła figura, prawda? Chodź się napić, młody!

– Napić?

– Tak, napić się, bo to zielona noc!

Pół godziny później byli w pubie przy Łazienkowskiej, mecz był dzień wcześniej, w lokalu było pustawo. Plakaty, zdjęcia, łóże z wygodnymi kanapami, graffiti, ogromny bar i ekrany, na których leciały piłkarskie mecze.

\* \* \*

Widzieli sporo trupów, choć wbrew pozorom to nie policyjni śledczy oglądają ich najwięcej. I do tego niekoniecznie te najszczególniejsze przypadki. Ofiary wypadków drogowych i pożarów, czasem całe rodziny, samobójcy zmieleni przez pociągi... To była domena strażaków, lekarzy i ratowników oraz prokuratorów.

Śledczy rzadziej trafiali na takie rzeczy, morderstwa nie były tak okrutne i spektakularne, przynajmniej rzadko kiedy. Mimo wszystko Artur i Wiśnia byli zahartowani i mogli o sobie powiedzieć, że widzieli sporo. Poza tym wiedzieli, co ich czeka. Mniej więcej wiedzieli, bo nawet szczegółowy opis zwłok leżących w kałuży krwi, przy których spoczywa głowa robi wrażenie. Trup był w białej koszuli, dywaniki też były białe, poduszka, która nasiąknęła wodą także. Wrażenie robiły też ściany zabryzgane krwią. Na podłodze leżał samurajski miecz.

– Obcięto mu głowę – skomentował Wiśnia.

– No chyba to widać – odpowiedział Artur.

– Aż mi się przypomniało *Harakiri*.

– *Harakiri* to samobójstwo. Jak ktoś ma obciętą głowę mieczem, a nie gilotyną, to nie jest samobójstwo – włączył się technik.

– To wiem, Marianek, ale *Harakiri* to tytuł filmu. Nie znasz, bo był popularny, jak chodziłem do podstawówki, a twoi starzy nie mieli cię jeszcze w planach. Wycinali się tam mieczami na różne sposoby, więc dla mnie to pierwsze skojarzenie z japońską jatką.

– Teraz to raczej *Kill Bill* Tarantino – rzucił technik.

– *Bill*? *Tarantino*? – zdziwił się Wiśnia.

– *Kill Bill*, taki film, a *Tarantino* to reżyser – wyjaśnił technik.

– Ano tak, *Pulp Fiction* i ta nowa *Parszywa dwunastka*, w której Brad Pitt skalpuje nazioli? To ten, prawda Marianek?

– I jeszcze nakręcił *Pewnego razu w Hollywood* – wyrwał się technik.

– Jeszcze nie byłem.

– I już pan nie będzie. Zdjęli. Bo nie tylko w robieniu kina, ale i w chodzeniu na filmy wymagany jest refleks. I wyczucie. A pan tego nie ma i to po tylu latach pracy! – Z drugiego pokoju niczym zdradliwy U-boot na środku zimnego morza wyłonił się prokurator Karski. – A mówiłem, że to sprawa dla panów!

„To dlaczego, palancie, nie dałeś temu oficjalnego biegu?” – Artur miał ochotę tak odpowiedzieć, ale sobie darował.

Wiśnia opowiedział mu całą sytuację z niezdarnie interweniującym Karskim, ale nawet w najczarniejszych snach nie



mógł się spodziewać, że na miejscu zbrodni spotkają właśnie jego. Kurwa, co za pech! Nie dość, że z tym gościem zawsze jest ciężko, to na dodatek taki start!

– Sprawą zajmie się prokurator Adam Mroczek, a ja będę monitorował jej przebieg!

Duża ulga! Mroczek będzie się trochę plątał pod nogami, ale nie będzie przeszkadzał.

– A jaką sprawę będzie prowadził pan prokurator? – zapytał Wiśnia.

– Sprawa jest bardzo poważna. I złożona! Wielomilionowe zadłużenie szpitala!

– A zatem delegacja – z udawanym smutkiem zauważył Wiśnia.

– Daleka delegacja – odpowiedział Karski, po czym rzucił z uśmiechem: – A na balkonie nie ma przypadkiem jakiegoś dywanu?

Trochę im przysrał. Ładnych parę lat temu Wiśnia i Artur pojechali, jak to się mówiło w policyjnym slangu, „na zwłoki”. Była zima jak wtedy, w wynajętym mieszkaniu leżały ciała dwóch gości. Wynajmowali mieszkanie od faceta, który przebywał w USA. Odpalono ich z dużego kalibru. Wiśnia i Artur zrobili wszystko według procedur i sztuki, charony zjechały czarną karetką i zabrały pacjentów do chłodni, a oni oplombowali mieszkanie. Właściciel lokalu był za granicą i nie kwapił się do powrotu, przecież i tak nie miał szans na wynajęcie mieszkania, chyba że jakiemuś koneserowi. Do tego nieboszczycy opłacili na parę miesięcy z góry.

Po dwóch miesiącach, jak już zrobiło się wiosennie, przyszło zgłoszenie, że w mieszkaniu śmierdzi. Sąsiedzi się skarżyli, więc przyjechali z dzielnicowym, zdjęli plomby i weszli do środka. Śmierdziało jak w świeżym grobie, szybko więc otworzyli balkon i dopiero wtedy w nozdrza buchnął smród. Na balkonie leżakował zawinięty w dywan trzeci nieboszczyk. Nie lubili wracać do tej wpadki, Wiśnia więc wyjrzał na taras, potem wziął pęk kluczy, bo każde z mieszkań miało jeszcze schowek przy podziemnym garażu.

Wiśnia nie spieszył się do badania komórki i dalej bawił się kluczami, bo miał fajny breloczek. Nie chciał biegać przy

prokuratorze, żeby tamten nie pomyślał, że jak coś powie, to wszyscy biorą to na poważnie. Co to, to nie!

Prokurator Karski wyszedł, więc można było zacząć normalną robotę.

– Kenichi Kasai, obywatel Japonii, lat czterdzieści pięć. W Polsce od niespełna roku, prowadził restaurację Yoyogi Park. – Wiśnia czytał swoje notatki, kręcąc kluczami, które miał zawieszane na palcu.

– Yoyogi Park... – Ta nazwa mówiła coś Arturowi: – Oczywiście, to z książki o Japonii Joanny Bator, *Rekin z parku Yoyogi*.

I jeszcze coś, wybierali się tam na kolację z Joanną, ale nigdy tam nie dotarli i pewnie już nigdy tam nie zjedzą. Właściciel zamordowany, kucharze zniknęli, i to oni byli głównymi podejrzanymi. Cha Myung-bo i Hong Bum-kun. Obaj byli obywatelami Japonii. Poinformowany konsulat Japonii, oświadczył, że przyślą kogoś do Polski, żeby pomógł w śledztwie.

– Mają już gorącą linię z Tokio, w ciągu dnia, góra dwóch, ktoś przyleci – kontynuował. – Znalaziono właściciela mieszkania. Zgodnie z przypuszczeniami Kasai regularnie płacił czynsz, umowę miał jeszcze na pół roku. Facet, który nazywał się Radzik, wyglądał na początku na przejętego, później na przybitego, a na koniec na wściekłego. Krzyczał, że skasuje wpłaconą kaucję, ale że nikt nie wynajmie tego mieszkania. Powiedziałem mu, że lokal jest w porządku, jak nikt nie chce, to niech on zamieszka, a na wynajem puści lokal, w którym teraz mieszka.

– Nie musiałeś mu tego mówić. – Artur próbował wzbudzić w Wiśni choćby delikatną refleksję.

– Dupek i tyle – Wiśnia nie czuł skruchy.

– Tak sądzisz?

– Jestem tego tak samo pewien jak tego, że nasz japoński pacjent stracił głowę ze skutkiem śmiertelnym i że czeka nas orka na sąsiedzkim ugorze.

Artur przytaknął. Sąsiedzi pamiętali Japończyka, wskazali, który samochód należał do niego – toyota camry. W bagażniku znaleźli torbę z kijami do golfa. Jeden z sąsiadów spotykał go na driving

range'u w Wilanowie, ktoś zamienił z nim dwa słowa, nic istotnego, taki grzecznościowy *small talk*.

Lokatorzy nie wrócili jeszcze z pracy, poza tym były ferie, więc wielu sąsiadów nieboszczyka było na nartach albo w ciepłych krajach. W końcu nie mieszkali tu ludzie, którym brakowało do pierwszego, no chyba że służyli w Gwardii Franka Szwajcarskiego, który im te mieszkania kupił, a potem chciał odebrać, choć służyli mu wiernie i miesiąc w miesiąc przelewali za niego krew, pot i łzy. Dopiero czwarta osoba powiedziała coś ciekawego.

– Tomasz Porębski. Jestem sąsiadem z tego samego piętra – dodał zupełnie niepotrzebnie, bo spotkali go pod drzwiami, gdy wracał z pracy. – Nie wiem, czy wniosę cokolwiek do śledztwa, pewnie powiem to samo co wszyscy. Pan Japończyk... Nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywał, Harada?

– Kasai.

– O właśnie, wiedziałem, że jak skoczek narciarski! Spokojny facet, chyba bez nałogów, poranny spacerowicz, jeździł na rowerze, cichy, jak i cała rodzina.

– Rodzina?

– No tak.

Lokal wyglądał na zamieszkaną przez jedną osobę, przynajmniej na pierwszy rzut oka, ale Porębski był pewien, że od jakiegoś czasu regularnie widywał kobietę, dziewczynkę i starszego pana.

– Najczęściej kobietę, taka około trzydziestu–trzydziestu pięciu lat, pozostałych nieco rzadziej, ale pewnie córka chodziła do szkoły, a starszy pan to teść i tylko wpadał. Na pewno byli tu wczoraj wieczorem, jestem tego pewien, starszy pan przyszedł ostatni, reszta witała go w drzwiach.

Kolejne rozmowy potwierdzały to, co mówił Porębski. Nie było natomiast nikogo, kto usłyszałby cokolwiek świadczącego o tym, że w ich sąsiedztwie mogło się wydarzyć coś niepokojącego. Ucięto mu głowę w środku nocy i nikt nic nie słyszał!

Przeszukanie łazienki, sypialni i szaf nie przyniosło żadnego rezultatu. Wszystko wskazywało na to, że nieboszczyk mieszkał sam.

Śmietnik był opróżniony, lodówka też nie dała żadnej podpowiedzi. Dopiero otwarcie zmywarki dało jakąś wskazówkę.

– Cztery komplety talerzy, osiem kompletów sztućców, cztery szklanki, trzy kieliszki, garnki, patelnia i trochę drobiazgów – podsumował Artur.

– O ile się znam na liczeniu, to wygląda na to, że wczoraj jadły tu cztery osoby, trzech dorosłych i dziecko albo trzech pijących i abstynent – zawyrokował Wiśnia. – To się składa do kupy z tym, co mówili sąsiedzi.

– To jakiś absurd – odezwał się technik, który zdejmował odciski śladów papilarnych. – Albo dziadek, mamusia i wnuczka zabili trzech Azjatów, albo dwóch Azjatów zabiło tę rodzinę i na dodatek zabiło jej tatusia, który był Japończykiem. W dodatku ścięli mu głowę, czy to jest, kurwa, jakieś *Seven*, Stephen King czy Ostrowski?

– Jaki Ostrowski, Mariuszkę? – zapytał Wiśnia.

– Taki pisarz kryminałów, gość ma na plakatach fotki z siekierą, a w jednej z jego książek mścicielka kastrowała gwałcicieli.

– Obcinać jaja gwałcicielom? – zainteresował się Wiśnia. – Nie widzę przeciwwskazań.

– A ja nie widzę przeciwwskazań, żebyś jednak zajrzał do tej komórki – wtrącił się Artur. – Bo zawsze może się okazać, że jak w totalotku, padnie główna wygrana, a my nie oddamy kuponu.

Wiśnia coś mruknął pod nosem, bo uważał, że są pilniejsze sprawy. Znow zakręcił kluczykami i w końcu doszedł do wniosku, że jak tak będzie się nimi bawił, to po skończonej robocie wsadzi je z rozpędu do kieszeni i zaniesie do domu.

Dawno nie palił, z godzinę, złapał więc ssanie na nikotynowy dym, zajara i przy okazji pójdzie do schowka. Kiedy otworzył drzwi, jęknął tylko: „O kurwa mać!”. W schowku stała bela, zwinięty w rulon wielki dywan. Pociągnął nosem, ale jeśli był to trup z tego samego urobku, to był jeszcze świeżakiem. Westchnął ciężko i w napięciu zaczął rozcinać sznurek, dywan rozwinął się gwałtownie, Wiśnia poczuł uderzenie w czoło. Ktoś lub coś precyzyjnym trafieniem zgasiło mu światło.

---

23 *Karcer*, sł., muz. i wyk. *Karcer*.

# Rozdział 13

*Wy kłamiecie, aby kupić nas  
Sprzedajecie nasz bezcenny czas  
Wciąż myślicie, że to tylko tłum  
Zabraniecie dźwięków wszystkich strun*[24]

## EIGHTIES

Po paru dniach spotkał się wreszcie z Jerzym, umówili się w Mesie na placu Zbawiciela, jedynym chyba takim lokalu w całym kraju, bo prowadzonym przez Centralę Rybną. Na dole był sklep, gdzie były puste, kamienne wanny, w których w latach prosperity pływały ryby. Na górze zaś mieściła się knajpka urządzona jak oficerska mesa. Wystrój robił wrażenie dziesięć lat temu, teraz był po prostu wspomnieniem po czasach Gierka, „kiedy Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Nie zmienił się widok na plac i kościół oraz śledź po japońsku i wódka. „Japończyk” nie był tylko tanią przepustką do picia alkoholu – tak jak we wszystkich lokalach podawano go tylko do konsumpcji – ale był najlepszą zagrychą. Czasem ludzie kupowali w barach jajko w majonezie, a potem zostawiali, bo nie byli głodni tylko spragnieni wódki, ale „Japończyk” zawsze lądował w gardle. Wódeczka pod śledzika z cebulką i majonezem to było to.

Boss musiał na to spotkanie poczekać, bo Jerzy wyjechał w delegację zagraniczną. Węgry, Budapeszt, wino, metro, dobre knajpy, towary na półkach, prawie Zachód. Tak się mówiło.

– Prawie. – Jerzy się zaśmiał, przypalając carmena. – Pewnie, że jest tam fajnie, ale jak posiedziałeś trochę w Reichu, to wiesz, jak jest.

Niemniej warto tam pojechać, bo to wygląda jak w połowie drogi między Warszawą a Zachodem. Wciąż daleko, ale kierownictwo chce zmian, nie całe oczywiście, jest beton, który ma inne zdanie, trzeba też uważać na ekstremę, ale nas interesuje inny odcinek. Młodzież!

– Młodzież chce wyjechać na Zachód... – nieśmiało wtrącił Boss, który zdobył się na szczerość.

– Wyjechać? – ucieszył się Jerzy. – Chyba spierdolić! Widziałeś Stadion Dziesięciolecia. Pamiętasz tę figurę, tych trzech nagich lekkoatletów, którzy biegną w kierunku Wisły?

– Pamiętam.

– To wiesz, jak się na to mówi w Warszawie?

– Nie.

– Pomnik emigranta! Trzech gołych na Zachód spierdala! Ja jestem z tymi, którzy uważają, że trzeba załatwić to po jugosłowiańsku. Byłeś w Jugosławii? – Boss przecząco pokręcił głową. – To szkoda, bo oni potrafili się znaleźć między Zachodem i radzieckimi towarzyszami. A wiesz, co to jest finlandyzacja?

– Dajesz.

– Otóż Finlandia jest wolnorynkowa, ale nie ma polityki zagranicznej. To znaczy nie wychyla się.

– No tak trzeba było od początku. Wiem, o co chodzi, tylko nie wiedziałem, że tak to się nazywa.

– Kuroń, Modzelewski i Geremek o tym mówili. Tak, tak, oni! Trzeba znać pomysły ekstremy po to, żeby je samemu wprowadzać. Musimy skonstruować coś, co będzie polskim modelem socjalizmu. Nie wiem, czy jesteśmy gotowi na gospodarkę rynkową, na uwolnienie cen, na zamknięcie pegeerów i paru hut. No co się tak patrzysz! Wiesz, ile zakładów jest deficytowych? Trzeba pegeery przerobić na Igloopole, powoli to prywatyzować, trzeba, jak Jugosłowianie, otworzyć granice, żeby ściągnąć dewizy.

Jugole są wszędzie: Szwecja, Niemcy, Austria, Szwajcaria, a kraj dalej istnieje i ma dewizy wypracowane przez gastarbeiterów. Granice otwarte, a zakłady dalej państwowe, możemy to zrobić, ale nie możemy, jak następcy marszałka Tito, zadzierać z towarzyszami radzieckimi. Dalej będziemy w Układzie Warszawskim, damy

zarobić ludziom za granicą, zakłady będą dalej w wymianie towarowej ze Związkiem Radzieckim, więc będzie okej. Kurońowi się marzy, żeby finlandyzacja była etapem w przejściu do nowego ustroju.

– Więc dlaczego...

– Ano dlatego, że Kuroń zapominał, że w gruncie rzeczy jest socjalistą, tylko że mu partia nie odpowiada. Myśli, że gospodarka, reformy, bezrobocie doprowadziłyby do eksplozji. Nie doprowadzi, bo będzie można dorobić na Zachodzie, tu wydać, zbudować M3 za dolary, kupić jeansy w peweksie. Zauważyłeś, że ceny w peweksie są niższe niż na Zachodzie, że lepiej wydawać dolki w peku? I do tego się doprowadzi. Kuroń, jakby sobie ten swój ustrój wprowadził, to razem z tymi, którzy by to próbowali wstawić na zachodnie tory, zostaliby wywiezieni na taczkach. Praca jest formą socjału: czy się stoi, czy się leży, coś na rękę się należy! A kto chce zapierdalać w polu, idzie do Igloopolu, kto chce spokoju, ten siedzi w pegeerze. To samo w przemyśle, są miejsca, gdzie się zasuwa i zarabia, są też przechowalnie leserów. Wolny wybór, a nie kapitalistyczny wyścig szczurów, rozumiesz?

– Rozumiem. Tylko co dom kultury, ja, no i ty, mamy z tym wspólnego? Jaka jest nasza rola?

– Naszą rolą jest odegranie pluralistycznego wentyla! W Jugosławii to działa, u nas też się sprawdzi. Damy tej najbardziej myślącej i zbuntowanej młodzieży to, co chce, damy jej tyle, ile trzeba, więcej niż teraz ma, ale tyle, ile chcemy jej dać, chwytasz?

– Chwytam...

– Nic nie chwytasz – powiedział Jerzy. – Dzisiaj to tylko spotkanie powitalne, film instruktażowy jutro. Wpadnij do mnie, do biura, a dzisiaj... – Dał znać kelnerowi, który w mig chwycił, czego żądał klient. Pół litra, popitka i obowiązkowe zakąski, w radiu leciał *Malinowy król*, grała Budka Suflera, a śpiewała Urszula. Parę lat temu dostała nagrodę na „Festiwalu Piosenki Radzieckiej” w Zielonej Górze, miała wtedy siedemnaście lat i było to przed stanem wojennym, teraz nikt już tam nie chciał śpiewać. Muzycy woleli kluby studenckie, bo tam SB i milicja nie mogły wejść ot tak sobie. Od



1968 i łomotu, jaki studenciakom zrobiło ORMO, władza niechętnie dopuszczała łamanie autonomii uczelni.

## 2020

Wiśnia osunął się na ziemię, po chwilowej utracie świadomości włączyły mu się wszystkie komputery pokładowe, które może posiadać doświadczony gliniarz. Przetoczył się w bok, sięgnął do kabury i wyciągnął pistolet. Drugi atak nie nadszedł. Zatem zwałił się na niego nieboszczyk? Na nieboszczyka zdecydowanie za twardy, musiałby być rycerzem, którego ktoś zworował w opakowaniu, w zbroi, hełmie, w całym tym blaszanym gównie. Ostrożnie przyklęknął, w prawej dłoni trzymał służbowego glocka, a lewą przesunął po łuku brwiowym, poczuł krew. Z powrotem położył na kolbę lewą dłoń i trzymając broń oburącz, zbliżył się do komórki.

Spojrzał za uchylone drzwi i szpetnie zaklął. Ktoś, pewnie zamordowany Japończyk, w misterny sposób upchał w komórce rower i narty.

– Narty? Na chuj mu narty?!

Pół godziny później Wiśnia stał przed apartamentowcem na Zawadach, palił i dotykał łuku brwiowego, na którym lekarze założyli mu szwy i opatrunek.

– Zupełnie, kurwa, zwyczajny dzień. Ekipa, która przyjeżdża stwierdzić zgon, zakłada ci szwy. No bo tak, kto inny miałby to zrobić jak nie zimny doktor? A innym to się nie zdarza, reprezentant Polski z kulką w głowie, trup na rejsie wycieczkowcem, a dzisiaj Japończyk ścięty samurajskim mieczem, który w garażu trzymał toyotę, a w schowku rower, dywan i zarżniętego rodaka. Tak mi się przynajmniej wydawało, kiedy w tym pieprzonym schowku zaliczyłem dzwona. Innym facetom się to nie przydarza. Przed emeryturą zahaczymy jeszcze o polskie *Man in Black*, polonezem Borewicza będziemy ścigać latające spodki na lotnisku w Radomiu.

– To jest z Bonda. – Artur był przyzwyczajony do kwiecistych résumé Wiśni.

– Myślałem, że z Tarantino – zdziwił się Wiśnia, zaciągając papierosem. Wypuścił dym i mrużąc oczy, zapytał: – W którym Bondzie był samuraj bez głowy?

– Nie o Japończyku bez głowy myślałem, tylko o tekście „innym facetom się to nie przytrafia”. Jakoś tak to było, ale nie pamiętam w którym.

– Ale nawet w „Borewiczu”, „Kojaku” i „Ojcu Mateuszu” nie było takiego numeru, żeby nieboszczyk miał jednocześnie obcięty łeb i nóż w brzuchu. Kto by się spodziewał, że jak zimni doktorzy obrócą go na plecy, to się okaże, że w brzuchu ma jeszcze japońskiego scyzora.

Fakt, takiego numeru jeszcze nie było.

\* \* \*

Szło szybko, Misiewicz miał spust i potrzebę przekazania swojej nieskończonej, gównianej, a jego zdaniem bezcennej wiedzy. Od czasu do czasu się ożywiał, kiedy padała bramka albo była jakaś groźna sytuacja. W meczu, chyba hiszpańskich drużyn, było 3:3, u nich było już 4:4. Każdy wypił po tyle piw. Misiek stawiał, bo nie będzie przecież narażał stażysty na zdechnięcie z głodu.

– Dlaczego się ogoliłeś? – zapytał Wojtek. – Widziałem cię na tym filmie, no wiesz, na tym z selekcjonerem, no i na tym ze studia, kiedy zdemaskowaliście mordercę Błochowiaka...

– Żeby zachować anonimowość – odpowiedział Misiek konfidencyjnym szeptem.

W tym momencie podeszło do nich dwóch gości w garniturach, krawaty już dawno nie ścisnęły kołnierzyków, a w koszulach po dwa guziki dostały przywilej zejścia z warty. W ich meczu padło więcej bramek, pewnie po osiem.

– Rhedhaktor Misiewicz – zagulgotał wyższy z elegantów.

– Czhy możemy sobie zrobić ssss panem sdhjęcie? – zapytał niższy, uśmiechając się.

Zrobili sobie po selfiku, stuknęli szklankami z piwem i sobie poszli.

– Mów prawdę, dlaczego się ogoliłeś?

– Bo przegrałem zakład – uciął Misiek.

– Jaki?

– Taaaaki zakład, teeen zakład. – Misiek stanął z rozpostartymi ramionami niczym Chrystus z Rio i obrócił się wokół własnej osi. – Założyłem się, że Legia obroni tytuł. Nie obroniła, i muszę aż do odzyskania tytułu chodzić z łysą pałą!

– A jak nie odzyska?

– Po pierwsze, odzyska, po drugie, to zakład honorowy. Jak Ljuboja... wiesz, kto to jest Ljuboja? Przegrał zakład i do końca kariery nosił chujową fryzurę. Tylko na wakacje mógł normalnie się czesać, a w sezonie grał z wygolonym krzyżem na głowie.

Mecz, który leciał w telewizji, zakończył się remisem, ale Łysa Pała zarządziła dogrywkę, w trakcie której poszło kilka piw. Po niej zapytał:

– Skoro już rozmawiamy o poważnych sprawach, na przykład o tym, dlaczego mam ogoloną głacę, powiedz mi, czemu nosisz spodnie na pijawki i dlaczego do tych rurek nie zakładasz skarpetek, tylko jakieś smutne atrapy? Nie jest ci, kurwa, zimno? Nie odmrożisz sobie kostek? Przegraliście wszyscy jakiś zakład czy to jakiś wirus ze Zbawixa, który poszedł na całą Warszawę?

– A wy chodziliście w glanach nawet latem! – odciął się Wojtek.

– Dobra, lepiej mi powiedz, czy dasz radę – Misiewicz zmienił temat.

– W telewizji?

– Nie, w łóżku – powiedział, a Wojtek o mało się nie oblał piwem. – Przecież ona chce cię bzyknąć.

– Żeś się uczepił. Ona mnie?

– Nie ma innej opcji.

– Skąd wiesz?

– Widzę – po czym szybko dodał, uprzedzając pytanie Wojtka: – To się widzi, się wie. Po prostu. Zerka na ciebie, ale wiesz, tak szczególnie, jak to one potrafią, jak na preparat pod mikroskopem. Z zaciekawieniem i zacięciem. Analityczno-erotycznie. Bo jej się wydaje, że ją zlewasz, a ty, chłopaku, nieśmiały jesteś! Żeś się korzystnie światopoglądowo i kulturalnie określił, bo zobaczyła, co czytasz. Na pewno na Dehnela można coś wyrwać, jak się kiedyś wyrwało na Cortázara albo Marqueza, ja akurat *Sto lat samotności* przy sobie nosiłem.

Przeciągnął się i upił potężny łyk piwa, po czym pogłaskał się po łysej glacy.

– A teraz stabilizacja, kobieta życia, te sprawy... Poza tym playboyem to ja już nie jestem. Raczej starym pornosem z wytłuszczonymi kartkami, było minęło, trzydzieści kilo temu, z innym lookiem i PESEL-em. Nie wiesz, ale ci to powiem, i zobaczysz, że mam rację. Idziesz dobrą drogą. – Widząc przechodzącą kelnerkę, strzelił uśmiech i poprosił: – Kochana, dwa razy tatarak i po pięćdziesiątce wódki, i kuflu piwa! – Misiewicz najwyraźniej się nawalił.

Ile w siebie wlali? Po sześć czy siedem piw, ile wódek? Nie liczył dokładnie, bo nie płacił. Misiewicz płacił mu za bycie lustrem i za robienie za beczkę śmiechu. Pocieszy kutas.

\* \* \*

Położony w Miasteczku Wilanów Yoyogi Park mógł się podobać. Zwłaszcza Wiśnia był zadowolony. Bar był dobrze zaopatrzony, a na ścianie była kolekcja plakatów z filmów o Godzilli. Same klasyki, żadnego amerykańskiego gówna, japońskie oryginały, plus jako bonus *Pojedynek potworów*. Pooglądałby plakaty, ale były dziewczyny. Dwie Polki i Ukrainka, ładne, więc w sumie lepiej nawet było je rozpytywać, niż oglądać plakaty. Zaczął od zdjęć. We właścicielu odciętej głowy rozpoznały szefa.

– Były jakieś scysje, grozili sobie? – zapytał Artur.

– A bo ja wiem? – Zośka zatrzepotała rękami. – Przecież nie wiadomo, mówili tak, jakby na siebie krzyczeli, czasem myślałam, że będzie jakieś spięcie, a okazywało się, że to było coś, z czego się śmiali.

Żadna z trójki dziewczyn nie знаła japońskiego w takim stopniu, by wiedzieć, jakie były relacje między trójką Azjatów. Wszystko jednak wskazywało na to, że jak najbardziej poprawne. Kasai rządził, ale nie nadużywał pozycji, tamci dwaj go szanowali. Pracownicy Yoyogi Park rozpoznały też narzędzie zbrodni.

– Ten miecz tu wisiał, na ścianie, między tymi dwiema Godzillami!  
– Maryśka żywo zareagowała.

– Ale po tym jak była awantura, pan Kasai zabrał ją do domu – dodała Galina.

Opowieść była ciekawa, ale niewiele, przynajmniej na tym etapie, wносиła do sprawy. Ciekawe było to, że do trójki bawiących się mieczem, podpitych klientów restauracji pan Kasai ruszył z kijem baseballowym. Zdaniem dziewczyn rozpoznali go, jeden z nich krzyknął, to znowu on! Weszli chwilę wcześniej, byli napici i szukali jeszcze jakichś atrakcji. Długo nie porządzili, bo Kasai ich wystraszył. Jak wyszli kucharze z tasakami, to byli już przy drzwiach.

– Pan Kasai grał w baseball, podobno to w Japonii bardzo popularna gra. Kij trzymał na ścianie w swoim kantorku, wisi też tam zdjęcie jego ulubionego zespołu – wyjaśniła Zośka.

Zajrzeli na zaplecze, faktycznie na ścianie wisiał kij i plakat zespołu. Tłum facetów ustawionych w pięciu rzędach, wszyscy w białych strojach, spod koszulek z krótkimi rękawkami wystawały długie, ciemnoniebieskie, taki sam kolor miały czapeczki baseballowe. Wiśnia badawczo spojrzał na wykonany japońskimi znakami napis, po czym skrzywił się i ocenił – drużyna Robaczki Krzakowo Górne.

– Zespół jest z Jokohamy, on też był z tego miasta. Co teraz z nami będzie? – zapytała Galina.

Tego nie wiedział żaden z nich. Niewiele udało się ustalić i jeszcze mniej rozumieli z tego, co się działo. Zaplombowali lokal, na dzisiaj koniec.

\* \* \*

White kończył właśnie miksować płytę artystki bez talentu. Ale dobrze tańczącej i świetnie prezentującej się na zdjęciach i w teledyskach. Nie takie piosenkarki czy piosenkarze przy podparciu pogłosem, efektami i rzecz jasna chórkami oraz dobrym aranżem robili kariery i rządzą listami przebojów. Oczywiście to były krótkotrwałe kariery. Wydawało się im, że są znakomitościami, mogą pisać teksty, robić muzykę, że poszukają sobie tańszego producenta i będą robić prawdziwie solową karierę. Nie docierało do nich, że są tylko twarzami jego projektu. Niszczyły je pazerność i przekonanie o talencie.

Po odejściu takie osoby nagrywały jeszcze jedną płytę, która jechała na popularności jego produkcji i kończyło się rumakowanie. Zostawały ścianki, wycieranie się po telewizorach, odcinanie kuponów, życie prowincjonalnych celebrytów, którzy czekali na imprezę firmową, jurorskie miejsce w talent shows albo kaskaderskie popisy w reality shows.

Co za gówno, choć niektórzy robili kariery jako dyżurni bywalcy programów, czasem dostawali jakąś fuchę. Nie martwił się tym, gdyby miał w kółko popychać pod górkę jednego albo nawet kilku wykonawców, toby się wypalił. A tak wciąż były świeżynki, a on obrastał mitem króla Midasa polskiej rozrywki.

Po wydaniu starych nagrań Załogi będzie nie tylko mistrzem komercji, ale i jedną z legend rocka. Jest zainteresowanie mediów, Skoczek zachwycony, atmosfera rozgrzana, a Becker chce zrobić program o grupie. Z tego ostatniego akurat się nie cieszył. Zamknął studio i wziął kluczyki do auta, trattoria u Antonia powinna być otwarta jeszcze z godzinę, napije się trochę wina, zje bruschettę, pomyśli, jak to rozegrać. Jego stary zespół i zainteresowanie nim nie było jedyną głośną sprawą, która się kroila. Propozycja stworzenia oratorium narodowego to było coś! Przy czymś takim zbledną wszystkie kantaty Rubika.

---

24 *I nikomu*, wyk. Kobranocka, sł. Rafał Bryndal, muz. Die Toten Hosen.

# Rozdział 14

*Całe nowe pokolenie  
Narkomani i faszyci, punki, kurwy, terroryści, gwałciciele  
Śmiech, krzyk, wszystko nic, lęk, przyjaciele  
Całe nowe pokolenie[25]*

## EIGHTIES

Poniedziałek, pierwszy dzień pracy. Boss przyszedł godzinę przed wszystkimi, żeby się zainstalować. Pokazał biało[26] i zdziwiony cieć wydał mu klucze. Wszedł do swojego pokoju i zaczął lustrować stan posiadania. Biurko, krzesło, paprotka, regalik z barkiem, chociaż Jaruzelski walczył z piciem, to takie mebelki dalej były na wyposażeniu gabinetów. No i najważniejszy mebel – telefon. Nie był to szokujący klawiaturą nowoczesny chaber, o który wszyscy się zabijali, nie była to też replika przedwojennego aparatu, szalenie modna i prestiżowa, zwłaszcza wśród prywaciarzy, tylko plastikowy aparat z tarczą. Niby nic szczególnego, telefon jak telefon, ale z wejściem na kabel do nagrywania.

Pierwsze, co zrobił, to podpiął do telefonu wtyczkę, przeciągnął ją do szuflady biurka i połączył z magnetofonem kasetowym Kasprzak na licencji Grundiga. Nagrywanego Pan Bóg strzeże, o ile taśma jest w jego rękach, usłyszał kiedyś, i dlatego skołował sobie taki telefon i kaseciaka. Na tym luksusy się kończyły. Chciałby mieć kolorowy telewizor, ale polski, nie ruski, bo polski był robiony z kineskopem na francuskiej licencji, więc nie wybuchał jak te radzieckie. Na razie miał starego grzmota, ametysta, czarno-białego, którego obraz śnieżył jak skurczybyk.



Będzie miał wszystko, i kolorowy telewizor, i stereo, najchętniej kasetową finezję albo szpulową arię, albo damę pik, ma się rozumieć podpięte pod radmora z kolumnami altus. A później talonik na maluszka, a może nawet dużego fiata albo poloneza, wyjazd na Kubę, przydział mieszkania, albo wkręcenie się do spółdzielni. Wyobraźnia galopowała – awans na dyrektora, potem może jakiś teatr, film? Nie! Radio albo telewizja! Tak, bardziej telewizja.

Nie zawiedzie Jerzego, skoro już raz go pociągnął, to jeśli niczego nie położy, to będzie szedł za nim jak jego cień. Perspektywy malowały się w bardzo zachęcających, jaskrawych kolorach. Ta intensywność nie raziła w oczy, bo to był blask neonów, kolorowych świateł i reklam, które widział w Hamburgu. W Warszawie było ciemno, smutno, biednie, ale i tak najlepiej w Polsce, a neony kiedyś się pojawią i będę świecić dla niego.

Trochę się zagrzał, zagalopował, wypił więc szklanekę mazowszanki, otworzył notes i zaczął wypisywać w punktach plan zadań na najbliższe dni. Boss nakreślił sobie plan działania. Spotkanie z dyrektorem domu kultury, później wizyta w Radzie Narodowej, tam obowiązkowo przedstawienie się w Wydziale Kultury, warto będzie poznać też ludzi z miasta i województwa, tak żeby ogarniał to, co dzieje się w przestrzeni między Jerzym a nim. Nie był szychą w kulturze młodzieżowej, ale mógł wiele, bardzo wiele, skoro go protegował. Znajomości musiał mieć mocne, plecy ze stali i postument ze zbrojonego betonu, żeby wstawić na niezłą fuchę bezpartyjnego.

Czuł, że rozmowa, którą odbyli, była tylko preludium, że Jolka miała rację, Jerzy miał wobec niego jakieś plany i nie chodziło tylko o to, żeby mieć zaufanego człowieka. Musi być czujny, musi przede wszystkim poustawić sprawy w Domu Kultury. Grał tu jakiś zespół, w sumie na chuj mu potrzebny, ale Jerzy mówił, że mają być tym pluralistycznym wentylem. Na razie poczeka na rozmowę i ten instruktarz. Się zobaczy, na razie zamknął się w gabinecie, żeby nikt go nie zmuszał do podejmowania jakichś decyzji, w końcu są wakacje.

\* \* \*

Greg przyszedł pod sklep muzyczny na Nowym Świecie o umówionej porze. Czekał na niego jakiś nowofalowiec z gitarą w pokrowcu. Dobrze utrzymana basówka, nie znał się na instrumentach, grał dużo, ale na jednej gitarze, innej nie znał. Niestety tak jak się pojawiła, tak zniknęła, ale nie mógł mieć o to pretensji. Zerknął i chyba wszystko było okej. Defil Romeo 2, podobna do tej, na której grał McCartney.

– Nie jestem Beatlesem, poza tym Defil. – Greg pokręcił jednak nosem, żeby zbić cenę.

– Chuja się znasz, enerdowska Musima. Kawał gitary, skrzypcówka, półpudło, brzmi świetnie, nawet jak nie jest podłączone do radia – oburzył się Black.

– Mam wzmacniacz.

– A nie masz basu?

– Brat poszedł do wojska, wziął instrument – wyjaśnił Greg.

– Co? – Black nie mógł zrozumieć typa.

– Ja grałem na jego basie, bo on chwilowo rzucił grę, ale armia go wzięła.

– To po co mu bas?

– Bo szukali muzyka do zespołu, basisty, ale nie było gitary, nawet wojsko ma krótko, więc dałem swoją. Nie musi zapierdalać z łopata, wiesz, akcja zima albo akcja żniwa, tylko ma grać. Co miałem zrobić?

– Greg rozłożył szeroko ręce.

– Pomóc mu się wywinąć.

– Powiedzmy, że było to niemożliwe...

– Bo? – Blacka zaczęło to wkurwiać, jakaś skomplikowana historia.

– Bo pięć po! Wyjdzie, to się go zapytasz. – Greg też miał dość tej gadki.

– Co jesteś taki nerwowo?

– Bo się znamy pięć minut, a ty jedziesz jak dzielnicowy.

– No dobra, dobra. Co grał brajidak?

– Wszystko. Ale to cię chuj obchodzi. Powinno cię obchodzić, że gram to, co ty. – Greg mówił tak, jakby zlewał Blacka.

– A skąd wiesz, co ja lubię?

– Widzę przecież – uśmiechnął się Greg.

– No tak.

Black przeczesał czarną czuprynę, która była wariacją na temat fryzury lidera grupy The Cure. Wystrzępione, rozczapierzone włosy, z pasmami spadającymi na oczy. Czarny sweter, czarne spodnie, czarne glany. *Cold wave*, nie inaczej: Joy Division, Bauhaus, The Cure.

– Brat wszystko grał, od hard rocka po festyn, ale punka, zimnej i nowej fali ni chuja.

– A ty to grałeś?

– Gram.

– A nie wyglądasz – Black powiedział to z wyraźną kpina w głosie.

– Jak wyglądam to moja sprawa, to, co gram, też. Powiedzmy, że z pewnych względów musiałem ściąć włosy, nie każdy musi wyglądać jak Peter Murphy[27] albo Robert Smith, wystarczy, że ty wyglądasz. To ile ta basówka?

– Powiedzmy, że mogę ci ją na początek pożyczyć, a potem zobaczymy.

– Co jest grane?

– Montuję zespół i potrzebuję basisty. Sam kiedyś grałem, to znaczy próbowałem i to nie było to. Basistę pogoniłem, bo nie nauczył się grać kostką, tylko popiardywał palcami. Grasz kostką?

– Oczywiście.

– To przyjdź na próbę, jutro.

– Dokąd?

– Do Małego Franka.

– Jaja sobie robisz.

– Jest sala, niezły sprzęt i...

– Nie gonia? Domy kultury mają uczulenie. – Greg przerabiał to w niejednym miejscu.

– Nie wszystkie. Mamy nie kłać, nie jarać i nie pić, to wszystko.

– A tak w ogóle to jaki skład?

– Gitara, klawisze, ja na wokalu i automat perkusyjny. Bo nie mieliśmy na początku pałkera i wpadliśmy na taki pomysł.

– W sumie nic nowego. Sisters of Mercy i Kult też mają automaty. No to ustalmy, kiedy te próby.

Dogadali się, chociaż Black nie widział jakichś większych szans na współpracę.

## 2020

Podobno tak kiedyś wyglądała praca w telewizji. Melanż za melanżem, dzień w dzień, także w redakcji. Tak słyszał, tak mu też opowiadał Misiek. Misiek, bo przeszli na ty. Załapał się na końcówkę tych czasów, później była, jak to mówił, pełna kultura, a teraz jest zupełna nuda. Drugiej takiej „nudy” by nie przeżył.

Wojtek wrócił do domu jak Niemiec spod Stalingradu, ale dopiero gdy zadzwonił budzik, poczuł się naprawdę źle. Gdyby jeszcze pojechał z Misiewiczem i jakimiś jego kumplami do Warszawy Wschodniej, to nie wyszedłby z tej knajpy żywy.

Otworzył oko i ze zgrozą stwierdził, że jest ósma. O dziesiątej ma być w firmie. Ale nie będzie, powie, że jest chory. Budzik zadzwonił po raz drugi, budzenie kaskadowe. Był chory, ciężko chory, ale trzeba iść do pracy.

„Boże, za jakie grzechy?”

„Za opilstwo” – odpowiedziałby Bóg, gdyby istniał. Bo nie istniał, bo jakby istniał, to nie pozwoliłby na takie piekło na ziemi.

Paliło go pragnienie, było mu niedobrze i pękała głowa. Weekend był zawodową porażką, pogłębioną przez Nową, która latała po redakcji, jakby była naspidowana. A może była?

Przezwycięził niechęć, wygrał z własną słabością i zainwestował w Ubera. Musiał, bo czuł się słabo, a do tego odpalił za późno. Kiedy wysiadł z samochodu, zobaczył, jak wchodzi do budynku, przepasana jakimś tobołkiem i ekologiczną torbą. Pieprzy się pewnie tylko na materacach z ekoatestem, przyjaznych środowisku,

zwierzętom, pszczołom i kwiatom. Albo śpi na macie, bo wygląda z tymi mandżurami jak koczownik.

Nie dogonił jej, utknął w kolejce do kontroli, prześwietlano ich tu jak na lotnisku. Każdy przecież mógł się okazać zjebem, który wyjmuje kałacha i rozkazuje, żeby dać mu studio i antenę. W automacie kupił kawę, posłodził i dołożył jeszcze puszkę coli. Trzeba ratować organizm, bo pewnie za chwilę wezmą go do galopu.

I tak w istocie było. Łysa Pała, która była dla niego od wczoraj, a w zasadzie od dzisiaj Michałem, była pachnąca i świeżutka. Wojtek miał wrażenie, że to wszystko z okazji Nowej, że chciał się jej pokazać. Chyba się nie pokazał, bo dowiedziała się, dokąd będzie wyjazd.

– Jedziemy dziś do paru osób. W tym do mojego starego kumpla, Dawida Skoczka, kumpla i osobowości telewizyjnej o wysokim ilorazie inteligencji przekładającej się na niewiarygodną, wręcz kosmiczną złośliwość. Zatem możecie jechać, żeby zobaczyć gwiazdę, z którą porozmawia wujek Michał. Żadne tam zagarnianie atrakcji, tylko BHP, okej? Macie obserwować, chłonąć, łapać, bo to będzie bezcenna lekcja dziennikarstwa!

Wojtek zastanawiał się, czy Misiewicz mówi to na poważnie, czy żartuje, a mina Nowej wskazywała na to, że nie ma żadnych wątpliwości, że ich przewodnik do świecie telewizji jest totalnym kabotynem.

– A jaka to lekcja? – prychnęła Nowa. – Mizogin, schlebiający niskim gustom celebryta, a nie osobowość.

– No proszę, nie ma już na świecie autorytetów i świętości.

– Wolne żarty!

– A co ty sądzisz? – spytał Wojtka.

– Inteligentny jest, ma osobowość, ogólnie ma popularność, czy to się komuś podoba, czy nie. Dobrze pisze, generalnie nabija się ze wszystkiego i wszystkich, ale od czasu do czasu stać go na powagę, dla mnie okej, choć czasem mnie drażni, ale taki jego styl. Jest prowokatorem i sadzę, że jak kogoś to wkurza, to on jeszcze bardziej się nakręca, czerpie z tego energię.

Kiedy w telefonicznej rozmowie zażyczył sobie, by sfilmować go na jednym z jego ulubionych rekwizytów, czyli na złotym tronie, Nowa triumfowała.

– Błazen!

– No właśnie, błazen – powiedział z uznaniem Wojtek. – Stańczyk był błaznem i był cool, Skoczek tak samo, ale najpierw jedziemy do redaktora, który teraz jest barmanem, to też jest jakaś lekcja!

\* \* \*

Artur i Wiśnia spotkali się na komendzie, najpierw były krótkie rekolekcje u szefa, a później wspólne zastanawianie się co dalej. Na razie Japończycy nie wysłali niczego konkretnego, wiadomo było, że kogoś przyślą. W końcu dwóch obywateli Nipponu zabiło trzeciego, wszystko na to wskazywało. Przetrzepano mieszkanie podejrzanych, Cha Myung-bo i Hong Bum-kuna. Lokal był czysty, w przenośni i dosłownie, żadnego punktu zaczepienia, komputera, notatek, kalendarza, telefonu. Faceci mogli być już daleko, w Unii jeśli ktoś ma przewagę doby nad policją, może jej odjechać jak ferrari lanosowi, a jeśli nie popełni błędu, to może zrobić to tak, że nie pozostawi śladu. Nie pojechali samochodem, przynajmniej oficjalnie go nie mieli. Mogli za normalne papierowe pieniądze kupić bilet kolejowy i pojechać do Wiednia, Berlina albo Budapesztu. Kasai został zamordowany w sobotę wieczorem, a do każdej z tych stolic odchodziły nocne pociągi – Berlin 23.25, Wiedeń 21.05, Budapeszt 21.25. Te dwa ostatnie za wcześnie, zresztą Berlin dawał największe możliwości. Poproszą o monitoring z warszawskich dworców.

\* \* \*

Były dziennikarz muzyczny, Leszek Wilda, prowadził na warszawskiej Pradze sklepik muzyczny oraz pub. Weterani sceny alternatywnej i ich pogrobowcy mogli tu zawsze liczyć na kawałek sceny, przyzwoite nagłośnienie i setkę fanów, którzy jeszcze nie

wymarli i chłonąc takie widowiska, kręcili w tył licznik, oszukując PESEL i biologię.

Wilda wyglądał jak Iggy Pop, tylko z mocniej przerzedzonymi włosami, na czarny T-shirt miał założony biały, siatkowy podkoszulek. Ciekawe, czy jak wychodził ze swojej muzycznej jaskini, to zakładał jeszcze coś na siebie, w końcu była zima. Misiak wypiłby duże piwo, ale jutro przyjeżdżał jego osobisty alkomat. Zamówił więc małe i przyglądał się, jak pracuje Jaga.

– Ojciec Blacka mówił o swoim synu wprost: ofiara komuny, podejrzewał też Clasha, bo dostał paszport i wyjechał. Wokalista Załogi miał kłopoty z alkoholem i narkotykami, czy ojciec nie chciał go w ten sposób wybielić, dać mu lepszej śmierci?

– Może zacznę od początku, bo najlepiej zacząć od początku, *background* dołożyć, prawda? – zaproponował Wilda.

– Prawda.

Wojtek zauważył, że Nowa, która zachowywała się, jakby miała ADHD, była nadzwyczajnie spokojna, nie pociskała starego trolla. Całą energię przekazywała w długopis, który zaciskała w dłoni. Pewnie dlatego był metalowy, inaczej dawno by się złamał.

– Wojna Jaruzela z Polską – zagał Wilda – WRON-a rządziła, ale trzeciego maja ludzie wyszli na ulice. Petardy, kamienie, barykady, suki, zomole, rewolucja, słał się gaz, zdawało się, że zadyma obejmuje pół miasta, a Black akurat musiał znaleźć autobus E, oczywiście w tej połowie, gdzie coś się działo. Każdy wtedy miał tam coś do załatwienia, ludzi przyciągało jak magnesem. Mnie się udało, większości się udało, ale jemu nie.

Stało się, zgarnęli go chyba tylko po to, żeby wykręcił im liczbę. Zomole w pewnym momencie dostali szau, mówiło się, że na amfie jechali, ale nie musieli. Najpierw się bali, ale później, jak osiągnęli przewagę, jak polewaczki, gaz i petardy rozproszyły ludzi, to chcieli się zrewanżować, odbić sobie te pełne gacie strachu. Napierdalali pałami, kogo popadnie, potrafili wrzucić świece dymną albo gaz do tramwaju, potrafili też zwijać ludzi, którzy tylko przyglądali się zamieszkom.

Mieli podstawę prawną – Wilda uniósł palec w górę – chuj ze szczekaczką ostrzegął, że kto nie pójdzie do domu, ten zostanie zgarnięty. No i oczywiście wszyscy mieli do domu tam, gdzie stało ZOMO. Więc zaczęli zgarniać. Zabrali go na komisariat na Grochowie, nie wie, kto go przesłuchiwał, było ich dwóch, tajniak, może esbek, w każdym razie nazwał ich esbekiem i zomolem, tak mówił jego ojciec. Ten po cywilu był starszy stopniem, bo rządził tym zomolem, który na pagonach miał chorążego. Po drodze dostał parę kuksańców, pały na plecy przy wchodzeniu do lodówki, i jeszcze strzał końcem pałki na zachętę, żeby się nie ociągać z wejściem na komisariat.

Musieli mieć wielu zatrzymanych, skoro zawieźli go aż na Grochów. Na pewno Mostowo i Wilcza były już dawno pełne po brzegi, więc rozsyłali zatrzymanych, gdzie się dało. Był tuż przed osiemnastymi urodzinami, mogli mu zrobić kuku, ale uznali, że nie ma jeszcze prawdziwego białka i dali mu spokój. Na koniec wycięli mu chamski numer, który każdy widział w filmie o gestapowcach. Kiedy go już przesłuchali i kazali mu wypierdalać do ojca, który czekał przed komisariatem, to esbek zawołał go, śmiejąc się: „Co, młody, legitymacja szkolna ci niepotrzebna?”. Jak miał dłoń w środku, to esbek trzasnął szufladą. Dlatego przestał grać na basie. Mógł malować prawą ręką, ale do basu są potrzebne dwie dłonie. Między nami mówiąc, te połamane palce i kość dłoni dały mu przepustkę na ASP. Myślę, że były to jego nieformalne punkty za pochodzenie.

– To on mógł się mścić, ale nie władze na nim. A Clash?

– Nie lubili się. Iskrzyło między nimi, chodziło podobno o muzykę i dziewczynę. Po samobójstwie Blacka Clash zmył się z kraju, a nie było to takie łatwe, bo paszporty trzymały w szufladach władze.

– A ta dziewczyna? – zapytała Nowa.

– Nie znałem jej, ale słyszałem, że jej Ojcu nie podobało się, że była z Blackiem. Sex and drugs and rock and roll, a to podobno był komuch. Ale ja mam inną koncepcję: Gorgoń.

– Słucham?

– Gorgoń. Tylko nie wiecie tego ode mnie.



– Kto to jest?

– Jeden świr z naszego środowiska. Pojeb.

Tajemnicy nie udało się utrzymać, bo Misiewicz podszedł i się zainteresował.

– Kojarzysz taki zespół Łomot? – zapytał Wilda.

– Była taka kapela, ale meteor. Z cyklu znam nazwę i może jeden numer, ale nic więcej. Skini?

– Dobrze kombinujesz! A Front.pl?

– Tak, jest taka kapela, chyba narodowcy.

– Chyba – uśmiechnął się Wilda – zespoły: *Ojczyzna w niebezpieczeństwie, Krew, honor i rodzina* i...

– *Na socjalu?* – włączyła się Jaga.

– O właśnie. Trybuni ludowi o coraz bardziej brunatnych sercach. Kiedyś tacy nie byli, a może byli, ale tego nie zauważaliśmy? Na pewno nie byli skinami, wrażliwi chłopcy z Podlasia, z miasteczka, gdzie kino wpadało czasem do domu kultury. Ktoś był za granicą, przywiózł płyty, zainfekował, a kierownik domu kultury dał im grać. To był niezły czad, że oni tam grali punka, ale byli i inni goście z małych ośrodków: Nocne Szczury z Helu, KSU z Ustrzyk, Piersi z Niemodlina. Na początku łączyły wszystkich muzyka, niechęć do systemu i młodość. Było jeszcze jedno spoiwo: piwo, wódka, jabole, maryśka, no i wojsko. Nie mówię, że wszyscy byli pacyfistami, ale każdy miał poczucie, że to dwa stracone lata. Albo trzy, jeśli się trafiło do marynarki. Znacie Stasiuka?

– Pisarz – odpowiedział Wojtek z lekkim zawahaniem.

– W swojej autobiografii opisał, dlaczego został dezertorem, dlaczego uciekł z wojska. Nie polityka, nie pacyfizm, a udupienie! Dopóki był prawdziwym żołnierzem na szkoleniu, uczył się strzelać, walił do tarczy, było okej. Ale wojsko w PRL-u to była tania siła robocza, taka krzyżówka pierdła z młodzieżowym obozem pracy.

– Co to ma wspólnego z Blackiem?

– Chciałem podać szerszy kontekst, pan starszy redaktor wie, ale to dla was, żebyście zrozumieli, o co chodzi. Okej, do sedna! Gorgoń nie był intelektualistą, był za to wysoki, silny i miał blond czuprynę z lokami.

– Aha... – powiedział Wojtek, a Jaga po prostu pokręciła głową, że nie wie.

– W końcu Kazik nie bez powodu napisał *Amnezję*. – Zaśmiał się i zanucił:

*Na olimpiadzie cały wór medali  
Po ulicach zomowcy nas ganiali  
Wyścig pokoju – trzecie miejsce w świecie  
Ale wy o tym dzisiaj nic nie wiecie* [28]

– Gorgoń to był piłkarz, grał na stoperze u Górskiego, a ten koleżka wyglądał jak jego młodszy brat i stąd ta ksywka. Podobnie jak stoper, nie był mistrzem gry w szachy, miał za to inne walory. A brak matury, brak stempla ze szkoły i to, że był silnym i zdrowym, jak byk, chłopem automatycznie czyniło z niego obrońcę Ludowej Ojczyzny. Dostał bilet do wojska, mendy były tak złośliwe, że posyłały prawie zawsze na drugi koniec Polski. Gorgonia wysłali chyba do Żagania, więc jechał w kamasze przez Warszawę. Tutaj odbył się bankiet pożegnalny. I to gruby bankiet! Oczywiście padły różne pomysły na odroczenie służby. Black miał dwa. Za pierwszy o mało nie dostał w ryj. Słyszał, że ktoś wsadził sobie namoczoną kukurydzę w tyłek. Odbył się rozpychał i...

– I co?

„Kurwa, co ci młodzi wiedzą o życiu!” – zaklął w myślach Misiek, spokojnie czekając, aż Wilda weźmie na siebie rolę nauczyciela historii najnowszej.

– I wtedy na badaniu w jednostce lekarz, zaglądając do tyłka, orzekł: homoseksualista! I koniec, i po służbie! Gorgoniowi się ten pomysł nie spodobał i wyjechał z pięści Blackowi. „Nie będziesz, kurwa, ze mnie pedała robił!” Jebnął mu na knockdown. Obaj byli zalani.

Black ocknął się, ale poszedł spać, to znaczy zwałił się gdzieś w kąt. Jak się obudził, to z kolei Gorgoń leżał nieprzytomny. Wtedy Black wpadł na drugi pomysł, jak go z wojska wyreklamować. Zaczął

mu skakać na prawej ręce. Gorgoń ocknął się, puścił pawia, a potem chciał go zabić. Ale nie dogonił go, bo ręka była złamana, a on pijany tak, że nie był w stanie stać bez trzymanki. Finał by taki, że się spóźnił do jednostki, a tam tego nie lubili. Do tego zarzucili mu próbę samookaleczenia. Szpital, źle złożona ręka, jednostka karna w Orzyszu, w rezultacie dwa i pół roku zamiast dwóch w woju.

– W którym roku wyszedł z wojska?

– W 1986.

– Czyli rok po śmierci Blacka.

– Ale na pierwszą przepustkę jechał w 1985.

– Ale musiałyby dokładnie wtedy jeszcze jechać przez Warszawę.

– Tak było. Pił niedaleko w barze przy Twardej, przyszedł tam niedługo po wypadku.

– Miał alibi?

– Podobno pił też w Jantarze, to piwiarnia w pawilonach przy Świętokrzyskiej. Podobno musiał się ruszyć, bo ktoś dał cynk, że dzielnicowy wezwał pieczarki.

– Pieczarki?

– WSW. Wojskową Służbą Wewnętrzną, wtedy nie było żandarmerii. Mieli białe kaski, stąd pieczarki i wierszyk: „białe kaski robią laski”.

– To poszlaka.

– Ale mocna. Jak usłyszał, to mówił, że się chujowi należało. Ten rok wojska go zmienił. Nie tylko wojsko, co szpital i kompania karna. Do tego miał świadomość, że będzie kiblował pół roku dłużej. Miał szansę załapać się na gitarę do jakiegoś zespołu garnizonowego, ale nie miał w pełni sprawnej ręki, więc przegrał casting.

– Mógł to zrobić?

– Kto wie... Wiecie, że miał zawiasy za pobicie?

Nikt nie wiedział.

– Na pudelku o tym nie piszą, Gorgoń to nie jest temat, ale gdyby Dawid Podsiadło złamał nos i kość policzkową Taco...

– Kogo tam zmasakrował?

– Muzyka zespołu Caramba. Ktoś zaprosił ich jako starą gwiazdę sceny punkowej i nie wziął pod uwagę, że na festiwalu będzie kapela

z Hiszpanii, której lider zawsze nosi koszulkę z Che Guevarą.

– Ile dostał?

– Siedział w areszcie, policzono mu do wyroku, dostał dwa lata, ale wsadzili to w zawiasy, wszystko już zatarte, to było dawno temu. Wtedy nie był jeszcze taki radykalny, chodźcie do kompa.

Podeszli do stolika, który stał niedaleko baru i był biurem Wildy. Kilka kliknięć i byli na forum nacjonalistów.

– To ostatni numer, lekki, melodyjny pastisz Country and Western na melodię z klasycznego serialu, nazywa się *Nasza Bonanza*.

*Niech przyjadą, a zajebimy ich*

*Nawet mała kupka gówna*

*Nie ma prawa zostać z nich*[\[29\]](#)

Misiek słyszał kiedyś tę piosenkę śpiewaną przez kibiców, witano nią przyjezdnych z wrażeń klubów. Ale tu nie chodziło o futbol, kibicowanie ekstremalne, zwykłą napierdalankę czy ustawkę. Lektura wpisów fanów zespołu Gorgonia nie pozostawiała wątpliwości:

Konfederata88: tak z nimi trzeba zrobić.

Celtycki krzyż: zajebista piosenka o emigrantach.

18Lolek: Jebać bambusów i ciapatych!

– I tak dalej, i tak dalej – Misiek podsumował wpisy.

– Nie kojarzycie, co teraz robi? – Wilda spojrzał na nich badawczo.

– Nie śledzę Polfejsa – zaśmiał się Misiek.

– Bo go już nie ma. Padło, a tak się dobrze zapowiadało, nasz, polski narodowy Facebook, odpowiedź na żydo-jankeskiego pejsbuka zakończyła się porażką.

– To co robi?

– Czy ten Gorgoń nazywa się pięknie i po polsku Piotr Tabach?

– Tak!

– Jest pracownikiem biura poselskiego Janusza Kocha z Partii Narodowej.

– Kurwa! – zaklął Misiek. – To nie miał być program o polityce, tymczasem samobójcy z undergroundowego zespołu brakuje już tylko tego, żeby był zaplątany w walki frakcyjne. A miało być o pogo, browarze, muzyce i wolności.

– Miało być o tym, co z was, z tego zajebicie fajnego pokolenia wyrosło. I wyrosło, zmierz się z tym jak facet! – Nowa pojechała mocno, operator Paweł Walczak chciał coś powiedzieć.

– Nie ma co się zastanawiać. – Wzruszył ramionami Wilda. – Miało być pięknie, a wyszło, jak wyszło, to z naszego pokolenia wyrosli chuje, którzy rządzą Polską. Nie, żebym był za odpowiedzialnością zbiorową, ale przecież sami śpiewaliśmy: *całe nowe pokolenie narkomani i faszyci, punki, kurwy terroryści...* Pamiętasz? Ziemek Kosmowski z Braku to napisał i fajnie się to śpiewało, ale bez zrozumienia. A teraz, kurwa, niespodzianka! Nie przejmuj się, siostró, może nasze wnuki się udadzą, trzeba mieć nadzieję.

– Nie mam dzieci, to i nie będę mieć wnuków – powiedział Michał, śmiejąc się.

– Nie masz czy nie wiesz? – Leszek Wilda zaśmiał się, klepnął Misiewicza w plecy i zaproponował po piwie, Misiek by się złamał, ale czas gonił, profesor Kowalik nie mógł czekać.

---

25 *Pokolenie*, wyk. Brak, sł. i muz. Ziemowit Kosmowski.

26 Białko – papiery, dokumenty.

27 Peter Murphy – wokalista grupy Bauhaus.

28 *Parada wspomnień*, wyk. Kult, sł. Kazik Staszewski, muz. Kult.

29 Kibicowska przyśpiewka na melodię z serialu „Bonanza”.

# Rozdział 15

*Wielki gmach, kamienny pomnik  
Strzela w niebo swoją szpicą  
Środek Europy  
Przygnieciony pięścią komunizmu[30]*

## EIGHTIES

Adres budził szacunek. Plac Defilad 1, czyli samo serce Warszawy, Pałac Kultury i Nauki, jedno z jego ostatnich pięter. Gabinet Jerzego był przestronny, z każdego okna był widok na całe miasto. Wystrój nowoczesny, błyszczące meblościanki, nowiutki Radmor 5102, kolumny Altusy, kaseciak Finezja, kolorowy telewizor. I barek, z którego Jerzy wyciągnął kwadratową butelkę wypełnioną bursztynowym płynem.

– Whisky? – zainteresował się Boss. Poznał whisky w Enerefie[31], czasem strzelał sobie kolejeczkę Johnnie Walkera albo Ballantine’sa.

– Burbon. Jack Daniels. Rockmeni to piją, u nas rarytas, ale dobrzy muzycy będą to pić, zobaczysz.

– Masz colę?

– Colę? Ochujales? – Jerzy otworzył lodówkę. Stały w niej zgrabne, szklane butelki coca-coli, którą od czasów towarzysza Gierka rozlewano w warszawskim browarze. Nie wyjął jednak żadnej z nich, tylko wyjął z zamrażalnika tackę z kostkami lodu. – Siedziałeś w Reichu i nie wiesz, jak się pije whisky i Burbona? Z lodem! A co do pracy... Wpadniesz za tydzień, to ci pokażę o co chodzi, co chcę zrobić, tylko nie mam jeszcze magnetowidu. Kasetę mam do pokazania, obejrzysz, zrozumiesz.

Tym samym Jerzy ostatecznie domknął prezentację swoich możliwości. Pokój w Pałacu Kultury, bogate wyposażenie, zagraniczny alkohol i wreszcie magnetowid.

Trudno było powiedzieć, co wtedy robiło większe wrażenie; auto czy domowe kino? Jerzy nacisnął przycisk, rozległ się odgłos silnika, taśma ruszyła i Boss zaczął oglądać totalnie powalony film, który nosił tytuł *Great Rock'n'Roll Swindle*. Był angielski, ale jakoś dał radę, do tego Jerzy służył momentami za lektora i narratora. Facet, niejaki Malcolm McLaren założył dla żartu zespół Sex Pistols, pokierował nim i rozbił rynek, zmienił muzykę.

– Posłuchaj tych słów! – powiedział z entuzjazmem Jerzy, po czym cofnął taśmę i raz jeszcze puścił kawałek piosenki, widząc, że Boss nie do końca przyswaja tekst, powiedział – to ja ci to Andrzej przetłumaczę...

*To właściwy czas, by zrobić  
Największy rockandrollowy przekręt  
To właściwy czas, by to zrobić*

*Ludzie powiedzieli, że nie potrafimy grać  
azywają nas wulgarnymi prymitywami  
Ale jedyne, co się naprawdę liczy  
Liczy się w zwitkach banknotów*

*Bródna mamona to nic nowego  
Bo przecież dostajemy szmal za chaos[32]*

– I to jest anarchia sterowana! Rozumiesz? Potrzeba nam czegoś takiego, zespołu, który sami wykreujemy, sceny, którą przejmujemy, buntu pod kontrolą! Kluczem będą warunki: cieplarniane i zawodowe, gra na dużych imprezach, telewizja, no i płyty. Mam zaprzyjaźnioną firmę polonijną, która wchodzi w fonografię, wydamy płyty z odpowiednią promocją, objedziemy Polskę,

pokażemy innym, że jak się gra u nas, to można wszystko. Oczywiście, jeśli się gra na naszych zasadach.

– I to przejdzie? Taka muzyka, taki pomysł? Partia jest raczej konserwatywna.

– Partia nie jest jednorodna, ale Polska jest jedna. Socjalistyczna. I taką pozostanie, choć warto będzie nieco zrewidować tę definicję. Trochę unowocześnić i przyjąć do wiadomości, że kapitalistom wyszło parę rzeczy, na przykład auta, drogi, pełne półki w sklepach i to...

Jerzy nalał do szklanek po kolejce burbona, a widząc Bossa łąkomie wpatrującego się w plastikową reklamówkę marlboro, wyjął z szuflady torbę z Galeries Lafayette. Reklamówkę marlboro można było kupić pod pawilonami przy Marszałkowskiej, a szyku z plastikiem z paryskiego sklepu mogli zadawać nieliczni. Da dziewczynie, będzie światowa i elegancka.

## 2020

Andrzej Czerwiński siedział w fotelu i czekał na rozwój wypadków, decyzja mogła zapaść nagle, w każdej chwili, a najpóźniej w ciągu tygodnia. Wszystko się teraz będzie ważyć. W tym tygodniu. Jak zwykle jest chaos i szum informacyjny. Podwójny, jeśli nie potrójny, albo nawet i do którejś potęgi. Strategia, którą Porozumienie stosowało na froncie politycznym przypominała uderzenia kolumn czołgów wspieranych przez zrzuty spadochroniarzy na tyły.

Było przygotowanie artyleryjskie i bombardowanie informacjami o własnych sukcesach i wpadkach opozycji. Potem następowały komunikaty o tym, co zrobić, by sukcesy były jeszcze większe, by opozycja tego nie psuła, wymyślano nowe, ekscytujące projekty. Niedawno ruszyła Polska w Drodze – Mobilne Muzeum Rzeczypospolitej, wielki dar Polek i Polaków dla Europy. Niewątpliwe sukcesy, także te na morzu, niepodważalne i niepodlegające dyskusji skłoniły do pójścia za ciosem.



„Mieliśmy przed wojną siedem transatlantyków, nawet po wojnie, w czasach słusznie minionych pływał «Batory»! I co? Mamy tak to zostawić?”

Oczywiście że nie. Będzie nowy „Piłsudski” albo „Batory III”, zdecyduje ogólnonarodowe głosowanie, a już teraz powstał projekt studyjny „Polski transatlantyk z polskiej stoczni”. Zawiązano rządową spółkę mającą nie tylko wskrzesić polski okręt transatlantyczny, ale i odbudować Stocznnię Gdańską.

Patrzył na to ze spokojem, bo projekt zostanie pewnie zamrożony na rzecz bardziej ambitnego, na przykład budowy promu kosmicznego albo kolonizacji Marsa. Przyglądał się temu z pełnym spokojem, przecież był z rocznika pięć-osiem, jak kończył podstawówkę, to Orły Górskiego zdobywały złoto na olimpiadzie, jak był w liceum, to piłkarze i siatkarze zawojowali świat.

Pięciolatki, sześciolatki, budujemy drugą Polskę, Huta Katowice, Czterdziestolatek uwijający się na budowach Trasy Łazienkowskiej i Dworca Centralnego. Jak zdawał maturę, to wszystko się pruło. Gdyby wtedy otworzyli granice, dali paszporty, to ludzie zamiast strajkować, wyjechaliby na saksy i wrócili z niezbędnymi dewizami. Teraz mają Londyn, Dublin i wizy do USA, jest ruch w interesie i jest wizja wizji. *Neverending story* o lepszej Polsce.

Szanował to. Nie śmiał się z tego, tylko uważał, że trzeba to robić profesjonalnie. Wtedy opozycja nie miała posad, była mikra i symboliczna. Teraz grabarze Polski występowali stadnie, byli namacalnym dowodem na to, że nie można wszystkiego przeprowadzić od ręki, bo najpierw trzeba poprawić po nich. Dlatego nieustannie odbywały się akcje na opozycyjnych tyłach, prowadzone małymi siłami, ale niezwykle efektowne.

Gównoburze wywoływali sprawni polityczni komandosi i zaczynała się ostra walka – o szczegóły, słowa, postawy. Wtedy Godzilla była w swoim żywiole. Siły opozycji i jej prasy rozpraszały się, front rozciągał, następowały uderzenia lub tylko przegrupowania wojsk. Tym najnowszym, wielką rekonstrukcją rządu, która ma odwrócić uwagę od narastających problemów eufemistycznie nazywanych „delikatnym i chwilowym

spowolnieniem” ma być także wybór nowego ministra kultury. Ciekawe, jak to wszystko przejdzie, opozycja może skoczyć, jeśli coś może zaszkodzić, to tylko wewnętrzne ambicje. Porozumienie było silne, zwycięskie, a po zbiorowym sukcesie rósł apetyt na te indywidualne.

Zagrożeniem była Zdzisława Dworzak, jedna z twarzy tak zwanego Koła Modlitewnego. Wielu uważało, że jej ostatni, sobotni występ zaszkodził Porozumieniu, a ją kompletnie pogrzebał. Ależ oni byli naiwni! Właśnie w telewizji pokazali przemarsz Lidera z Dworzak, ta w pewnym momencie wysprzęgliła się z kolumny i podeszła do dziennikarzy. Rozpoczął się jej kolejny show, ona była zdolna do wszystkiego, a on wiedział o tym, jak mało kto. Podgłośnił telewizor i patrzył, jak grupa dziennikarzy próbuje ją przesłuchać w sejmowym hallu. Próbuje, bo to ona rządzi!

– No co? Czekacie? Czekajcie, taka praca jest niewdzięczna, zazdrościcie, a każdy mógł wystartować i zostać wybranym. Chcecie zmian? To będziecie je mieli, tylko potem nie narzekajcie. Co się pani tak wgapia, mówię niewyraźnie, czy może cały czas wysyłają do sejmu ludzi mało inteligentnych?

Dziennikarka otworzyła w zdumieniu usta, chciała coś powiedzieć, ale posłanka Zdzisława „Godzilla” Dworzak parła z siłą lokomotywy:

– Się nie podoba, delikatna jestem, to lepiej niech pracy nowej poszukam, to proste, nie? „Znaleźć pracę, wziąć kredyt” – zacytowała byłego prezydenta, po czym dodała swój nowy bon mot: – Dalej, jazda, bo się kolejki w bankach ustawiają!

Wyłączył telewizor. Jej bezczelność to nie tylko próba zakrycia sobotniej wpadki, bagatelizacji i otworzenia nowego frontu, żeby wszystko się rozmydliło. To także znak, że dostała wiatru w żagle. Obawiał się tego, kurewsko się tego obawiał, bo jeśli ona czegoś chciała, to zawsze musiała to dostać.

\* \* \*

Nie było korków, a do tego profesor poprosił o pół godziny zwłoki. Wracając z Pragi na lewy brzeg Wisły, operator Walczak skręcił z mostu Śląsko-Dąbrowskiego w zjazd przy Zamku. Przez Mariensztat wbili się w Powiśle, zatrzymali się w jednej z knajpek. Zamówili kawę i jakieś drobiazgi do jedzenia. Wojtka cały czas coś uwierało. W końcu nie wytrzymał i rzucił do Nowej.

– Piotr Tabach?

– Tabach to nazwisko pochodzące od żydowskiego słowa – odparła.

– Znęcałaś się nad jego nazwiskiem.

– Nad nazwiskiem nie, ale nad tym, że nosi je bez świadomości, co ono oznacza.

– A coś oznacza?

– Tabach to w jidysz znaczy „kucharz”.

– A to dobre, znaczy się narodowiec jest Żydem, to możliwe?

– Możliwy jest także przypadek, coś się odkształciło, zgubiło, w sumie taka ciekawostka.

– Jak Hazan?

– Mniej lub więcej.

Nowa przeprosiła i wyszła na chwilę. Wojtek zaczął się bawić komórką. Puścił ją w ruch jak karuzelę, patrzył na kolorowe symbole aplikacji, które wirowały jak w kalejdoskopie. W końcu smartfon zatrzymał się, a Wojtek zaczął się im przyglądać. Wśród nich był Tinder, z którego nigdy nie skorzystał. Jakies to mu się wydawało... obciachowe. A może miał tremę.

Na imprezie jedziesz na bombie, ona też, wszystko się naturalnie zaczyna i kończy. A tu? Aplikacja, zdjęcie, pisanie, jak, kurwa, w urzędzie! No i casting, mogą cię odrzucić albo na spotkaniu okaże się, że to pasztet, bo i o takich rzeczach słyszał, albo on się nie spodoba dziewczynie. Bawił się telefonem, nie wziął pod uwagę, że ten pieprzony Misiewicz ma tak dobry wzrok. Z ponad dwudziestu kolorowych znaczków wyłowił tę, która szczególnie go zaciekała.

– I co, wyrywasz laski na Tindera?

– Nie „na”, tylko „przez”. I nie wyrywa się, tylko umawia i uprawia seks – odpowiedział, jakby przez jego aplikację i łóżko przewinęło się

tyle dziewczyn, że stracił rachubę.

– Tak bez żadnych ceregieli?

– I zobowiązań.

– A potrafią gotować?

– Co?

– Czy potrafią śniadania robić?

– To nie gastronomia, tu chodzi o seks.

– Seks... Okej, ale by się zjadło i popiło.

– No tak, seks bez kolacji i śniadania to czysta fizjologia – włączył się operator Walczak, po czym dodał: – Jakbyś wyrywał, no jakby one były takie, jak mówisz, tobyś nie gapił się tak na tę, która tu była.

– Ładna po prostu, ty jej nie obczajałeś?

Walczak wzruszył ramionami, bo na pewno gapił się na nią, bo dlaczego miałyby się nie gapić? Miał go z głowy, ale nie Misiewicza:

– Tak ją obczajałeś, że zostałeś jej podnóżkiem – rzucił Michał.

– Przy takich nogach to nawet dobra fucha. – Walczak się zaśmiał i wyciągnął z wojskowej kurtki książkę.

– Co czytasz? – zapytał Wojtek.

– Houellebecq.

– I co?

– Niezły zjeb! – Walczak powiedział to w sposób, który wyrażał bezgraniczny zachwyt. – Czytałem już *Uległość i Serotoninę*, a teraz nadrabiam *Cząstki elementarne*. Czad!

– I smutek wielki – dodał Misiewicz.

– I smutek wielki – potwierdził Walczak. – Ale doskonale!

– Czyli warto? – zapytał Wojtek.

– Warto, warto – odpowiedział Walczak. – Facet rozkłada naszą cywilizację na czynniki pierwsze.

– I *Ale z naszymi umarłymi* Dehnela warto, przynajmniej młody z miasta Łodzi zachwala – Michał zareklamował Wojtka.

– A Mrożka czytałeś? – Niespodziewanie pojawiła się Nowa. – Ciebie pytam. – Nie było wątpliwości, pytała Wojtka.

– Nie, to znaczy tak, bo coś w szkole, lektury zawsze źle wchodzą, bo mają taki szkolny stygmat. Może powinienem spróbować jeszcze raz?

– Skoro jesteśmy w komplecie, to wypad. Profesor powinien być już gotowy – zarządził Walczak.

\* \* \*

Znów mieli dobre tło, bo profesor przyjął ich w swoim mieszkaniu, które jak przystało na mieszkanie naukowca, przypominało swym wystrojem bibliotekę. Operator zasłonił okna, obraz rozjaśnił, rzucając delikatny snop światła na książki, których grzbiety wychodziły z ciemności. Drugie światło było skierowane na profesora. Gustownie. Wykładowca historii najnowszej stał się polem eksperymentu reporterskiego Wojtka. Chłopak odchrząknął i zapytał:

– W wywiadzie udzielonym niemal dwadzieścia lat temu, nieżyjący już ojciec wokalisty grupy Załoga zakwestionował jego samobójstwo. Czy faktycznie mogło dojść do zbrodni?

– Ojciec muzyka powiedział, że to mógł być mord polityczny. Miał prawo tak przypuszczać, w Warszawie było ostro. Nie zdarzył się u nas Wujek, nie było krwawego stłumienia demonstracji jak w Lubinie. – Zrobił pauzę. – Żytunia Extra...

– Wiemy, o co chodzi, może dlatego że w przeciwieństwie do tej dziewczyny z agencji reklamowej nie studiowaliśmy historii – wtrąciła się Jaga.

Chodziło o reklamę wódki, na której było zdjęcie ludzi niosących kolegę. Cała seria była utrzymana w konwencji powrotu do lat PRL, więc wszystko pasowało, czterech niosących poprzedza długowłose brodacze w dzwonach, czyli czysty oldscool, melanz jak trzeba. Tylko że ten niesiony właśnie umierał, postrzelił go zomowiec, a dziewczyna, która wybrała fotkę i tłumaczyła się, że nie wiedziała, co przedstawia zdjęcie, ukończyła studia historyczne.

– Czy możemy zacząć od nowa? – spytał Wojtek.

– Tak, przesadziłem, nie powinienem oceniać wszystkich młodych jako nieuków, nie powinienem, przepraszam państwa – powiedział profesor, a Jaga kiwnęła głową i przymknęła powieki, przyjęła

przeprosiny. Historyk zaczął od nowa: – Ojciec muzyka uważał, że jego syn był ofiarą Służby Bezpieczeństwa. Miał podstawy, bo w Warszawie padli zabici.

Zacząło się 18 lutego 1982 roku. Tramwajem linii 24 jechał milicjant, sierżant Zdzisław Karos. Dwóch uzbrojonych nastolatków chciało go rozbroić, milicjant się postawił, zaczęli się szarpać, padł strzał. Sierżant zmarł cztery dni później. Chłopaków schwytano i wsadzono do więzienia, natomiast już w 1989, po Okrągłym Stole i wyborach czerwcowych ktoś zamordował księdza Zycha, z którym byli związani zamachowcy. Sprawa pozostaje niewyjaśniona, ale powszechnie uważa się, że ksiądz padł ofiarą esbeckiej zemsty.

Tuż po postrzeleniu milicjanta grupa młodych ludzi oblała czerwoną farbą i podpaliła pomnik Dzierżyńskiego. Byli tak zakonspirowani, że nie wiadomo, ilu ich było. Jednego z uczestników, Emila Bachrańskiego, aresztowano, gdy drukował ulotki. Bito go, co ujawnił przed sądem. Wybuchł skandal, władza się skompromitowała. Emil skończył tragicznie, trzeciego czerwca zginął, a piątego wyłowiono z Wisły jego ciało.

W maju 1983 roku było śmiertelne pobicie Grzegorza Przemyska, a w październiku 1984 porwano i zamordowano księdza Popiełuszkę. W następnym roku Black skacze z dachu. Przypadek? Według jego ojca nie.

– Sądzi pan, panie profesorze, że tak mogło być? – zapytała Jaga.

– Nie potrafię pani na to pytanie odpowiedzieć. Jako historyk muszę się trzymać faktów, jak do tej pory, kwerenda w archiwach nam tego nie potwierdza, nie ma żadnego śladu, nawet w katalogu. Oczywiście można snuć najrozmaitsze teorie. Celują w tym dziennikarze, ale i historycy, muszę to także przyznać. To, co na pewno wiemy, to dość ograniczona aktywność peerelowskich służb. Owszem, SB kręciło się koło muzyków, ale kierowano na ten odcinek wyjątkowo marnych agentów, raporty z Jarocina wskazują, że nie traktowano inwigilacji tego środowiska zbyt poważnie. Wiemy jednak, że nie przerobiliśmy całego zasobu archiwalnego. Przejrzeliśmy i przeglądamy, analizujemy ten dostępny, część dokumentów wyniesiono albo spalono. Teczki Kiszczaka nie były

jedynymi ocalałymi, z pewnością część byłych funkcjonariuszy przywłaszczyło sobie tego rodzaju dokumenty. To miała być polisa na życie albo dodatkowe źródło dochodu. Takie sprawy niezwykle rzadko wychodzą na światło dzienne. Być może trafimy kiedyś na taką esbecką, archiwalną Bursztynową Komnatę, ale to nic pewnego. Może się zdarzyć tak, że niczego nowego się nie dowiemy, może się też okazać, że będą przekazy ustne, ale w tym przypadku trzeba będzie zastosować wyjątkowo ostry aparat krytyczny.

– Czyli partia lekceważyła podziemie muzyczne?

– Chyba zdecydowały wyniki akcji „Agrafka”, którą przeprowadzono w Poznaniu w latach 1980–1981. SB w swoich raportach kompletnie nie zrozumiała problemu, im się wydawało, że punkowcy to faszyci. Niegroźni i śmieszni, a SB lubiło penetrować środowiska narodowców, polecam pracę, *Endekoesbecja* doktora Cenckiewicza. W wielu sprawach się nie zgadzamy, ale akurat ta pozycja zrobiła na mnie wrażenie... A wracając do tematu, to jestem zdania, że władze PRL wierzyły w to, że muzyka młodzieżowa bardziej demobilizuje i odciąga od opozycji, niż zagraża ustrojowi.

– Czy były próby wygrania przez władze faktu, że młodzież słuchająca muzyki alternatywnej nie była prokościelna?

– Była antysystemowa, a dla partii, nie tylko tamtej, kto nie idzie z nami, jest przeciwko nam. Nie wydaje mi się, żeby ideolodzy i stratedzy wyszli poza schemat, w każdym razie nie ma potwierdzenia tego w dokumentach. Z rezerwą traktuję pogłoski o akcji „Wentyl”, która zmierzała do wykorzystania dla własnych celów nie tylko muzyki alternatywnej, ale i wszystkich gatunków popkulturowych.

Mieli puentę, więc biegiem spakowali się i ruszyli do biura, w którym urzędował Skoczek. Showman obdarzył każde z nich jakimś mało wybrednym dowcipem, Misiewiczowi poradził, żeby obecną fryzurę urozmaicić przedziałkiem, operatora zapytał, ile bierze za skręcenie wesela, Nową obciął wzrokiem i zapytał, skąd dojeżdża i czy ma w swojej torbie prowiant, a Wojtka zaszczycił pytaniem, czy kupił ciuchy z przeceny, czy na wagę. Potem wdrapał

się na tron, z którego prowadził swoją telewizyjną audyencję – przyjmował pytania i dawał odpowiedzi.

– Jaką grupą był Załoga, ważną czy jedną z wielu? – zaczął Misiek.

– Załoga był jedną z setek, jeśli nie tysięcy grup. Mieli farta, mieli pecha, mogli mieć wszystko, nie zdobyli nic. Ich krótki żywot to był prawdziwy rollercoaster, w górę i w dół. Zaczęli dobrze, bo mieli bazę, co się niewielu grupom zdarzało. W Warszawie takim azylem dla zespołów były „Hybrydy”, w piwnicach przedwojennego lokalu, w pomieszczeniach po kuchni, chłodni i magazynach miały swoje kanciapy, czyli sale prób, zespoły, które zostały legendami: Izrael, Kultura, Dezerter, Armia, T.Love, Daab. Grali tam tak wpływowi muzycy jak Robert Brylewski, Kelner, Maleo, Budzy, Muniek i Szwagier od Kolaski, czyli Andrzej Żeńczewski. Tam zaczynała Kayah, tam odbyło się pierwsze „Róbrege”.

– Dlaczego Załoga tam nie grała?

– Bo mieli własny, lepszy lokal. Wygodniejszy. Dobry sprzęt, wzmacniacze i perkusję, bardzo dobre klawisze, warunki do robienia taśm demo, no i nie było szcurów. To była zasługa młodego kierownika, który stworzył im azyl i dawał Białkowskiemu wolną rękę. White miał w ręku salę prób, sprzęt, studio do robienia demówek i etat instruktora. Mógł się rozwijać i reszta grupy także. Ale z drugiej strony byli poza tygłem, z boku, może to właśnie sprawiło, że się nie przebili? To brak repertuaru i śmierć Blacka, zwyczajnie nie dostali czasu, kto wie, może zabrakło im parę miesięcy lub nawet tygodni. To, co teraz po latach zrekonstruował White, jest za-je-bis-te! Proszę tego nie wyrzucać, bo tylko tak to można określić: za-je-bis-te!

– Znałeś ich w tamtych czasach?

– Mieszkałem wtedy w Wałbrzychu, ale załapałem się na ich jedyny koncert. W sumie przypadkiem, bo przyjechałem na Cold War. Wtedy z nimi nie gadałem, bo mieli jakiś dym w garderobie. To już trzydzieści pięć lat! – Wieczny chłopiec polskiego showbiznesu uśmiechnął się, dmuchając w grzywkę, która jak u Andy Warhola opadała na twarz. – Poznałem White’a Białkowskiego już w innej sytuacji, reszty chłopaków nie miałem okazji spotkać.



– Co się z nimi stało?

– Clash, bardzo obiecujący gitarzysta, wyemigrował, krążą o tym legendy, ale to jak z kosmitami, nikt nie widział, a wszyscy mogą o nich opowiedzieć. Kowala, czyli perkusistę, nigdy osobiście nie poznałem, ale widziałem w paru składach. Niestety on i jego brat mieli skłonność do alkoholu, narkotyków i bijatyk. Nie dożyli do tego programu, posypali się na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy w paru warszawskich klubach proszek leżał na bufecie, trawę paliło się jak zwykle papierosy, a nakręceny amfą zawodnicy potrafili grać bez przerwy przez całą noc i kawałek dnia. Śmierć zebrała żniwo, oni należeli do pierwszych.

– Basista...

– Greg, też niezły, miałyby miejsce w każdym nowofalowym składzie. Podobno załamała go śmierć Blacka. Zespół staje się teraz legendarny, klamra, którą chce spiąć jego historię White, to niezwykła puenta ich działalności. To piękne, że jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy producent muzyczny, wraca do korzeni. Bardzo czekam na ten projekt, oczywiście jak wszystko, czego się dotyka, zamieni się w złoto, ale tym razem nie chodzi o Króla Midasa, tu będziemy mieli do czynienia z innym mitem, oni się odrodzą jak Feniks z popiołów.

– Patetyczny dupek – mruknęła pod nosem Nowa.

– Moim zdaniem był świetny – powiedział Wojtek.

– Frazesy.

– Państwo młodzi chcą zadać jakieś pytanie? – Skoczek łaskawie obdarzył ich swoją uwagą.

– Wpiszecie sobie później do CV. – Misiewicz zarechotał.

Nowa nie miała ochoty zniżać się do rozmowy ze Skoczkiem, po co ma robić kwas? Zapytałaby go, czemu robi popularność na mizoginizmie, kiedy skończy z seksistowskimi żartami, czy nie uważa, że to, co robi, to obciach. Za to Wojtek był gotów.

– Grałeś kiedyś na saksofonie w zespole Bon Towarowy, czy wystąpiłbyś na płycie poświęconej Załodze?

– Bez wahania, to byłby zaszczyt, nawet na trójkącie, gdyby mi dano taką szansę.

– Okej, mamy to – ucieszył się Misiek. – A ty, Jaga?  
– Ja już wiem wszystko, dziękuję – odpowiedziała oschłym tonem.  
– Łamiesz mi serce, Królowo Śniegu – załkał Skoczek. – Jesteś piękna i boję się odrzucenia, a mam dla ciebie konkretną propozycję...

Nowa stężała, Wojtek miał wrażenie, że przywali Skoczkowi.

– Zanim mnie pozbawisz przytomności ciosem karate albo zabijesz torebką, wysłuchaj mnie! – Skoczek złożył ręce jak do modlitwy. – Tobie pierwszej i jedynej, jak na razie, to mówię. – Wpadłem na pomysł nakręcenia serialu o tej grupie! Zawsze chciałem wejść na rynek filmowy, ale czekałem na coś wyjątkowego. Polski „Vinyl”, tylko taki, wybaczone Martin, wybaczone Mike, który będzie miał drugi sezon! Scorsese i Jagger polegli na projekcie muzycznego serialu, a ja wygram, mówię poważnie! Historia zespołu, który się nie przebił, opowieść o tamtych czasach. Chciałbym, żebyś zagrała w tym filmie, chcę, by pojawiły się nowe osobowości, by stare wygi i gwiazdy zagrały rodziców, nauczycieli, funkcjonariuszy partyjnych i milicjantów. Muzyków i młodzież obsadzę debiutantami, tak to widzę! Jesteś osobą, której szukałem!

Kiedy jechali na kolejną rozmowę, Nowa nie mówiła już źle o Skoczku, Wojtek miał wrażenie, że propozycja zagrania w filmie wszystko zmieniła, zwłaszcza że Misiek powiedział, że to nie bajer, że Skoczek zawsze chciał zrobić jakiś film, że gromadził środki i teraz stać go na to.

– Wiem, kiedy jest poważny, a kiedy żartuje – powiedział z miną eksperta. – Teraz mówił na poważnie. Chciał kiedyś pójść na reżyserię, ale się nie dostał, więc ma szansę zrobić to, o czym marzył.

– I wyreżyseruje ten serial? – Nowa miała wątpliwości.

– Kochana! To profesjonalista! Będzie producentem, będzie miał kontrolę nad wszystkim, to będzie jego film, zatrudni najlepszych. A skoro i ciebie, to znaczy, że uważa, że jesteś przynajmniej dobra.

\* \* \*

Artur i Wiśnia po raz enty obeszl i mieszkanie na Zawadach i restaurację. Jeśli było coś wyjątkowego, jakiś ślad, coś, co nadawało kierunek, podpowiadało motyw, to komputery. A raczej ich brak. Laptopa, którego używał nieboszczyk, nie było w żadnym z tych miejsc. Srebrna toshiba wyparowała. „Pewnie była w Berlinie albo się tam przesiadała” – zażartował po swojemu Wiśnia. Dostali raport z Centralnego, że wieczornym do Berlina jechał Japończyk, a przynajmniej Azjata. Obejrzel i film, na którym było kilku Azjatów, jeden z nich odpowiadał rysopisowi Hong Bum-kuna. Miał przy sobie małą torbę, w jakiej nosi się laptop. A co z Cha Myung-bo? Rozdzielili się? Trzeba szukać inaczej, otworzyć inny front.

\* \* \*

Joanna była wściekła na Artura. Pociągami w obie strony. Nie chodzi o to, że pociągami, tylko że bez niego. Dwa razy po pięć godzin zamknięci w jej miniaku. Kochała to, bo nikt im nie przeszkadzał, bo byli sami, nawet korki nie były irytujące. Zamiast wspólnych paru dni w górach samotny wyjazd. Fajny, ale nie o to chodziło. Ale taką miał pracę, równie, a może nawet bardziej porąbaną niż jej telewizyjny dżob. Kiedy telefon zawibrował i zobaczyła na ekranie słowo „Artur”, ucieszyła się.

- Dzień dobry, kochanie – zaczęła zalotnie.
- Mam młyn, jakiego chyba nigdy w życiu nie miałem. – Jego głos był suchy, urzędowy.
- Jak ci mogę pomóc?
- Miałaś w programie japonistę, jakiegoś specjalistę od tego kraju?
- To był wideobloger.
- Wolałbym kogoś...
- Kogoś poważniejszego?
- Raczej, bo sprawa jest poważna.

Joanna czuła, że to coś wagi ciężkiej, więc nie pytała. W takiej sytuacji, jeśli uzna za stosowne, powie jej sam. Był spięty, nie ma sensu go drażnić.

– Zaufaj mojej kobiecej intuicji, wydzwonić ci go?  
– Zawsze marzyłem, żeby mieć piękną asystentkę...  
– Spadaj! – Zaśmiała się. – Wyślę ci jego wizytówkę, a później zadzwonię do niego, będzie mniej oficjalnie, on lubi opowiadać, poza tym połączce go fakt, że policja prosi go o pomoc. Pewnie zadzwoni do ciebie szybciej, niż się spodziewasz.

Tak było, oddzwonił. Okazało się, że mieszka na Sadybie i ustalili, że umówią się jutro w wilanowskim Macu.

\* \* \*

Żadne z nich nie paliło, więc Misiewicz, utyskując na upadek obyczajów, bo kiedyś wszystkie ważne kwestie załatwiano się na fajku, wyszedł z redakcji.

– Mówiłeś, że byś znów spróbował Mrożka, tak z wyboru? – zapytała Jaga Wojtka.

– No tak – odparł.

– Mam bilety na dzisiaj do „Polonii”, jednoaktówka *Policja* i po przerwie druga, Noc zatracenia Saramonowicza. Miałam wrzucić kulturalny wieczór na Tindera...

– Chętnie, pewnie, że pójde.

– Ale nie rozbijesz mi wieczoru? W końcu na Tinderze nie chodzi o teatr. Widziałam, że masz aplikację, ja też mam, więc przecież nie będę do ciebie wysyłała z biurka na biurko, bo by to było śmieszne. To jak?

Wojtek poczuł się skrępowany.

– To jak?

– No tak! – odpowiedział bardzo poważnie, tak jakby dokonał jakiegoś ważnego wyboru, ubezpieczenia, zakupu ratalnego, czegoś technicznego. „Pewnie że tak, jak najbardziej” – pomyślał z o wiele większym entuzjazmem, niż powiedział, po czym zdał sobie sprawę, że Misiewicz miał rację w stu procentach.

---

30 *Pałac*, wyk. Dezerter, sł. Krzysztof Grabowski, muz. Robert Matera.

31 Eneref – Niemiecka Republika Federalna, zastąpiona przez władze polskie nazwą RFN w roku 1970.

32 *The Great Rock and Roll Swindle*, wyk. Sex Pistols, sł. i muz. Steve Jones, Paul Cook, Julien Temple. Tłum. G. Kalinowski.

# Rozdział 16

*Wolność. Po co wam wolność?  
Macie przecież telewizję  
Wolność. Po co wam wolność?  
Macie przecież Interwizję, Eurowizję*[\[33\]](#)

## EIGHTIES

Boss popatrzył na instruktora, który na głowie miał modnego blond baranka. Dzielilo ich ledwie kilka lat w kalendarzu i przepaść w zależności służbowej. Postanowił się nie pieprzyć i nie grać dobrego wujka. Korzystał z doświadczeń przyszełego teścia i szwagra. Ojciec Jolki był chorązym sztabowym, a brat podporucznikiem, z kolei on sam był na praktykach w szkole i pamiętał, jak koleżanka chciała być miła i ją prawie zjedli. Trzeba zawsze zacząć od prezentacji siły, dopiero potem zaskakiwać miłymi niespodziankami. „Koty trzeba sobie ułożyć, mają od pierwszego dnia zapierdalać na wysokości lamperii, inaczej już się, kurwa, niczego nie nauczą, a szacunku to już zupełnie” – mawiał chorąży sztabowy Skwarski.

– Słuchaj no, Białkowski, co ty tutaj odpierdalasz?

Nie wiedział co, ale sądził, że po takim entré, Białkowski sam mu wszystko opowie.

– Słucham, panie kierowniku... – wydusił. Zatem był na dobrej drodze, tylko potrzebował jeszcze zachęty.

– Ty nie słuchaj, tylko mów, kurwa, ty tu jesteś instruktorem czy grajkiem?

No i opowiedział. Białkowski chciał tu stworzyć studio nagrań. Zakłady robiły podzespoły dla wojska, miały też cywilną produkcję

na eksport za twardą walutę i wymianę. Ludowe Wojsko Polskie płaciło jak trzeba, kontrahenci ze zgniłego Zachodu także. Taka była produkcja, uniwersalna i dochodowa, za dolary i dla socjalistycznej ojczyzny.

Montował tu zespół, chciał z nimi podbić świat. Przynajmniej Polskę. Uważał, że musi to być druga Republika, tylko taka, która wyjdzie z muzycznego podziemia, bo to się robi modne. Gdyby się spotkali wcześniej, toby znalazł sposób, żeby mu podziękować, choć było to niełatwe i nie szło tak spod palca.

Ostrzeżenie, nagana, z wpisaniem do akt i tak dalej. Wyrzucić z roboty było ciężko, a jeszcze ciężiej przyjąć. Był deficyt rąk po pracy, bezrobocie było czymś, co Polsce Ludowej nie groziło. Chyba że ktoś za politykę podpadł, to musiał zedrzeć zelówki, żeby pracę znaleźć.

Pewnie by go opierdolił i postawił do pionu, ale po rozmowie z Jerzym miał już inny plan. To był większy plan, w którym miał pomóc Jerzemu. Nie mówił mu o szczegółach, ale chyba pojmował. Chodziło o reformę, dość głęboką reformę, łączącą w sobie elementy tego, co miały Jugosławia, Węgry i Finlandia. Miała wyjść z tego polska droga do socjalizmu.

– W Szwecji rządzą socjaliści i komu to przeszkadza? – argumentował Jurek.

– A igrzyska w Los Angeles? – zapytał Boss.

– To jest właśnie pójście drogą sojusznika ZSRR, ale tylko w sprawach międzynarodowych. Oczywiście Rumuni się postavili, ale chciałbyś żyć w Rumunii?

– Nie. Syf i bieda.

– A widzisz. Węgry też by ci się nie podobały, bo bez legitki byś nie miał takiej fajnej posady. Wyciągamy wszystko, co najlepsze, od Węgrów gospodarke, od Jugoli możliwość wyjazdów za granicę, a sami pokażemy, że można poluźnić cenzurę. Tylko jajogłowi i część młodzieży na to zwraca uwagę, trzeba ich kupić, pokazać, że da się żyć.

– A zaostrome prawo o nielegalnych wydawnictwach?

– Jak nie ścigać z całą surowością tego, co legalne? Są wydawnictwa przecież, i tu też dano sygnał, w marcu Czytelnik

wydał książkę Madeja *Maść na szczury*. Wiesz, gdzie było pierwsze wydanie? W paryskiej „Kulturze”! A Kieślowski kręci film ze strajkami i Solidarnością w tle, do tego według scenariusz mecenasa Piesiewicza, który bronił ekstremistów. Można? Można! Wentyl, rozumiesz? Będziemy te wydawnictwa koncesjonować, zagramy jak Wilhelmi!

– Jak były minister kultury?

– Nie chodziło mi o Janusza, tylko o Romana, o aktora. On, jak pracuje nad rolą, to zmienia akcenty: przypierdolić, odpuścić; przypierdolić, odpuścić; przypierdolić, odpuścić. To jest doskonała metoda! Generalnie to musimy mieć wentyl, żeby nadmiar powietrza upuszczać, nie obrażać się na kabarety, dać poszaleć młodym, wyrosną z buntu, wiesz, co potem jest ważne? *Telewizor, meble, mały fiat!*<sup>[34]</sup> – zamruczał kawałek piosenki grupy Perfect. – Damy im poczucie, że są ważni, niezależni, ale będziemy to bacznie oglądać. Musimy tak, bo oni nadużywają zaufania, kombinują, starają się coś ugrać dla siebie. Na przykład muzycy. Grają numery do wierszy z czasów stalinowskich, Dezerter, Piersi i inni tacy. Dobrze się, kurwa, bawią. Naszym kosztem się bawią, ale chuj tam, góra uważa, że my na tym skorzystamy. Antykościelni są i to jest to! Zawsze miło, że nie tylko partyjny beton widzi problemy z czarnymi.

Boss przełknął ślinę, bo przecież będzie brać ślub kościelny, ale w końcu nie jest partyjny.

– Oni walczą o rząd dusz, partyjna góra jest o czarnych zazdrosna, ale mentalnie jest bliżej kościelnej góry, niż ci się wydaje. To są ortodoksi, gołej dupy nie widzieli, cycków się boją, ale jak jest okazja, to się walą jak zabytki Krakowa! Wyobraź sobie, że generał, jak się spotkał z prymasem, to mu zwrócił uwagę na to, że noclegi podczas pielgrzymki do Częstochowy są koedukacyjne i trochę się w tych stodołach dzieje! Tak to wygląda, sytuacja jest złożona, będziemy bardziej iść w stronę *Seksmisji* niż *Kaliny Czerwonej*, *Kierunek Berlin* i *Do krwi ostatniej*. Nie można dawać ludziom tylko Wału Pomorskiego, szturm Berlina i bitwy pod Lenino. Cepeliada dla tych, którzy pójdą na wszystko, co ma w pakiecie kiełbasę i piwo, dla



tych z ambicjami lepsze kino i teatr, a dla młodych zbuntowanych bunt, najlepszy, jaki im wymyślimy!

No to chyba się domyślasz, co masz robić? Aktywizować młodzież, bo z nudów pójdzie na pielgrzymki i demonstracje. Trzeba im stworzyć alternatywę, pokazać, że da się tutaj ustawić, ja bym nawet poszedł w niezauważanie zioła. Jarają konopie, a milicja łapie tylko za kompot i ciężkie sprawy. Parafrazując Kisielewskiego, trzeba im dać wygodnie się urządzać, nawet jeśli parę osób będzie uważało, że jesteśmy w dupie – zakończył Jerzy.

Dlatego Boss opierdoli Białka tylko trochę, tak dla zasady, dla higieny, żeby nie odleciał, żeby poczuł mores. A później ojcowska dłoń, morał, światełko w tunelu i niech zapierdala.

– To kiedy ten zespół będziecie mieć, Białkowski, i czy on się jakoś nazywa? – zapytał Boss.

– Załoga się nazywa. I tylko jeszcze szukamy basisty, dobrego basisty, bo wszyscy dobrze grają, więc to nie może być byle kto.

– Szukaj, szukaj!

– Znalazł się. Chyba się znalazł, bo Black, wokalista zaprosił na próbę jakiegoś kozaka.

Black mówił o tym gościu, że raczej cienki, ale coś trzeba było powiedzieć kierownikowi.

\* \* \*

Z drugiej do trzeciej klasy. To był przełom. Stała się kobietą, nie tylko dlatego że miała większy biust i szersze biodra. Cieleśnie czuła się w pełni, nie była już szarą myszką, brzydkim łabądkiem, była dżagą jak trzeba, tak mówili chłopcy z klasy. Marianka powiedziała jej o tym na fajku. Bo zaczęła palić, kto nie palił, ten nie istniał towarzysko.

Gorzej z tym drugim aspektem kobiecości. Robert, który uczynił ją kobietą, zrobił to pokracznie, wszystko to, co się stało podczas wakacyjnego wyjazdu pod namiot, było rozczarowujące i żalodne. Dobrze, że nie było z tego ciąży. Spuścił się w nią matoł, ledwie

wszedł. Potem przy ognisku ją obejmował, traktował jak trofeum, a kolegom opowiadał, jak domagała się więcej i skamlała z rozkoszy. Mały chujek.

Kolejne próby też były mało zachęcające, ale żar i ciekawość nie malała, walczyła jednak z oporami, ze strachem przed kolejnym niepowodzeniem, z porannym kacem.

To były wakacje roku 1984, podczas których Suzi poczuła, że chce być kimś zupełnie innym, choć nie wiedziała jeszcze kim. Druga część wakacji to był wyjazd do Londynu. Szaleństwo absolutne. Pojechała sama, bo ojciec wciąż udawał, że nie ma ciotki za granicą. Bo to mogło mu zaszkodzić. Wolał nie jeździć, ale załatwił jej paszport i całą resztę.

Inny świat, inni ludzie, inna muzyka. Jak tylko mogła oglądała MTV, najbardziej spodobał się jej teledysk *Eighties* grupy Killing Joke. Czad. Totalny czad. Mieć takiego faceta jak Jaz Coleman, przystojnego, nieco egzotycznego, pojechanego, lidera superzespołu. Wróciła z głową pełną obserwacji i kasetami, z nowymi ciuchami i fryzurą.

## 2020

Wyjście do teatru było super, chociaż na początku czuł się jak na szkolnej wycieczce. Może dlatego że Nowa była od niego trzy lata starsza? A może przez Tindera. Miał go od roku, ale nie potrafił się zdobyć na jego użycie. Zresztą jak tylko zainstalował, to poznał Żanetę, byli ze sobą przez prawie rok, ale całkiem niedawno wszystko się posypało. A potem chodził za Patrycją. I nic nie wychodził.

Cała ta sytuacja go rozwaliała, czuł się trochę jak w ukrytej kamerze. U niej w domu zaczęło się sztywno, chociaż jak się rozkulbaczyła, zdjęła te wszystkie wory, plecaki i torby, a potem kazała, chociaż tak formalnie poprosiła, żeby jej umył plecy, to przekonał się, że ma fajne ciało. Smukła, silna, sprężysta. I taka była

w łóżku. Nie bardzo wiedział, co zrobić po wszystkim, na seks się umawiali, seks z teatrem, poczęstowała go jeszcze winem, zamówił Ubera, wrócił do siebie.

Wszystko to było nieco mechaniczne, choć sam seks bardzo okej, jeśli nie jeden z lepszych, które miał. Teraz obawiał się dnia w pracy, jak to będzie? Spali ze sobą, a dokładnie to się kochali, bo spali każde u siebie. *Fuck!* Jakoś sobie będzie musiał dać z tym radę.

\* \* \*

Michał Radzik, właściciel feralnego mieszkania na Zawadach, przyjechał bladym świtem na Bruzdową. Przyjechał w dresie i sportowej kurtce, ale nie dlatego że miał później biegać, tylko dlatego że tak było wygodniej. Wjechał do garażu i zaparkował swoje audi obok miejsca, na którym stała camry pana Kasai. Z podłokietnika wyjął kluczyk, wysiadł z auta i podszedł do drzwi, za którymi były schowki.

Przekręcił klucz w zamku drzwi od schowka, który był obok tego, który przynależał do mieszkania wynajmowanego przez Japończyka. Nacisnął klamkę, drzwi otworzyły się same, Radzik nie był w stanie wydobyć z siebie głosu, zdrętwiał, po czym nagle odzyskał władzę w nogach i zaczął uciekać.

\* \* \*

Youtuber miał na imię Bartek, był młody, miał jakieś dwadzieścia lat z haczykiem. Nosił okulary, a na kolorowej bluzie z kapturem widniało logo jego kanału na YouTube – „Okularnik Zwiedza Świat”.

– Jak redaktor Becker prosi, to nie mogę odmówić. Po tym jak wystąpiłem w jej programie, to wzrosła mi klikalność i unikatowi użytkownicy. Przeskoczyłem na wyższy poziom, nie dobijam jeszcze do miliona, ale już minąłem półmetek. Poza tym jestem ciekawy, czego może ode mnie chcieć policyjny detektyw.

– Wyjaśni mi pan parę rzeczy, być może to dla pana banalne, ale dla mnie niezrozumiałe. A ja chcę zrozumieć relacje, które mogły łączyć zamordowanego z jego rodakami i polskimi sąsiadami oraz klientami.

– To temat rzeka, japońskie społeczeństwo jest bardzo mocno zhierarchizowane. To utrudnia relacje, wpływa na scenariusze postępowania. Dużym problemem są single pasożyci. W klasie średniej, którą na to stać, rodzice hodują kilka milionów takich społecznych kalek.

– Kilka milionów?

– Tak, ocenia się, że jest ich cztery i pół miliona. To już nie jest młodzież, mieszczą się w przedziale trzydzieści pięć–pięćdziesiąt cztery lata. To narasta od dwóch dekad, Japończycy boją się, co będzie, jak zaczną wymierać rodzice, którzy ich utrzymują. Kto będzie za nich płacić? Przecież nie mają prawa do socjału, renty i emerytury.

– Niezła patologia. – Artur pokręcił głową. Wyobraził sobie siebie, jak mieszka w Szczytnie i jest utrzymankiem swoich rodziców, nauczycielki i emerytowanego policjanta.

– To jeszcze nie jest największy problem, bo w tej grupie są ludzie chorzy: hikikomori. Cierpią na syndrom agorafobii i wycofania. Siedzą w swoich pokojach, często tylko przemykają do łazienki, a jedzenie mają dostarczane pod drzwi.

– A jak się układają relacje na linii szef – podwładni?

– Jest hierarchia, ale często szefowie organizują po pracy ostrą integrację przy kieliszku, która kończy się pijaństwem, bo Japończycy mają słabe głowy, metabolizm im nie pomaga. Japonia się starzeje, ludzie nie zakładają rodzin, często w ich miejsce single znajdują zastępcze formy, coś, co nam się wydaje dziwactwem, a dla nich staje się czymś absolutnie normalnym!

To zainteresowało Artura, ale w tym momencie zadzwonił telefon, odebrał, bo dzwonił Wiśnia.

– Jesteś w tym macu w Wilanowie?

– Tak?

– To wyskakuj, będę za minutę. Jak jechałem po ciebie, dostałem informację, że na Zawadach otworzono kopalnię japońskich trupów!

Artur przeprosił chłopaka. Kilkanaście sekund później wskakiwał już do cywilnego auta, które jechało na sygnale i świeciło z dachu niebieskim światłem. Klienci baru przyglądali się chłopakowi, który przed chwilą jeszcze siedział i rozmawiał z człowiekiem, a teraz odjechał policyjnym autem.

Jechali na Zawady, a raczej przebijali się w ich stronę przez zatłoczone o tej porze Wiertniczą, Przyczółkową i Vogla. Wiśnia był skupiony na mijaniu samochodów. Cały czas jechali na bombie, pojazdy się rozstępowały, ale trzeba było precyzji. I zdecydowania. Był to więc rzadki moment, w którym sierżant sztabowy Wiśniewski – jak to elegancko ujmował – „przekazywał kierowcom innych pojazdów życzliwe rekomendacje”.

– Posuń się, chuju!

– Nie widzisz, ślepa cipo, że możesz podjechać do przodu.

– Kto ci, kurwa, dał prawo jazdy?!

– Nie gadaj przez komórkę, przygłupie, orientuj się!

Szarpnęło, bo Wiśnia przyhamował, żeby przejechać przez rondo na skrzyżowaniu Vogla i Sytej.

– No to teraz się okaże, czy to, co ci naopowiadał ten bloger, było coś warte, czy to wszystko nie poszło psu w dupę! – rzucił Wiśnia. – Kochany, ja o Japonii wiem wszystko, oglądałem *Szoguna!* – zawołał z dumą Wiśnia, po czym wrzasnął: – Toranaga-san, Anjin-san, klasyka mój drogi, ty jeszcze głowy nad blat nie wystawiałeś, jak takie rzeczy w telewizji leciały. I to nie wszystko! *Harakiri* i *Siedmiu samurajów*. No i *Imperium zmysłów*, i *Imperium namiętności*<sup>[35]</sup>, ależ to były filmy! Rznęli się jak piły tarczowe i zabijali, a w jednym z nich, nie pamiętam, które imperium to było, bohaterka na życzenie swojego faceta dusi go, obcina fiuta i zabiera go ze sobą! To znaczy fiuta zabiera, niezła jazda, co? – Wiśnia kręcił głową na wspomnienie japońskich filmów: – Byłem w ósmej klasie, ale wąż szybko mi się sypnął, więc je zaliczyłem w kinie! A na *Godzillę* to się bez problemu wjeżdżało.

– To i ja oglądałem – powiedział Artur.

– Tę nową? To popelina! – prychnął Wiśnia.

– A ta stara była dobra? Faceci przebrani za smoki i potwory z ogonami z gumy? Co za tandeta!

– Miało swój urok! Tsubasa i pokemony to tandeta, a łykałeś ten kit jak pelikan. No i jesteśmy na miejscu!

Po raz drugi w krótkim czasie Bruzdowa na wysokości apartamentowca, w którym mieszkał Kenichi Kasai, była zablokowana przez pojazdy różnych służb.

---

33 *Po co wolność*, wyk. Kult, sł. i muz. Kazik Staszewski.

34 *Nie płacz, Ewka*, wyk. Perfect, sł. Bogdan Olewicz, muz. Zbigniew Hołdys.

35 *Imperium zmysłów* (1976), *Imperium namiętności* (1978), reż. Nagisa Oshima; ten drugi film został nagrodzony w Cannes Złotą Palmą.

# Rozdział 17

*Popatrz na brutalność dookoła  
Popatrz na brud i agresorów  
Tyle bałaganu w ludzkich głowach  
Wciąż za dużo w świecie niepokoju*[36]

## EIGHTIES

Załoga zaczęła grać. Mieli zapał, który potęgowało miejsce.

– Pełna profeska. – Pokręcił głową Greg, kiedy pierwszy raz wszedł do sali prób. – Tu demówki można robić.

– Można – potwierdził White.

– I nie wyjebią nas stąd? – Greg lubił zadawać konkretne pytania.

– Nie, bo ja tu pracuję.

– No to zapytam w ten sposób, czy nie wyjebią cię stąd, a nas razem z tobą? – Greg drażył temat.

– Nie, bo mam na to zgodę.

– A kto tu jest szefem?

– Mówimy o nim Boss, otwarty gość, kierownik do spraw młodzieżowych, z nim nie zginiemy – wyjaśnił Black. – Lepiej pokaż, co potrafisz.

Podał mu swój bas.

Pokazał. Zaczął jechać jak Peter Hook z Joy Division. Dołączył White, dając oszczędny podkład na klawiszach, potem weszła reszta i było, jak mówił Kowal, malinowo. Był chaos, ale twórczy. Nie skomponowali nic własnego, ale grali przeróbki.

Fajnie to robili, łapali swój styl, grając cudze numery, od Sex Pistols do electropopu. Coraz lepiej im to szło, Białek, to znaczy

White, bo tak chciał się nazywać, dobrze ustawiał brzmienie, jechali równo, wplatali swoje motywy. Grali wieczorami, nawet po oficjalnym zamknięciu.

Raz tylko był kwas, przyszli miejscowi żule, jakaś chuliganerka, niedobitki git-ludzi. Powiedzieli, że jak ich jeszcze raz zobaczą, to zajebią. Że teraz to jest ich tylko paru, ale następnym razem przyjdą całą ekipą.

No i przyszli, raptem w sześciu, a na ich próbę wpadł brat Kowala ze swoją załogą. Rozklepali żuli, aż się kurzyło, zatańczyli z nimi pogo. Zrobili swoje, nie wrócili. Mieli święty spokój. Od żuli, od systemu, od całego świata. Przynajmniej tak im się wydawało, a może po prostu chcieli w to wierzyć.

## 2020

Jaga zdobyła numer do basisty. Nie odbierał, wysłała więc esemesa. Nul. Podała adres poczty. Zero. W końcu wygooglowała, gdzie go szukać. Bo jak już się na coś uparła, to musiała. Greg miał swoją firmę logistyczną E&G Spedition. Zadzwoiła do sekretariatu, ale ją spławili. To ją jeszcze mocniej nakręciło. Pojechała tam, gdzieś na wylotówkę na Kraków, weszła do środka budynku, który był połączeniem wielkiej hali magazynowej, garaży i biura. Czysto, schludnie, estetycznie, dość bogato, ale bez przepychu. Delikatnie awangardowy korpominimalizm. Nowocześnie, ale bez szaleństw.

– Wiem, że pani dzwoniła, ale szef nie ma czasu – odpowiedziała jej asystentka. – Nie była pani z nim umówiona. – Kobieta-cerber była bezwzględna, ale w sumie sprawiała korzystne wrażenie. Ładna, z klasą, kompetentna, nie jak lalka Barbie.

– Mimo wszystko proszę, żeby pani...

– Wiem, wiem. Specjalnie pani jechała, ale to było pani ryzyko. Trzeba to docenić, więc zapytam się, ale proszę nie wiązać z tym większych nadziei.

Asystentka zniknęła za drzwiami, wróciła po paru minutach.



– Udało się, szef poświęci pani parę minut, proszę pamiętać, że ma napięty grafik, za godzinę przyjeżdżają bardzo ważni kontrahenci – powiedziała, Jaga kiwnęła głową, że rozumie. – Podać kawę, coś do picia?

– Nie mamy czasu.

– Proszę się nie przejmować, to szef będzie mówił.

Gabinet wyglądał, jakby należał do byłego harcerza albo ministranta, człowieka bez żadnych zainteresowań. Biznesowy unisex. Dopiero szczegóły stanowiły o różnicach, starała się je znaleźć. Nie było w nim nic, co by mówiło o muzycznej przeszłości. Były basista grupy Załoga wyglądał jak jeden z wielu ludzi biznesu. Szpakowaty, o smukłej sylwetce, w dobrze skrojonym czarnym garniturze. Nie miał poszetki, co zaliczała mu na plus. Przywitali się, uścisk dłoni zrobił korzystne wrażenie.

– Zmarnowała pani tyle czasu – powiedział, nie było w tym ani troski, ani szydery, po prostu stwierdzenie faktu.

– Rozmawiamy, zatem nie straciłam.

– Ale ja nie jestem zainteresowany tym programem.

– Będzie głośno, firma zaistnieje w mediach, biznesmeni kochają kamery w swoich gabinetach.

– Może, ale ja nie Kocham tego epizodu. Zabił się kolega, zespół się rozpadł, to wszystko, nic przyjemnego. Mocno to przeżyłem. Widziała pani bliską sobie osobę w kałuży krwi?

– Tak – odpowiedziała mechanicznym głosem.

– Tak... – Greg był zaskoczony. – I opowiedziałyby pani o tym w telewizji?

– Gdyby mi to pomogło, gdyby się ktoś o to zapytał.

– Ach tak...

– Jak się poznaliście z Blackiem, byliście kumplami? – zaskoczyła go nagłym przeskokiem. Dał się złapać.

– Klasyka tamtych czasów, z Blackiem poznaliśmy się, kupując instrumenty.

– To interesujące, młodzi ludzie nie wiedzą, że tak było. Analogowy świat, bez telefonów, komercji...

– Komercja była zawsze – nie zgodził się.

– Wiem, że pan ma gości, a pan już wie, że nie szukam sensacji. Teraz nie ma pan głowy, ważne spotkanie, ja zwałam się niespodziewanie. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Zna pan mojego maila, numer telefonu zostawiam pana asystentce. Swoją drogą, bardzo kompetentna i pomocna osoba.

– To moja żona – uśmiechnął się. – Jesteśmy raczej małą firmą, do tego rodzinną, choć zajmujemy sporo miejsca. Żona jest nie tylko asystentką, jest szefową biura, współwłaścicielką. Nie jesteśmy korporacją.

– To się czuje – odwzajemniła uśmiech, choć rzadko to robiła.

– Ale to się zmieni. Już bez nas. Negocjujemy sprzedaż.

Ciekawe, czy się odezwie, zagrała va banque, ale czuła, że inaczej nie da rady. Zrobiła pierwszy krok, uchyliła drzwi, jeśli trzeba, to wejdzie przez nie Becker. Jest gwiazdą, może więcej, taki lajf. Kiedy wychodziła, minęła się z czarną beemką.

\* \* \*

Przed apartamentowcami przy Bruzdowej znów migąły niebieskie światła radiowozów i karetek. Technicy zajmowali się już zwłokami Azjaty, który został uduszony drutem. Ciało porzucono w schowku należącym do drugiego z mieszkań, których właścicielem był Michał Radzik. Szybko przyznał się, że zataił przed policją, że Japończyk korzystał z dwóch schowków. Chciał najpierw zajrzeć sam, jak to powiedział – ze zwykłej ciekawości. Teraz siedział w karetce i badał go lekarz. Wciąż dochodził do siebie po tym, jak trup wyleciał ze schowka, o mało go nie przewracając.

– Pan Michał Radzik – powiedział Wiśnia. – Nie pan, nie pan, tylko, kurwa, cmentarna hiena! Myślałeś, że poplądrujesz w gratach nieboszczyka?

– Chcę adwokata!

– No nie dziwię się!

– Dlaczego nie zostawił pan kluczyków do drugiego schowka?

– Bo one nie wchodziły w skład umowy!

– Guzik nas to obchodzi, to teraz pańskie zmartwienie, bo się zaplątał pan w podwójne morderstwo.

– Ale to nie ja!

– Pewnie nie, ale prokurator jeszcze tego nie wie i będzie chciał to sprawdzić.

Pewnie, że chciał. Mroczek, który coraz bardziej upodobniał się do swojego szefa, uważał, że areszt jest najwyższą formą prokuratorskiej aktywności. Złożył do sądu wniosek, a sąd nie odmówił, w końcu Radzik już raz zataił przed organami ścigania ważne informacje, więc możliwe także, że mógł działać wspólnie i w porozumieniu, zatem mógł także mataczyć. Po Audi Q7 przyjechała laweta, a po jego właściciela konwojenci. Nie zajechał za to nikt z tajemniczej rodziny pana Kasai. Czyżby kilku sąsiadom coś się przewidziało? Anna Szewczenko nic na ten temat nie wiedziała, raz znalazła damski szalik, innym razem zabawkę Little Pony. Sprzątała u pana Kasai od pół roku, zatem powinna zauważyć coś więcej.

\* \* \*

Joanna dawno nie miała takiego powrotu. Krótka parodniowa przerwa, a miała wrażenie, że wessała ją czarna dziura. W domu facet, który miał na głowie syna z Londynu, rozhisteryzowaną matkę, a na dokładkę w pracy Japończyka bez głowy. Ona też czuła się, jakby nie miała głowy, czekał ją niechciany program z gwiazdkami jednego sezonu, a kolejny był w proszku. Emisję programu, którego bohaterem miała być Załoga, zaplanowano za dziesięć dni. Misiek zostawił jej listę tematów, haseł, które można rozwinąć. Dwa trupy, jeden emigrant, drugi zaszył się w studiu gdzieś na południu Europy, inny ma to gdzieś i nie odbiera telefonów, jakby miał do czynienia z Wojskową Komisją Uzupelnień, skarbówką albo komornikiem.

Stukała paznokciami po blacie biurka i zbierała myśli. Przez parę dni nie oglądała telewizji, a teraz, kiedy chciała się skupić nad

tematem, to jej wzrok uciekał w stronę telewizora. A tam na ekranie sejmowy korytarz, na razie pusty, będący tylko tłem dla parlamentarnego sprawozdawcy. Sprawozdawczyni, bo Ela należała do tych dziewczyn, które walczyły o żeńskie końcówki i słowa. Ministra, marszałkini, reżyserka, pilotka, senatorka, posłanka, czasem fajnie, a czasem zabawnie.

Joanna była zwolenniczką mieszania systemów walutowych, wolała być panią redaktor, a nie redaktorką, kierownicą, a nie kierowniczą, a jakby ją życie pokarało i weszła do rządu, to panią minister. Byłaby lekarką, ale już nie chirurgką, za to kardiolożką była okej. Tak miała, bo choć była za równouprawnieniem, tępiła w swoich programach mizoginów i ultrakonserwatystów, to jednak niektóre działania dziewczyn z feministycznego aktywu uważała za przesadzone.

A Ela nie, ona uważała, że jest niań i przedszkolank, tak jak muszą być marynarka i powinny być oficerki. Może to kwestia PESEL-u? Była już po czterdziestce, była przynajmniej z dziesięć lat starsza od Elki, nieważne. Ważne, że straciła węgę, że pogubiła się w scenariuszowych pomysłach. Na pewno warto jakoś zaakcentować zmiany obyczajowe, tylko że chłopcy z Załogi mieli parę kawałków na krzyż i to były cierpiętnicze, miłosne, pseudopoetyckie, a nie społeczne songi.

Przejrzała sugestie Miśka. Xenna nabijał się z gejów i miał kawałek z refrenem *AIDS, AIDS może to ty, może to ja*. Nigdzie go nie było w sieci. I Big Cyc miał trochę żartów z LGTB, ale też zrobili się poprawni politycznie, Kukiz to inny temat, niby kojarzony z prawą stroną, koń trojański, w którym wjechali do sejmu brunatni, obrońca wartości, który jednak jakoś nie kojarzył się z pielgrzymkami i procesjami, zawsze w dobrej komitywie ze Sławkiem Starostą, pierwszym liderem LGTB. Kukiz nawet nagrywał w jego studiu.

Co więcej, najbardziej znanym numerem z pierwszej płyty była parodia pieśni kościelnej *ZChN zbliża się*. Niebawale! I ta lista podziękowań – Sławek Starosta, Walter Chełstowski, Grzegorz Kalinowski... Stosunek do LGTB, seksizm – na Jarocin w latach osiemdziesiątych się nie załapała, ale widziała dokument, nie

pamiętała już który – *Fala* czy *Koncert*, ale na pewno były tam wybory Miss Pola Namiotowego.

Niezła wiocha, ktoś jej opowiadał, że wolnościowa, lepsza publika ryczała „w którym namiocie mieszkaś!”. Na koncertach nikt nie dawał bana za „rozbieraj się”, a nawet za „ruchasz się?”. Zmieniło się. Na lepsze się zmieniło, a mówią, że wszystko idzie ku gorszemu.

Nagle coś zawirowało, zachrząściło. Jak pracujesz tyle lat w telewizji, to nawet jak ledwie słyszysz sączący się dźwięk, nawet jeśli ogarniasz ledwie parę tysięcy z miliona pikseli, które są na ekranie, to wiesz, że coś się stało. Uniosła głowę, na ekranie nie było już sylwetki Elki, tylko obrazek jak z wyścigu kolarskiego, stały sejmowy obrazek.

Korytarzem gonił ważny polityk, z boków osłaniali go pomniejsi oraz asystenci, wszyscy zbici, w szyku, jak grupka kolarzy, z których żaden nie czuje się na siłach, by opuścić tunel aerodynamiczny, który otwiera pędzący przed siebie lider. Ten sposób przemarszów, stadnych, pokazujących siłę, zwartość i determinację, wprowadziła do sejmu partia polskich krawatów. Ich już dawno nie było, ale styl pozostał i z każdą kadencją był doskonalony przez polityków wszystkich opcji.

Niuanse dzieliły te polityczne peletony, ale był wyjątek. Zupełnie inaczej poruszał się Lider, ten lider przez duże „L”. On przemierzał posadzki parlamentu w nieco luźniejszym szyku i wolniej, bo tu chodziło o kwestie fundamentalne, które wynikały z dostojności i pozycji jego osoby, jego PESEL-u oraz możliwości organizacyjnych. By pokazać, że nie jest takim zupełnie zwykłym posłem, by zbudować przepaść między jego pomnikową postacią a resztą sejmu, partia obdarzyła go drużyną złożoną z potężnych ochroniarzy.

Po ostatnich zmianach i karuzelach personalnych, które wywróciły do góry nogami porządki panujące w jednostkach odpowiedzialnych za chronienie VIP-ów, jego ludzie prezentowali się nad wyraz profesjonalnie. Sprawnie tworzyli ruchomy kokon, w środku którego, chroniony przed niechcianym kontaktem, Lider w swoim niewymuszonym presją mikrofonów i kamer tempem szedł tam, gdzie chciał dojść. Kiedyś przystawał, rzucał jakąś uwagę, która

była cytowana przez cały dzień, zapładniając tym samym umysły Polaków. Niektórych podziwem, innych grozą.

Kokon z Liderem przesuwiał się, a wokół niego, jak na starym, klasycznym, niepoprawnym politycznie westernie, krążyli dzicy. Rolę bandy Indian odgrywali dziennikarze, operatorzy i dźwiękowcy. Ludzie z mikrofonami wyglądali najbardziej bojowo, ich długie tyczki kołysały się jak włócznie. Kiedyś Misiek powiedział Joannie, że skoro na mikrofonach są kostki, to na tyczkach powinny być proporce oznaczające poszczególne stacje radiowe i kanały telewizyjne. Dzicy z respektem, trzymając się na bezpieczny dystans, podążali za konwojem. To był taki rytuał, wiadomo było, że nic nie powie, że nie będzie marnował energii i ryzykował utraty majestatu, dziennikarze byli coraz bardziej pyskaci i niewielu polityków było tak odpornych i twardych jak Zdzisława Dworzak. Lider szedł przed siebie i nie zaszczycił ich choćby spojrzeniem. Podążali za nim, aby po raz tysięczny nagrać orszak i własne pytania, na które nie było odpowiedzi.

Dzisiaj przystanął, znienacka, spojrzął, uśmiechnął się miodowymi oczami jak stary doświadczony kocur i powiedział:

– To będzie dobry, bardzo dobry minister kultury, powiedziałbym, że najlepszy. Taki, który godnie zastąpi swojego poprzednika.

– A co z ustępującym ministrem, czy nie był dość dobry? – rzucił któryś z reporterów.

– To był doskonały minister, dlatego będzie reprezentował Rzeczypospolitą w Brazylii. To, że wysłamy go do największego katolickiego kraju, mówi samo za siebie.

Zanim potoczyła się w jego kierunku lawina pytań, Lider ruszył wraz ze swoim mobilnym kokonem.

– Kiedy minister obejmie funkcję ambasadora?

– Czy to prawda, że odkupimy od armii brazylijskiej caracale?

– Kto będzie nowym ministrem?

Szedł niewzruszony i nie przystając choćby na moment, powiedział do zwieszzonego nad nim lasu mikrofonów:

– Tak jak mówiłem, to będzie doskonały kandydat, co nie będzie łatwe do odgadnięcia, bo my mamy, czego część z państwa nie może

przyjąć do wiadomości, wielu wybitnych kandydatów.

Zwykły przemarsz, który niespodziewanie okazał się mobilną audiencją, po raz kolejny udowodnił odwieczną prawdę, że dziennikarstwo polega głównie na czekaniu.

Sytuacja dojrzewała, skoro Lider zabrał głos. Przypomniiał o tym, że to on dzieli i rządzi. Trzymał wszystkich w ryzach, w ekstremalnym napięciu, na kilka godzin przed ogłoszeniem werdyktu.

---

36 *Młodym hipokrytom*, wyk. Deuter, sł. i muz. Paweł „Kelner” Rozwadowski.

# Rozdział 18

*Wydaje ci się, że nie umiesz nic  
Że robisz to, w czym nie masz szans  
To wszystko przecież zależy od ciebie  
I ty w to musisz uwierzyć[37]*

## EIGHTIES

Suzi właśnie się dowiedziała, że Black będzie na imprezie u Sary. I to sam. Bo poprzednia dziewczyna z nim zerwała, głupia jakaś. Zrobiła się więc na Siouxsie Sioux, ale w blond wersji. Może nawet nie Siouxsie, a bardziej na te nowe gwiazdki, Cindi Lauper i Madonnę. Wyglądały trochę punkowo, chociaż nie śpiewały takiej muzyki, bardziej popowo i dyskotekowo.

Ale tu nie o muzykę chodziło, tylko o ciuchy. Bo Suzi bardziej w tym wszystkim interesował styl, a te dwie Amerykanki niby popowe, to jednak dość punkowo wyglądały i jednocześnie dziewczęco. Miała siedemnaście lat i odpowiadał jej ten styl. Trochę wyzywająco, trochę romantycznie, tak jak trzeba, żeby podobać się facetom. To musiało się im podobać, a może po prostu dziewczyny sobie wyobrażały, że taki wygląd na nich działa. Do obcisłego sweterka dołożyła czarną mini, czarne rajstopy zabrała matce, tak jak i błyszczące klipsy, sznur biżuterii z czeskosłowackiego Jablonexu oraz ćwiekowany pasek. Całości uzupełniały czarne szpilki. Cisnęły, więc włożyła je tuż pod drzwiami.

\* \* \*



Black dostał się na ASP, tam nieco spokorniał, bo z ucznia piątej klasy, weterana, człowieka rządzącego szkołą został pierwszorocznikiem. Słaba sytuacja, kiedy na roku są fajne dziewczyny, ale mają cię gdzieś, bo wyrywają je goście ze starszych lat. Dojrzałsi, czasem nawet uchodzący za przyszłość malarstwa i rzeźby. Z króla stajesz się outsiderem, zaczynasz od początku, idziesz do przodu, pniesz się w górę, ale i oglądasz się za siebie.

Poszedł na imprezę do Sary, dziewczyny, która była teraz w klasie maturalnej i z zadowoleniem stwierdził, że był atrakcją. Pamiętali go jako muzyka, tym się w szkole wyróżniał, ale przede wszystkim był dla uczniów tym, komu się udało. Matura, dyplom, tytuł technika to były pryszcze. Tu każdy chciał dostać się na Akademię, choć każdy prędzej czy później dowiadywał się, że dyplom szkoły plastycznej mocno to utrudnia. Byli zawodowcami, którzy w opinii profesorów ASP mieli swoje nawyki. Złe nawyki. Ale jemu się udało i nawet jeśli go potem wylano, to znaczy sam odszedł od tej sztampy szukać prawdziwej sztuki, to teraz był studentem resocjalizacji. Modna była resocjalizacja, każdy kierunek od grzebania w głowie był modny: psychologia, socjologia. Filozofia mniej. Tylko nikt nie wiedział, co będzie po tych studiach robił, chodziło o to, żeby studiować, to było w porządku.

Wszyscy Ignęli do niego, bo był efektowny, obiecujący, modny i szpanował na to, że czytał poezje Borgesa. *Hymn* i *Samobójstwo* znał na pamięć, robiło wrażenie. Najbardziej na dziewczynach ze szkoły baletowej, które ktoś ściągnął na imprezę, mógł wyrwać, którą tylko chciał. A nie było łatwo wybrać, bo baletnice były fajne, nie miał jednak tego problemu, bo zwrócił uwagę na NIA.

## 2020

White-Białkowski wciąż nie odpowiadał, trzeba było coś robić. Najłatwiej po dziennikarzach. Wojtek zorientował się, że na hasło nazwiska łysej pały otwiera się wiele drzwi. Jechał z kamerą do sali

treningowej, żeby porozmawiać z Alexem Kłosem, reporterem, copywriterem, gitarzystą i gościem znanym z tego, że trenuje sztuki walki, jechał polewaczką w teledysku Kultu i grywał w reklamach.

Musiał być freakiem, bo żeby to wszystko robić, to trzeba być albo człowiekiem renesansu, albo freakiem. Ludźmi renesansu byli Kopernik i Leonardo da Vinci, więc ten Alex musi być freakiem. A kim jest on, Wojtek Kudelski? Facetem, który nazywa się jak legendarny twórca magnetofonów, więc jeździ i nagrywa innych.

Alex był dość wysokim brunetem o mocno zarysowanym nosie. Nie był pakerem, ale kopy, które walił w worek treningowy, robiły wrażenie. Wysokie, takie wprost w podbródek, silne, regularne. Wrażenie zrobiła także sala, przede wszystkim na operatorze, który ucieszył się, że będzie z czego robić przebitki. Rozmowę nagrali w składziku na sprzęt, bo sala była za jasna. Znow zagrał światłocien, rekwizyty rozłożone za Alexem, on sam, wyjęty z mroku reflektorkiem, który pieczołowicie i w skupieniu ustawiał operator. Wojtek nie musiał się wysilać, to było jak wciśnięcie klawisza play, w zasadzie to nie zadał pytania, coś tylko zagaił, a usłyszał wszystko, o co chciał pytać.

– Nie wszyscy mieli takie wsparcie i takie załogi, jaką miał brat Kowala z Załogi. Miał ksywkę Spawacz, ale nie od czarnych okularów jak Jaruzel, tylko dlatego że spawał, to znaczy jarał staff. Od tego zaczął, a potem szedł już na każde paliwo, dlatego Kowal był, jaki był. Mówię oczywiście o Kowalu z Załogi, bo musisz wiedzieć, że Kowal był na perkusji w co drugiej kapeli, tak jak na basie Sidneje, chociaż ten najbardziej znany warszawski Sid grał w Xennie. Było sporo Rotenów, Ramonesów, no i kolorowych: Czarnych i Blacków, Zielonych, Żółtych, kolory były modne, zanim Tarantino zrobił Wściekłe Psy. To było najczęściej od włosów, elementów ubrań. Czasy były szare, wszystkiego brakowało, niełatwo było się wyróżnić konkretnym kolorem.

Musisz wiedzieć, że Kowal z Clashem poznali się pod „Remontem”. Jakiś pancur chciał skroić Clasha, ale Kowal nie dał i tak wpadli na siebie. Prędzej czy później wpadliby na siebie, to nie było duże

środowisko, na koncerty przychodziło czasem po kilkadziesiąt osób, czasem sto. To maks. Kowal i Clash mieli talent, ale przepadli...

Alex miał gadane, w sumie zadał mu dwa pytania, a materiału miał z kwadrans. Na wiele tematów – dragi, kluby, zespoły, zgony, bójki, koncerty, milicja, esbecy, komuna, brak telefonów. Musi sobie to wszystko skatalogować, może się okazać, że będzie czerpał z tego Alexa jak z archiwum.

Wojtek wrócił do redakcji, kiedy był już blisko drzwi, przypomniał sobie o swoich rozterkach. Rozterkach? Raczej o lęku i zmieszaniu, które wywoła spotkanie z Jagą, z Nową, się poprawił. Siedziała zapatrzona w komputer, przywitała się, ale zwyczajnie, nie tak jak... No po prostu jak przedwczoraj, jak gdyby nigdy nic, ale przecież o to w sumie chodziło. O seks po prostu i ten seks był w porządku. A teraz dżob, Łysa Pała, kolejne tematy, krótkie spotkanie z gwiazdą.

Becker wróciła z kilkudniowego odpoczynku i nosiła ją, chciała zmieniać bohatera programu. Nie zbiorowego, tylko tego szczegółowego. Była zła, że nie ma kontaktu z ludźmi z zespołu, dwóch nie żyje, dwóch się miga, jeden nie wiadomo gdzie. Po jaką ciężką cholere wymyśliła taki gówniany temat! Może powinien z nią o tym porozmawiać? Wóz albo przewóz, chciał do niej wejść, ale zobaczył przez szklane drzwi, że siedziała ze wzrokiem wbitym w ekran. W studiu trwała dyskusja, a na pasku płynął napis *Andrzej Czerwiński kandydatem na ministra kultury?*

\* \* \*

Przeciek. Kontrolowany czy przez gapiostwo? Strategia czy przypadek? Pochylił się nad ekranem, na którym zakwitł czerwony baner z napisem PILNE.

*KIM BĘDZIE NOWY MINISTER KULTURY? MAMY NAZWISKA!  
Coraz głośniej mówi się o tym, że nowym ministrem kultury może zostać Andrzej Czerwiński, bezpartyjny fachowiec, na którego ma stawiać lider Porozumienia. Anonimowy polityk Porozumienia*

*powiedział nam, że Czerwiński robi na Liderze korzystne wrażenie. Już od dawna był w kręgu towarzyskim dyktującym trendy w otoczeniu Lidera, ale nie miał ambicji politycznych. Jego analityczny umysł, lekkość, z jaką potrafi przekazywać krytyczne uwagi, kreatywność i przede wszystkim obycie w świecie kultury i sztuki wzbudziły zainteresowanie jego osobą. Lider miał podobno powiedzieć, że imponuje mu niezależność Czerwińskiego, który nie należy do żadnej z koterii, zadowolając się jedynie pozycją uczestnika wpływowego salonu towarzyskiego.*

Mieli dobre informacje, tak właśnie było, dalsza część artykułu też nie była dla niego niczym nowym.

*Informacje o silnej pozycji sześćdziesięciodwuletniego Czerwińskiego pozostają plotkami, bo przynajmniej w teorii obowiązuje parytet koalicyjny. Jak zwraca uwagę profesor Lesław Kleczewski umowa ma jednak lukę, którą z kolei profesor Marek Szozda określa przywilejem złotej akcji. Lider może bowiem wysunąć własnego kandydata, człowieka spoza kręgów politycznych, profesjonalistę niebędącego pod wpływem żadnego ze stronnictw. Niezależnie od tego, jak interpretują to eksperci, czy jako lukę pozostawioną przez roztargnienie, czy jako przywilej zarezerwowany przez Lidera istnieje opcja, w której może on desygnować człowieka spoza układu politycznego.*

Tak właśnie było! Dalsza część artykułu nie spodobała się jednak Jerzemu:

*Profesor Kleczewski zwraca jednak uwagę, że sytuację może wykorzystać tak zwana wirtualna partia, czyli Koło Modlitewne. To nieformalna, ponadpartyjna grupa uczestników modlitw różańcowych organizowanych pod hasłem „polski głos w katolickiej Europie”. Najsłynniejszymi akcjami były różańce na*

*Polach Marsowych (pod hasłem „Polska wspiera Francję, Najstarszą Córkę Kościoła”), w sanktuarium Valle de los Caídos („Modlimy się o powrót Generała Franco”), czy pod siedzibą Parlamentu Europejskiego w Strasburgu („Europa zawsze chrześcijańska”). Najbardziej spektakularną akcją było jednak „ekumeniczne leżenie krzyżem” pod Bramą Brandenburską w Berlinie („Nie dla islamskiej inwazji”). Ekumenizm miał polegać na wspólnej akcji katolików i protestantów, ale biskupi niemieccy wszystkich wyznań nie poparli tej „demonstracji chrześcijaństwa”, wsparli ją za to skrajnie prawicowi bojówkarze. Mimo że doszło do zgrzytu dyplomatycznego i wezwania ambasadora na dywanik, to jednak nikt z koalicji i rządu nie wygłosił słowa krytyki. Nikt poza wicepremierem, który w sposób mało zdecydowany, wręcz nieśmiały skomentował to zdarzenie, nie odniósł się w sposób krytyczny do wydarzenia, które wystawiło na szwank naszą dyplomację.*

*Mateusz Górski*

Górski był dobrze poinformowanym publicystą, więc jego artykuł był poważnym ostrzeżeniem. Nie mógł jednak nic zrobić. Musiał czekać na ruch z tamtej strony.

\* \* \*

Misiek wracał do telewizji, bo wyskoczył na lotnisko, żeby powitać Gochę. Wracał taksówką, bo tak jak piłkarz i komentator Wojtek Kowalczyk nie zrobił prawa jazdy. Był więc zdany na taryfy, bo Uberów nie lubił. Czasem sobie pogadał, jak taryfiarz był fajny, na przykład taki metal, stary pięćdziesiąt plus, kiedy wyczuwał, że klient jest kumaty, proponował: „A może Ajronika zarzucimy?”. I wtedy z głośników leciało Iron Maiden. Na specjalne życzenie taryfiarz mógł swój ukochany zespół zmienić na Motörhead lub Acid Drinkers.

Był też w MPT miłośnik klasyki, który jechał muzyką Deep Purple i Led Zeppelin, był i taki, który oddałby życie za Bachów, Beethovenów i Wagnerów. Większość kierowców, tak jak i większość rodaków Miśka, lubiła jednak disco polo i kiedy drajwer nie zarzucał interesującej gadki, tylko pieprzył trzy po trzy, włączając tryb milczenie albo narzekanie – w końcu nie bez powodu drugim imieniem taksówkarza było „złotowa”, a trzecim „cierpiarz” – Misiek wrzucał własną muzykę.

Często dobierał muzykę do tego, co się działo na świecie. W radiu podali, że na Zawadach zamordowano Japończyka, więc w słuchawkach walił jeden z jego ulubionych numerów Stonesów *Too Much Blood*. Ale w tym kawałku nie mordowano Japończyka w Warszawie, tylko w Paryżu Japończyk zabijał swoją kochankę. Niezły szajbus, bo nie tylko zabił i zgwałcił, ale też poćwiartował, wsadził do lodówki i zjadał po kawałku. Kiedyś to był przebój, ale nie stał się ich klasykiem, publiczność nie domagała się go na koncertach.

Gdyby Misiek ustalał playlistę, to ten numer leciałby na każdym ich koncercie. Dynamiczny, z zajebistą sekcją dętą, brzmienie perkusji syntetyczne, ale to miało sens, głos Jaggera momentami jak z numerów australijskiej grupy Flash and the Pan, ale taka wtedy była moda. Nie lubił stylistyki popu lat osiemdziesiątych, Michaela Jacksona, *Maneatera* duetu Daryl Hall i John Oates, numerkowej płyty grupy Asia i glamourowego metalu Van Halen. Emanacją tego błyszczącego paździerza był serial „Miami Vice” i przydługie teledyski, w których pojawiały się ufryzowane blond pudlice o długich nogach.

Jagger śpiewał, jak Issei Sagawa zatrzebił, zgwałcił i zjadł swoją holenderską przyjaciółkę, po czym chciał zatrzeć ślady zbrodni, paląc jej kości w Lasku Bulońskim, dostrzegł go jednak taksówkarz, przyjechała policja i... Sagawa po trzech latach we francuskim psychiatryku wrócił do Japonii, gdzie po kolejnych dwóch latach w szpitalu wyszedł na wolność i został celebrytą.

Kanibal puścił w obieg malowane przez siebie obrazy przedstawiające kobiece ciała, grał w pornosach, napisał powieści

i wspomnienia, które poszły w setkach tysięcy egzemplarzy. Issei Sagawa zrobił na makabrycznej zbrodni karierę i zarobił pieniądze, takie rzeczy tylko w Japonii!

To mógłby być ciekawy temat, ale potrzebny byłby jakiś pretekst, poza tym na razie mają na tapecie ten nieszczęsny zespół. Był na początku napalony na ten temat jak szczerbaty na suchary, ale z czasem nabierał przekonania, że robią story o muzycznych nieudacznikach, którzy zostali zremasterowani przez mistrza kitu Zdzisława White'a Białkowskiego. Czuł, że dali się zrobić w bambuko. Nawet Skoczek dał się zrobić. Trudno. Będzie namawiał Joannę do zmiany tematu, ten, który drążyli, kompletnie nie miał już sensu.

\* \* \*

Wciąż myślała i nie zanosilo się, że z tego myślenia będzie coś dobrego wynikało. Misiewicz podrzucił jej pomysł, żeby zamienić Załogę na Siekierę, legenda, pogmatwane losy – wokalista Tomasz Budzyński odszedł do supergrupy Armia, potem zniosło go na chrześcijańskiego rocka. Lider zespołu Tomasz Adamski prowadził kilka niepodobnych do siebie wcieleń grupy, tę pierwszą ultrapunkową, potem nowofalowo-industrialną, wreszcie w XXI wieku coś niepodobnego do czegokolwiek. Wydał tomik poezji, słucha Bacha, udziela się w teatrze. I wreszcie perkusista Krzysztof Grela, który został zamordowany dwadzieścia osiem lat temu.

– Jedni mówią, że przez pomyłkę zastrzeliła go rosyjska mafia, inni, że w restauracji został dźgnięty nożem przez kucharza – reklamował temat Misiewicz.

– Zobaczymy, a może jeszcze inny temat? Wsadzimy to do zamrażarki i pójdziemy w kulturę.

– Pod zmiany w resorcie? – zapytała Nowa.

– To może być ciekawe. Na razie pracujemy bez zmian, ja się wyłączam, mam jutro program o talent show. Miejcie w tyle głowy,

że może nastąpić zwrot o sto osiemdziesiąt stopni! Telewizja nie takie wolty widziała.

\* \* \*

Jaga obracała w dłoni komórkę. Wszystko było przecież tinderowe, mieli udany seks, tak mu się przynajmniej wydawało, ale przecież mogła dzisiaj poszukać kogoś innego, no bo przecież to Tinder, nic więcej.

- Potrafisz nie jeść mięsa? – zapytała nagle.
- Pewnie dam radę – odpowiedział bez namysłu.
- To może pójdziemy do Tel Awiwu, byłeś?
- Nie, ale wiem, że Depeche Mode byli.
- To mam się już nie przejmować wieczorem?
- Nie, nie!

Żeby się tylko nie rozmyśliła. Co prawda, wegański burger to straszny syf, podobnie jak wegańskie parówki, szaszłyki z tofu i pasztet z fasoli. Nie jadł nic wegańskiego, co by mu smakowało, ale ona mu smakowała, więc mógłby zjeść kotleta z buraków i zapić sokiem z selera.

Wszystko to działo się z takiego zaskoczenia, że nie mógł się w tym wszystkim połapać. Dwa dni temu uznaliby, że to niemożliwe.

\* \* \*

Joannę wyrwał ze snu szmer. Wstała z łóżka, w salonie było zapalone światło. Co on, do cholery, robi? Zamiast położyć się, przytulić do niej... miała taki ciężki dzień, a on wraca po północy i gra na gitarze. Całe szczęście, że w słuchawkach, bo walił w struny z całych sił. Żadnej finezji, którą tak sobie cenił, więc coś się musiało stać, musiał odreagować. Lepiej nie przeszkadzać, położy się, jak przyjdzie do niej, to opowie. Będzie na niego czekać. Czekala, ale usnęła. Nie mogła więc mu opowiedzieć o swoich problemach, a on jej o tym, że śledztwo skomplikowało się do granic możliwości.



Najpierw ginie szef restauracji Kenichi Kasai, podejrzanymi są kucharze, Cha Myung-bo i Hong Bum-kun, a po dwóch dniach zostają odnalezione zwłoki pierwszego z nich. Dziewczyny z restauracji zgodnie rozpoznały, że uduszonym drutem Azjatą, był Cha Myung-bo. Zatem wszystko układało się w całość. Hong Bum-kun i Cha obcięli swojemu szefowi głowę, po czym Hong udusił Cha. Zdjęcie Hong Bum-kuna poszło na wszystkie granice, a góra poinformowała Interpol. To wyjaśniło, dlaczego w pociągu do Berlina był tylko Bum-kun. Szukaj wiatru w polu! Do tego kolejni sąsiedzi upierają się przy tym, że Kasai miał rodzinę, dom wariatów, w dodatku z dwoma trupami.

---

37 *Twój najpiękniejszy dzień*, sł., muz. i wyk. Sedes.

# Rozdział 19

*Moja miłość  
Do ciebie wciąż płonie  
Jak Mississippi w ogniu*[38]

Suzi dopięła swego, Black został jej chłopakiem. Wziął ją na imprezie u Sary, kiedy na cały regulator leciał numer Oddziału Zamkniętego *Zabijać siebie*. Lubiła tę piosenkę i po wszystkim zanuciła „jeszcze jeden orgazm cię zwija”[39]. Myślała, że mu tym zaimponuje, ale Black skrzywił się:

– To fajans.

– Fajans? – zdziwiła się.

– Oni, Lady Pank, Lombard to popelina.

– A Perfect? *Chcemy bić ZOMO?*

– Też. To wszystko komercha. Wiesz, jak o nich śpiewa Dezerter? „Tego pragnie mój organizm, to jest lepsze niż onanizm”.

– Republika też?

– Oczywiście! – to powiedział już mniej pewnym głosem. Bo lubił Republikę. To znaczy ich muzykę, a tak poza tym to go wkurwiali. Gwiazdy i lanserzy.

– A Maanam? – Suzi męczyła go pytaniami.

– Maanam... Maanam to w sumie może być – z niechęcią przyznał jej rację.

Spotykali się u niej po szkole. Ojciec i matka byli w pracy, wpadka im nie groziła, oczywiście jeśli wszystko robili na czas. Black spóźnił się ponad godzinę, Suzi była zła, bo bardzo go pragnęła.

– Nie wkurzaj się, zdążymy! – powiedział, zamiast przeprosić ją za spóźnienie.

– A jak ojciec wróci dziś wcześniej?

– A zdarza się, że wraca?

– Dziś może wrócić, bo wczoraj narozrabiał. Nie wrócił na noc, nie zatelefonował, matka wszczęła alarm, że bojówka Solidarności zabiła ojca. Zadzwoiła na milicję, tamci pewnie na bezpieczeńkę i zaczęła się jazda, bo sekretarz Stanisław Dworzak zaginął! Dobrzy są, znaleźli go po dwóch godzinach, stary był na jakimś posiedzeniu, a potem wsiąkł w hotelu sejmowym. Przywieźli go czarną wołgą, którą eskortował radiowóz.

– Twój stary jest aż taki ważny?

– Nie, kierowca był ważny.

– Co?

– Członek biura politycznego Walusiak prowadził, pijany jak szpadel, ha, ha, ha! Powiedział, że przez niego taki szum, więc osobiście poprowadzi samochód. Tak zrobił. Kierowcę wysłał na tylne siedzenie, przyjechał pod blok, a potem odprowadził zgreda pod drzwi. Przyniósł goździki i całował matkę po rękach i w ramach przeprosin przyniósł flaszkę Słonecznego Brzegu.

Tak przeproszał matkę, że się rozsiadł i nalał po jednym. Matka nie potrafiła go wyrzucić, wypila jednego, a potem oni dokończyli flaszkę. Stary w trupa, a tamtego sprowadził kierowca. Dzisiaj była jakaś egzekutywa czy inne ważne gównno, więc musiał pójść do pracy. Bawią się.

– Skurwysyny... – dodał Black.

– Nie obrażaj babci! – zaprotestowała Suzi, śmiejąc się. – Babcia i dziadek nie mogą matce darować, że wyszła za czerwonego.

– I w ramach zemsty posłała cię na religię?

– Kiedyś jak mieszkaliśmy razem, to mnie odprowadzali!

– I dalej chodzisz?

– Mam z tego kieszonkowe!

– Ale możesz opuszczać?

– Nie mogę, idą raporty z parafii do parafii, serio! Ich proboszcz zna naszego.

– Czerwoni są dobrze zorganizowani, ale czarni jeszcze lepiej.

I to był koniec rozmowy, Suzi uklękła i zaczęła rozpinać Blackowi spodnie.

## 2020

Na śniadanie jajko na miękko. Artur niewiele mówił, ale był to small talk, żadnych konkretów. Próbowwała zagadać, ostrożnie, bo widziała, że jest jak nierozbrojona bomba. Po raz pierwszy od dawna grał na gitarze. Walił w nocy, a rano wstał skoro świt i znów grał. Sherlock Holmes grał na skrzypcach, a jej facet na gitarze. Widocznie geniusze tak mają.

– Grałeś, cieszę się, że znowu grasz. Akurat jak robię program o muzyce alternatywnej, pamiętasz?

– Tak, wiem, ale wiesz, ja to bardziej blues i klasyczny rock – Artur nie nawiązał kontaktu.

Musiała ostrożnie majstrować przy zapalniku, żeby nie było wybuchu. Postanowiła go po prostu nakarmić. Z czarującym uśmiechem posmarowała masłem dwie kromki bułki, a później wstawiła do kieliszka jajko i precyzyjnym ruchem, ścięła nożem czubek skorupki.

– Mieliśmy wczoraj kolejnego trupa, tym razem nie było dekapitacji tylko uduszenie – skomentował jej perfekcyjny manewr otwierający jajko – dołączył jego rodak. – Żółtko delikatnie przelało się przez skorupkę. – Takiej sprawy jeszcze nie miałem.

Wstała i objęła go. Zamiast śniadania był szybki seks, jajek nie dokończyli, bo oboje spieszyli się do swoich obowiązków.

\* \* \*

W śniadaniówce występowali chłopcy z zespołu Big Cyc. Od czasu, kiedy zadebiutowali na studenckim happeningu z okazji stulecia biustonosza, minęło ponad trzydzieści lat. Komuna padła rok po ich pierwszym występie, a oni mieli się doskonale. Większość z ich słuchaczy nie wiedziała, co to była Pomarańczowa Alternatywa, której byli częścią, ale Bareja cały czas był w modzie, więc ich muzyka była stale popularna. Dzięki kolejnym rządóm lider zespołu Dżej Dżej i frontman Skiba wciąż mieli tematy do tworzenia

piosenek. Do telewizyjnego studia przybyli, aby opowiadać o nowym, kontrowersyjnym przeboju *Skiba – człowiek z próbówki*.

Joanna mogła poprosić o nagranie Patrycję lub Wojtka, ale uznała, że chłopcy z Big Cyca zagadają ich i obrócą wszystko w żart. Chłopcy! To już bardziej ona była dziewczyną niż oni chłopcami, rockandrollowcy pięćdziesiąt plus, którzy szli przez scenę i życie jak przez kabaret. Non stop grający swój groteskowy show. Misiek mówił, że chociaż są zakręceni jak chińskie termosy, to mają poza sceną jakieś rodziny i całkiem normalne, choć na pewno nie zwykłe życie.

Ich wygląd nie wskazywał na to, że mają dorosłe dzieci, mieszkają w normalnych domach, a nie w beczkach śmiechu i jeżdżą zwykłymi autami, a nie pojazdami z Mad Maxa. Ich stroje, koszulki z napisami „Jeden Naród, jeden Lider, jedna Rzeczypospolita” oraz „Pomóż policji, pobij się sam”, skórzane kurtki z naszywkami „San Escobar” i bejsbolówki z wężykami generalskimi i napisem minister katastrofy narodowej mówiły wszystko o ich poglądach i poczuciu humoru.

– Zajebicie – zaczął Skiba. – Nie zauważyłem, kiedy umarłem!

– Skiba ma na myśli, że do twojego programu możemy trafić tylko po śmierci, ha, ha, ha, ha – zaśmiał się Dzej Dzej. – Czy to była katastrofa komunikacyjna?

– Moim zdaniem lawina w środku lata!

Joannie też nie było łatwo, ale w końcu pozwolili jej zadać pytanie.

– Jeden z najbliższych programów będzie poświęcony muzyce alternatywnej...

– Ufff – odetchnął Skiba. – Bałem się, że o patologii!

– O tym też możemy mówić, w końcu zespoły podczas swoich tras robiły różne dziwne rzeczy...

– Sądzisz, że byliśmy niegrzeczni? – zapytał Skiba.

– Że byliśmy łobuzami? – dodał Dzej Dzej.

– Chuliganami?

– Że się źle zachowywaliśmy?

– Przekraczaliśmy granicę wyznaczoną przez Niemena i Lady Pank?

– W sumie, Skiba, to raz zdjąłeś gacie na scenie, a Niemen, który się wypiął na publikę w Radomsku, w ogóle tam nie dojechał. – Dżej Dżej się zaśmiał.

– Bo to był wirtualny tyłek Czesława Niemena, zanim pojęcie wirtualny stało się modne! – Skiba miał na wszystko odpowiedź, po czym ze smutkiem dodał: – To już nie robi wrażenia, bo teraz organizowane są dni bez spodni w metrze i jest to trendy.

– Dzięki politykom i celebrytom robienie z siebie idioty stało się tak masowe, że kilku zawodowych błaznów ogłosiło już bankructwo, a kabarety padają jeden po drugim, co dyskusja w sejmie albo obrady komisji smoleńskiej to znika jeden kabaret – dorzucił Dżej Dżej.

– A po wyjeździe naszej delegacji do Brukseli i ich wystąpieniach w Europarlamencie odwołano Noc Kabaretową – rozłożył ręce Skiba – bo po co płacić za bilety, skoro można oglądać za darmo i w nieskończoność najzabawniejszych ludzi na świecie?

Lubiła słuchać ich numerów, parę nuciła sobie przy porannej kawie, lubiła ten rodzaj humoru, ale nie chodziło jej o darmowy kabaret, tylko o fakty.

– Panowie! Do rzeczy! – Próbowała uporządkować rozmowę.

– „Do Rzeczy”? – ucieszył się Skiba.

– Redaktorka jest z „Do Rzeczy”? – Dżej Dżej też był pełen entuzjazmu.

– Wow!

– Zostaliśmy docenieni!

Zaśmiała się i złożyła błagalnie ręce jak do modlitwy.

– Dajcie mi dojść do słowa, chciałam zapytać, jacy byli muzycy z grupy Załoga?

Skiba spojrział na Dżej Dżeja. Cisza. Po istnej powodzi słów trzy sekundy milczenia wydawały się wiecznością. Skiba i Dżej Dżej zwykle bystrzy, wygadani, niepospolicie elokwentni, tym razem zamilkli. Widać było, że w ich głowach odbywa się proces myślowy, w końcu oznajmili zgodnym chórem.

– Zwyczajni – powiedział Dżej Dżej.

– W sumie żadni – dodał Skiba.

– Ale możemy się mylić... – Dżej Dżej się zamyślił. – Grałem we Współczynniku Inteligencji i Rokoszu, a Skiba tylko o tym myślał, można więc powiedzieć, że prowadził głęboko zakonspirowaną karierę solową, a oni?

– My byliśmy zaczynem, a oni słonicą w ciąży, wiesz, jak mówił pewien trener? – zapytał Skiba, po czym sam sobie odpowiedział: – Z budowaniem drużyny jest podobnie jak z kopulacją słoni. Dużo kurzu, szumu, a efekt za dwa lata. Powiedzmy, że wtedy w przypadku kapeli chodziło o parę miesięcy, z nich dopiero coś miało być, więc i muzycznie, i towarzysko prawie nie istnieli.

– Standardowi byli: browarek, zioło, no może z wyjątkiem pałkera, ten jechał na każde paliwo!

– I dlatego szybko zjechał do zajezdni.

– Ale Black zrobił to jeszcze szybciej – wtrąciła się Joanna.

– To prawda. – Dżej Dżej pokiwał z zadumą głową. – On też uderzał w system i miał wielkie ambicje.

– Jak my wszyscy – wtrącił się Skiba.

– Ale on był taki serio-serio – doprecyzował Dżej Dżej.

– Fakt, jak u Deadlocka. *Twoja ambicja zabija ciebie, ambicja to twój bóg* – zanucił Skiba.

– Do tego zimna fala.

– Smutna fala.

– Robili numery do wierszy Borgesa, Ginsberga i Wojaczka, cierpieli za miliony.

– Może dlatego strzelił swojaka jak Ian Curtis z Joy Division. – Skiba zrobił potępieńczą minę.

– Może, ale Ian miał poczucie humoru. Miał problemy: żona, dziecko, kochanka, epilepsja... – wyliczał Dżej Dżej. – No i reszta zespołu była za Manchesterem United, a tylko on za City.

– Ale wygłupiał się, a tuż przed śmiercią brał udział w muzycznym jamie i bawił się na scenie z kolesiami z Buzzcoks, a Black zawsze był poważny – wtrącił Skiba.

– Do bólu poważny – skrzywił się Dżej Dżej.

– Śmiertelnie poważny – potwierdził Skiba.

Członkowie Big Cyca tym razem nie żartowali.

– Black był polskim Ianem Curtisem? – spytała Joanna.

– Za mało wiemy o jego życiu prywatnym, poza tym odszedł bez sukcesu. Curtis i Joy Division nagrali dwie płyty, więc nie porównywałbym – odpowiedział Dzej Dzej. – Niewiele o nich wiadomo, zapisali się w historii samobójstwem wokalisty, a później zejściem perkusisty, który przesadzał z dragami, ale było coś jeszcze. Jestem basistą, więc mam trochę insajderskich wiadomości ze środowiska czterech strun. Po samobójstwie wokalisty White chciał grać dalej, miał materiał, zamierzał go skończyć i wydać. Planował zrobić to, co robi teraz, więc po rozpadzie grupy zaczął szukać grajków, wiem, że proponował grę na basie Jerzykowi z Brygady Kryzys i Piotrkowi z Made in Poland. Zapytaj ich, bo to podobno były jakieś dziwne propozycje.

– Dzięki, ale teraz poproszę was o parę słów do kamery.

– Na poważnie, prawda?

– Tak, bo poważnie podchodzę do tego tematu.

– Mówisz, masz!

I powiedzieli, zwięźle i na poważnie, bo jak chcieli, to potrafili być poważni. Od razu wysłała esemesa do Miśka, żeby zorganizował nagranie Jerzyka Wereńskiego i Piotrka Pawłowskiego.

\* \* \*

Wczoraj Artur rozmawiał z youtuberem, który był zachwycony rozmową z gliną ścigającym mordercę. Teraz męczył się z naukowcem z uniwerku, który sprawiał wrażenie, jakby robił mu łaskę, że poświęca mu czas.

– Nabrał pan pewnej wiedzy o Japonii, ale ona zawsze pozostanie dla nas wiedzą powierzchowną, bo my nie odróżniamy, przynajmniej nie potrafimy dokładnie określić, co jest *tatema*, a co *hon*ne – powiedział, patrząc na Artura zza prostokątnych szkieł okularów. – Wszystko zależy od sytuacji. To zależy od okazji, jeśli sytuacja jest oficjalna, to można, a nawet trzeba przyjąć postawę *tatema*, czyli skryć się za fasadą, założyć maskę, prowadzić grę jak



w teatrze. Nie ma w tym nic niestosownego, że kryją się za tym nie tylko prawdziwe emocje, ale i prawda. Przeciwnieństwem jest *honne*, coś, co w rzeczywistości myślimy, czyli jak to mówi młodzież: real, prawda, rzeczywistość. Najważniejsze, by wbrew temu, co się myśli, temu, co się dzieje, mówić to i zachowywać się tak, jak oczekuje jakaś ważniejsza od nas osoba czy środowisko. *Tatemaie* sprawia, że Japończycy nie mówią, tylko wygłaszają, prezentują oficjalne stanowisko, choć niekoniecznie musi być one prawdziwe. To określa stosunek Japończyków do przestrzegania prawa, pozwala ich nam zrozumieć, oczywiście jeśli jesteśmy w stanie pojąć, co jest *tatemaie*, a co *honne*.

– Czyli nieboszczyk żył za fasadą i prezentował miłe oblicze sąsiada i przedsiębiorcy, a tak naprawdę mógł być gangsterem z yakuzy. – Artur próbował zażartować, ale doktor Lewicki tylko się zachnął, strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa brązowego garnituru i nieco drwiącym, pełnym wyższości głosem powiedział:

– Yakuza to legalnie działająca organizacja, która ma biura, prowadzi rekrutację, organizuje pomoc charytatywną i konferencje prasowe. I nie ścina nikomu głów mieczem, jeśli chciałby pan o to zapytać!

– Czy Japończycy chętnie trzymają broń w domach?

– Pan żartuje! – wybuchnął Lewicki. – To surowo zabronione!

– Nawet miecz samurajski?

– Od niego się zaczęło, i to już w szesnastym wieku! W 1588 roku regent Toyotomi Hideyoshi ogłosił *taiko no katanagatari*, wielkie polowanie na miecze. Zabronił Japończykom noszenia broni białej i palnej, łuków, każdej broni, utrzymując ten przywilej tylko dla szlachty. Powód był prosty, w nieuzbrojonym społeczeństwie łatwiej i skuteczniej pracują poborcy podatkowi. Bez broni trudniej też było wzniecić bunt, a Japonia była wtedy wciąż niestabilnym organizmem. W 1876 roku także i samuraje stracili swój przywilej, a rok 1958 przyniósł niezwykle restrykcyjne prawo, *Ju-ho Tokenrui Shojito Torishimarihō*, czyli Prawo o kontroli broni palnej i mieczy. Od tego momentu obowiązuje całkowity zakaz posiadania broni palnej oraz białej.

- Jak restrykcyjny?
- Można za to dostać od roku do dziesięciu lat pozbawienia wolności.
- I Japończycy się do tego stosują?
- Wychodzi na to, że tak, bo jest tam wyjątkowo mała liczba zabójstw.
- W Szwajcarii także, chociaż tam prawie każdy ma wojskowy ekwipunek i broń – zauważył Artur. – Sądzi pan, że Kasai mógł zawiesić sobie miecz najpierw w restauracji, a potem w domu, bo w ten sposób rekompensował sobie brak takiej atrakcji w Japonii?
- To całkiem możliwe, w końcu jest *tatemaie* i jest *honne*, panie komisarzu.

Artur dopił kawę i podziękował za rozmowę, która nic nie wniesie do ich sprawy. Zostało mu jeszcze dzisiaj spotkanie z rzeczoznawcą, który powie coś o narzędziu zbrodni oraz rozmowa z kolejnym specem od Japonii. A na deser nasiadówka u szefa. Jeśli kolejni rozmówcy będą tacy jak profesor, to chyba popełnił błąd, że to Wiśnia, a nie on mocował się z monitoringiem.

\* \* \*

Joanna wiele razy słyszała o tym, jak Artur i inni policjanci przeglądają monitoring. Czasem jej praca polegała na tym samym. Siedziała przy monitorach i zajmowała się katorżniczą pracą, jaką było oglądanie najlepszych fragmentów talent show emitowanych przez stację. Dzieci, psy, koty, kobiety, starcy i młodzieńcy, wszyscy utalentowani. I jurorzy. Zamyśleni i rozentuzjasmowani, troskliwi i grillujący, wrażliwi i brutalni.

- Jesteście boscy!
- To objawienie, nie widziałam czegoś tak wzruszającego!
- Zajmij się czymś innym, postawię ci bilet powrotny!
- Jesteś moim idolem!
- Dobra rozgrzewka, teraz występ? To był występ? Okej, rozumiem...

Prowadzący duży i mały, prowadzący młody lub stary, prowadząca jak Królowa Śniegu i taka jak przedszkolanka, słodka idiotka i profesor filozofii, starsi państwo albo chłopiec i dziewczynka. Bo talent show mógł mieć wiele obliczy, które fachowym językiem nazywano formatami. Nie miała ochoty, ale musiała. Jutro będzie o tym rozmawiać, choć jej się wcale, ale to wcale nie chciało.

\* \* \*

O zrecenzowanie numeru, który miał promować płytę Załogi *Orwell* Wojtek poprosił Pawła Dunina-Wąsowicza, faceta, który jest chodzącą encyklopedią literatury i warszawskiego rocka. Chyba się dogadali, bo Dunin-Wąsowicz oddzwonił, jak Wojtek jechał metrem. Na pewno się dogadali, bo potem jeszcze wymienili esemesy, z datą i godziną, i przyszło jeszcze pytanie: „ORWELL?”. Wojtek odpisał: „TAK, ORWELL”. Zatem byli dogadani. Umówili się na osiedlu Sady Żoliborskie, w mieszkaniu Dunina-Wąsowicza, dzięki temu Wojtek nie musiał jechać do redakcji i wpadać na Jagę. Cała ta tinderowa sytuacja go krępowała. Wprowadziła jakiś chaos, w każdym razie przestał o niej myśleć jako Nowej. Pogadałby z kimś o tym, ale z kim? Na razie miał nagranie z Pawłem Duninem-Wąsowiczem. Facet wyglądał na książkowego mola z rockową przeszłością i mieszkał chyba w bibliotece, bo tak wyglądało jego mieszkanie.

– To w tym mieszkaniu Muniek Staszczyk po raz pierwszy wykonał *Warszawę* – powiedział z nabożeństwem Walczak, przypinając Duninowi mikrofon. – Tu jest właśnie *zielony Żoliborz*, *pieprzony Żoliborz*.

– Przygotowałem parę tytułów, w których są stosowne odniesienia. – Dunin-Wąsowicz położył rękę na stosiku książek.

– W tych wszystkich książkach jest o grupie Załoga? Przecież nie byli tak popularni? – Wojtek poczuł niepokój.

– To pytasz o grupę Załoga? – ciągnął Dunin-Wąsowicz. – Mówiłeś o Orwellu... Nawet potwierdzałeś esemesem.

– No tak, ale mi chodziło o płytę grupy Załoga zatytułowaną *Orwell*  
– a jednak się nie dogadali, pomyślał Wojtek. *Fuck!*

– Słyszałem o nich, obito mi się o uszy, ale jak zacząłem chodzić na koncerty, to Załoga już nie grała, próbowali wrócić. Podobno były jakieś próby, mówiło się, że zagrają w kinoteatrze Tęcza przy Suzina, ale nie zagraли. Za to na zamknięcie tego miejsca zagrała Partia, świetny zespół, później lider Partii Lesław założył Komety, też doskonały. Nie możecie zrobić programu o Kometach? Zasluguja na to.

Wojtek nie wiedział, co powiedzieć, w tym czasie Dunin-Wąsowicz wszedł już na inny temat:

– Jeśli zaś chodzi o rocka w literaturze, to nie tak dawno Mariusz Czubaj napisał *Piątego beatlesa*, kryminał z rockiem w tle, okładka *Abbey Road* Beatlesów na miejscu zbrodni, ich muzyka, a bohater, profiler Rudolf Heinz jest miłośnikiem bluesa...

A później Paweł Dunin-Wąsowicz płynnie wszedł w historię warszawskiego rocka od połowy lat osiemdziesiątych do dzisiaj, opowiedział, jak odkrył Masłowską, wydał *Wojnę polsko-ruską*, jak nagrała płytę, o Muńku, *Warszawie* i o wielu cholernie interesujących rzeczach, o tym, czemu nie ukazuje się „Lampa”, po czym odniósł się do skandalicznie długiego remontu w Bibliotece Narodowej. Wojtek bał się mu przerwać, bo przecież zawracał mu głowę bez potrzeby. Kamera, wyjazd, czas i człowiek, którego zna Misiewicz, bo on wszystkich zna. I Jaga, Becker i sam PDW. Co za, kurwa, pomyłka i wstyd.

Wracał, zastanawiając się, co robi, miał przecież w huk nagrać, bo nie dość, że Dunin-Wąsowicz popłynął, to w dryf wprowadził go Walczak. Kiedy tamten kończył, operator przypominał sobie jakąś historię, więc płynęli przez T.Love, *Wojnę polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną*, niszowe zespoły, wszystkie te Muzyki Końca Lata, Pustki, 19 Wiosen i inne nazwy, które mówiły mu nic lub niewiele. I wtedy zadzwonił telefon.

– Panicz raczył odebrać! – warczał Misiewicz.

– Miałem nagranie.

– To chociaż esemesy przeglądaj. Wysłałem ci adres, walcie na nagranie, pilne. Pal gumę, zrób to szybko i wracaj jeszcze szybciej, łódzki asie!

Z zabójstwa Misiewicza wyciągnąłby go nawet adwokat, który nie wygrał dotąd żadnej sprawy.

---

38 *Mississippi w ogniu*, wyk. Organek, śł. Tomasz Organek, muz. Tomasz Organek, Adam Staszewski, Tomasz Lewandowski, Robert Markiewicz

39 *Zabijać siebie*, wyk. Oddział Zamknięty, śł. Krzysztof Jaryczewski, muz. Wojciech Łuczaj-Pogorzelski.

# Rozdział 20

*Przejść kontrolę nad wszystkim  
Oto wasz program  
Ustawić na ulicach głośniki  
Oto wasz program[40]*

## EIGHTIES

Siedzieli w Roxanie, która miała szemraną opinię. W lokalu pod filarami, na rogu Alej Jerozolimskich i Kruczej przesiadywali cinkciarze i paserzy, ale Jerzemu to nie przeszkadzało. Boss miał nawet wrażenie, że ma tu wielu znajomych. Pachniało tu zagranicą, palono niemal tylko najlepsze fajki, na półkach stały wermuty, Egri Bikavér, a nawet zachodnie trunki.

- I jak twoje orły? – zapytał Jerzy.
- Próbują – odparł Boss.
- Efektywnie?
- Starają się.
- To niech zagęszczą ruchy. Festiwale, reżyser, klip będziemy kręcić, studio płytowe.
- Nie wytnie ich konkurencja?
- Jaka?
- Maanamy, Perfekty, Republiki, inni, wszystkie te punkowe załogi.
- Zaorzą się. Rządzi ten, kto ustala stawki, a nikt nie wytrzyma tego, że jest popularny i gra za grosze, Perfect już pękł, a te wszystkie punkowe i nowofalowe zespoły istnieją tylko dwa razy do roku: w Jarocinie i na „Róbrege”. Jak przychodzi w ciągu roku na koncert stu widzów, to jest sukces. My rozdajemy karty, pamiętaj! Wszystko

się uda, będzie u nas kapitalizm, będą paszporty w każdym domu, będzie nawet prywatna prasa. Zobaczysz, tylko że nie każdy to dostanie, tylko prymusi – tłumaczył Jerzy. – Wyda się koncesje na wszystko, każdy, kto to zrozumie, będzie mógł się spełnić. Oto nasz program! Partia i niezależni fachowcy tym pokierują, także kulturą. Partia to ja, a ty to bezpartyjny fachowiec!

Jerzy był w doskonałym nastroju. Pstryknął palcami na kelnera, który po chwili przyniósł kawę i po solidnym kieliszku Araratu, radzieckiego koniaku.

## 2020

Spóźnili się, ale Pawłowski poczekał. Był basistą grupy Made in Poland, to byli, jak to napisał w esemesie Misiewicz, królowie zimnej fali. Bardzo ich szanował, znał Pawłowskiego więc miał go nie kompromitować. Nienawidził chuja za te wstawki!

– Podobno miał pan grać w grupie Załoga? – Wojtek zaczął w niewyszukany sposób i już widział, jak Misiewicz odsłuchuje wywiad i krzywi się, jakby pił bezalkoholowe piwo.

– Tak, niewiele brakowało, żebym z nimi grał, była taka propozycja, ale zorientowałem się, że coś jest nie tak, bo wokół zespołu kręcił się Jerzy Wełnicki, nazywali go pułkownikiem Pałkerem, takie nawiązanie do pułkownika Parkera, menedżera Elvisa Presleya. Facet związany z estradą, festiwalami, ale bez funkcji. Zawsze się pojawiał, ale nigdy na pierwszej linii. Dzisiaj nazwalibyśmy go doradcą zarządu, wtedy nie było takiego stanowiska. Za to bardzo często ci, którzy wyjeżdżali z zespołami w zagraniczne trasy, byli esbekami. Sportowcy, artyści, delegacje gospodarcze, każdy wyjazd był obstawiany. Oprócz tego często był jeszcze TW, tajny współpracownik.

– Sądziś, że w zespole był ktoś, kto współpracował?

– Nie oskarżę żadnego z chłopaków, łatwo kogoś pomówić, przykleić coś, co będzie stygmatyzowało. Spotkałem każdego z nich

raz albo dwa razy, więcej wiem o Białkowskim, każdy to wie, bardzo sprawny producent. Ciekawą postacią był za to kierownik z domu kultury, w którym grali. Nazywali go Bossem, musiał mieć niezłe kontakty, bo zrobił bardzo szybką karierę zakończoną wyjazdem na placówkę do Wielkiej Brytanii, i to jeszcze przed czerwcem '89. Tylko tyle i aż tyle na temat przyszłego, tak mówią, ministra kultury.

– Ministra kultury?

– To jest ta sama osoba, Andrzej Czerwiński, najpierw kierownik domu kultury, później szef jednego z oddziałów w przedsiębiorstwie Nowa Estrada, placówka dyplomatyczna, w wolnej Polsce własny impresariat, wszedł też w produkcję filmową. Prawdziwy Boss.

Wojtek poczuł, że w końcu coś mu się udało! Podziękował i jak chciał tego Misiewicz, palił gumę, chciał jak najszybciej pokazać swoją zdobycz.

\* \* \*

Tym razem to Andrzej Czerwiński zaaranżował spotkanie. Tak jak trzydzieści pięć lat temu spotkali się w Pałacu Kultury, ale nigdzie wysoko, tylko na parterze, w barze Studio.

– Powiedz, Boss, po co ci to wszystko? – Wełnicki przeszedł do konkretów i choć to Czerwiński zapraszał, to on przejął inicjatywę.

– Ministerstwo?

– Tak, ministerstwo. Osiągnąłeś tyle, masz pozycję, nie to co ja, ostatnio u mnie słabo. Ja muszę ryzykować, a ty?

– Żadne ryzyko, w sumie to się wycofałem, ale chciałem zakończyć z przytupem i z dobrej emerytury mieć królewską. Głupcy pchają się do resortów, które mają największe budżety, ale to kultura ma najbardziej niepoliczalny.

– Mnie nie musisz tego przypominać, sam cię w to wprowadzałem. Jak chcesz ugrać swoje, a przy okazji i moje. – Spojrzał wymownie na Bossa. – Przecież byś mnie nie fatygował, żeby powspominać stare czasy, bo jesteś zalatany.



– Pewnie, że nie zawracałbym głowy, gdybyś czegoś z tego nie miał. – Boss-Czerwiński uśmiechnął się porozumiewawczo. – Mój pomysł to superprodukcja: solidny film z gwiazdami, ale niezależny.

– Offowy? – zdziwił się Jerzy.

– Nie. Po prostu niezależny, bo dobiorę najlepszych, a nie tych, którzy „zasługują”.

– Będzie burza.

– Będzie, ale się ją przykryje. Film będzie sukcesem kasowym, i prawacy, i lewacy dostaną to, co lubią. Zblatuję krytyków, tych co to dla zasady wierzgają, a inni zesrają się ze szczęścia, jak to zobaczą. Monte Cassino według Wańkowicza, zatrudnię przy tym wszystkich, to będzie dzieło ekumeniczne, żadnej taniochy.

– Ale takie rzeczy najlepiej na jakąś rocznicę...

– No to będzie, okrągła, 2022: wyjście Armii Andersa z ZSRR. Szach i mat!

– Nie wszyscy wsiądą do tego pociągu.

– Oczywiście, ale dostaną swoje ochłapy. Za każdym razem jest burza, zawsze jest cyrk, bo lista zasłużonych jest tak długa, że trzeba dziergać marne sztuki, żeby dla wszystkich starczyło zajęcia. Ale i tak nie starcza, więc się kończy na tym, że nie można zrobić nic porządnie, a i tak są awantury. A ja zrobię sukces, dając równocześnie wypłaty i granty, rozumiesz?

– Rozumiem, moja szkoła, ale starczy ci pieniędzy?

– Nowe projekty, sponsorzy się znajdują. Popycham ich tam, gdzie nie będą musieli tworzyć, tylko mieć i stać w miejscu. Kochają to. Think-tanki, załączki instytutów, muzeów, granty na scenariusze, które mają zaowocować filmami, festiwalami i konwencjami, które powstaną...

– Na świętego nigdy?

– Tak, to jest ten termin. I oni sami go położą, bo ja wyznaczę im terminy. Będę łaskawy, ale do czasu, bo jak będzie wiał nowy wiatr, to sam ich rozliczę. – Jerzy Wełnicki z zadowoleniem pokiwał głową, a Czerwiński ciągnął dalej. – Jestem pewien, że wyrobi się Białkowski, mam na niego pomysł: Oratorium Narodowe! Zrobi

kolejny krok, zarobi. Ty też zarobisz, to znaczy nie ty, tylko osoby, które wskażesz.

– Nie może być inaczej.

– Zatem nie muszę więcej tłumaczyć?

– Nie, po prostu informuj i mów, co ci potrzeba.

– Wchodzisz w to, majorze?

– Wchodzę, ale zadam jeszcze jedno pytanie. Dlaczego ty?

– Bo jestem bezpartyjnym fachowcem. Zaistniałem na paru salonach, zrobiłem wrażenie, dobrze gram w brydża, podobam się kobietom i nie należę do nikogo. Mogę dać balans, bez zabawy, jaką było kiedyś „wzmacnianie lewej nogi”. Jest równowaga, sojusznicy są rozhisteryzowani, a ja jestem człowiekiem Lidera.

– Okej... – Wełnicki potarł brodę. – To ma sens! Jestem z tobą. Jeśli będzie trzeba, uspokoję wszystkich, o których coś wiem. – Boss z zadowoleniem pokiwał głową.

Wypili po kawie, wódeczka przed południem wyszła z mody.

\* \* \*

Artur i Wiśnia siedzieli u szefa, który, jak każdy szef, miał potrzebę przypomnienia, że jest szefem, co wiązało się ze stratą czasu i wysłuchaniem informacji, które można było przesłać mailem. Ale liczył się kontakt z ludźmi, więc szef się z nimi skontaktował.

– Wysłaliśmy Japończykom zdjęcie linii papilarnych. Faktycznie nazywa się Kasai, nie jest poszukiwany, tego drugiego dopiero wysłaliśmy. Nie byli zbyt wylewni, bardzo mili, szczytowo urzędowi, ale ten restaurator i jego kucharze to nie są jacyś przypadkowi goście. W czwartek przyleci ich inspektor, nazywa się Takeshi Azuma i pracuje tu!

Artur i Wiśnia pochyliłi się nad kartką, na której było wydrukowane:

**組織犯罪対策部**

– Co to jest szefie, do chuja Waclawa! – wysapał Wiśnia. – Co to, kurwa, za krzaki są?

– Sierżancie, a kto ma wiedzieć jak nie technik ogrodnik, ha, ha, ha. – Stary bardzo starannie przygotował swój żart.

– A tak serio?

– Departament do walki z przestępczością zorganizowaną, a konkretnie pion operacji zagranicznych.

– No to nieźle... – Wiśnia pokręcił głową. – ...yakuza?

– Pewnie tak.

– Ale co oni robili w Polsce?

– Sierżancie Wiśniewski, właśnie to, jak mi się wydaje, próbujecie ustalić razem z komisarzem. Nie przeszkadzam, do roboty, do roboty, a tu parę informacji o japońskiej policji, które są na naszej stronie i godzina przylotu kolegi samuraja. Najpierw coś ustalcie, a dopiero później sake, gejsze i Żelazowa Wola, postarajcie się przede wszystkim wykonać program obowiązkowy! – Starszy komisarz Nowicki strzelił uśmiech i wyszedł.

– Ależ dowcipny – skomentował Wiśnia. – Musiał w końcu zamoczyć, bo dostał skrzydeł... A co do programu obowiązkowego, to się wszystko zrobi, a z dodatkowego wywalimy Żelazową Wolę – mruknął na koniec.

\* \* \*

Andrzej Czerwiński śledził na pogodowej mapie sejmu nową gównoburzę, która zajmowała politycznych meteorologów. Na ekranie pojawił się zapis felietonu redakcyjnego wpływowego portalu GłosPolski.pl. Lektor czytał, wczuwając się w zdecydowany ton wypowiedzi redaktorów.

*Lewacy chcą nam wybrać ministra kultury! Mateusz Górski znany z histerycznych, szkodliwych dla Polski wystąpień, powołując się na rzekomy przeciek, stara się kreować swoją rzeczywistość. Sensacyjna kandydatura Andrzeja Czerwińskiego*

*na stanowisko ministra kultury, to fake news jakich mało. Przecież kandydata jeszcze nie ma, kierownictwo Porozumienia prowadzi rozmowy, w których jeszcze nic nie zostało przesądzone. Na pewno wśród wysuwanych przez koalicjantów kandydatów nie ma Czerwińskiego, jest za to kilku innych, z których szczególnie jeden wydaje się być tym właściwym człowiekiem. Człowiekiem na trudne czasy burzy i naporu.*

*Od dawna na naszych łamach apelowaliśmy o desygnowanie na te wrażliwe stanowisko osoby, który dokona przyspieszenia. Bo piękne hasła odnowy i rechrystianizacji Europy pozostają tylko czczą obietnicą. Tak jak w roku 1683 wspomogliśmy nasz kontynent orężem, tak w chwili obecnej powinniśmy przekazać Europie nasze dziedzictwo. Nasze i jej, co byłoby wypełnieniem naszej roli. W 966 roku przyjęliśmy Chrzest Święty, zawierając naszym braciom w wierze. Kto przypuszczał, że po tysiącu i pięćdziesięciu trzech latach będziemy Arką Chrześcijaństwa? Aby wypełnić tę misję musimy mieć szczególnego ministra kultury, kogoś takiego jak profesor Stefan Wróbel.*

Czerwiński z trudem ochłonął po tym jak świętoszkowie z Koła Modlitewnego wystawili profesora Wróbla, którego z racji na konserwatywne poglądy nazywano Wielkim Wróblem. Bo był podobny do kapłana z „Gry o tron” nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim był fundamentalistą. Dobrze, że spotkał się z Jerzym, ten na pewno nie tracił czasu, pewnie gromadzi już coś na Wróbla, który miał też słabość do kobiet. W każdym wieku i każdego stanu cywilnego, a fakt, że był przykładnym ojcem i mężem wcale mu w tym nie przeszkadzał. Ledwie o tym pomyślał zobaczył na pasku stacji informacyjnej tekst:

TAJEMNICZY ANONIM W SKRZYNKACH MAILOWYCH POSŁÓW  
I DZIENNIKARZY.

Machina ruszyła, podniecenie sprawozdawcy na sejmowych korytarzach, pytania, odpowiedzi i oczywiście grafika z tekstem listu.

*Zdzisławo Dworzak!*

*Wybierasz nam przyszłość, zaglądasz do łóżek, grzebiesz w przeszłości, to pokaż swoją rodzinę. Wspowiadaj się ze swojego ojca, zamiast chować się za Kościołem. Powiedz o sobie i swojej rodzinie prawdę, dajemy ci czas do jutra. Możesz milczeć, ale wtedy musisz się usunąć w cień, inaczej przemówimy!*

Do listu było dołączone zdjęcie młodej Dworzak wykonane przy wejściu do kościoła, grupa młodych ludzi zgromadzona wokół księdza. Czerwiński zaklął i wybrał numer do Wełnickiego.

\* \* \*

Sejmowa Godzillla wyglądała na fotce całkiem atrakcyjnie, oczywiście Misiewicz zdążył to po swojemu skomentować. Jego oratorski popis przerwała Joanna, która właśnie weszła do redakcji.

– Żadna sensacja, zawsze była kościelna, gdyby to było kółko satanistów...

– Pewnie, że żadna sensacja – dodał Misiek. – Sam miałem kiedyś iść na pielgrzymkę, do tego w bardzo poważnej intencji.

– W jakiej? – Jaga nie kryła zdziwienia.

– W intencji – głaszcząc się po łysej głowie, wyraźnie szukał właściwego sformułowania – bliższego zapoznania koleżanki z liceum!

– Seksizm! – odezwała się Jaga.

– Jaki tam seksizm, że niby instrumentalnie traktuję sprawę i kobietę? Nie pojechałem, bo na imprezie przed wyjazdem ona bliżej poznała jakiegoś leszcza i zostałem odepchnięty od stołu pańskiego. W sumie to stół odjechał nad morze, do Dębek, tam ją zabrał ten fagas. Doznałem głębokiego kryzysu wiary, kolejnego już w tym paskudnym 1986 roku. Legia nie została mistrzem Polski,

mimo że trybuny śpiewały: „Jezu, Jezu tak cię błaga lud, Jezu, Jezu z Legii mistrza zrób”, potem klęska na mundialu, a na koniec postanawiam pójść na pielgrzymkę, ale intencja pękła, zanim kupiłem sandały i spakowałem plecak.

– Może trzeba było iść, Bóg szykował niespodziankę? – rzuciła Jaga.

– Szatan raczej. Pojechałem do Jarocina, a tam poznałem dziewczynę, która słuchała metalu. Burzliwy związek zakończony nieporozumieniami na tle różnic muzycznych.

– Jakby ci zależało, tobyś wytrzymał. – Joanna się zaśmiała. – Przecież dla tej... no jak się ona nazywała? – Misiewicz udawał, że nie wie, o kogo chodzi. – Mam na myśli dziewczynę z Krakowa.

– Baśka.

– Dla tej Baśki przemieszkałeś dwa lata w Krakowie.

– No tak, *Baśka miała fajny biust...* – zanucił przebój Wilków. – No i z tego powodu była wielka draka w grodzie Kraka. W dodatku na Zwierzyńcu. Mieszkałem między stadionami Wisły i Cracovii. Ale było i się skończyło, i to jakiś czas temu, czternaście czy piętnaście lat temu. – Misiek szybko uciekł od swojego krakowskiego epizodu i przeskoczył na fotografię. – Ale ten ksiądz, to tak z wyglądu niezły figo fago, taki mniej więcej *Chamberlain z Ptaków ciernistych krzewów*. Nie rozumiecie, młodzi jesteście, taki serial wtedy latał o seksownym księdzu, który dokonał skutecznego podrywu.

– Ale chyba nie ten, to jest Wiesław Marcinkowski, ksiądz związany z Solidarnością, zginął tragicznie, mówi się, że zabiła go bezpieka – wtrąciła się Jaga.

– Michał, czy to ma coś wspólnego z naszymi tematami? – Joanna była zła, że dzisiaj poprowadzi niechciany program, a ten który miał być na to odtrutką, rozchodził się w szwach. Nie powinna tego robić przy młodych, więc obróciła wszystko w żart: – A może to klucz do Załogi?

# Rozdział 21

*Nowy dzień  
Papierosy  
Inne ściany inne głosy  
Wszystkie spóźnione informacje  
Jej trzydniowe fascynacje[41]*

## EIGHTIES

Nie paliła prawie wcale. Tylko czasem na imprezach i w łóżku, razem z Blackiem. Wypuścił dym i powiedział:

*Nie będzie w nocy gwiazd.  
Nie będzie nocy.*

Zaciągnęła się, pottrzymała w płucach dym, bo przecież z maryską był, a kiedy wypuściła, powiedziała:

– Piękne.

*Umrę, a wraz ze mną nie do zniesienia wszechświat[42].*

– To ty napisałeś?

– Nie, to Jorge Luis Borges. *Testament*. Chcę śpiewać wiersze Borgesa, Ginsberga, Wojaczka, Stachurę.

– Stachurę? To śpiewają stare hippy, harcerze, brodacze w swetrach.

– Stachura jest czadowy, wyciągnę go z ogniskowego gówna.

Black był nie tylko przystojny, ale i mądry, znał i rozumiał poezję. Była z niego dumna, dziewczyny musiały go jej zazdrościć. Zaciągnęła się i wypuszczając dym, naprężyła nagie ciało, bo Black zaczął pieścić jej piersi.

\* \* \*

Dwie godziny później w sali prób padło sakramentalne pytanie.

– To jak, przerwa na papierosa? – zagadał Greg.

Papierosy nie były już taką atrakcją jak dwa lata temu, kiedy były jeszcze na kartki. Ci, którzy nie mieli osiemnastu lat, mieli do tyłu, bo przepisy pozbawiały ich przydziału. Ale i teraz nie było łatwo o fajki. W kioskach były dostępne tylko takie syfiaste, popularne oraz radomskie, od nazwy miejscowej wytwórni butów nazywane były radoskórami. Fajki śmierdziały, jakby faktycznie zamiast tytoniu było siano albo odpadki produkcyjne, cudzoziemcy myśleli, że ktoś pali sznurek albo marihuanę.

Skrety Clasha były ciężkie do zdefiniowania, zawsze dobre, ale rzadko kiedy takie same. Ważne, że były dobrej jakości i że były za darmo. Na początku myśleli, że to maryśka, to, że nie była to wyłącznie trawka, przyjęli z pewnym rozczarowaniem, ale później palenie tytoniowych skrętów przyjęło się jako stały punkt programu każdej próby, czasem Kowal urozmaicał je dodatkiem trawy. Miał skądś tytoń, podobno dobry, zagraniczny. Na początku wszyscy w bandzie myśleli, że to maryśka. Z maryską też mogły być, na specjalne życzenie. Dzisiaj palili takie z domieszką zioła. Podobno tak palą na Zachodzie, u nas palono czyste zioło. Bo zioła było pod dostatkiem, milicja ściagała tylko za kompot i poważniejsze dragi, marihuany nie ogarniali.

Do tej pory nikt nie pytał, skąd Clash miał skrety, ale nadszedł ten moment.

– To nie jest zawsze ten sam tytoń, jest dobry albo bardzo dobry. Żadnych kołków, skąd go masz? – zapytał Black.

Clash wzruszył ramionami.



– Idziemy z kumplami z podwórka i zbieramy. – Widząc zdziwione spojrzenia kolegów z bandy, Clash wyjaśnił: – No wieczorem przecież, nie w ciągu dnia.

Próbowali sobie wyobrazić, jak Clash z kumplami zbierają tytoń, jeżdżą pod Warszawę, w Lubelskie, gdzie ktoś hoduje takie specjały na działce. A może... Mieszkają przecież na Jelonkach, a po drugiej stronie Lazurowej są pola...

– Ktoś pilnuje? – zapytał Kowal.

– Czego? – Clash był zdziwiony.

– No czy ktoś nie idzie.

– Ale że kto miałby iść, ktoś konkretny?

– Jak to konkretny? – Kowal się trochę zdenerwował. – Nie chwytam, kurwa!

– No przecież cały czas ktoś chodzi – odpowiedział Clash.

– Po polu, kurwa? – Kowal był coraz mocniej podirytowany.

– Jakim polu?

– To znaczy po działkach. – Kowal, widząc, że Clash szeroko otworzył oczy, doszedł do wniosku, że bierze udział w jakimś absolutnie bezczelnym okradaniu magazynu. – Z magazynu? Jak? Tak na bezczela, udajesz pracownika magazynu czy dorabiasz tam ze spółdzielni studenckiej?

– Nie, kurwa, my to zbieramy na ulicach!

– Jak to na ulicach? – Black się aż zakrztusił.

– Zbieramy pety spod hoteli i na lotnisku, bo tam dewizowcy zawsze palą dobre papierosy. I nie palą do końca, rozrzutni są.

Kumple z zespołu zamarli, to im się nie mieściło w głowach, trzymali w dłoniach papierosy zrobione z tytoniu pochodzącego z petów.

– No co się tak dziwicie? – odezwał się Clash. – Przecież to proste, nie? Dewizowiec czeka na taksówkę, dupę albo autobus. Znacnie to: czeka pięć–dziesięć minut. Luz, chociaż to przystanek, z którego odchodzi kilka numerów. Mija kolejnych parę minut i myślisz sobie, zajaram. Wyciągasz papierosa, zapalasz, zaciągasz się parę razy i...

Wszyscy pokiwali głowami, tak było. Jak się zapaliło papierosa, czekając na autobus albo tramwaj, to niemal zawsze pojazd szybko

pojawiał się na przystanku i trzeba było wyrzucić fajka. Nieliczni byli na to przygotowani i mieli specjalne pojemniki na niedopalone papierosy. Po wyjściu z autobusu wyjmowało się je z pudełka albo specjalnej papierošnicy i można go było dokończyć. Pojazdy komunikacji miejskiej wchodziły na kurs kolizyjny z palaczami tak często, że niektórzy w desperacji wyjmowali papierosa z paczki, mówiąc: „Zapalę, to na pewno przyjedzie”.

– Zbieracie pety! – Greg z niedowierzaniem pokręcił głową.

– A wy je palicie i macie jaranie, jakiego byście nie mieli, kopząc radoskóry i popularesy! – odciął się niewdzięcznikom Clash.

– Jak byłem nietat, to nie miałem kartek, więc zbierałem. Teraz mi się nie chce, ale jak ktoś częstuje, to spoko, luz! – uśmiechnął się Kowal.

Koledzy nie wydali się przekonani. Ale nikt nie rzucił, nie spetował skręta, ale nikt też się nie zaciągnął.

– Gruźliczanke pijecie. – Kowal zarżał po swojemu niczym dziki koń. Jasne, że pili, każdy pił wodę z sokiem lub bez, sprzedawaną latem na ulicach. – Przecież szklanki tylko ledwo co płuczą, dlatego się mówi na ten syf gruźliczanka. Ja nie piję, przecież to woda z kranu, tylko z gazem. – Kowal zaciągnął się z rozkoszą i wypuścił kłęb dymu. – Za to jaranie tytoniu z petów jest niegroźne. Wszystko się spala, dezynfekuje przy ogniu, bakterie są bez szans! Temperatura je zabija, naukowo udowodnione! – Kowal zaciągnął się jeszcze raz, ze smakiem, jakby był kowbojem z reklamy Marlboro. – Całkiem nieźle, jakoś to selekcjonujesz?

– Tak, zbieramy tylko te z filtrem, a potem wybieramy najlepsze. Są miejsca, na przykład lotnisko, gdzie nawet zachodnie się zdarzają. Mentolowe odpadają, psują mieszankę – powiedział Clash, a Kowal pokiwał głową z uznaniem. – Mentolowe to straszny syf – wydał wyrok na „Zefiry”.

Po chwili palili wszyscy. Żeby jeszcze Clash miał pomysł na to, jak załatwić lepszy sprzęt i salę do gry! Niestety używane gitary, wzmacniacze i głośniki nie poniewierały się jak pety na chodnikach przed lotniskiem i hotelami.

## 2020

Nagranie przywiezione przez Wojtka wywołało prawdziwą sensację. Joanna Becker rzuciła wszystko i zarządziła:

– Jeśli ktoś nie pracuje przy dzisiejszym wydaniu, to niech pomoże, wszystkie ręce na pokład! Tych, którzy szykują materiały na za tydzień, także proszę o pomoc! Szukamy, guglujemy, dzwoniemy, pytamy. Jerzy Wełnicki, taki impresariat, IPN, SB, sztuka, film, muzyka! I niech ktoś umówi rozmowę z Andrzejem Czerwińskim, kandydatem na ministra kultury! Temat Załoga znów ma sens, trafiliśmy na żyłę złota i nie wiadomo, do czego się jeszcze dokopujemy!

W redakcji rozległo się stukanie klawiatur, zupełnie jakby grupa Kraftwerk chciała wykonać swoje utwory w wersji symfonicznej, ale z założeniem, że każdy z filharmoników gra jak oni, na komputerze.

Po tej pierwszej fali nastąpiła druga, rozpoczęło się bombardowanie skrzynek mailowych i poczt głosowych Czerwińskiego i Wełnickiego. Obaj nie dawali żadnego znaku życia.

\* \* \*

Andrzej Czerwiński oglądał telewizję, nie był już tak zrelaksowany jak kilkadziesiąt godzin temu. Sprawa objęcia przez niego stanowiska ministra kultury, która była na wyciągnięcie ręki i miała być spacerkiem, stawała się kolejną wojną o wpływy. Do tego ten atak na Dworzak, który dobrze mu nie robił. Dzwonił w tej sprawie do Wełnickiego, ale ten nie odbierał. Narobił smrodu i się ukrył! Tymczasem Dworzak darła się na zaimprovizowanym briefingu z dziennikarzami.

– Wara, lewactwo, od mojej rodziny i od moich prywatnych spraw, zajrzyjcie sobie na moją stronę i tam zobaczycie moją rodzinę. Tę żyjącą, którą chronię przed hienami z polskojęzycznych mediów, a od moich rodzinnych grobów trzymajcie się z daleka!

– Niewiele mówi pani o swojej rodzinie, a poucza pani poseł, jak mają żyć inne rodziny...

– Bo wy i tak nie słuchacie, nie chcecie słuchać, kłamiecie!

– Kłamiemy?

– Kłamiecie, czego się patrzysz, to do ciebie!

– Pani poseł... – Dziennikarka była zszokowana tym przejściem na ty.

– Twoja stacja wyprodukowała paszkwil o moim ojcu, zrobiliście z niego nie wiadomo kogo, a to polski patriota był!

– Czy pani ojciec nie był wysokim funkcjonariuszem PZPR?

– Bo musiał, żeby pomagać ludziom, musiał się ukrywać w PZPR! On działał pod przykrywką. Jego przeszłość była piękna, zapamiętajcie to sobie!

Dziennikarze pracujący na zapleczu działali szybko, konferencja trwała, a researcherzy znaleźli na jej stronie rodzinne zdjęcie, graficy obrobili, a realizatorzy wrzucili jako przebitkę na wizję. Rodzina Dworzak wyglądała jak działkowicze w święto narodowe. Uśmiechnięci, z białoczerwonymi chorągiewkami, w jakimś sielskim klimacie. Kilka osób w różnym wieku, wśród których wyróżniał się siwy, starszy pan z wąsami.

– Ta sprawa ma rozmydlić ważny temat! Polski minister kultury w polskim rządzie! Polak pracujący ciężko dla Polek i Polaków w Polsce i za granicą!

– Czy pani frakcja ma swojego kandydata? – padło pytanie.

– Jesteśmy tylko parlamentarnym kołem modlitewnym, pokorną grupą posłów dającą świadectwo wiary, ludźmi, którzy mają przypominać, że rządzi Bóg, a my tylko wykonujemy jego wolę...

– Czy wolą Boga jest to, by ktoś z państwa grupy był nowym ministrem kultury? – Dworzak spojrzała na pytającego piorunującym wzrokiem, ale rozpoznała zaprzyjaźnionego redaktora, więc mina „wypiłam właśnie sok z cytryny” przeszła w słodki uśmiech. – Czy w katolickim państwie ministrem kultury nie powinien być prawdziwy katolik? Ludzie szanujący przykazania, wypełniający sakramenty są chyba osobami, których Polacy powinni oczekiwać na takim stanowisku?

Aluzja była jasna, ustępujący minister był rozwodnikiem, szef telewizji także, chodziły też o plotki dotyczące pewnego wiceministra, który musiał odejść z rządu. Sprawa była tajemnicza, ale koalicja była hermetyczna, odporna na przecieki jak batyskaf, który ma do wykonania misję na dzień Rowu Mariańskiego.

Czerwiński wyłączył telewizor.

\* \* \*

Kustosz Stanisławski spojrział na miecz, pewnie widział oczyma wyobraźni broń już nie w magazynie dowodów rzeczowych, ale w Muzeum Wojska Polskiego, w dziale broni białej, w którym pracował.

– To nie katana...

– Tachi? – Artur trochę poczytał o japońskiej broni.

– Nie, nie – odpowiedział, kręcąc głową. – Szuka pan, ale spudłował, to shin guntō.

– A czym się różni od katany?

– Katany nosili samuraje, a to jej unowocześniona wersja. Próbowano wprowadzić do armii model podobny do europejskiej szabli. Do historii ta broń przeszła jako kyū guntō, to znaczy stary miecz wojskowy. Nie podobał się, był obcy, niepodobny do katany, ale utrzymał się ponad pół wieku. Wprowadzono go w 1875 roku, a wycofano w 1934. W kolejnym roku oficerowie i podoficerowie oraz kawalerzyści otrzymali shin guntō, który miał krótszą, ale burzliwszą historię. Przetrwał do końca wojny, biorąc udział w straceńczych szarżach, egzekucjach i aktach samobójstw. Mógł się pan pomylić, bo wzorowano go na mieczu tachi z okresu kamakura. To jest od końca XII wieku aż do roku 1333, czyli do tego samego...

– W którym zmarł Łokietek – powiedział Artur.

– Brawo! Uczą tego w Akademii Policyjnej?

– Nie, ale na pewno w podstawówce i liceum, ale pamiętają o tym pewnie tylko byli nauczyciele – odpowiedział Artur.

Kustosz Stanisławski uniósł do góry brwi.

– W takim razie potrafi pan docenić wyjątkowość tej broni, której młodsza siostra powróciła w naszych czasach. Broń wzorowana na średniowiecznej była cięższa od tradycyjnej katany, za którą ją pan wziął. – Doktor założył lateksowe rękawiczki i obracał broń w dłoniach. – To nie jest seryjny egzemplarz, bo nowy miecz wojskowy był produkowany masowo i nie wyrabiano go ze słynnej stali tamahagane, natomiast ten... To już nie rzemiosło, to dzieło sztuki, doskonałość! Jest piękny, jakby wyszedł spod ręki Miyaguchi Yasuhiro, który działał jako Kunimori. Jego dzieła warte są na aukcjach między dziesięć a piętnaście tysięcy dolarów. – Muzealnik przejechał dłonią po ostrzu i podniósł wzrok na Artura. – I pan się pomylił, i ja także, bo to nie shin guntō, tylko kai guntō, czyli miecz dla oficerów marynarki wojennej. Różni się tsubą, okrągłym jelcem, która jak przystało na broń marynarza, udekorowana jest promieniami słonecznymi jak we fladze Cesarskiej Marynarki Wojennej. – Stanisławski zważył miecz w rękę, widać było, że ma ochotę machnąć nim parę razy.

– Proszę go jeszcze obejrzeć, ja tymczasem wpadnę do techników – powiedział Artur. – Chociaż nie ma tu monitoringu, nikt nie odważy się tu wejść, ma pan komfort obcowania z dziełem sztuki i dowodem rzeczowym.

Artur dałby sobie uciąć głowę, że zza zamkniętych drzwi usłyszał świst powietrza przecinanego przez oficerską broń. Kustosz Stanisławski musiał być wytrawnym szermierzem.

\* \* \*

Boss doczekał się telefonu od Jerzego. Nie zostawiał mu żadnych informacji, nie wysyłał esemesów. Wiadomo, Pegasus, a on w końcu był kandydatem na ministra. Spotkali się w parku Ujazdowskim przy starej, zabytkowej wadze. Jerzy na dzień dobry powiedział, że wie, co się dzieje i szybko wyjaśnił sprawę.

– Musiałbym być idiotą, żeby robić coś takiego. Tropę prowadzą gdzie indziej, słyszałaś o doktorze Robercie Ptasińskim?

– A o inicjatywie 2020 „Polska w drodze”?

– Tak, mobilne Muzeum Polski, które ma jeździć po świecie, ruchoma wystawa naszych osiągnięć, od Piasta Kołodzieja aż do setnej rocznicy odzyskania niepodległości. W programie głównie święci i błogosławieni: święta Jadwiga, siostra Faustyna, Maksymilian Kolbe, Jan Paweł II, trochę folkloru, górale, Mazowsze, stroje łowickie, wierzby płaczące i Chopin, no i dużo Sobieskiego, bardzo dużo Sobieskiego.

– Dworzak uwalia osobę dyrektora programowego.

– I to jest właśnie ten Ptasieński?

– Dokładnie tak. Zdemolowała jego kandydaturę w prosty sposób. Domagała się, aby Polskę reprezentował ktoś, kto ma rodzinę, najlepiej wielodzietną. A Ptasieński nie ma rodziny, to znaczy ma, ale nie taką i bez dzieci. – Wełnicki spojrzał w znaczący sposób.

– Gej?

– Zgadza się, ale dyskretny. Bardzo utalentowany i zasłużony już, choć młody, ale z zagranicznymi koneksjami, doktor historii sztuki, kurator z międzynarodowym doświadczeniem, obiecujący, ale nie z Koła Modlitewnego. Więc uwalili go i do Europy pojedzie magister Alfred Niedziela, kustosz muzeum diecezjalnego, albo czegoś w tym stylu, oraz jego personel złożony z doświadczonych... katechetów. Doktor Ptasieński to przeżył, bo przed komisją Dworzak go sponiewierała, cały czas jechała po bandzie i wydawało się, że za chwilę wyciągnie go z szafy.

– Uważasz, że to on? – zapytał Czerwiński, ale Wełnicki przecząco pokręcił głową. – Jego partner?

– On tym bardziej nie, to ważna postać, nikt z partii, ale z bliskiego otoczenia, w dużej mierze to on decyduje o jej ekonomicznym zapleczu. Można powiedzieć, że są parą nowoczesną i wyzwoloną, bardziej związaną wspólnymi zainteresowaniami, doznaniem estetycznymi, ale nie zawsze seksualnymi. Pozwalają sobie na skoki w bok, Ptasieński ma niespożytą moc i trochę szaleje na Grindrze.

– Na czym?

– Taki Tinder dla gejów.

– Portal randkowy?

– Dokładnie. Niby większość szuka miłości, ale na koniec wszyscy znajdują seks. On znalazł seks i czułego mściciela. Tak to widzę. Sądzę, że go uspokoi, ale burza wcale nie minie. Opracowuję strategię.

Major Wełnicki przedstawił Bossowi swój pomysł, ten z zadowoleniem kiwał głową, co fachowiec, to fachowiec.

---

41 *Papierosy i zapalki*, wyk. Gardenia, sł. Radek Nowak, muz. Gardenia.

42 Jorge Luis Borges, *Testament*, tłum. Zofia Chączyńska.



# Rozdział 22

*Nie o to chodzi, by złowić króliczka,  
ale by gonić go*[\[43\]](#).

## EIGHTIES

Nie rozumiała tej piosenki, tej, w której goniono króliczka. Kiedyś nie rozumiała, ale od pewnego czasu wiedziała już, o co chodzi. W sumie to latami do tego dochodziła. Chyba po raz pierwszy coś do niej dotarło, kiedy wymusiła na rodzicach kupno modnych kozaczków. Było to w ósmej klasie podstawówki, poszła w nich na zabawę karnawałową. Okazały się niewygodne, a do tego zazdrosne koleżanki ją obśmiały. I przyłączyły się do nich podle gnojki, wypierdki o mysich wąsikach i popiskujące głosikami nastolatków przechodzących mutację. Pewnie walili konia na myśl o niej, ale nie potrafili jej porządnie poderwać. Albo po prostu wiedzieli, że nie mają szans, więc szli w końskie zaloty.

Takich sytuacji było potem jeszcze kilka: gitara, na którą czekała, a po której bolały palce, przejazd papieża, nie przeżyła wtedy nic szczególnego, za to zeszła się, naczekała i musiała się przepychać, no i koncert Classix Nouveaux. Hala Gwardii była napchana jak pudełko z sardynkami, do tego było duszno jak w stajni. Pewnie dlatego że ludzie z połowy Polski się zjechali i zdążyli się spocić w pociągach i autobusach. Gorąco, ostry zapach potu, który przyprawiał ją o torsje, do tego mało co było widać. I słychać. Bo kawałki nie brzmiały jak w radiu, wielkie dudnienie, w dodatku rzeczy, których nie знаła. Tak naprawdę to czekała na przebój, na *Never never*

*comes*. No i zagrali, ale jakoś nie poruszyło to jej. Sal Solo jak papież wrażenia na niej nie zrobił.

Z Blackiem było tak samo. Jak już go miała, to spowszedniał. No i skupiony był na sobie, ćpał i za mało o niej myślał, tak uważała.

## 2020

Park Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego to dobre miejsce, by uciąć sobie pogawędkę bez oczu i uszu ciekawskich. Blisko sejmu, a zimą miejsce raczej nieuczęszczane. Wielki park, założony w miejscu zniszczonego przez Niemców kwartału Powiśla, miał ponad pięćdziesiąt hektarów, więc nawet tak znane osoby jak posłanka Zdzisława Dworzak i kandydat na ministra kultury Andrzej Czerwiński mogli spokojnie się przechadzać i rozmawiać.

– Zwariowałaś, Boss, Bóg cię opuścił? – Dworzak była wściekła.

– Może spokojniej, nie rozmawialiśmy tyle lat i tak zaczynasz?

– A jak mam zacząć? Kto napuszcza na mnie pismaków, myślisz, że mam ochotę tłumaczyć się z tego starego skurwysyna?

– Sądzisz, że byłbym tak głupi, żeby wysadzać wszystko w powietrze?

– Po co występujesz przeciwko mnie, po co ci ta wojna?

– Przecież ja się w tej sprawie nie wypowiadam!

– Ale za nią stoisz!

– Ja?

– Koło Modlitewne to ty, nie mów, że jest inaczej.

– To kilkudziesięciu posłów, około czterdziestu mocno zdeklarowanych i wielu sympatyków, to druga siła w Porozumieniu. Doskonale wiesz, że jest parcie na objęcie kilku resortów, że należą się nam i walczymy od dawna o oświatę, kulturę oraz wiceministra rodziny, szkolnictwa wyższego i nauki. To pozostaje niezmiennie, ze mną czy beze mnie, dociera to do ciebie? Nie jestem w stanie tego zatrzymać, siedzę cicho, to jedyne, co mogę zrobić. Utopiłabym cię w łyżce wody, ale gram o coś więcej, może się zachowuję jak

oszołomka, ale oszołomką nie jestem. Pranie brudów zaszkodziłoby i tobie, i mnie, i partii. I Polsce przede wszystkim!

Rozstali się w pokoju, ale Czerwiński nie ufał Dworzak, a Dworzak Czerwińskiemu. Za długo się znali i zbyt wiele wiedzieli o sobie, by mieć do siebie zaufanie. Wybrał numer Wełnickiego, trzeba zastosować opcję atomową. Cios, po którym nie będzie już odpowiedzi.

\* \* \*

Artur starał się zrozumieć ofiary i morderców. Chciał też się przygotować na przyłot inspektora Azumy. Na kolejne korepetycje z japońskiej kultury umówił się z Jadwigą Kozłowską, która napisała kilka książek o Japonii i spędziła tam kilka lat. Była przeciwieństwem profesora, miła i konkretna, znająca temat i z niezłą intuicją. Poza tym miała góra trzydzieści pięć lat i była ładna, co na pewno nie spodobałoby się Joannie.

– Czy nieboszczyk miał tatuaż? – Szybko przejęła inicjatywę.

– Żaden yakuza – odpowiedział Artur. – Drobnny tatuaż, mała czaszka.

Kozłowska obejrzała zdjęcie i się uśmiechnęła.

– Yakuza jest inna, niż się wydaje, to prawdziwa korporacja, a tatuaże wcale nie są czymś, bez czego się nie mogą obyć. Za to każdy tatuaż to dla Japończyka stygmat, coś niestosownego. Nawet mały, niewielki powoduje coś w rodzaju wykluczenia, taka osoba jest postrzegana w pracy źle, nie budzi zaufania i szacunku. Sama mam mały tatuaż, w Japonii nigdy go nie pokazywałam, zresztą tam ludzie się nie opalają, pan zwróci uwagę na turystki z Japonii. Bardzo często mają parasolki, czapki z daszkami i rękawiczki, a nawet kiedy jest gorąco, długie rękawy. Opalenizna jest niestosowna, jest po prostu brzydka i świadczy o niskim statusie społecznym, ale może też być symbolem buntu. Dwadzieścia lat temu popularnością cieszyła się subkultura ganguro: czerń na twarzy. Młode kobiety miały mocną opaleniznę i tlenione włosy. Ale odeszłam od sedna

sprawy, w Polsce i gdzie indziej na świecie chodziłam na plażę, ale zawsze prosiłam znajomych, by nie umieszczali w mediach społecznościowych zdjęć, na których widać mój tatuaż. Nie pomogłoby mi to, białym nie tak łatwo zdobyć tam akceptację, choć w metrze ma to swoje dobre strony, zawsze jest dużo wolnego miejsca, Japończycy uważają, że jesteśmy nosicielami chorób.

– Czyli kim mógł być zamordowany?

– Kimś niezależnym albo o bardzo silnej pozycji, albo... wykluczonym. Kimś, komu nie zależało na tym, jak zostanie odebrany jego tatuaż. Szanował przodków, takie może być wytłumaczenie wyboru czaszki. Być może też symbolizowała cykl życia. To interesujące, bo popełnił samobójstwo.

– Przecież ucięto mu głowę!

– Ale tak wyglądał ten rytuał. Ostatni znany przypadek to ten z 1970 roku. Słynny pisarz, etatowy kandydat do Nagrody Nobla, Yukio Mishima, zorganizował pucz, a następnie popełnił seppuku. Kiedy on wbijał sobie sztylet w brzuch, sekundant ściął mu głowę. Tak robiono od lat, by samuraje nie kompromitowali się krzykiem – powiedziała Kozłowska, odkładając zdjęcia i notatki opisujące miejsce zbrodni.

– Zatem nie było to zabójstwo?

– Seppuku to coś między wyrokiem, karą śmierci, którą wymierza sobie sam skazany, a honorowym samobójstwem. Za mało wiem na ten temat.

– Japończycy chętnie to robią, to naród samobójców, przynajmniej tak się uważa – zastrzegł Artur.

– Dobrze, że pan dodał „tak się uważa”. To błędne przekonanie. W tych statystykach jesteśmy, jeśli można to tak określić „lepsi”. Mamy współczynnik ponad osiemnastu samobójstw na sto tysięcy mieszkańców, to jest piętnasta pozycja na świecie i niestety nie od dołu, tylko od góry tabeli. Japończycy są o dziesięć pozycji niżej i mają mniej niż szesnaście samobójstw na sto tysięcy mieszkańców. Węgrzy i Finowie, którzy w obiegowej opinii mają w Europie największe skłonności samobójcze, robią to rzadziej niż my!

Japończycy są liderami, ale tylko w grupie G9, najwyżej rozwiniętych krajów świata.

– To skąd ta zła sława?

– Wszystko przez tradycję, ceremoniał, drugą wojnę światową i widowiskowość współczesnych samobójstw. Skakanie pod pociągi, uprzednio ogłaszanie tego na mediach społecznościowych, skoki do krateru wulkanu, samobójstwa rodzinne czy grupowe, ale nie w jednym miejscu, lecz w czasie, koordynowane przez Internet. Oni są spektakularni, ale to my zadajemy sobie śmierć znacznie częściej.

– Zapracowali na opinię dzięki kamikadze.

– Ale i my mieliśmy mieć swoje żywe torpedy.

– A masowe samobójstwa ludności cywilnej w czasie wojny?

– Pewnie Japończycy mogliby zapytać o powstanie warszawskie.

Zabrakło mu argumentów, można byłoby się nimi przerzucać, ale i tak najważniejsze było to, że zdaniem japonistki to mogło być samobójstwo. Tylko skąd drugi trup?

\* \* \*

Tym razem Boss i Jerzy umówili się na placu Zbawiciela, usiedli w Coffee Karma, niemal naprzeciwko słynnej Charlotte, która mieściła się dokładnie tam, gdzie kiedyś Centrala Rybna i knajpa Mesa.

– Trochę się tu zmieniło – powiedział Wełnicki, patrząc na stoły z surowego drewna i spoglądając przez szybę na plac Zbawiciela. – Kiedyś, nocą, pod filarami można było kupić wódkę, teraz Warszawka24, szyk i szpan. Myślałem, że znów będziemy zawyżać średnią wieku.

– To za jakąś godzinę i nie o tej porze, i raczej w lokalu po drugiej stronie.

– Masz kłopoty – Wełnicki przeszedł do konkretów.

– Mamy kłopoty – sprecyzował Czerwiński.

– To co, Boss, opcja atomowa?

– Ale uderz tak, żeby się nie rozpadł rząd, bo jak się rozpadnie...

- To nie zostaniesz ministrem, to logiczne.
- Ktoś się zbliżył do tematu. To nie jest dobre, niepotrzebne mi są sensacyjne notki, że mieliśmy ze sobą coś wspólnego.
- Użyję prasy, wiesz, że potrafię. A ty dziękuj za wywiady, bo to, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie. *Tisze jediesz, dalsze budiesz.*
- *Nu paniatna, tawariszcz major!*
- Zrobię tej Becker wrzutkę, rozegram ją.
- No i brawo. Może po kieliszku wina? – zaproponował Czerwiński.
- Będę prowadził, i samochód, i figurantkę. – Zaśmiał się. – Myślisz, że się uda?
- Oczywiście, nie takich przerabiałeś, dałeś jej przynętę, połknie haczyk! A potem zrobisz podcinke i rybka wyląduje tam gdzie chcesz.
- W to nie wątpię – powiedział Wełnicki. – To się musi udać, nie inaczej. Ja myślę o tym, co się dzieje teraz w Polsce. Robi się zamieszanie, spowolnienie, tak to się teraz nazywa. Kiedyś też były słowa wytrychy. „Strajk”: nieuzasadniona przerwa w pracy, „kryzys”: chwilowa przerwa dostaw albo uzasadniona konieczność oszczędności. Były plany, czyli ucieczki do przodu przed rzeczywistością. Gierek chciał drugiej Polski, Wałęsa drugiej Japonii, była moralność socjalistyczna, a teraz katechizm. Wtedy się nie udało, a teraz?
- Zawsze tak było. Chleba i igrzysk. Cepeliady i disco polo, sukcesy sportowców, występ piosenkarza w klubie polonijnym i przejście przez ekran w Hollywood. Tak było i będzie, ale liczą się narzędzia, teraz są otwarte granice. Ludzie głosują nogami, już w 1985 to mówiłeś. Żyjemy na środku linii tranzytowej wschód–zachód, mamy paszporty, ale cały biznes stąd nie wyjedzie. Każdy coś ma dla siebie: jedni zarabiają pieniądze i przestają się rzucać, bo widzą, że opozycja i tak wszystko spieprzy, inni jadą na saksy, a inni żyją, jak lubią. Czy się stoi, czy się leży, forsa plus się należy. Póki starczy na socjal, to będzie w porządku, a będzie, bo prymusi zarobią na sobie

i innych. Idealny system, prawdziwa sprawiedliwość społeczna, bo każdy robi to, co lubi, nieprawdaż?

– Lubi, to jasna sprawa, ale jak władza się potyka, to okazuje się, że ludzie mają krótką pamięć i nie pamiętają, co to wdzięczność.

– A najkrótszą pamięć mają koalicjanci, także musimy działać tak, żeby zawsze sikać z wiatrem, a to potrafimy.

Potrafili.

\* \* \*

Po wielu godzinach przeglądania zapisu z monitoringu Wiśni udało się ustalić, że Hong Bum-kun, który mieszkał w pobliżu centrum handlowego, poszedł tam tuż przed feralnym dniem i odwiedził kantor. Kasjerka rozpoznała go na zdjęciu i powiedziała, że wymienił złotówki na tysiąc euro. Tyle miał co najmniej, mógł też odwiedzić kilka innych punktów, będą to badać, choć nie miało to większego znaczenia, bo facet wiedział, co robi, miał pieniądze i jeśli nie popełni błędu, stanie się nieuchwytny.

„Pewnie nazywa się już inaczej, jest blondynem i nie jest korpulentnym Azjata, tylko wysokim Murzynem – pomyślał Wiśnia i zapalił papierosa; jak na zawołanie zadzwonił telefon. – Pewnie zawracają głowę, z byle gównem dzwonią, nie dadzą spokojnie zajarać”.

---

<sup>43</sup> *Gonić króliczka*, wyk. Skaldowie, sł. Agnieszka Osiecka, muz. Andrzej Zieliński.

# Rozdział 23

*Twoja ohydna żądza  
Zabija wszelkie twe uczucia  
Nie jesteś zdolna do niczego  
Niczego, co wymaga głębi*[44]

## EIGHTIES

Black irytował ją, ale wciąż sporo mu wybaczała. Zostawiał jednak wiele pustej przestrzeni, jego szaleństwa z Kowalem sprawiły, że i ona postanowiła sobie zagospodarować czas. Dlatego przespała się z Clashem. Był rozkosznie naiwny i wierny jak pies. Cały czas czekał na swoją szansę, był jak sprinter w blokach, który rwał się do biegu, ale wiedział, że nie może spalić startu. Przestała nawet pojawiać się na próbach, żeby go nie dekoncentrować, przychodziła wtedy, kiedy chciała dać mu znak.

Gonił za nią jak wierny psiak, był owinięty wokół palca, czekał na każde jej skinienie. Najpierw bawiło ją to, później stało się grą. Każdą grę można jakoś urozmaicić i skomplikować. Znowu musiała się pojawić w parafii, bo dziadkowie się tego domagali. Dziadkowie płacą, więc pojawiła się na katechezie. Potem czekała na proboszcza. Wtedy pojawił się jakiś elegant, około trzydziestoletni koleś, który kompletnie nie pasował do domu parafialnego.

– Wiesław – przedstawił się i wyciągnął dłoń. Miał piękny uśmiech, a uścisk dłoni w sam raz. Mocny, męski, ale nie miażdżący, jak to się przytrafiało wielu dupkom, którzy chcieli pokazać jacy z nich macho.

– Suzi – odpowiedziała mu z uśmiechem.



Też się uśmiechnął i miała wrażenie, że coś go rozbawiło, bo uśmiechnął się jeszcze szerzej. Spoważniał jednak i bardzo oficjalnym głosem powiedział:

– Wiesław Marcinkowski...

Chciał coś jeszcze dodać, ale w tej chwili wszedł proboszcz. Na widok Marcinkowskiego jakby się na moment speszył i zamruczał:

– O, widzę, że ksiądz Wiesław poznał naszą młodą parafiankę, której niosę czekoladę z darów.

Proboszcz był lekko skrępowany, a Wiesław wyraźnie rozbawiony, bo mina Suzi musiała być co najmniej komiczna. Zatkąło ją jak nigdy przedtem, w życiu się tak nie zdziwiła! Ten przystojniak, ubrany jak aktor z zachodniego filmu, był księdzem! Nie wiedziała, jak to się stało. I dlaczego. Może dlatego że chciała gonić króliczka? Pewnie tak, bo gonienie go jest ciekawsze od złapania.

## 2020

Do Wiśni zadzwonili rodzice jednego z sąsiadów pana Kasai. Mieli podobno jakieś rewelacyjne informacje, które mogli przekazać tylko osobiście. Sierżant zapakował się więc w autobus, bo samochodem pojechał komisarz i pojechał na Ursynów. Państwo Leśniewscy czekali w kawiarni przy KEN-ie, która była na parterze ich domu. Kazali mu się dokładnie opisać, więc jak tylko zobaczyli, jak szedł od przystanku, wyszli na zewnątrz i udali w jego kierunku tak szybko, jak to tylko było możliwe dla osiemdziesięcioletnich staruszków. Pani Leśniewska trzymała w ręku „Wyborczą”, a pan Leśniewski „Newsweeka”. Rozejrzeli się, po czym zaproponowali:

– Może się przejdziemy, panie komisarzu?

– Jestem sierżantem – sprostował Wiśnia.

– W takim razie, panie sierżancie, czy pan nam potowarzyszy? Musimy wychodzić dzienną dawkę kroków, którą przepisał nam doktor – powiedział pan Leśniewski, śmiejąc się. – A syn kupił nam

zegarki do mierzenia pulsu, przemierzonego dystansu i spalonych kalorii!

– A poza tym... Wielki Brat patrzy – dodała pani Leśniewska, po czym całkiem poważnie dodała: – Nie używamy smartfonów, mamy stare nokie, bo jest ten cały Pegasus!

„Gazeta Wyborcza” i „Newsweek”, które trzymali, były jak deklaracja przynależności politycznej. W końcu także i „Gazeta Polska”, „Nasz Dziennik”, „Warszawska Gazeta” zastępowały partyjne sztandary. Ta opcja raczej nie kojarzyła się ze spiskową teorią dziejów, ale widocznie to przychodzi z wiekiem. Wiśnia zastanawiał się, czy też taki się stanie.

– To sprawa, która może wywrócić Polskę do góry nogami! – powiedział konfidencjonalnym szeptem pan Leśniewski.

– Syn nie chciałby, żebyśmy się w to miesza... – dodała pani Leśniewska.

– Ale my jesteśmy starej daty, przedwojenny materiał, byłem w powstaniu! – Dumnie wyprężył się pan Leśniewski. – To znaczy przeżyłem je, widziałem, pamiętam... Miałem wtedy siedem lat!

Wiśnia słuchał Leśniewskich z cierpliwością, czekał na to, aż starsi państwo odpalą bombę, która okaże się kapiszonem. Kiwał z przejęciem głową, sam kiedyś będzie starszym człowiekiem szukającym sensacji. Patrzył zachęcająco na Leśniewskiego, ale ten zamiast mówić, skierował wzrok na żonę. A więc to ona rządziła! Leśniewska delikatnie chrząknęła i zaczęła z przejęciem mówić:

– Proszę pana, my z mężem wiemy, kto był tym teściem sąsiada naszego syna! Tego Japończyka.

Widząc, że sierżant nie do końca rozumie, o co chodzi, pani Leśniewska dodała:

– Rozpoznaliśmy go w telewizji!...

– W telewizji?

– No tak, pan nie uwierzy, ale to jest rodzina posłanki Dworzak!

Wiśnia nie wierzył w to, co usłyszał. Starał się zachować kamienną twarz, w końcu miał do czynienia ze starszymi ludźmi, poza tym był oficerem policji, nie wypadało mu się śmiać i komentować tego, co usłyszał.

– To znaczy widzieli go państwo w jakimś programie? – Wiśnia zapytał najspokojniej, jak tylko potrafił.

– W każdym, panie sierżancie, przecież w każdym programie pokazywali – powiedziała z całkowitą powagą pani Leśniewska.

– Tak? – Wiśnia starał się za bardzo nie dziwić.

– Ależ oczywiście, musiał pan to przegapić, ale na pewno będą to w każdym serwisie powtarzać, jak ona wymachiwała zdjęciem swojej rodziny, bo ją jakiś anonim zmusił do powiedzenia prawdy o swojej rodzinie – zamruczał pan Leśniewski. – W Internecie pan znajdzie, ale i tak, na wszelki wypadek wydrukowaliśmy dla pana to zdjęcie z jej oficjalnej strony.

Na sygnał męża pani Leśniewska wyjęła spod pachy kartonową teczkę, w której był komputerowy wydruk.

– Żeby się nie pogięło – wyjaśniła. – I jeszcze plastikową koszulkę dałam, panie sierżancie.

Na Wiśnię spoglądała promienna jak nigdy posłanka Dworzak, otoczona przez kilka osób z biało-czerwonymi flagami.

– To ona, Zdzisława Dworzak z rodziną – wyjaśnił pan Leśniewski i wskazał palcem na starszego, siwego mężczyznę z wielkimi wąsami. – To musi być jej wujek albo stryjek, albo jakiś starszy kuzyn, bo ojciec nie żyje od 1989. Był komunistą i wraz z komuną odszedł.

Wiśnia podziękował, wziął teczkę i zaczął się zastanawiać, czy nie jest w ukrytej kamerze.

\* \* \*

Zbliżała się ósma. Wszystko było gotowe, jeszcze tylko make-up prowadzącej i gości. Dwie godziny do programu, zatem luz. Zadzwonił telefon, Joanna spojrzała na wyświetlacz, dzwonił Wełnicki. Czego może chcieć o tej porze?

Zwykle nie wychodzi się ze stacji na dwie godziny przed programem, ale tym razem Joanna zrobiła inaczej. Na szczęście nie

musiała daleko jechać, Wełnicki czekał na nią na parkingu pobliskiej galerii handlowej.

– Czemu to takie pilne? – zapytała.

– Chciała pani ze mną porozmawiać, sądzę, że mogę pani pomóc. – Uśmiechnął się.

– Sądzę, że to pan chce sobie pomóc – zaskoczyła go Joanna.

– Czyżby?

– Miał pan prężną agencję artystyczną, prowadził rozliczne interesy, a teraz...

– Teraz jestem emerytem.

– Wcześniej się pan wybrał na emeryturę.

– Zarobiłem swoje – powiedział pewnym głosem, ale ubranie trochę temu przeczyło, było dobrej jakości, ale stare.

Także bmw, którym przyjechał, nie było najnowszym modelem bawarskiej marki. Oczywiście nie musiało to o niczym świadczyć, znała bogate sknery, które oszczędzały nawet na własnych przyjemnościach, koncentrując się na jednej: stanie konta. Ale ci pracowali, póki mogli, by ich konta puchły, doprowadzając ich na pogranicze ekstazy.

– Trzeba korzystać – ciągnął Wełnicki. – Życie jest zbyt krótkie, by przez cały czas pracować.

– A tak szczerze? Prześledziliśmy pana firmy, agencja artystyczna w Warszawie, księgarnia w Zakopanem, sklep płytowy w Sopocie.

– Agencja artystyczna dobrze przędła, ale później weszły większe firmy. Ktoś mnie wypucował i nie chciano pracować z esbikiem. Walka konkurencyjna, zdrowy kapitalizm. Mogłem się zająć prawami sportowymi, był taki przyczółek dla ludzi z naszej branży, ale nie chciałem. Znów podlegać starym oficerom? Poza tym nie lubię sportu, książki, płyty, to co innego. Galeria! Ale na galerię byłem za krótki, więc robiłem to, co lubiłem, to była najlepsza księgarnia w górach.

– Romantyk i idealista!

– Lubię po prostu łączyć pracę z hobby.

– Praca w SB to było hobby?

– Klucz do hobby. Koncerty, zagraniczne wyjazdy, impresario w stopniu oficera. – Zaśmiał się.

– Pułkownik Pałker?

– Niezasłużone miano! Poza tym byłem majorem.

– To było takie zajęcie jak prowadzenie „Dziennika Telewizyjnego” w mundurze?

– Eee, pani żartuje! To byli przebierańcy!

– Ale tak jak pan wykonywali rozkazy.

– Robili to, co zawsze. Łgali za pieniądze i talony oraz przydział mieszkania, tylko że nie w garniturze, ale w mundurze. Ja to co innego, trochę adrenaliny było! Pracowałem w kulturze, pomagałem ludziom, także tym chłopakom, o których pani robi program. Czerwiński, kierownik domu kultury, był moim odkryciem. Teraz ma szansę zostać ministrem, okazuje się, że jest fachowcem, a nie partyjnym funkcjonariuszem.

– Z tym to bywa różnie...

– Tak, zgadza się. Wielu ludzi kultury szanowałem, ale wielu to były zwykłe chujki.

– Wiedzieli, kim pan jest i nie akceptowali pana obecności, o to chodzi?

– Nie jest tak, jak pani myśli... Ci, którzy plują na komunę i są też świętojeblowi ponad miarę przyzwoitości, wchodzili mi w tyłek bez mydła. A za plecami opowiadali nie wiadomo co. Inni naprawdę mieli komunę w dupie, ale nie brzydzili się ze mną napić wódki i o tym mówić. Nie mieli cykora. Ci nie śpiewają teraz na festynach, udając wyklętych i nie są dziećmi papieża. Chodzili w Wiedniu do kościoła polskiego, bo tam mogli wymienić towar z Polski na szylingi. A teraz... Barka-arka, JPPII, toruńskie pierniki... Dlatego się z panią spotykam.

– Nie rozumiem...

– Chcę, by Andrzej został ministrem kultury. Piękna historia? Od kierownika Działu Młodzieżowego w Domu Kultury, promotora muzyki alternatywnej, do szefa kultury.

– Jest pan jego pijarowcem?

– Powiedzmy, że kibicem. Wolę jego niż kogoś, kogo proteguje nasza stara, wspólna znajoma.

– Zdzisława Dworzak? – O mało nie krzyknęła, ale się powstrzymała.

– Tak, dziewczyna będąca przy zespole, który próbował wylansować Andrzej.

– Aha... – Nadal próbowała zachować kamienną twarz.

– Przecież to idealna pointa dla pani programu, dwójka ludzi związanych trzydzieści pięć lat temu z zespołem rockowym teraz walczy o panowanie nad polską kulturą. Jakaż to polska historia! Punki, dom kultury, córka partyjnego funkcjonariusza, młody działacz kultury w sejmie, śmierć, emigracja, znany muzyk i prężny przedsiębiorca, konserwatywna posłanka i ksiądz!

– Ksiądz?

– Tak, ksiądz. Ale to na razie nieważne. Myślę, że obecność w tym ludzkim panoptikum posłanki Dworzak robi na pani wrażenie, tylko próbuje to pani ukryć. To bardzo profesjonalne, ale nie wierzę, by pod maską spokoju nie kryła się ekscytacja!

Tak w istocie było, ale czy musiała mu przyznawać rację?

– Wyślę pani plik. Powiedzmy, że teraz mogę to swobodnie zrobić, a później... Być może zainteresują się mną nieodpowiedni ludzie. Pani mi poda prywatny adres, a ja wyślę zaszyfrowany plik, a jak uznam to za stosowne, to doślę kod.

– Czemu pan to robi?

– Może mnie natchnął Jan Paweł II? Wie pani, ile było po jego śmierci nawróceń? Może i mnie to spotkało w ten dzień?

Pożegnali się, jak tylko zniknął jej z pola widzenia, zadzwoniła do redakcji, a potem niemal biegiem puściła się do telewizji.

Program jakoś przeleciał, nie dlatego że to był narzucony, obcy temat, tylko wciąż myślała o tym, co jej powiedział Wełnicki. W co gra, czego chce, czy to na pewno prawda. Jutro mieli pojechać do basisty, Grega. W końcu zgodził się na rozmowę, na razie bez kamery, ale przynajmniej będą wiedzieć, na czym stoją. Sprawdziła też prywatną skrzynkę poczty elektronicznej, na której z dziwnego, nic jej nie mówiącego adresu przyszedł mail bez treści, ale

zawierający plik o nazwie „Suzi”. A więc ma ją na krótkiej smyczy, przynajmniej tak mu się wydaje. Puszczą sygnały, obiecuje, obietnice stopniowo wypełnia, robi atmosferę. Cwaniak, ale na byle kogo nie trafił.

\* \* \*

Wojtek znów spędzał noc u Jagi. Pierwszy raz przejął inicjatywę, chciał jej zaproponować, coś powiedzieć, ale skończyło się na tym, że po prostu wysłał jej informację na Tindera. Odpowiedziała! Znów jedli te wegańskie wynalazki, na szczęście to dopiero drugi dzień z rzędu. Ale za to cały. W telewizji uważał, żeby nie zamówić jakiegoś żarełka z mięchem. Niby chodzi tylko o seks z Tindera, ale jednak...

\* \* \*

Po powrocie do domu Joanna opowiedziała wszystko Arturowi.

- Myślisz, że mnie wypuszcza, rozgrywa? – zapytała.
- Pewnie tak, ale skoro o tym wiesz, to ty go rozegraj.
- Weterana służb? – prychnęła.
- Dasz radę, w końcu rozgrywasz Komendę Stołeczną.
- Myślałam, że Komenda Stołeczna nieoficjalnie mi pomoże?
- Już ci pomaga. Znalazłem wujka twojej posłanki Dworzak i wpisałem go na listę podejrzanych o zamordowanie szefa restauracji Yoyogi Park, Kenichi Kasai i jego współpracownika Cha Myung-bo.

- Wystarczy, że rozmawiałam z chłopakami z Big Cyca, ale nawet oni w końcu mówili na serio.

- Ale ja serio mówię. – Artur opowiedział, jak Wiśnia odebrał telefon od rodziców jednego z sąsiadów nieboszczyka i zakończył opowieść relacją z ponownego obchodu budynku przy Bruzdowej. – Pokazaliśmy to zdjęcie sąsiadom. Rozpoznali typa, tylko co dalej? Co, do cholery, mamy zrobić? Przesłuchać posłankę, którą chroni

immunitet? Wpakować się do jej biura? Zażądać kwitów, a jak tak, to jakich, przecież to jej prywatne zdjęcie. Prokurator nie wyda zgody na żadne czynności w tej sprawie, Mroczek spęka, będzie miał pełne gacie i jeśli już, to zasięgnie rady u Melexa. A wiadomo jakiej rady udzieli mu Karski: każe mu się puknąć w łeb i zastanowić się nad jakąś miłą delegacją do rejonowej prokuratury w dupie nigdzie, albo i dalej.

– My też szukamy jej rodziny. Pochwaliła się nią, powiedziała, że patrioci, a w końcu jest osobą publiczną. Jest ta fotka na jej profilu, ludzie się zainteresowali, jest zamieszanie.

Poszli spać z nadzieją, że kolejny dzień przyniesie jakiś konkretny przełom.

---

<sup>44</sup> *To tylko kobieta*, wyk. Made in Poland, śl. Robert „Rozzy” Hilczer, muz. Made in Poland.



# Rozdział 24

*Boimy się siebie, boimy się śmiać  
Białe to czarne, przestańmy łgać  
Grać, łgać, grać, łgać[45]*

## EIGHTIES

Ubrany był jak z plakatu w peweksie albo z niemieckiej „Burdy”. Pewnie z darów. Kościół miał to samo co pewex. Podszedł do niej i zapytał:

– Chodzisz do szkoły plastycznej, może namalowałabyś jakiś plakat?

– A jaki?

– Organizuję chór, bo widzisz, jestem, a w zasadzie byłem muzykiem – uśmiechnął się.

– Nauczyłyby mnie ksiądz śpiewać?

– Chcesz śpiewać?

– Koledzy mają kapelę, może bym w chórkach śpiewała?

– Spróbujemy.

Faktycznie był muzykiem, miał klawisze lepsze od tych White’a, a już na pewno grał od niego lepiej. O wiele lepiej. Był super. W łóżku też. Jak to się stało? Bo był bardziej dorosły od jej dotychczasowych chłopaków. Po prostu męski, dojrzały, a może to przez „The Thorn Birds”, serial, który pokazywali w angielskiej telewizji? Oglądała go, jak była u ciotki w Londynie, ksiądz z tego serialu był ultraprzystojny, grał go Richard Chamberlain, chociaż ciotka cały czas mówiła na niego Doktor Kilder.

Ale tak w sumie to nic nie trzeba było, żadnych ksiązek i seriali, bo po prostu Wiesiek był zabójczo przystojny, miał dwadzieścia dziewięć lat, był mężczyzną, a nie chłopakiem. Imię do niego trochę nie pasowało, ale urodził się jesienią 1956 roku i rodzice dali mu na imię Wiesław.

– Miałem się nazywać Robert, jak Kennedy. – Uśmiechnął się szeroko i Suzie skojarzyła, skąd zna ten uśmiech, Wiesiek uśmiechał się jak JFK! – Fajne imię, Kennedy też w porządku, ale wtedy był październik, odnowa, wiara w towarzysza Wiesława. No wiesz, w Wiesława Gomułkę, pierwszego sekretarza PZPR. Moi rodzice też wierzyli. – Szeroko rozłożył ręce.

\* \* \*

Chłopcy bawili się w najlepsze. Jeśli nie przychodził Black, to nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. Grali swoje, a śpiewali Clash z Gregiem i wyglądało to lepiej niż przyzwoicie. Był tylko jeden problem, własny, oryginalny repertuar. Demówki, które nagrali, mówiły dużo o ich muzycznych fascynacjach, ale mniej o nich samych. Boss łapał coraz większe ciśnienie, bo go młotkował facet, który miał wejścia i pomysł na coś więcej niż dom kultury i jeden zespół. Płyty, studio nagraniowe, przegląd, festiwal, a nawet wyjazdy. Podobno wiele mógł, a oni mieli być pierwszą grupą w stajni. Konkurencja dla Tonpressu, ale z poważniejszym zapleczem, tak obiecywali.

\* \* \*

Elka była na próbie tylko parę razy. Uważała, że to strata czasu, nie tylko jej, ale i jego.

– Dwóch ćpunów, gitarzysta z przerostem ambicji i druh drużynowy, który was potrzebuje, żeby zespół był młodzieżowy, a nie dziadowski – podsumowała Załogę. – To nie band, tylko

zbieranina, w której każdy ciągnie w swoją stronę i do tego ma małą sukę.

– Suzi?

– Suzi z fiutem w oczach. Widzę jak na ciebie, patrzy, cholerna kolekcjonerka chłopaków.

– To cię boli! Jesteś zazdrosna! – Greg chciał wszystko obrócić w żart.

– Jestem ostrożna, a nie zazdrosna, a jak będzie trzeba, to będę potrafiła rozbić jej ten śmieszny nosek. I zrobię to jak te laski z „Hybryd” – zaśmiała się, ale nie był to śmiech przyjazny, nie było w tym nic, co powinno budzić wesołość.

Greg wiedział, co Elka ma na myśli. Po Warszawie chodziły legendy o tym, jak dyskotekowy z „Hybryd” potrafiły bić się o chłopaków, zwłaszcza o tych, którzy byli synami badylarzy i prywaciarzy, przyjeżdżali pod klub samochodami i to wcale nie maluchami, mieli ekstraciuchy i gest, a czasem nawet dolary. Dziewczyny nie tylko szarpały się, szczypały, darły skórę długimi, wylakierowanymi pazurami, ale także tłukły się szpilkami. Zdejmowały je, bo tak wygodniej było się bić, a pantofli z wysokimi, ostrymi obcasami używały jak kastetów. Takie rzeczy działy się w damskiej toalecie klubu, który choć słynął jako baza undergroundowych kapel, to jednak utrzymywał się z organizowania dyskotek.

– Podrapałabyś ją?

– Czy bym ją podrapała? – odpowiedziała tak, że od razu pożałował swojego żartobliwego pytania. – Ja bym ją zabiła, bo wiesz, że dla ciebie, dla nas mogę zrobić wszystko?

Mogłaby zrobić dla niego wszystko. Zanim zastanowił się, czy trzeba się w związku z tym cieszyć, czy bać, położyła mu rękę nad podbrzuszu, a później szybko poszukała argumentu, mającego skierować jego myśli na jeden tor.

– Nie traćmy czasu... – szepnęła mu do ucha.

I nie stracili ani sekundy.

**2020**

Gdyby Joanna była kimś innym, to pojechałaby grubo. Wysłałaby do budynku, w którym popełniono podwójne morderstwo, ekipę z fotografią rodzinną Dworzak i miałyby piękne nagranie: „Oto pan, który chyba był teściem pana Kasai”. Ale wtedy narobiłaby kłopotów Arturowi. Zostało więc przejechać się z Jagą do Grega, bez kamery, tak po prostu zaprosił je na kawę. Tym razem nie było jego żony.

Były basista Załogi śmiał się, że skoro sprzedaje przedsiębiorstwo, to żona przestała się starać. Był lekko poruszony, bo budował firmę od trzydziestu lat, była dla nich jak dziecko, którego nigdy nie mieli. Zaczną drugie życie, chyba wyjadą z Polski, kupią coś w ciepłych krajach. Oczywiście wystąpi w programie, umówi się na występ przed kamerą.

– W tej chwili nie mam do tego głowy, chciałem być uprzejmy, teraz po prostu myślę o zakończeniu pewnego etapu w życiu, jak ochłonę, to przyjdzie czas na wspomnienia i refleksje. Proszę mnie zrozumieć, to ponad trzydzieści lat życia.

– Muzyk został biznesmenem? – zapytała Joanna.

– Życie zna różne przypadki. Tu zaczęło się od tego, że kolega miał głowę do interesów, wkręciłem się w to niedługo po odejściu z zespołu. Chciałem grać, ale... były perspektywy, ale nie wyszło, nie każdy chłopak z gitarą zostaje beatlesem, nie każdy, co kopie piłkę, zostaje Messim.

– Nie każdy chłopak z łóżkiem polowym zostaje milionerem.

– Każdy zaś zostaje wołem roboczym. Pracowałem ciężko, pracowaliśmy, bo i wspólnik, i żona, dali z siebie bardzo wiele, do tego kontakty za granicą. Owszem, żyliśmy lepiej niż przeciętni Polacy, ale czy warto było? Nie wiem, dowiemy się za jakiś czas, po sprzedaży firmy zaczynamy wielkie wakacje.

– A wspólnik?

– Dziękuję, ma się dobrze – powiedział i jakby się zawahał. – Po wszystkim, jak już sfinalizujemy transakcję, umówimy się na

wywiad. Wolę nie zapeszać, rozumie pani? – Greg wyraźnie dał znać do zrozumienia, że czas minął.

– Czy Zdzisława Dworzak była waszą muzą? – zapytała Joanna, wstając z fotela.

– Wie pani to, czego nikt nie wie! – zawołał Greg. – Brawo! Nie chcę się o niej wypowiadać, była młoda i głupia, raczej nie muza, a Yoko Ono, bo rozbiła zespół.

– Na kiedy się umawiamy?

– Może na przyszły wtorek?

– Niech będzie, jeszcze ustalimy szczegóły.

Kiedy wyjeżdżały, w swoim sekretariacie urzędowała żona Grega. Joanna zazdrościła im, też by zamknęła wszystko na cztery spusty i wyjechała. Wiedziała, że się oszukuje, bo lubiła to, co robi, ale z drugiej strony naprawdę by to rzuciła, gdyby tylko udało się dzięki temu wyciągnąć Artura z jego kieratu. Parę kilometrów dalej minęły pożar, w bocznej leśnej drodze płonął samochód, stara, czarna limuzyna, pewnie znów zawiodła tandetnie zamontowana instalacja gazowa.

\* \* \*

Komisarz Artur Konieczny i sierżant sztabowy Sławomir Wiśniewski mieli chwilę czasu, więc Wiśnia zapytał, co robi Joanna.

– Program o muzyce alternatywnej.

– Alternatywa rymuje mi się z lewatywa, zupełnie jak Muńkowi Staszcykowi, dlatego zmienił nazwę zespołu. Kiedyś się nazywali T.Love Alternative. No co się tak patrzysz? Nie wypuszczam cię, tak powiedział i skrócił nazwę. Muńka lubię, ale generalnie to wiesz, ja byłem metalem, punków napierdalaliśmy, a oni nas. Jak ja byłem, to z reguły my ich. – Przeciągnął się za biurkiem jak champion. – Tak wtedy wyglądałem!

Wiśnia podał Arturowi telefon, na którym wyświetlone było czarno-białe zdjęcie. Komisarz Konieczny patrzył na fotografię z taką uwagą, jakby oglądał portret łowcy głów z Amazonii.

– To niemożliwe.

– Ale prawdziwe – zaśmiał się sierżant Wiśniewski. – To ja na treningu z pierwszym składem Gwardii. Widzisz te pióra? Oczywiście Romek Kosecki miał dłuższe. Niezłe loki miał, a ja takie bardziej jak Iron Maiden, Bundesliga albo czeski piłkarz, tak się potem na to mówiło. Romek „Kosa” Kosecki słuchał i grał reggae. Wiesz, że Kosa miał band i nawet kiedyś zagrał z Izraelem? Ta fotka to jakiś 1988 rok, parę miesięcy później on był w Legii, a ja...

– W milicji – odpowiedział Artur.

– A tu Jarocin – sierżant ciągnął dalej. – Ostra paka, wszyscy słuchaliśmy metalu!

Tak go sobie właśnie wyobrażał, dzinsowa kurteczka, na plecach logo Iron Maiden, adidas za kostkę i dzinsy rurki, grzywka ścięta pod garnek i długie włosy spływające na ramiona. I ze trzydzieści kilogramów chudszy. Tego ostatniego nie był sobie w stanie wyobrazić. Kiedy poznali się parę lat temu, Sławek Wiśniewski już był przy kości, a fryzurę miał taką, jak jego imiennik śpiewający disco polo. Dziś waży jeszcze więcej, a włos ma rzadszy.

– No i co? Nie do wiary?

– No raczej.

– A ty? Jak ty wyglądałeś, pewnie dres szelest, taka była stylówka w latach dziewięćdziesiątych.

– Kiedyś ci pokażę, ale rozczaruję cię, nie zmieniłem się aż tak bardzo.

– Tylko ci się tak wydaje. Każdy myśli, że czas stanął w miejscu!

Wyszli na z pokoju, na korytarzu panowało zamieszanie.

– Co się stało? – zapytał Artur jednego z kolegów.

– Pod Warszawą zjarał się samochód, beemka siódemka nie za nowa, z gościem w środku. I chyba nie był to wypadek.

\* \* \*

Wojtek przycinał kolejne nagrania, wtedy wpadła Joanna z Jagą. Były czymś podjarane, więc na pewno Jaga nie zauważyła, jak szybkim

ruchem schował do szuflady paczkę kabanosów. Ostatnie dni to zmiana menu: carbonara z boczkiem z tofu, klopsiki sojowe, słodko-kwaśny kalafior, smalec z grochu, orkiszowe calzone z grzybami, gołąbki z soczewicą i grzybami, wegański bigos ze smażonym tofu i z sezamem! Kiedy od niej wracał, kupił w nocnym trzy pęki kabanosów i jadł, aż mu się uszy trzęsły. Dobrze, że go nie przyłapała. Nie mogła, bo coś się działo. Po chwili Joanna zamknęła się w swoim gabinecie z Misiewiczem i ostro nad czymś debatowali.

– Co się stało? – Wojtek zapytał Jagę.

– Włącz telewizor!

Na ekranie coś płonęło, chyba samochód. Były to amatorskie zdjęcia zrobione komórką, ale w tle był już zawodowy, dziarski głos prezentera serwisu informacyjnego.

– Pod Warszawą spłonęło auto z pasażerem w środku. To prawdopodobnie były major Służby Bezpieczeństwa, Jerzy Wełnicki.

\* \* \*

„Co on tam robił? Komu wszedł na odcisk?” – zastanawiał się Czerwiński. Śmierć dawnego protektora nie wyglądała na spięcie instalacji elektrycznej, tacy ludzie nie płoną w aucie ot tak sobie. Czy to ma coś wspólnego z nim, z ich interesami i walką o ministerialny stołek? Przecież to, kurwa, nie jest Chicago lat dwudziestych ani walka polityczna w Indiach albo w Afryce Środkowej!

# Rozdział 25

*Budzę się przy blasku ostrych barw  
Głuchnę w wielkim huku słusznych salw  
Dławię się słowami – których wstyd  
Modłę się do bożków obcych mi[46]*

## EIGHTIES

To było jakieś szaleństwo. Dla każdego z tych trzech facetów seks z nią był świętem, wydzielała im siebie, jak niedawno jeszcze rząd rozdysponowywał fajki i alkohol. Wprowadziła w tych kontaktach pewną regularność, dla każdego z nich było to cotygodniowe misterium.

- Spotykamy się raz na tydzień – zauważył Wiesiek.
  - Możemy częściej, ale rób to w sutannie... – uśmiechnęła się Suzi.
  - Słuchaj, są jakieś granice szaleństwa, a ja swoje przekroczyłem w wystarczający sposób.
  - Byłoby podniecające, czadowe... jak w pornosie!
  - A skąd ty wiesz, jak to jest w pornosie?
  - Ojciec ma magnetowid, przecież nie kupił go po to, żeby oglądać Rambo i Bonda. Zaczął od *Kaliguli*, a potem zaczął sprowadzać kasety z kinem przyrodniczym. Także wiem, o co chodzi, ma w szafce schowany film z zakonnikami i zakonnice, może byś mi zorganizował habit?
  - Niech wystarczy ci to, że kochasz się z księdzem.
- Wydęła wargi jak rozkapryszona dziewczynka.
- No i co dalej? – zapytał.
  - A jaką przyszłość mam z tobą?



– A jaką z nim?

– Tak samo żadną, więc muszę mieć was dwóch – powiedziała Suzi.

Wiesiek wiedział, że ma chłopaka, Blacka, ale nie miał pojęcia o Clashu. Bawiło ją to. Czasem się zastanawiała, czy nie byłoby jeszcze lepiej, gdyby o tym wiedzieli. W tym układzie każdy z nich wiedział o Blacku, bo byli parą. Black jednak nie wiedział o Wieśku i Clashu, Clash o Wieśku, a Wiesiek o nim. Podobała się większości facetów, wielu z nich działała na wyobraźnię, w czym starała się pomagać gestami i słowami.

## 2020

Joanna i Misiek bywali w sytuacjach podbramkowych, ta jednak należała do szczególnych.

– Może zadzwoń do Artura? – zaproponował Misiek.

– Co to teraz zmienia? Mniej więcej zna temat, ale przecież nie otworzy mi pliku, który wysłał Wełnicki.

– Sądzisz, że wiedział, że mu się coś przytrafi?

– Myślę, że chciał nas użyć do jakiejś rozgrywki, tak czy owak nie znamy kodu.

– Coś ci mówił, coś takiego od czapy?

Joanna zastanawiała się przez moment i przypomniała sobie.

– Tak! Jakieś teksty o nawróceniu, o dniu śmierci papieża i tak dalej: nie mówił tego na poważnie, sztucznie się tym ekscytował, puszczał oko.

– Ile cyfr trzeba wpisać, żeby to rozpakować?

– Cztery.

– Ile mamy prób?

– Nie wiem.

– Wpisz 2005.

– Dlaczego?

– Rok śmierci papieża.

- Może... Nie, pudło!
- Okej... dwa, cztery, zero, pięć?
- Jest! Co to było?
- Drugi kwietnia 2005, szczegółowa data śmierci papieża!
- Bingo! Ty się marnujesz!
- Rozumiem, że sugerujesz podwyżkę, nie uchylam się.

Żarty się skończyły, bo zaczęli przeglądać zawartość pliku. Był tam tylko numer telefonu. Zadzwoił Misiek, odebrała kobieta, była w nie najlepszej kondycji.

- Pan do Jerzego?
- Wiem, że nie żyje, ale zostawił ten numer, kim pani jest?
- Mnie nie obchodzi, kim jest pan, pana nie obchodzi, kim jestem ja. Spotkamy się za godzinę w połowie drogi między pomnikiem Smoleńskim i Metropolitaniem.

– Gdzie?!

– Na środku placu Piłsudskiego. A zna pan bezpieczniejsze miejsce w Warszawie? Będę miała reklamówkę sieci Saturn, a po czym ja pana poznam?

Misiek rozejrzał się po redakcji i nic nie przychodziło mu do głowy.

- Przedmiot, torba, nakrycie głowy! – rzuciła kobieta.
- Seledynowa czapka z włóczki na łysej głowie, bo ja jestem łysy.
- Do zobaczenia.

Połączenie zostało przerwane.

– Joanno, uszczypnij mnie!

– Nie będę cię szczypać, trzeba tam jechać. Pojechałabym za ciebie, ale nie jestem łysa. – Misiek nie wiedział, czy Joanna żartowała, czy mówiła serio. Cała ta konspiracja, śmierć Wełnickiego, reklamówka nieistniejącej już sieci handlowej i jego seledynowa czapka z włóczki, to wszystko było z pogranicza thrillera i komedii.

– Skąd ty weźmiesz taką czapkę? – Chwyciła się za głowę Joanna.

– Pożyczę od Jagi. Ona jeszcze o tym nie wie, ale pożyczę. Jak się rozglądałem, to wpadła mi w oko.

Joanna popatrzyła na niego z politowaniem, sytuacja była poważna, a to wszystko wyglądało jak nowa część *Gangu Olsena*.

\* \* \*

W pałacu Mostowskich nastąpiło gwałtowne przyśpieszenie, zgłosił się były funkcjonariusz, który jako taksówkarz woził Kenichi Kasai, a jeden z serwisów internetowych odpalił nagle sensacyjną wiadomość: *Weteran polskiej sceny kuzynem Zdzisławy Dworzak!*

Wiśnia poszedł się spotkać z byłym gliną, a Artur wziął na siebie weryfikację portalowego przeboju. Ktoś na Facebooku zamieścił zdjęcie rzekomego kuzyna Dworzak z kubkiem. Teraz zatrybił, no tak, to było jakieś pięć lat temu, reklamówka jakichś ziółek na wzdęcie. Że też ludzie mają taką pamięć, a może to po prostu sąsiad albo rodzina. Zaczął czytać.

*Tadeusz Dzięciołowski (l. 84), aktor znany z seriali „Czterej pancerni i pies” oraz z „07 zgłoś się” jest tajemniczym wujkiem posłanki Zdzisławy Dworzak. Na zdjęciu Dzięciołowski w reklamówce herbaty ziołowej. Aktor mieszka obecnie w Domu Artystów Weteranów Scen Polskich w Skolimowie.*

Zatem kierunek Skolimów!

\* \* \*

Misiek ruszył przez plac od strony pomnika Kaczyńskiego. W czapce Jagi rzucał się w oczy, wojskowa kurtka i plecak nie stanowiły spójnej całości z czapką, która była wciśnięta na czubek jego łysej głowy.

– Rozciągnie mi czapkę – jęknęła Jaga, która obserwowała wraz z Wojtkiem przebieg akcji. Stali pod hotelem, tak by coś widzieć, ale i nie spłoszyć kobiety-kuriera.

Nagle nastąpiła rzecz absolutnie nieprzewidziana, Misiek został zatrzymany przez patrol policji. Mundurowi kazali mu pokazać zawartość plecaka i wylegitymowali go.

– Jezu, to koniec. – Jagą wstrząsnęła gwałtowna fala uczuć religijnych.

– Jak ma w plecaku spray, to faktycznie koniec – jęknął Wojtek. Ale w sumie dlaczego Misiewicz miałby chodzić ze sprayem?

Policjanci wyciągnęli właśnie z plecaka coś, co wyglądało jak spray, zrobiło się gorąco. Po chwili dyskusji Misiek został puszczony wolno. Po kilkunastu sekundach doszedł na środek placu, tam czekała na niego kobieta z torbą z Saturna. Nie zauważyli jej przez to zamieszanie z policją. Pół godziny później byli już w redakcji.

– To ona, oni, no nie wiem kto, przecież nie Wełnicki, bo się sfajczył, no ktoś to rozegrał. Policja dostała anonimowy telefon, że plac Piłsudskiego będzie miejscem prowokacyjnego happeningu, no i mieli rysopis kogoś w identycznej czapce! Mało się nie zesrałem, jak wyciągnęli mi piankę do golenia, czułem się jak w stanie wojennym. Jak już spotkałem tę babkę, to nie miałem głowy do tego, żeby się przyglądać, wypytać, na cokolwiek. Wiek nieokreślony, ubranie obszerne, mogące kryć każdą sylwetkę, okulary wielkie, jakby powoziła F16, pełna profeska, a ja, kurwa, nie nadaję się na Bonda, a kiedyś myślałem, że to tylko kwestia smokinga i muchy.

Rozżalonym na swoją niemoc Miśkiem nikt się już nie interesował. Joanna, Jaga i Wojtek oglądali zawartość torby. Była tam mocna koperta, w której było kilkanaście zdjęć. Na każdym dziewczyna i młody ksiądz. Była ładna, odlotowa, czy tak wyglądała kiedyś Zdzisława Dworzak? Minęło trzydzieści pięć lat, wtedy miała siedemnaście, dziś pięćdziesiąt dwa. Większość zdjęć to dokumentacja wizyt dziewczyny na plebanii i jej wypraw z ubranym po cywilu księdzem do jakiejś kamienicy w centrum Warszawy. Te z parafii i pokazujące wspólne wejścia i wyjścia do kamienicy pozostawiały jeszcze wątpliwości, dawały pole manewru i pewną linię obrony.

Rekolekcje, rozmowy, sprawy parafialne, wreszcie wizyty z pewnością konspiracyjne, bo księdzem był Wiesław Marcinkowski,

związany z opozycją kapłan, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach parę miesięcy później. Notatki świadczyły, że spotykali się w mieszkaniu opozycyjnego intelektualisty, poety Adama Poleskiego.

Nie przychodzili i nie wychodzili z tego mieszkania razem, zawsze osobno. Zdjęcia były podpisane, data, godzina, dokładny adres, właściciel mieszkania. Poleski pewnie by się wyparł, gdyby żył. Zmarł niedawno, zabrał zatem tajemnicę do grobu, zresztą nie musiał o wszystkim wiedzieć, wiadomo, konspira. Fotki z Warszawy były mocne, ale nie stawiały kropki na i, ale zdjęcia z Mazur...

Mazury to był fotoreportaż, osiem zdjęć dokumentujące trasę Suzi Dworzak. Najpierw ostrożnie, bo z Warszawy Gdańskiej do Działdowa jechała sama, ale później... Przesiadka we Frankfurcie i na Maderę już razem. Ksiądz Wiesław czekał na nią pod dworcem w swojej renówce, a stamtąd pojechali do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów ośrodka. Tu, a jakże, zameldowali się w dwóch różnych domkach, co wyraźnie było widać na zdjęciach, ale nocowali już w jednym. Tak było bezpieczniej, przepisy meldunkowe w PRL były restrykcyjne jak w krajach muzułmańskich, w jednym pokoju tylko mąż z żoną i żadnego brania pokoi w miejscu zameldowania. Bawili się w męża i żonę przez trzy dni. Makao i po makale, to już było mocne, bardzo mocne.

– Co z tym zrobimy? – zapytał Misiek.

– Nie wiem – odparła Joanna. – Tak czy owak musimy się więcej na ten temat dowiedzieć.

– Jest jakaś kościelna Nasza Klasa? – z głupia frant zapytał Wojtek.

– Pewnie jest, a ty zgłosiłeś się do jej odnalezienia. Ale najpierw wygoogluj, gdzie tej klasy szukać. – Misiewicz już odzyskał pełnię swej złośliwości. – Sprawa jest poważna, tak że szukamy wszyscy!

– Mam pierwsze dane – ogłosił Wojtek, jakby chodziło o wyniki exit poll. – Ksiądz Wiesław Marcinkowski, rocznik 1957, zginął śmiercią tragiczną w 1985 roku, podczas przejścia przez tory kolejowe. Sprawa nie została wyjaśniona, uważa się, że ze względu na opozycyjne zaangażowanie mógł być jedną z ofiar Grupy B Departamentu IV MSW. – Misiek mamrotał coś pod nosem, szukając

informacji. – Ukończył Wyższe Seminarium Duchowne w Zielonej Górze, rocznik 1984.

– Długo mu to zajęło – zdziwiła się Patrycja. – Zimował?

– Seminarium jak medycyna, sześć lat.

Joanna gwizdnęła z podziwu, wiedza Michała nieustannie ją zaskakiwała.

– Interesowałem się tym kiedyś – powiedział z pełną powagą Misiek.

– Słucham?

Ten epizod jego życia nie był znany Joannie.

– Czysto teoretycznie, twój brat zresztą też. Chcieliśmy ciągnąć w nieskończoność studia i przeskoczyć na takie, gdzie można by się było najdłużej bujać. Po sześć lat było tylko na medycynie i w klerykowie.

– Serio?

– A co, widzisz mnie i swojego brata na medycynie? On prędeż, ale egzaminy mało humanistyczne, do tego konkurencja, ośmiu chętnych na miejsce.

– Żartujesz!

– Trochę tak i trochę nie, wojo mnie kręciło jeszcze mniej niż Kościół. Popatrz, sześć lat studiów na seminarium i wcześniej zaliczył rok w Akademii Muzycznej.

– Gdzie studiował? – spytała Joanna.

– W Katowicach, tam go złapało powołanie, a skoro tam, to pewnie studiował jazz i rozrywkę! – Misiek gwizdnął. – Ale czad!

Rozdzielili kierunki poszukiwań – Joanna i Jaga zajęły się Akademią Muzyczną, a Misiek i Wojtek seminarium duchownym.

# Rozdział 26

*Dziewczyno z ulicy Mrocznej – oczy masz widoczne  
Więcej światła i duszy, rób, co chcesz, a nie co musisz*<sup>[47]</sup>

## EIGHTIES

Może po prostu cały ten zespół traktowała jak rodzinę zastępczą? Dlaczego kobiety nie mogą mieć kilku mężów? Paczki, załogi, ale takiej faceckiej, nie komuny jak u hippów, boby się głupie laski pojawiły i wszystko spieprzyły. I teraz może się wszystko spieprzyć, na razie tylko Wiesiek się orientuje, ale i on nie do końca.

A może chciała mieć faceta doskonałego, z którym mogłaby założyć rodzinę? Black był młody i szalony, z nikim się tak nie imprezowało jak z nim. Wiesiek emanował spokojem, był świetny w łóżku, a po seksie wprowadzał spokój, był jak starszy brat, a może nawet jak ojciec. Była w nim opiekuńczość, której zabrakło temu idiocie. Black tak jak ojciec nie wybrał jej, tylko karierę, stary w partii, u czerwonych, a Wiesław u czarnych, w Kościele. Gotowy na wszystko był Clash, nie najlepszy w łóżku, ale starał się, takie oddanie było też u Białka. U Białka, bo jaki tam z niego White. Mogła go sobie dołączyć do kolekcji, ale w sumie po co? Tylko by to skomplikowało sytuację, nie pomogłoby w złożeniu z nich jednego doskonałego faceta, takiego, z którym mogłaby mieć rodzinę.

Skoro tak, to trzeba się bawić, trzeba z każdego wyciągać to, co najlepsze. Z każdego, z którego się da, bo Greg był poza zasięgiem. Jego laska była nie tylko atrakcyjna, ale i miała w sobie coś przerażającego. Bała się jej, chociaż nie bała się swojego ojca, który był nieobliczalnym łobuzem. Złał ją kilka razy, ale nie tak jak matkę.

I nie posuwał się dalej jak paru zgredów, o których słyszała od koleżanek. Bo byli tacy, którzy tłukli mocniej, obmacywali, a nawet próbowali wpychać kutasy. Pewnie byli tacy, co nie tylko próbowali, ale i wpychali, tylko że te dziewczyny się tym nie chwaliły.

To wszystko zaliczała matka. Bo chciała. Chciała, bo jakby nie chciała, toby go pogoniła. Ale tak było jej wygodnie. Po prostu. Ojciec był ohydny, ale strachu przed nim nie czuła, za to Elki się bała. Miała jakiś szósty zmysł, a w oczach jakiegoś rentgena. Jak tylko pomyślała o Gregu, to ta jak jakaś czarownica poczuła to i przyszła na próbę. Była na jednej, drugiej i trzeciej, i Suzi czuła, że cały czas ją obcinała, aż wyszła za nią na fajka. Myślał, że coś do niej zagada, jakieś takie pierdoły, jak to na papierosie, a ta stanęła naprzeciwko niej i zupełnie spokojnie, patrząc jej w oczy, powiedziała:

– Jak się do niego zbliżysz, to cię zatłukę, gówniaro.

Po prostu szok! Nie zdążyła jej odpowiedzieć. Elka odwróciła się i rzuciła przez ramię:

– Ja nie żartuję!

To było czuć.

\* \* \*

Ostatnie dwie próby się nie odbyły, repertuaru nie było, a Jerzy wypytywał o postępy. Chciał zespół w jakąś trasę wrzucić, załatwić nagranie, a tu nic. Boss pomyślał, że Białkowski musi coś zmienić, wypieprzyć tych, którzy są bezproduktywni, a wziąć innych. Trzeba też innym zespołom stworzyć warunki, działać szerzej, niech w końcu zaczną nagrywać, muszą być jakieś wyniki.

Spotkał niedawno Dworzaka. Żadna wielka szycha, ale swoje znajomości ma. Coś na córkę narzekał, że się szlaja, że właśnie w Małym Franku przesiaduje. Nic nie wie, gdzie przesiaduje, a raczej gdzie się kładzie i z kim wnuka może mu wykręcić. Ale w końcu to wiadomości operacyjne, więc nie będzie mu nimi zawracał głowy. Jak przyjdzie czas, to się dowie.



**2020**

Artur czuł się, jakby grał w kiepskim filmie. Awanturujący się z ochroną tłumek dziennikarzy próbował sforsować wejście do Domu Aktora. Podszedł, machnął blachą i już był w środku.

– A kolega z jakiej redakcji? – rozległ się wściekły głos.

– 997 – odpowiedział Artur, nie oglądając się za siebie.

Dom wyglądał jak pałacyk. W środku komisarz poczuł się, jakby był na planie przedwojennego filmu. Po raz kolejny pokazał blachę tym razem na recepcji. Starszy pan już był gotowy, i chyba rozczarowany, że kiedy doczekał swoich pięciu minut, został odcięty od prasy przez dyrekcję, która obawiała się, że dziennikarze zakłócą spokój pozostałych pensjonariuszy. Nie poznałby go. Leśniewscy, którzy się spotkali z Wiśnią, musieli mieć jakiś dodatkowy zmysł. Na reklamie i zdjęciu „rodzinnym” posłanki Dworzak Dzieciołowski wyglądał inaczej. Nieco młodziej, bardziej dziarski, wyprostowany. I wyższy. Tu miał przed sobą przygarbionego staruszka. Na widok widza stary aktor wyprostował się i z dumą oznajmił:

– Tadeusz Dzieciołowski!

– Czy zna pan pana Kasai?

– Znam, a raczej znałem.

– I żadnej reakcji na to, co się wydarzyło?

– A czy muszę wiedzieć, panie komisarzu, co się wydarzyło? Fakt, wydarzyło się, skończyła się moja ostatnia rola. Nie było się czym chwalić, rola jak rola. Fucha, niezwykła dość, musi pan przyznać.

– Czyli?

– Raz w tygodniu odgrywaliśmy jego rodzinę, to wszystko. Proszę pana, a pan pewnie myśli, że tylko chodziło o pieniądze? O pieniądze też, no ja nie byłem sławnym aktorem, ja w tych serialach, którymi mnie reklamują, to zagrałem jakieś rólki! I więcej ich nie będzie, ale ważne, że żyję, jakoś daję radę. Skromnie, ale godnie, można powiedzieć, lecz samotnie. Stary człowiek nie jest już nikomu potrzebny, żona... ech! – Machnął ręką. – Jak byłem młody, to jakieś fuchy w telewizji, epizody w serialikach, byłem przystojny. – Zaśmiał

się pod wąsem. – Więc kobiety do mnie lgnęły. Co miały nie lgnąć, może nie mirafiori, ale duży fiat był, działka nad Liwcem, w lesie, z domkiem.

Wtedy można było na telewizję i aktorstwo o wiele więcej niż dzisiaj! Taki jeden reżyser podrywał dziewczyny, a jak się już dowiadywały, że on to reportaże o sowach, kormoranach i pełnometrażówkę o żubrach nakręcił, to już było za późno! Lepiej się ubieraliśmy, z lepszym światem byliśmy otrzaskani, nie trzeba było być celebrytą!

Tadek Pluciński, Leon Niemczyk to były gwiazdy pełną gębą, ale i Tadek Dzieciołowski miał swoje okruszki. Aż za dużo ich było. Jeden rozwód, drugi, trzeci... Ostatnia żona oskubała mnie może nie do cna, nie do końca materialnie, działeczkę po rodzicach wyciągnęła ode mnie jej mecenaska. Lepiej, żeby ta działka była, ale – machnął ręką – najgorsze to, że skłóciła mnie z dziećmi.

Te z pierwszego małżeństwa już jakoś się zaczęły zbliżać, pogodziły się, że jest druga żony taty, ale kolejna! Pierdyknęło wszystko, mają mnie w nosie, i te z pierwszego małżeństwa, i te z drugiego. Cała czwórka, włącznie z wnukami, także z Romkiem. Roman Dzieciołowski, dobry aktor, pięknie się przebił, w tym filmie o gangsterach zagrał, no i w obsadzie tego o Zawiszy Czarnym jest, tylko że nie chce mnie znać, tak go rodzice i wujkowie do mnie nastawili!

A wiesz pan, co w tym jest najgorsze? Że oni, ta cała czwórka, z dwóch różnych matek, trzyma się razem! Ja ich łączę, zły ojciec! – Z oczu poleciała łza i Artur nie wiedział, czy stary aktor płacze, czy gra. – I powiem panu, że, cholera jasna, mają rację! Jestem sam jak palec, więc to też była taka towarzyska okazja. Z początku mnie się to wydało dziwaczne, nienormalne, ale... kogo ja nie grałem! Esesmanów, sekretarzy partyjnych, lekarzy, Don Juanów i homoseksualistów, tak udanie odegrałem epizod, że Leszek... – Staruszek zbliżył się do ucha Artura i wyszeptał coś, zapewne nazwisko: – Tak, tak! Ten sam, właśnie on!

„On” zabrzmiało z pewną dumą, zatem ten Leszek musiał być jakimś ważnym aktorem albo reżyserem. Stary aktor wyprężył się,

jakby grał w reklamie ziołowej herbaty i unosząc w górę palec, oświadczył:

– Zagrałem to tak, że wziął mnie za jednego z nich i zaczął mnie podrywać!

– Panie Tadeuszu...

– Dobrze, dobrze, wiem. – Dzieciołowski uniósł w górę palec. – Ma być jak na spowiedzi! – Stary aktor znów grał, bo od entuzjazmu przeszedł do konfidencjonalnego szeptu, a na koniec jakby uszło z niego życie, oklapł i przemówił łamiącym się głosem: – To była dobrze płatna praca, ciekawa oferta, stawiająca mnie na nogi pod każdym względem. Podobnie jak on, także i ja zyskałem rodzinę!

Artur pokiwał głową, nie wiedział, czy mu wierzyć, czy nie, ale chciał, by mówił dalej. Dzieciołowski posmutniał jeszcze bardziej.

– Nic pan nie rozumie! Całe życie wśród ludzi, teatr to wrzący tygiel, film to jak cygański tabór, a teraz pustka...

– A fotografia rodzinna?

– Fucha, ale nie taka jak z tym sympatycznym Japończykiem. Panie, ja za komuny na pochody nie chodziłem, teraz w opozycji jestem, a w politycznej szopce na stare lata wziąłem udział. Widzi pan, sprzedałem się – zaśmiał się na pożegnanie.

Wracając ze Skolimowa, Artur zadzwonił do Bartka, który jako Okularnik zwiedzał na YouTube świat. Mógł też zadzwonić do kogoś bardziej kompetentnego, ale rozmowa z doktorem Zanussim, bo tak nazwał naukowca z uniwerku, jakoś go nie pociągała. Nie dzwoni do biegłego po ekspertyzę, tylko po to, żeby coś sprawdzić. Sprawdzić, czy ktoś tutaj nie zwariował. Bartek szybko go uspokoił.

– Jest cała branża, *rental family*! Można wynająć rodzinę na godziny, na weekend, na tydzień. Małą albo dużą.

– Jak dużą?

– Nawet kilkadziesiąt osób! Dużą rodzinę i wielu znajomych.

– Po co?

– Żeby ślub i wesele były udane. Są także sfingowane wesela, bo skoro tworzy się udawane rodziny, to konsekwencją tego są udawane śluby.

– A seks?

– To nie ta branża. Inne osoby wynajmuje się na seks, a inne na negocjacje biznesowe.

– Nie dziwi mnie to, nie należę do tych, którzy uważają, że prawników można wynająć jak prostytutki.

– Ale ja mam na myśli coś zupełnie innego! prostytutki, wiadomo, a jeśli chodzi o negocjacje, to nie chodzi ani o prawników, ani o zawodowych negocjatorów czy mistrzów biznesu, tylko człowieka, który nie ma wygrać, tylko z honorem przegrać.

– Nie rozumiem.

– Jako dostawca nie wywiązał się pan ze zobowiązania, jako dłużnik zalega pan ze spłatami, jako producent dostarczył pan towar gorszej jakości. To wymaga negocjacji, bo nie wszystko określają kary umowne. Zawsze w takiej sytuacji trzeba przeprosić, ale nie zawsze mamy na to ochotę, wtedy możemy kogoś wynająć, mianować swoim zastępcą i wysłać do kontrahenta z przeprosinami. Wynajęty pokaja się lepiej i żarliwiej niż my, sprawi lepsze wrażenie, da drugiej stronie satysfakcję, a nas nie poniży, nie zostawi rysy na honorze.

„*Tatemaie i honne*” – pomyślał po zakończonym przez Bartka wykładzie. Wszystko trzymało się kupy, teraz jeszcze powinien się pojawić burdel i jakieś drugie dno. A że jest drugie dno, to oczywiste, bo nie wysłaliby inspektora, który zajmuje się przestępczością zorganizowaną.

# Rozdział 27

*I choć tak blisko byłaś przy mnie  
Choć twoje oczy śmiały się do mnie  
Doprawdy niczego nie jestem pewien  
Co czułaś wtedy, czy wart jestem wspomnień[48]*

## EIGHTIES

Leżeli na wielkim, wygodnym łóżku w mieszkaniu Poleskiego, Wiesiek gładził ją po włosach.

– Jutro wyjeżdżam. Przenieśli mnie.

– Tak, wiem. – Wiedziała, bo powtarzał to po raz trzeci albo czwarty.

– Chyba polityka. Mogło być gorzej. – Uśmiechnął się. – Chcieli mnie wysłać do Rzymu, ale nie dostałem paszportu, więc nie będziemy tak beznadziejnie daleko. Dam ci coś. Nagrałem muzykę, taką w stylu tych twoich chłopaków, może im się przyda. Dopasowałem do wokalu, wiem, jakie wiersze chciał śpiewać, to dobre wiersze, spodobał mi się ten pomysł. Mam też sporo starych taśm, byłoby szkoda, żeby się zmarnowały, daj to im albo komuś innemu, bo to inny rodzaj muzyki, bardziej pop rock.

Chciało się jej płakać, ale powstrzymała łzy, będzie do końca grała zimną sukę, tak będzie lepiej dla wszystkich.

\* \* \*

Clashowi zaczęło się to wszystko nudzić. Zespół był w regresie, Greg był tego samego zdania. Chciał coś zmienić, dał w mazak Blackowi,

bo mu się za całokształt należało. Bo cały czas nie potrafiła go kopnąć w dupę i to go bolało najbardziej. Zrobił się kwas i w zasadzie był spakowany, ale Suzie go złapała. Złapała za jaja, i to dosłownie. I do tego podkłady, które wyrzeźbił White. Pasowały idealnie do wierszy Blacka, żeby tylko potrafił je dobrze zaśpiewać. Raz jak nie przyszedł, to Clash stanął przy mikrofonie. Było super.

\* \* \*

Boss i Jerzy spotkali się w Samowarze. Była to modna i nieco szemrana kawiarnia, może Wełnicki lubił takie miejsca, a może po prostu nie było innych klientów o tej porze. Dobrze, że nie żadna na „a”, no bo wszyscy wiedzieli, że Alhambra, Antyczna i Amatorska to lokale dla ciepłych były. No i Lajkonik, choć nie na „a”, ale ten był na placu Trzech Krzyży, gdzie mieli metę w okrągłaku, charakterystycznym, miejskim szalecie. Tu raczej cinki i trochę panienek, które rozglądały się za Arabami. Nie wiedział, o co chodzi, ale były ich całe wycieczki, mieszkali w pobliskich hotelach i mimo mrozu poruszali się w wiosennych ciuchach, kursując między hotelami i Domami Towarowymi „Centrum”. Jerzy był zawsze dobrze poinformowany, więc go o to spytał.

– To towarzysze z Palestyny, OWP na wakacjach, tanio, miło, ładne dziewczyny i bezpiecznie. Znów bezpiecznie, bo w 1981 roku w Victorii Żydzi chcieli odstrzelić jednego z nich.

– Serio?

– Serio. A teraz ty mi serio powiedz, co z tym bandem?

– To będzie petarda. Potrzebowali czasu, zwłaszcza ten Białkowski, mój instruktor z Małego Franka – powiedział Boss. – Ależ talent, wena go jakaś dopadła czy co.

– Ty się, kurwa, nie rozczulaj i nie wzruszaj, pilnuj ich, żeby tego wszystkiego nie spierdolili, rozumiemy się?

Rzeczywiście musiał ich pilnować, zwłaszcza jednego, tego kutasinę Blacka. Może problem się rozwiąże, bo Białkowski, jak mu urosły skrzydła, zaczął coś przebąkiwać, że mogliby się go pozbyć.

Inne kapele jakoś dawały sobie radę z walniętymi frontmenami, w radiu leciał właśnie numer grupy Aya RL – Skóra. Wełnicki interesował się tą kapelą, bo ten, który śpiewał, Kukiz, miał być przymknięty, a w najlepszym wypadku wzięty w kamasze, ale się ukrył w psychiatryku i sprawa przyschła. Ten z Kobranocki zrobił tak samo i jeszcze skończyło się tym, że psychiatra, który dał mu papiery, został ich tekściarzem. Były jednak pilniejsze sprawy od robienia porządków z psychiatrami.

## 2020

Znalazł się pierwszy rozmówca, wyszukali, że znany jazzman, saksofonista Leszek Bronicki, był z księdzem Marcinkowskim na jednym roku. Bronicki mieszkał w Warszawie i Joanna miała na niego jakieś przełożenie. Podobno nie lubił wywiadów, ale obeszło się bez fochów, pojechała do niego Jaga. Zaczęła od pytania, które było bezpieczne i nie zawierało w sobie zbytnej sensacji.

– Czy to możliwe, by ksiądz Wiesław Marcinkowski mógł się przyjaźnić z ludźmi z zespołu nowofalowego? – zapytała Jaga.

– Wiesiu? – upewniał się Bronicki. – Spoko klawiszowiec był z niego, zdolny, otwarty na wszystkie trendy, bardziej go interesował pop, w zasadzie rock.

– To, że poszedł do seminarium, was zaskoczyło?

– Spokojny był, choć powiedziałbym umiarkowanie spokojny, bo nie był z niego jakiś abstynent. I dziewczyny... A w zasadzie dziewczyna, Alina, z niezłym głosem, ale z jeszcze lepszą prezencją. Wielu ją obstawiało, ja też, nie powiem. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Ale wygrał Wiesiek.

– I co było później?

– Usidliła go, bo wiele dziewczyn miało na niego ochotę, a on był stały w uczuciach. Skończyło się tak, jak się kończyło wiele takich związków w tamtych czasach. Mieli gdzieś jechać, jakaś fucha na Zachodzie, ona dostała paszport, a on nie. Nie wróciła, została

z chłopakiem, któremu dali paszport. Podobno była z nim, włączyli się po klubach, on wrócił po 1989, przywiózł sprzęt, założył firmę, która nagłaśnia koncerty, o niej słuch zaginął.

– Dlatego rzucił studia i poszedł do seminarium?

– Wygląda na to, że tak, nie inaczej, no chyba że się z kimś założył i przegrał zakład. – Saksofonista wyszczerzył w uśmiechu zęby, które były pokrzywione przez ustnik instrumentu i pokryte żółtawym osadem tytoniu.

\* \* \*

Tymczasem Wojtek przeglądał listę absolwentów zielonogórskiego seminarium rocznika 1984, znalazł ją, bo uczelnia bardzo dbała o katalogowanie swoich absolwentów. Każdy z roczników miał swój plakat ze zdjęciami i mottem. I tak nad księdzem Wiesławem widniał wielki napis: NEOPREZBITERZY, a pod spodem mniejszymi literami: Zielonogórskie Seminarium Duchowne. Później zdjęcia papieża, biskupów, kadry naukowej i absolwentów. Motto brzmiało: „Uczyńcie wszystko, cokolwiek mój syn wam powie”.

Zanim zaczął guglować nazwiska księży, sprawdził w Internecie, co znaczy słowo „neoprezbiter”. Wskoczyło wiele stron, z których wybrał Słownik Języka Polskiego. Neoprezbiter – duchowny, który niedawno przyjął święcenia kapłańskie. Po zaspokojeniu ciekawości rozpoczął przeglądanie nazwisk księży, było ich razem osiemnaście, wraz z Wiesławem Marcinkowskim. Na pewno musieli się znać. To nie był Wydział Prawa na UW, gdzie były setki studentów. Parę nazwisk wydało mu się znajomych, wpisał księdza Edwarda Biereckiego, nie wyskoczyło nic ciekawego, po prostu skojarzył mu się z senatorem i twórcą spółdzielczych kas oszczędności.

Kolejne podejście, Lesław Maślak, może ten? Po chwili już wiedział, skąd zna to nazwisko! Zdecydowanie nie, ten ojciec redaktor raczej z nim nie porozmawia.

Z pomocą przyszedł ojciec Franciszek Solski, do którego zadzwonił z prośbą o pomoc. Solski przejrzał rocznik Marcinkowskiego



i sąsiednie. W końcu wybrał kogoś, kto jego zdaniem będzie pomocny. Ksiądz profesor Alfred Polański, co prawda, nie przychodził do studia, ale często występował w materiałach reporterskich. Był specjalistą od papieża Franciszka, jego polskim, telewizyjnym adwokatem, tłumaczącym go z posunięć, za które ortodoksi nazywali go fałszywym prorokiem, heretykiem i zdrajcą Kościoła. Nie tytułowali go nawet papieżem, tylko używali jego dawnego nazwiska: Bergoglio.

Wojtek wybrał i numer, przedstawił się i wyjaśnił, że dzwoni w sprawie śmierci księdza Wiesława.

– Bardzo się cieszę, że o nim pamiętacie, ale nie mogę w tej sprawie wystąpić przed kamerą... – zaczął profesor.

– Nie chodzi o to, my... – Wojtkowi głupio było to powiedzieć.

– Dziennikarskie śledztwo?...

– Tak jakby, to dość skomplikowana sprawa.

– Zaiste, odejście Wiesława nie było prostą sprawą.

– Czy ksiądz profesor nam pomoże?

– Mogę tylko panu powiedzieć, że jego przeniesienie na Dolny Śląsk było dość tajemniczą sprawą, ale to chyba każdy powie. Dodam, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby wyjechał za granicę. Podobno góra chciała wysłać Wieśka do Rzymu na studia, ale nie dali mu paszportu, tak jakby go za coś karali. Przykro mi, to wszystko.

\* \* \*

Joanna miała dowiedzieć się czegoś więcej o posłance Dworzak, więc zajrzała do starego notesiku, wybrała numer, zamieniła kilka słów, pół godziny później siedziała na kawie z Juliuszem Lasotą, silnym politykiem z drugiej linii Porozumienia.

Frapował ją ten człowiek. Dość przystojny, typ światowca, inteligentny. I chyba dlatego zawsze w drugiej linii. Był jednym z tych, którzy w razie jakiejś Norymbergi mogliby mówić: „Ja tylko grałem w orkiestrze”, politolodzy określali takich ludzi w bardziej

elegancki sposób: „Miał zdolność koalicyjną, był elastyczny i otwarty na propozycje”.

– Wiszę ci przysługę – westchnął Lasota. – Trudno, co zrobić. Swoją drogą to raczej kogoś z opozycji powinnaś pytać, dlaczego Dworzak jest starą panną. To było tak, związała się z kolegą partyjnym, sejmowy romans. Dziś zapomniana, może kiedyś to skrajni albo lewacy wyciągną, no, obie duże partie wolą o tym nie przypominać. Oczywiście *off the record*. To było jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Odbywało się coś, co nazywa się dzisiaj konwencją. Zjechali się ludzie z całej Polski, była okazja do dyskusji, ale i do... rozumiesz, spotkań towarzyskich.

– Wyjazd integracyjny?

– Tak to można nazwać. Najpierw obowiązki, później relaks, w sumie, tak Bogiem a prawdą, to jest to bardzo twórczy czas, szczerze rozmowy, kreatywność wychodzi poza sztywne ramy, można coś szczerze wypalić. Wiesz, jak to jest, może na koniec wygląda słabo, ale to bardzo potrzebne, to wspaniała okazja do poznania ludzi z całej Polski. Leszek, znaczy się Lesław Żaboklicki, był wtedy w liberalnym skrzydle partii, ale...

– Przeciągnął Dworzak na swoją stronę?

– Ona też wtedy miała liberalne poglądy. – Lasota się uśmiechnął.  
– To było ponad dwadzieścia lat temu!

– Wiem, nie jesteście krowami, zmieniacie poglądy i partie dość często.

– Nasi wyborcy też się zmieniają, zmienia się świat, potrzeby, obyczajowość... Oczywiście wtedy, jak i dzisiaj, uwodzenie żonatych mężczyzn traktuje się jako zachowanie naganne, podobnie jak uwodzenie mężatek! – dorzucił na wszelki wypadek.

– Uwiodła Żaboklickiego?

– Nie było mnie przy tym, ale... – Lasota szeroko rozłożył ręce. – Leszek, możesz wierzyć lub nie, był wtedy przystojnym facetem, babki leciały na niego!

Wyobrażenie sobie tego wymagało nie lada jakiej wyobraźni albo pamięci, bo eurodeputowany Żaboklicki wyglądał dziś jak Jabba z „Gwiezdnych wojen”. Lasota znalazł na smarftonie jego stare

zdjęcie, ważył kilkadziesiąt kilogramów mniej, jego oczy i nos nie tonęły w budyniowatej twarzy, a zamiast żalostnej pożyczki na głowie miał filuterne loczki.

– Zdzisława Dworzak też prezentowała się wtedy inaczej... – dodał, a Joanna przytaknęła, bo była na bieżąco z jej starymi zdjęciami. – Niezależnie kto kogo podrywał, to finał był bezsprzeczny i z dzisiejszego punktu widzenia nieomal sensacyjny. On był wtedy ważną postacią na Podkarpaciu, posłem, wiceprzewodniczącym komisji, a w Warszawie mieszkał w hotelu sejmowym...

Ale hotelowy pokój Wojtka stał pusty, przeprowadził się do jej mieszkania, a na Wiejskiej spał tylko wtedy, kiedy do Warszawy przyjeżdżała żona. Trwało to przez pół kadencji i skończyło się wybuchem. Najpierw Żaboklicki wylansował Dworzak w partii i pomógł jej w starcie do sejmu, dostała się. Obywatele wybrali ją do parlamentu, z kolei ona kazała wybierać partyjnemu koledze: albo ja, albo żona. No i wybrał. Żonę i dzieci.

Ona też wybrała, podczas fiaska rozmów koalicyjnych zmieniła partię, dołączyła do konserwatywnych przeciwników i rozłamowców, powstał rząd mniejszościowy, później zaczęła się sejmowa jatka, nowa wojna na górze. Dworzak stała się politycznym killerem, zaczęła swoim niewyparzonym językiem zdobywać pozycję na prawym skrzydle, a resztę znasz.

– Nie ma innych plotek na jej temat? – zapytała wprost.

– Obyczajowych, ha, ha, ha, ha – zarżał Lasota. – Tylko te, które sama znasz. Godzilla, Zdzisława Psiara, Matka Kundli, Posłanka Kynolog... Jedyni faceci w jej życiu to jej psy, choć złośliwi twierdzą, że wszystkie kundle wysterylizowała i chętniej przygarnia suki. Partyjna młodzież obsługuje tę sfore, jej segment na Mokotowie jest jak schronisko, tak à propos, przez pół życia była sąsiadką Kiszczaka, ha, ha, ha, ha!

– A nic nie mówi się o jej przeszłości, to znaczy o czasach szkolnych, przyjaźniach i znajomościach z tamtych czasów?

– No że była taka bardziej oazowa, przyboczna księdza, działaczka i tak dalej. Ale żadnych sensacji, a czemu pytasz? Mów, uważam, że się spłaciłem z nawiązką.

– Pojawi się u mnie w materiale jako... mniej święta.

– Oglądam, kupuję popcorn, dobrze to zareklamuj, wewnątrz naszego ugrupowania jest wiele osób, które mają jej powyżej dziurek w nosie!

Mimo że była w tym biznesie już dwadzieścia lat, to polityka i politycy nie przestawali jej zaskakiwać.

\* \* \*

Inspektor Azuma przylatywał wieczornym samolotem z Helsinek, tam miał przesiadkę z Tokio. Wiśnia czekał za kierownicą, ale wcześniej zdążyli porozmawiać, w końcu Artur musiał mu dać kluczyki do auta, którym był w Skolimowie. Sierżant w tym czasie nie próżnował, starszy chorąży Julinek zeznał, że w zeszłym roku wioził na Zawady Japończyka, któremu trzech schabów chciało zabrać taryfę. Był grzeczny i szybki, wyklepał ich elegancko. Skąd jechał? Z burdelu. Wiśni nie trzeba było namawiać do tego, by zrobić tam rozpytanie. Kasai został zapamiętany jako solidny klient, sprawił kłopot tylko raz. Tamtej feralnej nocy wziął rezerwację i się nie stawiał.

– Można powiedzieć, że jest usprawiedliwiony. – Wiśnia zażartował.

– Można powiedzieć, że to ciekawy typ z udawaną rodziną, z kartą stałego klienta w prawdziwym burdelu i z pięściami, które potrafią przemówić.

– Ale obecnie bez głowy, chyba że mu ją na Oczki[49] doszyli – podsumował po swoim Wiśnia.

Inspektor wyszedł zza rozsuwanych drzwi. Choć był jednym z wielu dziesiątków Japończyków, Artur rozpoznał go bez pudła. Nie tylko dlatego że miał jego fotografię, bo przecież dla Europejczyków wszyscy Japończycy są do siebie podobni. Tak samo jak Chińczycy, Wietnamczycy i Koreańczycy, choć pomylić te nacje jest ogromnym nietaktem. „W sumie nic oryginalnego – pomyślał Artur. – Polacy bardzo często słyszą za granicą od kelnera, któremu dali dobry

napiwek: *Spasiba*. I szlag ich trafia, że dali kasę bałwanowi, który bierze ich za ruskich”.

Tu nie chodziło o wyłowienie kogoś o szczególnej twarzy, lecz o wytypowanie policjanta. Taka zabawa, jak dla widza Klossa ustalenie na pierwszy rzut oka, kto jest partyzantem, a kto Szwabem. To było łatwe, bo chłopaki z konspiracji nosili oficerki i jasne płaszcze, a gestapowcy płaszcze ze skóry i tyrolskie kapelusiki. Życie to nie film, postacie nie są tak przerysowane, ale Artur wiedział, kto jest gliną, a kto zbójem. Lata praktyki. Z miejsca wiedział, który z pasażerów to japoński śledczy, zresztą tamten też szedł prosto na niego. Pomachali sobie i zbliżyli się do siebie.

– Witam – powiedział po angielsku do Japończyka. – Pan inspektor Azuma?

– Pan komisarz Konieczny?

– W takim razie do muzeum czy pod pomnik Chopina? Gdzie chce pan najpierw wpaść?

– To oczywiście żart. – Japończyk się śmiał, pierwsze lody zostały przełamane.

– Jak najbardziej!

– Doskonały, doskonały, wiem, że kojarzymy się wam jako naród miłośników Chopina!

– A my wam wyłącznie z Chopinem!

– Nie tylko, ale pewnie będzie czas, żeby o tym porozmawiać, na początek jednak poproszę do hotelu.

\* \* \*

Wojtkowi nie był pisany kolejny wieczór na wegańskich specjałach. Minęli się, nie odbierała telefonu, nie było odzewu z Tindera. Poszedł do sklepu, kupił sobie piwo i pół kilograma kabanosów. Zabawi się sam. W mięsożercę.

49 „Na Oczki” – przy ulicy Wojciecha Oczki w Warszawie mieści się Zakład Medycyny Sądowej.

# Rozdział 28

*Zimna Warszawa znowu jest  
Wisła zamarzła ja marznę też  
Epoka lodowcowa XXI wiek[50]*

## EIGHTIES

Zespół Załoga zszedł ze sceny, było zimo jak cholera, ale mieli poczucie dobrze wykonanej roboty. Zagrali w Wołominie z miejscowym bandem Cold War i dali radę, mogli wypić po browarze ze skrzynki, którą dostarczył organizator. Gospodarze z Zimnej Wojny zaczęli grać, a oni siedzieli na zapleczu i pili sierpeckie. Nie był to szczyt marzeń, ale Żywca można było dostać, jak się poszło do Teatru Wielkiego, w antrakcie ustawiały się zawsze kolejki do bufetu, bo bez pudła można było trafić na najlepsze polskie piwo.

– Mogliby chociaż króla skołować albo jasne pełne – skrzywił się Black.

– Nie narzekaj, może jakbyś tyle nie walił, to pierwszy koncert poszedłby nam lepiej. – Clash do końca nie wiedział, czy Black wkurwia go za swoją postawę w zespole, czy też dlatego, że musiał z nim dzielić Suzi.

– Dajcie spokój – powiedziała.

Zupełnie niepotrzebnie, bo dla Clasha te słowa były jak odpalenie lontu, doskoczył do Blacka i pewnie by go zatłukł, ale Kowal był szybszy i rozdzielił ich. Tak się skończył pierwszy i ostatni koncert grupy Załoga.

## 2020

Joanna i Misiek pracowali nad ustaleniem losów posłanki i księdza, a Wojtek i Jaga pojechali na umówioną wcześniej rozmowę ze świadkiem i uczestnikiem koncertu Załogi w Wołominie. Piotr Zajdel, dziennikarz ekonomiczny, był, jako lider kapeli Cold War, gospodarzem tamtego wieczoru.

– Przyjechali do nas, do Wołomina. Fajni chłopcy, nawet coś grali, ale nie mieli za dużo swojego repertuaru. Dopiero go tworzyli, było to obiecujące, ciekawe. Fajnie kowerowali trochę punka, trochę nowej fali, jakiś numer stranglersów i... Electricity Orchestral Manoeuvres in The Dark. Wydawało się, że ich ludzie rozniosą. OMD to porządny band z Manchesteru, ale wtedy nawet Republika była w undergroundzie obciachem. Ale pojechali tak, że wszystkich zatkało, a na koniec walnęli... Depeche Mode! Jarocin, „Róbrege”, Alternatywa, tam depesze nie byli szanowani, mówiło się... niezbyt kulturalnie się o nich mówiło. – Uśmiechnął się pod wąsem. – Ale oni zagrali po swojemu *Blasphemous Rumours*. To była ich droga, grać ostrą muzykę taneczną z pogranicza nowej fali i industrialu, ale osadzać ją w rockowej tradycji, z mocną sekcją i dobrą gitarą. Mieli wielki potencjał.

– Ale im nie wyszło, dlaczego? – spytał Wojtek.

– Bo byli skłócenii. Nie ciągnęli razem tego wózka, przerwaliśmy na chwilę nasz koncert, bo wokalista i gitarzysta Załogi się pobili, trzeba było ich rozdzielać. Może dlatego teraz, po latach, White sam chce to odgrzać. Czekam na tę płytę, słuchałem tego materiału i gra tam jak jakiś cholerny Liberace[51], po prostu White to mistrz studia, tam mu idzie najlepiej.

Podziękowali Piterowi, ale kiedy wychodzili, Jadze coś się przypomniało.

– Co takiego mówiło się o Depeche Mode, że nie chcesz powtarzać?

– Nie o nich, tylko o ich fanach, „depeszach” – Piter obszedł temat.

– Ale co? – Jaga była dociekliwa.



– Z natury jestem delikatny i grzeczny. Wygugluj na swoją odpowiedzialność.

Nie znalazła, bo nie bardzo wiedziała, czego dokładnie szukać. Szkoda czasu. W redakcji podeszła do Misiewicza, ten nie tylko wiedział, ale i – co było do przewidzenia – nie miał oporów.

– Lepiej z pizdy nie wychodzić, niż depešem się urodzić – powiedział Misiewicz bez mrugnięcia okiem.

– Serio?

– Serio. Byliśmy wulgarni, mali i źli. Rockowa publiczność potrafiła być prymitywna jak na chamskim festynie w remizie – powiedział to z powagą na twarzy, ale Jadze wydawało się, że była w tym nutka dumy pięciolatka.

– A teraz?

– Teraz to Kwaśniewski jest przyjacielem połowy dawnej opozycji, a prokuratorzy stanu wojennego kumplują się z jej drugą częścią. Dziewczyno, minęło trzydzieści pięć lat, tyle co masz, plus osiem! Więcej niż epoka.

Jaga wzięła się do montażu, a Wojtek zrobił rundę po mieście. Złapał wszystkich, zrobił przebitki, fotografowie Grzesiek Kszczotek i Darek Kawka dostarczyli mu zdjęć Kowala. Widać było na nich, jak jego twarz coraz mocniej pokrywają bruzdy, jak alkohol i narkotyki rzeźbiły ją, aż budulec nie wytrzymał tego zabiegu. Nagrał fotografów, kilku muzyków i recenzentów, wszyscy mówili o nim, że był świetnym bębniarzem, tylko że w słabości ludzkie poszedł. Mieli wszystko i nic.

Wojtek zmontował rozmowę z dziennikarzem muzycznym Leszkiem Gnoińskim. Mniej niż minuta, ale było wszystko, co trzeba:

– Załoga nie była załogą. Za mało ich łączyło. Wewnątrz zespołu były podgrupy. Bardzo szybko spiknęli się ze sobą Kowal i Black. Wszyscy jarali gandzię, a kiedy inni sobie odpuszczali, oni szli w dalsze eksperymenty. Kowal miał dziadków w górach, na skraju ich pola rosły grzyby. Nie byle jakie grzyby, halucynogeny. Kowal przywoził je do Warszawy i z dobrą przebitką wymieniał na trawę. Sam też nie gardził grzybkiem, który nie przypadł reszcie do gustu.

Eksperyment Blacka, który widział zamiast kumpli Barbapapę z rodziną, był dla reszty ostrzeżeniem, ale dla frontmana i perkusisty zaproszeniem do dobrej zabawy. Jechali po bandzie, w końcu Blacka rzuciła laska, ale on się śmiał, że dopiero teraz pożyje. Miał gandzię i tłum dziewczyn, które przyciągał jak magnes.

Drugą parę przyjaciół stanowili Clash i Greg. Dużo ze sobą grali poza próbami, obaj w przeciwieństwie do reszty interesowali się piłką. Z kolei White był w rozkroku między bandem i domem kultury, często przesiadywał u kierownika, którego wszyscy nazywali Bossem. White mówił, że z Bossem zrobią wielką karierę. I zrobili. Boss miał dobrą windę, coś go wynosiło w górę, zresztą widać to w ostatnich dniach, z kolei Białkowski... Cholera, wystrzelił nagle, jakby trafił na złotą żyłę z przebojami! Ale to się po prostu nazywa wena.

\* \* \*

Wszystko, co najważniejsze, czyli rozmowa ze Zdzisławą Dworzak, miała się odbyć w sejmie. Joanna była znaną dziennikarką, miała przepustkę i doświadczenie, więc wzięła to na siebie. Zaczęła źle, bo wpadła wprost na posła Janusza Kocha z Partii Narodowej, obok niego siedł Gorgoń, jeden z ostatnich ludzi, którzy widzieli Blacka żywego.

– Czy pan Piotr Tabach? – zapytała.

– Tak!

– Szykuję program o grupie Załoga, pojawia się w nim pan jako osoba, która widziała tuż przed śmiercią wokalistę grupy...

– Mam alibi, siedziałem na piwie, widziało mnie kilkadziesiąt osób, zabrało mnie WSW. Napatoczył się patrol, są zeznania, przynajmniej powinny być. A skoro zatrzymało mnie WSW, to oznacza, że byłem opozycjonistą, i dlatego teraz dręczą mnie tak jak innych patriotów ci, którzy stają teraz tam, gdzie kiedyś stało ZOMO. Coś jeszcze sobie pani życzy?

Chciała jeszcze rozmawiać, ale operator pociągnął ją w tył.

– Zwariowałeś?

– Nie zwariowałem. Widziałem za twoimi plecami, jak zbliża się człowiek z kamerką, chciałybyś wystąpić w głównej roli w ich portalu? Parę telewizji by to wzięło.

– Masz rację, dzięki. A nagrałeś coś?

– Coś na pewno – powiedział operator.

Paweł Walczak poprawił jej nastrój, w chwilę potem dołożył się do tego Misiek.

– Słuchaj, Joanno! – grzmiał przez telefon. – Franek Solski puścił wici po kolegach z czarno-czarnych i jest trochę informacji. Przenieśli go, bo ktoś go podpieprzył i epidiaskop rzucił go na tak zwane Ziemie Odzyskane, tam gdzie kto mógł, wiał na Zachód, udając Niemca. Ksiądz Wiesław to był chłopak z dużego miasta, miał ambicje naukowe, chciał pisać doktorat, jechać za granicę, znał wielu ważnych ludzi. Dzisiaj pewnie by występował w telewizji i byłby jednym z opozycyjnych księży. Na pewno nie trzymałby z Toruniem. Dla niego małe miasteczko, wieś w zasadzie, to był kanał, świat czerwono-czarnej mafii, sojuszu Kościoła z partią, układów i układzików.

Był pod kontrolą i jak przyjechała do niego „siostra”, czyli Suzi, to było gorąco, doszło do spięcia z górą, bo zakonnice, które się opiekowały parafią, podpieprzyły go do czarnego kierownictwa. Zmuszono dziewczynę do wyjazdu, zresztą i bez tego by tak było. Stary Suzi pojawił się na tym zadupiu w dwie godziny po jej przyjeździe, wparował na plebanię, doszło do szarpaniny. Dworzak miał długie łapy, być może to jego sprawka, ale już nikomu o tym nie opowie, bo odszedł razem z komuną. Niezła kabałka się z tego robi, prawda?

Robiła się z tego coraz ciekawsza historia, która coraz mocniej odchodziła od story o zapomnianym, rockowym zespole. Samobójcza śmierć wokalisty, bębniarz, którego wykończyły narkotyki, ksiądz, który zginął w niejasnych okolicznościach. A dzisiaj? Patron domu kultury, w którym zaczynała Załoga, umiera w płonącym aucie pod Warszawą. Były kierownik Małego Franka walczy o resort kultury,

a obok jeszcze japońskie trupy, które łączyła ze Zdzisławą Dworzak osoba wspólnego, wynajętego członka rodziny.

---

50 *Zimna Warszawa*, wyk. Cold War, sł. Piotr Zajdel, muz. Piotr Zajdel i Rafał Rogulski.

51 Władziu Valentino Liberace (1919–1987) – amerykański wirtuoz fortepianu, polsko-włoskiego pochodzenia.

# Rozdział 29

*Jestem Bogiem!  
Uświadom to sobie, sobie  
Ty też jesteś Bogiem!  
Tylko wyobraź to sobie, sobie*[\[52\]](#)

## EIGHTIES

Był repertuar, ale nie było wokalisty. To znaczy był, ale coraz częściej nieobecny. Black kompletnie odleciał, osłabiał zespół, który sam stworzył. Spóźniał się albo nie przychodził na próby, nie mógł dogadać się z Suzi. Gdyby nie Kowal, to wywaliliby go z zespołu. Gdyby nie Boss i jego kumpel Wełnicki, to zespół by się rozpadł. Ale ci dwaj załatwili teledyski. Nie chujnię z TV, nie jakieś Papa Dance i Kapitana Nemo, tylko porządne klipy na taśmie. To miała być praca dyplomowa obiecującego reżysera Leszka Waganta.

Nakręcono zdjęcia do pierwszego z nich. Superfoty w opuszczonej fabryce. Teraz mieli nagrać materiał, a reżyser wybierał plany. Od pewnego czasu Greg i Clash, a czasem i White siadywali u ciotki Grega przy rogu Żelaznej i Krajowej Rady. Mieszkała na ostatnim piętrze wieżowca. Oglądali tam filmy, ostatnio był telewizyjny przegląd Herzoga, pili piwo i jarali zioło. Starszej pani też dali, załapała. A jak wpadł ten idiota Kowal, to chciał wrzucić halucynogennych grzybów do bigosu, ale go powstrzymali. Nawet Suzi zaczęła się pojawiać. Coś się zaczęło zacieśniać, tylko Black coraz mocniej zaczynał od nich odstawać, jeśli coś go łączyło z Załogą, to już tylko narkotyczne eksperymenty, które prowadził z Kowalem.

**2020**

Wiśnia podjechał po Artura, wspólnie mieli odebrać z hotelu inspektora Azumę, po czym udać się na Oczki, by odebrać wyniki sekcji i zidentyfikować zwłoki, bo obaj zamordowani byli inspektorowi doskonale znani.

– To pięknie – zaczął niewinnie Wiśnia. – Zabieramy inspektora i jedziemy na japońskie śniadanie?

– Co? – zdziwił się Artur.

– No, na trochę surowego mięsa, takie prosektoryjne sushi. – Sierżant zarżał.

Dwie godziny później było po wszystkim, po wyjściu z Zakładu Medycyny Sądowej

inspektor Azuma powiedział:

– Pozwolą panowie, że zaproszę panów na piwo. Wygląda na to, że możemy zamykać sprawę, nie mam stuprocentowej pewności, ale prawdopodobnie zabójcę znajdziemy w Tokio. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent możemy odtworzyć, co się stało.

– Bardzo chętnie, panie inspektorze, ale najpierw to my zapraszamy, nasi szefowie chcieli pana podjąć kawą i słodkim poczęstunkiem.

Inspektor skłonił się, dziękując za zaproszenie, a Wiśnia powiedział pod nosem.

– No to pan inspektor użyje na Mostowie jak pies w studni!

\* \* \*

Posłanka Zdzisława Dworzak przebijała się przez tłum dziennikarzy.

– Co was się tyłu zeszło? Jakiś marsz eurosztat? Z telewizją polskojęzyczną nie rozmawiam!

Mogłam robić w życiu wiele rzeczy, ale żeby mi musiała przepychać się przez pseudodziennikarzy?!

– Mogłaby pani występować na estradzie? – zapytała nagle Joanna.

– Jakbym chciała, tobym to robiła!

– Nawet w zespole rockowym? – Joanna drążyła temat.

– Gdyby racja stanu tego wymagała. – Dworzak była w formie, nakręcała się. – To żadna sztuka: ja bardzo ładnie śpiewam, a najpiękniej w kościele!

Zrobiło się małe zamieszanie, ktoś na kogoś wpadł, ktoś zaplątał się w kable, Joanna została na chwilę sam na sam z Dworzak.

– Co, a raczej kto łączy grupę Załoga, wokalistę Blacka, parafię świętego Leona, księdza Wiesława Marcinkiewicza i Adama Poleskiego?

Wymienienie zespołu, jej kochanków oraz właściciela mieszkania, w którym uprawiała seks z jednym z nich, było trafieniem w czuły punkt. Dworzak rzuciła się na Joannę, która była gotowa na agresywne zachowanie posłanki. Odskoczyła, ale drugiego ataku nie uniknęła, tłum dziennikarzy nie dał jej się wycofać, a może po prostu była to złośliwość ze strony Janusza Kraszewskiego z „Gońca Polskiego”, ten nie lubił ani jej, ani posłanki. Chciał, by cała Polska widziała, jak posłanka łoi dziennikarkę torebką po głowie. Kombinował dobrze, ale się przeliczył, pasek w torebce Dworzak zawinął się i ta zamiast wylądować na głowie Joanny, trafiła go prosto w głowę, a następnie trafiła w twarz posła opozycji Ludwika Nowackiego, który miał pecha przechodzić obok całego zamieszania.

– O kurwa, ja pierdolę! – zawył Nowacki. – Złamała mi nos!

– Straż, straż! – Dworzak wydarła się na sejmową straż. – Ten poseł mnie obraził! Wszyscy słyszeli, jak mnie nazwał!

Wołając o pomoc, stanęła mu obcasem na stopie, Kraszewski zawył i jeszcze raz z jego ust wydobyło się głośne:

– Kurwa!

Strażnicy usłyszeli te słowa i chwycili go pod ramiona.

– To nie było do posłanki! – krzyknął ktoś z dziennikarskiej cizby.

– Lewacka bandyterka, kłamcy, jak wasi polityczni mocodawcy z Mokotowskiej!

Na Mokotowskiej mieściła się centrala partii opozycyjnej, której posłanka Dworzak nienawidziła szczerze i bez krępacji przypominała o tym na każdym kroku.

– Pani poseł, chciałam porozmawiać... – Joanna nie miał szans się przebić, ale już sam jej widok działał źle na Zdzisławę Dworzak.

Posłanka skurczyła się w sobie i ku zaskoczeniu wszystkich minęła drzwi, za którymi miał obradować jej klub poselski i korzystając z pojawienia się Straży Marszałkowskiej, skryła się za jej plecami i niemal biegiem udała się w stronę miejsc, do których dziennikarze nie mieli wstępu.

\* \* \*

Wiśnia przeciągnął się w fotelu stojącym przed gabinetem komendanta stołecznego.

– Kawka, herbatka, torcik wedlowski, nawet Chopin w głośnikach jest znośny w takich warunkach, takie BHP to ja lubię – zamruczał, nasłuchując, czy wizyta inspektora Azumy jeszcze się nie kończy, jej współgospodarzem był jakiś ważniak z ministerstwa. Kiedy się skończyła, udzielono im krótkiej instrukcji: „Inspektor Takeshi Azuma ma wrócić do domu zadowolony!”.

– Panie dyrektorze, czy to znaczy, że mam naszego japońskiego inspektora wszędzie wozić? – zwrócił się Artur do gościa z MSW.

– Tak, jak najbardziej. Polskę mu proszę pokazać, Warszawę, Chopina, Żelazową Wolę, przyrodę, Muzeum Powstania Warszawskiego, plac Piłsudskiego...

– Nawet do muzeum lotnictwa? – zaryzykował Artur.

– A jak będzie chciał iść do muzeum lotnictwa, to zabierzesz go do *muzeum lotnictwa, kurwa jego mać!* – wystrzelił ważniak, który najwyraźniej miał słabość do filmu Olafa Lubaszenki[53].

\* \* \*

Joanna włączyła telewizor i przełączyła kanał na stację, którą oglądała tylko w celach zawodowych. Była ciekawa, jak telewizja promująca partię rządzącą wyjaśni zachowanie posłanki Dworzak. Miała swój typ, ale być może oceniała ich zbyt jednostronnie.



W końcu pojawił się pasek z informacją: INCYDENT W SEJMIE. Prowadzący nabrał powietrza i z błyskiem w oku, który nie wyrażał żadnej zadumy, skrępowania i troski, zaczął czytać tekst z promptera:

– Dzisiaj w sejmie doszło do żenującego incydentu z udziałem posła opozycji Ludwika Nowackiego!

Zamiast filmu była tylko fotografia wykrzywionej w bólu twarzy Nowackiego, niezbyt czytelny zapis dźwiękowy i podpis ułatwiający zrozumienie jego słów: „O K...WA, JA PIER...Ę!”.

– Takimi, nieparlamentarnymi słowami poseł opozycyjnego klubu Demokracja Rzeczpospolitej Ludwik Nowacki zagrzewał do dalszych prowokacji pracownicę prywatnej stacji telewizyjnej.

Nie wiedziała, co ją bardziej oburzyło, wycięcie słów Nowackiego z kontekstu czy obcesowe potraktowanie jej osoby. Ci medialni funkcjonariusze nie nazwali jej ani dziennikarką, ani reporterką, tylko „pracownicą prywatnej stacji”. Oczywiście ten fragment był zilustrowany filmikiem, na którym wyciąga rękę z mikrofonem i krzyczy do Zdzisławy Dworzak. Puścili ten fragment w zwolnionym tempie, po pierwsze, żeby go starczyło, bo nie chcieli pokazać całej sytuacji, a po drugie, tak jej się przynajmniej wydawało, jeden z szefów, którym był jej dawny – pożał się Boże! – kochanek Sylwester Kordecki, specjalnie zlecił taki zabieg, aby jej twarz wyglądała jak najgorzej.

– Słownemu atakowi i próbie wymuszenia wywiadu przez osobę, której z racji na powszechnie znane, niechętne posłance Dworzak i jej ugrupowaniu poglądy mogą budzić obawy o rzetelność, towarzyszyło wulgarne zachowanie posła Nowackiego.

I znów puścili stopklatkę okraszoną napisem: „O K...WA, JA PIER...Ę!”.

W tym momencie aż prosiło się o przebitkę na jego twarz z rozbitym nosem, ale zamiast tego widzowie zobaczyli inną sekwencję zdarzeń. Na ekranie pojawiła się odchodząca ze spuszczoną głową Dworzak, a reporter powiedział:

– Sprawą zajmuje się już Komisja Etyki Poselskiej.

Po tym nastąpiło kilka wypowiedzi zaprzyjaźnionych ze Zdzisławą Dworzak polityków, publicystów i naukowców. Jeden z profesorów, z gęstymi bokobrodami, zasłynął niedawno propozycją wysłania do Holandii na eutanazję tych, którym nie pasuje życie w normalnej Polsce. Grzmiał o języku nienawiści i nakręcaniu spirali przez opozycję i jej media.

– Nie chcę być złym prorokiem, ale to może doprowadzić do kolejnego zabójstwa politycznego! – zawołał na koniec. I to była puenta materiału, po którym Joanna z ulgą wyłączyła telewizor.

Odetchnęła, jakby wyszła z sauny i chwyciła za telefon. Wciąż miała tam numer Kordeckiego. Najpierw wystukała:

*Sylwek, gratuluję materiału,  
jesteś mistrzem rzetelności!*

Miała wysłać esemesa, ale skasowała go, bo pomyślała, że Kordecki puściłby screena w jednym z kolejnych programów. Zrobiłby to bez wahania, skoro od lat zdradzał żonę, kopał dołki pod kolegami i zmieniał poglądy jak chorągiewka na wietrze, to stać go było na wszystko. Na prawie wszystko, bo ostatnia zmiana poglądów, a był już demokratą, konserwatystą i liberałem, była tak mocna, że łopotu flagi z jego zakłamaną gębą nie dawało się odwrócić już w żadnym innym kierunku. Uspokoila się i po chwili nerwowego stukania w blat stolika wymyśliła:

*Sylwku, rozczarowałeś mnie po raz kolejny.  
Prawdomówność i lojalność nigdy nie były twoimi  
najmocniejszymi stronami.  
Pozdrawiam, J.*

Znała go jak zły szeląg. Wiedziała, że jest samolubny, nielojalny i że zdradza żonę. W końcu byli kiedyś kochankami. Kiedy potrzebowała jego wsparcia, kiedy była załamana, bo zamordowano jej sąsiada, piłkarza Dawida Błochowiaka, to nie przyjechał do niej,

bo bał się obecności pod jej domem reporterów z radia i telewizji, tylko gadał głodne kawałki.

Rzuciła go wtedy i żadne kwiaty, esemesy i telefony nie zmieniły jej decyzji. Był samolubnym palantem, i tyle. Podobno przeżył to, że go odtrąciła, a później nabroił coś z nielegalnym lokowaniem produktu. Zawieszono go, odsunięto od sportu, ale nabrał wiatru w żagle, kiedy kanał informacyjny potrzebował fachowców, a on akurat się do nich zaliczał. Był dobrym fachowcem, ale złym człowiekiem.

Pomyślała, że zupełnie niepotrzebnie zniżała się do tego, że puściła mu esemesa, ale z drugiej strony poczuła ulgę. Może gdyby w domu był Artur... Ale nie było go, to japońskie śledztwo dobiło go do końca.

Telefon zawibrował, a na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko „Kordecki”.

Odebrać czy nie? Nie miała ochoty z nim rozmawiać, ale w końcu zwyciężyła ciekawość.

– Halo... – starała się być słodka.

– Kto mówi? – odezwał się damski głos.

Nie знаła go, nie była to z pewnością żona Sylwestra Kordeckiego, której charakterystyczny, świdrujący jak dźwięk wiertarki udarowej głos znały tysiące Polek, bo pichciły z nią posiłki, chodziły do kosmetyczki i na zakupy. Marzena Furgaś-Kordecka – „Telewizyjna Gospodyni Miliona Polek”, jak pisała o niej kolorowa prasa – miała także kontrolę nad swoją kuchnią i salonem, nie miała jednak wpływu na sypialnię, tam inne kobiety były liderkami.

– To pani dzwoni do mnie, a nie na odwrót, nie wie pani, z kim rozmawia?

Cisza. Ale tylko przez moment.

– Słuchaj no, to ty puszczasz jakieś esemesy, więc rozumiesz... – Jej głos wydał się Joannie znajomy.

– Nic nie rozumiem – odpowiedziała, choć rozumiała coraz więcej, to musiała być jakaś nowa, zazdrosna kochanka Sylwka. Nowa, ale na pewno nie powiedziałałyby o niej nieznana. Znana, tylko skąd?

– Z kim rozmawiasz? Kto dzwoni? – usłyszała w tle głos Kordeckiego. Najwyraźniej w strachu przed żoną albo skreślił ją z książki adresowej, albo wymyślił jej jakiś pseudonim.

– Dzwoni jedna taka – zełgała kobieta, której głos zaczynała powoli dopasowywać do konkretnej osoby.

– Halo – rozległ się słodki baryton Sylwka.

– Witaj, Silvio – zaszczębiotała. – Coraz bardziej zaniżasz poziom, i jako dziennikarz, o ile nim jeszcze jesteś, i jako facet. Stażystka z naszej redakcji? Pozdrów Patrycję i powiedz jej, że zawsze warto powiedzieć na koniec: „Do widzenia!”. I przeczytaj esemesa. – Zaśmiała się i odłożyła słuchawkę.

Dopiero teraz poczuła się dobrze. Tych parę słów pozwoliło się jej wyładować i było jak prysznic po zapasach w błocie. Nalała sobie kieliszek białego wina i usiadła na kanapie, upiła łyk i pomyślała, że wszystko to, ten esemes, ta słowna gierka z Sylwkiem i głupią kozą, z którą teraz jest, to erzac, powierzchowna kosmetyka. Wkurzy go na trochę, ale nic się nie zmieni. Może trzeba łupnąć jak z #MeToo? Zrobić wyjście z szafy kochanki, powiedzieć:

– Słuchajcie, ten świętojebliwy typek, który fotografuje się z rodziną, który poucza z telewizora grzeszników, ten dupek, który wystąpił jako gość w show „Niedziela w Rodzinie” i opowiadał ojcu prowadzącemu o tym, jak blisko jest z Bogiem i jak gorszą go zepsucie i niemoralność, ma zastęp kochanek. Skąd wiem? Bo byłam jedną z nich, hej, dziewczyny, która z was się przyzna?

To byłby strzał w dziesiątkę! A gdyby tak odezwały się inne kobiety, które były w związkach ze znanymi moralizatorami. Albo faceci! Iksiński, który walczy za związki partnerskie, Igrekowski, który mówił coś o mitingach zboczeńców, wreszcie aktor, który grał żołnierza wyklętego, nagle stają się gejami! Sączyła wino i myślała o wielkiej rewolucji obyczajowej, o prawdziwej, która nagle burzy mity i świątynie zakłamania mozolnie budowane przez hipokrytów.

Przez myśl przeszła jej reakcja żony Sylwka i innych kobiet zdradzanych przez mężów, i to, jakby to przeżyły. Przeżyłyby! Pomyślała, nalewając sobie kolejny kieliszek wina, prawda je

wyzwoli, a adwokaci oskubią mężów i dadzą im wolność absolutną. Podział majątku, alimenty...

I w tym momencie pomyślała o dzieciach. Cały piękny plan poszedł... wiadomo gdzie. Te żony i dzieci musieliby otrzymać nową tożsamość, wyemigrować, dostać się do programu ochrony świadków, bo przecież ich życie stałoby się koszmarem. Pomijając szok, jaki przeżyłyby dzieci, to dochodziła do tego reakcja kolegów ze szkoły i podwórka. Pamiętała, jak ciężko było w szkole dzieciom samotnych matek, że był to stygmat, czasem zaś tylko niezdrowe zainteresowanie. Czasy się zmieniały, ale odpalenie megaskandalu odbiłoby się na dzieciakach. Wytykano by je palcami w budzie i naśmiewano się z nich.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, to był jednak głupi pomysł, tego nie można załatwić odpaleniem medialnej atomówki, to muszą zrobić kobiety, które są zdradzane. Każda z nich musi indywidualnie podjąć decyzję, ale jak im powiedzieć o tym, że mężowie robią skoki w bok? Jak to możliwe, że żona Sylwestra Kordeckiego nie zauważa wybryków swojego męża? A może sama to robi, może to toleruje, bo boi się zacząć nowe życie, może to po prostu wygoda...

„To jest temat na kolejny temat, trzeba to jakoś ugryźć, cholera, nie będzie to łatwe” – pomyślała.

---

52 *Jesteś Bogiem*, Paktofonika – Piotr „Magik” Łuszcz, Wojciech „Fokus” Alszner, Sebastian „Rahim” Salbert.

53 „A jeżeli będą chcieli iść do muzeum lotnictwa, to zabierzesz ich do muzeum lotnictwa, kurwa jego mać!” – cytat z filmu Olafa Lubaszenki *Chłopaki nie płaczą* (2000). Scenariusz napisał Mikołaj Korzyński, kwestię Szefa wypowiedział Bohdan Łazuka.

# Rozdział 30

*Sprzedaliśmy swoje piosenki handlarzom i prostytutkom  
Sprzedaliśmy swoje słowa tym, co nas ogłupiają*<sup>[54]</sup>

## EIGHTIES

Ósmego marca ustalili, Black albo przyjmuje nowe warunki, albo wypada z grupy. Ustalili, wszyscy oprócz Kowala i rzecz jasna Blacka. Kowal uważał, że za mocno cisną, Black zaś po raz kolejny nie przyszedł na próbę. Reszta uważała, że ma śpiewać w chórkach, ma dbać o image i oprawę plastyczną, projektować okładki i plakaty i nauczyć się obsługiwać drugą klawiaturę. Może też tańczyć na scenie. Te drugie klawisze miały ukrywać, że muzyka będzie częściowo leciała ze szpuli. White mętnie tłumaczył, że może nagrać taką jakość tylko w studiu.

Tylko on i Suzi znali prawdę. W sobotę dziewiątego mieli się spotkać z reżyserem teledysku. Filmowiec chciał zobaczyć, jaki jest widok z dachu wieżowca, w którym mieszkała ciotka Grega. Przed rozmową z reżyserem mieli się spotkać z Blackiem. Sytuacja była na tyle poważna, że miał przyjść kierownik domu kultury, Czerwiński, i Wełnicki, menago, który im załatwiał nagranie pyty, teledysk i trasę.

Clash był spóźniony, bo coś się działo na mieście, dlatego autobus włókł się niemiłosiernie. Była sobota, więc jeździło mniej ludzi, ale za to autobusy i tramwaje kursowały o wiele rzadziej, więc pojazd był tak przeładowany, że niemal szorował podłogą po dziurawej jezdni. Na dodatek zatrzymywał się nie tylko na przystankach, ale i wtedy, kiedy trzeba było przepuścić pojazdy na sygnale. Milicja

waliła z każdej strony, karetki jechały od Szpitala Bielańskiego i stacji pogotowia na placu Inwalidów, a wielkie, strażackie jelicze z jednostki przy szkole pożarniczej.

To chyba nie z powodu demonstracji, bo dziewiąty marca to żadna data. Trzynasty grudnia, pierwszy maja, trzeci maja... Wczoraj była data, która jest podkreślana w kalendarzach: Międzynarodowy Dzień Kobiet, ale z tej okazji ludzie nie wychodzą na ulice, żeby protestować przeciwko komunie. To akurat był dzień, w którym ze swoich spelunek wyłazili na ulice menele. Snuli się po chodnikach i sępiłi: „Daj piątaka, bo trzeba wypić na zdrowie pań!”. I jak zebrali, to tak jak zapowiadali, uczciwie pili, śpiewając przy stolikach numer piosenkarza Edwarda Hulewicza: *Za zdrowie pań, za zdrowie, wypijmy toast aż do dna, panowie.*[55]

Melodia i słowa niosły się tego ósmego marca po barach restauracyjnych, osiedlowych spelunkach i pod kioskami nad Wisłą. Zdrówko pito także w zakładach pracy, bo jak tu nie wypić w socjalistycznej ojczyźnie, skoro święto ustanowił sam Stalin? Trochę niemodny, ale jednak zawsze były przywódca bratniej ZSRR, którą Polska Ludowa miała wpisana do swojej konstytucji.

Pieprzył te wszystkie święta, najchętniej by stąd wyjechał, bo te studia to był jeden wielki pic, on chciał grać, bo wierzył, że jest w tym dobry, że dałby radę nawet za granicą.

Zwłaszcza tam dałby radę, bo na Zachodzie muzycy mają więcej czasu, żeby ćwiczyć. Jest socjal, siedzisz na zasiłku i grasz, doskonalisz się. Kupiłby porządny sprzęt, wiosło i piecyk, złapałby jakiś kąt i grałby od rana do wieczora. Słyszał, że podobno tak jest, dlatego uważał, że kapitalizm jest jak coca-cola. Tymczasem miał Polo Coktę, czyli chujowy socjalizm, gdzie jak nie pracujesz, to nie żyjesz. Bo jak nie masz stempelka w dowodzie, to nie masz kartek na mięso, a do tego możesz od milicji wyłapać parę pałek albo nawet zaliczyć cztery osiem na dołku.

Ależ tam mają problemy, zaśmiał się, pośpiewując w myślach *Anarchy in UK Sex Pistols: No future, no future, no future for you, for me*[56]. Dobrze sobie! Przyjechaliby na parę miesięcy i po powrocie do siebie śpiewaliby o czymś innym, na pewno przeszłoby im

pieprzenie o braku przyszłości. *No future* to tutaj i tylko tu można być prawdziwym punkiem.

Pojazdem szarpnęło, ale Clash się nie przewrócił, bo był wbity między kozuchy, palta, jesionki i wytarte kurtki ortalionowe na ocieplaczu. W skórze, okręcony czarnym szalikiem, w czarnych rękawiczkach, z postawionymi włosami wyglądał w wypełnionym przez szarą masę autobusu jak kosmita. Wyglądałby dla nich jeszcze cudaczniej, ale paluszki w pożyczonym od Suzie walkmanie się skończyły. Ostatnio znów słuchał *Czarnej Brygady*, płyty, która się nigdy nie nudzi, i angielskiego *Killing Joke*, który przyniósł na próbę Greg. Słuchanie się skończyło, bo baterie wysiadły. Baterie paluszki, które nie tylko bardzo szybko się wyczerpywały, ale były też trudne do zdobycia.

\* \* \*

Black patrzył przez szparę pod czyjąś pachą i zobaczył, jak autobus mijają kolejne pojazdy na sygnale. Ludzie nie chcieli tego komentować, ale w końcu jakiś gaduła nie wytrzymał i powiedział „a”, ktoś dodał „b” i po przeładowanym autobusie zaczęła się rozchodzić stugębna plotka, że był jakiś zamach. Żeby stugębna! Oficjalnie autobus mieścił około stu pięćdziesięciu osób, ale teraz musiało nim jechać ponad dwieście. Ludzie byli źli, bo jechali stłoczeni, źli, bo fajki były marne, źli, bo zarabiali miesięcznie równowartość dwudziestu dolarów, więc cały wkurw wylewali na winną ich niepowodzeniom i niewygodom komunę.

– To Solidarność KC wysadziła – szepnął pół żartem, pół serio postawny wążacz w misiowej czapce z daszkiem.

– Skąd pan wiesz? – zapytał szczupły facet, także wążacz, bo prawie każdy mężczyzna w tym autobusie był wążaczem.

– Nie wiem, ale możliwe, że tak jest, od teściowej dzwoniła żona, że u niej z Pragi widać wielki dym.

– Co się stało, wiedzą coś panowie? – zagadnął młody facet w kożuszku, dzinsach i z pederastką w ręku, obowiązkowo z wężem.



– Jakież szczegóły?

– Nie, co tam, panie, żadnych szczegółów, wiadomo tylko tyle, że coś się w Śródmieściu fajczy. Widziałeś pan, ile milicji, straży i pogotowia jechało, nawet jakieś wojsko na ciężarówce. – Facet w futrzanej czapce już nie miał tak gadane, bo ten młody mu się nie podobał. Był dobrze ubrany i miał skórzaną torebkę na pasku, taką niby-kosmetyczkę albo większy portfel. Nazywano je pederastkami, a najczęściej nosili je taryfiarze, cinkciarze i tajniacy. Cinkciarza stać było na zamówienie taksówki, więc ten młody musiał być tajniakiem.

Greg poczuł, że się poci, ale nie wiedział, czy to z powodu zaduchu panującego w autobusie, czy na wieść o płonącym Dzierżyńskim. Zobaczył ten obraz, jakby to było wczoraj, a nie trzy lata temu. Wydawało się, że to wszystko już dawno wyszło z jego pamięci, ale to nie była prawda, obrazy znów przyszły do niego. To nie był dobry znak, wkrótce miało się okazać, że przeczucia go nie myliły. Autobus złożył się w zakręt, więc zaczęła się niezła bonanza, bo zjazd z wiaduktu łączącego Żoliborz z Muranowem, na Dworzec Gdański rozpoczynał zakręt o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Autobus jak zwykle złapał przechył, jakby był zagłówką na regatach i wszyscy lecieli na siebie jak w beczce śmiechu w wesołym miasteczku. Tym razem wyszła z tego beczka śmierci, ludzie polecili mocniej, bo w przeładowanym ikarusie coś pękło. Pojazd gwałtownie przechylił się na bok, rozległ się zgrzyt i autobus stanął.

– Coś pękło, ośka jak nic – mówił facet, który wyglądał na takiego, co się znał. – No to fajrant, koniec jazdy!

Przegubowiec stał żałośnie przełamany na pół, a kierowca otworzył drzwi i dwieście osób wyskoczyło na zewnątrz jak korek z butelki radzieckiego szampana. Na wciąż mroźnym marcowym powietrzu było przyjemniej niż w zasyfionym wnętrzu puszki do wożenia ludzi. Red miał szczęście, że autobus zepsuł się dopiero tutaj. I tak miał tu wysiąść, bo na Gdańskim łapał 490, przyśpieszony autobus, który zawiezie go na rondo przy skrzyżowaniu Marchlewskiego ze Świętokrzyską.

Ludzie coś sobie pokazywali, faktycznie od strony placu Dzierżyńskiego widać było unoszący się dym. I jego gra w kapeli też poszła z dymem, tego się już nie uratuje. Musi coś wybrać, ona musi wybrać, a cokolwiek by wybrała, to i tak będzie koniec jego grania w kapeli. Szkoda, bo płyta była w zasięgu ręki. Na chwilę przestał o tym myśleć, ruszył biegiem przez trawnik, jezdnię i tory. Od strony Bródna jechał 490, na który musiał zdążyć.

\* \* \*

Suzi leżała na tapczanie w swoim pokoju. Policzek piekł ją niemiłosiernie, to nie był plaskacz, to było niemal nokautujące uderzenie. Ojciec wparował do domu niespodziewanie i powiedział, że nie idzie dzisiaj do kina ani nigdzie indziej. Takie areszty domowe zdarzały się wcześniej, jak były dni z demonstracjami, bo nie chciał, żeby chodziła czy chociaż się zaplątała. Zdarzało się, że robił jej godzinę milicyjną, ale nigdy w ciągu dnia!

Próbowała coś tłumaczyć, zmyślać, że w szkole dodatkowe zajęcia, ale wtedy uderzył ją dłonią w policzek. Tak nadzwyczajnie mocno i boleśnie, że przeleciała przez pół pokoju. Płakała, ale najmniej z bólu, i nie dlatego że ją upokorzył, po prostu czuła, że ma tam być, że jeśli jej zabraknie, to stanie się coś złego. Musi tam być! Pozbierała się i wyszła z domu, przeliczyła pieniądze, było wystarczająco dużo, by złapać taksówkę.

\* \* \*

Kowal odkrył speed. Grzybki, maryśka, butapren... I ma się rozumieć alkohol. Różne stany się osiągało, ale nie takie jak po speedzie. W końcu go dostał, jak zwykle z korzystną przebitką za grzybki z babcinej łąki. Psylocybinka była spoko, ale czasem przyprawiała o stany lękowe, a jak szarpnęła mocniej, to lepiej było nie być samemu na ulicy. Można wtedy zobaczyć Barbapapę z rodziną, jak śmiga przez przejście dla pieszych przy Marszałkowskiej na

wysokości Świętokrzyskiej, przy światłach, które nie są zielone, żółte i czerwone, tylko seledynowe, niebieskie i fioletowe. Już to ćwiczył, a teraz była pora na coś nowego, czuł, że może wszystko, że może skruszyć mury, przebiec maraton i grać przez całą noc. Napierdalał na perkusji czwartą godzinę, czuł się bogiem bębnów i miał gdzieś, czy się umawiał, czy nie.

\* \* \*

White przyjechał punktualnie, jechał z Ursusa, więc przyjechał koleją elektryczną. Dobrze byłoby, gdyby się Black zgodził, tak czy owak musi być na dwie klawiatury. Teraz można już programować tak, żeby wychodziło jak z taśmy. Nauczy się naciskać guziki i będzie w porzo.

Clash za późno skumał, że wlekący się autobus nie dojedzie na czas. W końcu wysiadł i próbował coś złapać, ale chyba nie wyglądał tak jak trzeba. Z postawionymi na kupiony spod lady rudoczerwonymi włosami à la Johnny Rotten, które wystawały spod czapki, wyglądał obco. Przy słupku kolejka, tramwajem nie zdąży. Co za syf! Nagle z za zakrętu wytoczył się mały fiacik, jechał w tempie roweru, w środku, za kierownicą siedziała chyba laska. Pomachał, auto w kolorze kości słoniowej stanęło. Z tylnego siedzenia wychyliła się druga dziewczyna.

– Bierzemy na łebka, dokąd chcesz pojechać?

– Na Pańską.

Zgadzało się, mogły tam pojechać. Maluszek jechał czterdzieści na godzinę, czasem dziewczyna z platynowoszarymi włosami wrzucała bieg tak, że wydawało się, że będzie koniec jazdy. Ale jechali. Ta z tylnego siedzenia trzymała książkę *Jeżdżę samochodem Polski Fiat 126p*.

– Psuje się?

– Nie, ale jeździmy drugi dzień. Dziadek nam kupił i się uczymy, a skoro można zarobić, jeżdżąc na łebka?

Patrzył na zegarek, chyba zdąży, może zdąży, ale w sumie to na co? Black się spóźni, na bank.

Było pięć minut po umówionym czasie, jak siostry Beata i Dorota wysadziły go na rogu Krajowej Rady i Żelaznej. Wszedł do klatki, jak był na piątym piętrze, zapanowało jakieś zamieszanie, na górze rozległ się tupot nóg i trzask zamykanych drzwi. Wszedł na dach, było pusto. Z dołu dochodziły jakieś krzyki, ostrożnie się wychylił, na dole leżał Black.

## 2020

Joanna Becker walczyła w sejmie, a Jaga i Wojtek składali kolejne kawałki układanki z zespołem Załoga. Siedzieli na montażu i próbowali dopasować do siebie wypowiedzi różnych osób.

– Po śmierci Blacka Załoga złożyła się jak domek z kart. Kowal gdzieś zniknął, Clash wyjechał i różne złe rzeczy o nim mówiono – przemawiał z ekranu Robert Jarzębski, gitarzysta grupy Panzerfaust. – Greg też się zawinął z zespołu i został sam White, kompletnie solo. Miał repertuar, miał salę i studio do robienia demówek, ale jakoś tego nie skleił, może miał złe podejście? Nie wiem – zakończył swój wywód Jarzębski.

– Zaproponowali mi granie jak muzykowi sesyjnemu – to już basista grup Poland i Brygada Kryzys, Irek Wereński. – Bo miał być zespół, a na koniec okazało się, że to był tylko White, który zbierał skład. Jeszcze później chodziło o to, żeby się podpisać pod gotowym materiałem. Dziwne to było, całe szczęście, że w to nie wszedłem, bym się minął z Kazikiem i nie zagrał w Kulcie, a tak gram trzydzieści cztery lata. Dlaczego się rozpadli? Może nie byli prawdziwą załogą? Bardzo chcieli, ale nie byli paczką. Kazik, jak odeszli Wieteska i Szymaniak, chciał grać z kumplami. Znów trafiłem do jego zespołu, ale jak miałem za sobą grę w Brygadzie, za to Paweł Szanajca nie grał na niczym, ale się nauczył i został saksofonistą. Graliśmy, bo lubiliśmy, oni mieli ciśnienie. I pękli.

– Posłuchaj tego – powiedziała do Wojtka Jaga. – Maciej Chmiel, producent telewizyjny, który kiedyś był menedżerem grupy Dezerter.

Na ekranie na zatrzymanym kadrze widniał łyсы, około sześćdziesięcioletni facet, w lennonkach. Jaga nacisnęła klawisz play i Chmiel ożył, i przemówił.

– Są w grupach rockowych napięcia, wewnętrzne walki, do głosu dochodzi ambicja, uruchamiają się samcze instynkty, takie jak podczas walki o dominację w stadzie.

– Czy sytuację z Blackiem można było porównać ze Skandalem z Dezertera? – zza kadru dobiegł głos Jagny.

– Nasz wokalista Skandal był charyzmatycznym frontmanem, ale nie miał wpływu na teksty i muzykę, tę pisali Robert „Robal” Matera i Krzysiek Grabowski. Skandal był charyzmatycznym odtwórcą tak jak Ozzy z Black Sabbath. Ozzy się z tym pogodził, Skandal nie. Chciał odgrywać w zespole ważniejszą rolę, choć dla ludzi chodzących na koncerty był najważniejszą postacią Dezertera, symbolem grupy. Odszedł z bandu i nie chodziło wyłącznie o to, że miał kłopoty z narkotykami i dyscypliną.

– Ale Skandal nie popełnił samobójstwa – powiedziała Jaga.

– Nie, ale zakończył życie zbyt wcześnie.

– Czemu Białkowski wraca z projektem, który był katastrofą?

– White Białkowski to doskonały producent, prawdziwy mag, ale brakowało mu tego, co mieli w różnych epokach Andrzej Puczyński i Smolik. Obaj kojarzeni byli nie tylko z produkcją, ale i graniem, własnymi płytami. Wskrzeszając Załogę, White chce pokazać, że jest kimś więcej niż tylko inżynierem dźwięku. Alan Parson stworzył zespół, a on po prostu przypomniał o swojej muzycznej przyszłości. Nie dziwię się mu, ja robiłem i robię w życiu różne rzeczy. Pracuję od 1985 roku, ale z tych trzydziestu pięciu lat pracy większość ludzi kojarzy mnie z tego, że przez pięć lat byłem menedżerem Dezertera! Byłem dziennikarzem, wymyśliłem Fryderyki, byłem dyrektorem w telewizji, producentem, zrobiłem wiele ważnych rzeczy, ale i tak zawsze będę przede wszystkim menedżerem Dezertera. Nie powiem, to miłe, przypomina pewną ideę, w pewnym sensie uszlachetnia.

Może White też się chce tak poczuć, chce, by ludzie kojarzyli go z czymś buntowniczym i szlachetnym?

Mieli naprawdę dobry materiał, ale było jedno „ale”. Nie wiadomo, czy uda im się nagrać kogoś z zespołu, do tego program coraz bardziej stawał się benefisem Zdzisławy Dworzak. Nawet Misiewiczowi się podobało.

\* \* \*

Jaga i Wojtek montowali program, a Joanna była już w domu. Była sama, bo Artur pojechał razem z sierżantem Wiśniewskim pokazywać gościowi z Japonii Warszawę. Pewnie wróci nad ranem. Sejmowy dzień ją wyczerpał, przysypiała, kiedy obudził ją telefon, wyświetlił się numer Sebastiana Kosztela, rzecznika klubu sejmowego, którego jedną z gwiazd była Zdzisława Dworzak. Kosztel był słodziakiem i kawałem drania w jednym. Dziennikarzom lukrował, tak jakby miał do nich szacunek i uznanie dla ich ciężkiej pracy. W pierwszych słowach jego wystąpień byli porządni i mieli rację, ale...

To „ale” mówił z wyrazem twarzy, który Misiek zdefiniował krótko: „Z takim uśmiechem mógłby reklamować kondomy”. Nie było to odległe skojarzenie, bo akurat ten produkt zajmował ważne miejsce w palecie tematów Kosztela, który wiele ze swoich wystąpień poświęcał tematyce antykoncepcji. Był gorącym zwolennikiem jej całkowitego zakazu, a na pytanie, czy także prezerwatyw, które chronią przed chorobami wenerycznymi i AIDS, wypalił bez namysłu:

– Niech grzesznicy rozważą ryzyko, może to przemówi im do zdegenerowanych rozumów!

Sam siebie dawał jako przykład wzorowego ojca wielodzietnej rodziny, ale było tajemnicą poliszynela, że nie były mu obce skoki w bok, a asystentki i stażystki nie wyglądały na dziewczęta z kółka różańcowego. Paru polityków i dziennikarzy próbowało mu nadać przydomek Sebek Guma, ale uratowało go nazwisko, tyleż

charakterystyczne, co pasujące do rumianej, gładkiej i pyzatej twarzy. Nie było innej opcji i Sebastian Kosztel nie został Gumą, tylko Jabłuszkiem. W ławach rządowych Złotym, a w opozycyjnej części sejmu – Zgniłym. Nacisnęła ikonkę z zieloną słuchawką i czekała na to, jak do jej uszu spłynie słodki i lepki jabłkowy syrop.

– Dzień dobry, panie rzeczniku – Joanna zaczęła neutralnym tonem.

– Co jej zrobiłaś? – rozległ się wężowy syk. Jabłuszko przeszedł do niespodziewanej ofensywy. Nie było gry wstępnej, przymilania się, by przejść do sączenia słodkiego jadu. Joannę zamurowało.

– Słucham?!

Wiedziała, że Kosztel to kawał drania, który trzęsie biurami partii i potrafi rozstawiać po kątach nawet, zdawałoby się, nietykalnych polityków, ale w stosunku do prasy był zawsze miły i uprzejmy, nawet gdy zarzucał kłamstwa, oskarżał o sprzyjanie obcym siłom, wrogi stosunek do Polski i przyjmowanie pieniędzy od obcej agentury. Wszystko to robił w sposób gładki i z miną zadowolonego z siebie prymusa.

– Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz, o co cię pytam?! – wydarł się na nią Kosztel.

– Nie wiem i nie jesteśmy na ty! – Naprawdę nie wiedziała, a do tego była zaskoczona niespodziewanym tonem, którego użył Jabłuszko.

– Ale możemy być, za pół godziny w naszym biurze, sprawa jest pilna! – Sebastian Kosztel powiedział ostatnie zdanie swoim słodkim, urzędowym tonem: – Proszę bez kamery, nagrywania i tak dalej, do zobaczenia!

Zatkało ją i nie wiedziała, co z tym zrobić, do partyjnego biura zapraszano tylko „swoich” dziennikarzy, tacy jak ona mogli przychodzić tylko na konferencje prasowe, które zresztą rzadko odbywały się w budynku, gdzie kiedyś mieściła się piekarnia. Nie miała żadnego obowiązku tam jechać, ale nie mogła też zrobić z tego powodu jakiejś afery. Na pewno zabiorą jej wszystko, co może służyć do rejestracji rozmowy, bo mieli lepszą ochronę niż większość ministrów, może tylko szef rządu i prezydent mogli się równać.

Co z tego będzie miała? Może zrobią jej zdjęcie, bo to ustawka i pokażą w jakimś brukowcu z komentarzem: „Joanna Becker z tajemniczą wizytą”. Ale ciekawość była silniejsza, w końcu mają się spotkać TAM, to znaczy, że usłyszy coś, co nie ma prawa wyjść poza tamte drzwi, coś, czego nie będzie mogła powtórzyć, bo nie będzie miała na to dowodów. Co robić?

\* \* \*

Artur, Wiśnia i Azuma dopiero się rozkręcali. Sprawa była praktycznie zamknięta, a komisarz z sierżantem bronili honoru polskiej policji. Mieli pokazać inspektorowi Warszawę i mieli na to trzy dni! To jest służba, tak można pracować!

Zbliżała się dziewiąta, a Artura nie było jeszcze w domu. Rutyna. Nie mogła mieć do niego pretensji, bo sama zasuwała po godzinach. Byli jak para chomików, które biegły w dwóch różnych bębnach i tylko od czasu do czasu spotykały się razem. Nie był to związek idealny, ale lepszy taki niż żaden. Inny facet by tego nie zrozumiał, a ona była chyba jedyną kobietą, która zносиła jego wieczną nieobecność.

Spali razem, zaczynali dzień od wspólnego śniadania, a parę razy w tygodni jedli obiad lub kolację. Wariactwo, ale w dzisiejszych czasach wcale nie oryginalne, tysiące, dziesiątki, a może i setki tysięcy ludzi w Polsce tak żyły. Korpo regulowało życie, praca niszczyła związki. Zawsze mogło być gorzej, bo mogli mieć zajęcie, które nie byłoby ich pasją, a w najczarniejszym scenariuszu mogli dzielić boks w *open space*.

Nie zawracała Arturowi głowy, zadzwoniła do Miśka. Mieli pojechać razem pod Piekarnię. Michał zostanie w aucie na czatach i będzie się rozglądał, czy to rzeczywiście nie ustawka.

– Prawie dziesiąta wieczorem – powiedział, kiedy spotkali się na mieście.

– Dziwi cię to? Sejm pracuje nocą, właśnie mają przerwę śniadaniową.



– No tak, śniadanie jedzą o dziewiątej, o dziesiątej odpalają decydujące obrady, coś około pierwszej jedzą obiad, nad ranem wcinają kolację, później głosują i idą do domu spać. Nocne marki – prychnął Misiek.

Zwykle pod Piekarnią stało dużo aut należących do prasy, nierzadko telewizyjne i radiowe wozy transmisyjne. Nawet nocą bywało tłoczno, kiedy zarządzano spotkanie na szczycie dotyczącym jakiegoś kryzysu. Niewiele można było nagrać, ale trzeba było próbować, bo dziennikarstwo polega głównie na czekaniu. Czasem zdarzały się rarytasy, wybuch zdenerwowania któregoś z polityków, celowała w tym Zdzisława Dworzak, albo jakieś wypowiedzi od czapy, to była specjalność jednego z członków partyjnego zarządu, nazywanego Lodołamaczem, Henryka Dubiela, lub absolutne specjały, jak stłuczka rządowych limuzyn, których kierowcy przeciskali się na ciasnym podejździe.

Tym razem pod Piekarnią było pusto, hulał wiatr, w przerośni i dosłownie. Brzydka pogoda i pustki. Jeśli miałby się dziś pojawić dziennikarz, to musiałby to być jakiś prasowy głupek, który nie wiedział, że wszystko, co najciekawsze, działo się w sejmie. Lider miał wygłosić przemówienie na temat skandalu, który wybuchł wokół jednego z ministerstw, a później opozycja miała zrobić swoją szarżę polegającą na kolejnej, groteskowej próbie odwołania skompromitowanego ministra. Do tej pory nie udało się to ani razu, gdyż arytmetyka sejmowa była nieubłagana. Do tego rządzący zawsze potrafili się zmobilizować na sto procent i sprowadzać na salę nawet ciężko chorych posłów. Tego nie dało się powiedzieć o opozycji, w której szeregach panowała dyscyplina zbliżona do tej panującej podczas rozrywkowego korpowyjazdu w ramach integracji. Zaparkowała swojego mini, Misiek klepnął ją na pożegnanie w ramię.

55 *Za zdrowie pań*, wyk. Edward Hulewicz, sł. Andrzej Kudelski, muz. Jarosław Kukulski i Janusz Sławiński.

56 *Anarchy in The UK*, wyk. Sex Pistols, sł. i muz. Paul Cook, Steve Jones, John Lydon, Glen Matlock.

# Rozdział 31

*Czekamy na sygnał  
Czekamy na sygnał  
Czekamy na sygnał  
Z Centrali (...)  
Centrala nas ocali[57]*

## EIGHTIES

Matka była taka cwana, te wszystkie badania lekarskie to nie dla zdrowia, tylko dlatego że chciała pierwsza wiedzieć, chciała kontrolować, jak to mówiła, „trzymać rękę na pulsie”. I udało się jej. Zanim to do niej dotarło, matka wszystko zorganizowała – wyjazd i skrobankę tak, żeby nie zawaliła szkoły, żeby się nikt nie zorientował.

– Źle, że teraz się to trafiło, nie mogłaś doczekać do wakacji? – warczała na nią. – Czyje to?

Nie wiedziała więc wszystkiego. Ona też nie miała pojęcia, czyje mogło być dziecko. Nawet nie chciała wiedzieć, nie potrafiła sobie wymyślić, wymarzyć, wybrać żadnego z nich. Może tak najbardziej to Wiesiek, ale ten odpadał. Nie rzuci Maryi dla Suzi, nie ma na co liczyć.

– Na środę albo czwartek wielkanocny masz termin, tak prawie na ostatnią chwilę. W tym roku późno, siódmego kwietnia Wielkanoc. W góry pojedziesz, wyjazd świąteczny przedłużysz, wrócisz po tygodniu i nie będzie śladu. Rozumiesz?

Nie, nie rozumiała. Bo był jeszcze Wiesiek. Była raz u niego. Nie skończyło się to dobrze, bo powiedział jej, że nie mogą być już

razem. Miał przyzwoitkę, złą, starą siostrę z sąsiedniego zakonu. Niby chodziła mu gotować obiady, ale była jego kościelnym gestapo. Musiał się wynieść, ale teraz to było co innego, może to było jego dziecko. Czyje, jak nie jego? Clasha, którego by to przerosło, a może Blacka, który tak czy inaczej zaćpałby się? Poszła na pociąg, po drodze na przystanek przechodziła koło kościoła, na murze przy bramie wisiała klepsydra. Wtedy zrozumiała, że to koniec. Wiesiek zginął pod kołami pociągu, nie było do kogo jechać, nie było nikogo, kto by ją ocalił i jej dziecko. Od teraz była bezwolna, poddawała się temu, co mówiła matka.

## 2020

Faceci słusznego wzrostu, dobierani chyba po to, by Lider, idąc między nimi, ginął jak krasnal w stuletnim borze i był tym samym niedostrzegalny dla snajperów, aparatura jak na lotnisku, skanery, bajery, pełna profeska. Nie miała przy sobie nic, co mogłoby służyć nagraniu rozmowy z Kosztelą. Weszła do jego gabinetu, który był połączony z małą salą konferencyjną.

Stał na końcu stołu. Rumiany, pyzaty, gładki, z nienaganną fryzurą, jakby układał ją perukarz Jerzego Połomskiego. Skojarzenie nie było na wyrost, Kosztel łyślał, ale partyjny stylistą układał włosy perfekcyjnie. Podobnie jak Połomski dobrze radził sobie na estradzie, choć już od lat nie śpiewał. Jako nastolatek miał epizod w telewizyjnym, dziecięcym show redakcji katolickiej. Jabłuszko był tam liderem boysbandu, który w rytmie disco polo przekazywał najmłodszym słowo na niedzielę. Później zgubiła go otyłość, z którą poradził sobie zbyt późno, by zaistnieć jako gwiazda piosenki młodzieżowej, został więc dziennikarzem i konferansjerem, a później radnym, aż w końcu ktoś go wypatrzył jako człowieka, który może poprowadzić lokalną konwencję.

To był wielki sukces, po którym żadna lokalna impreza partii nie mogła się obyć bez udziału Sebastiana Kosztela. Nikt tak jak on nie

prowadził konwencji, nikt tak jak on nie potrafił stworzyć atmosfery, która balansowała na granicy wiecu, festynu i spotkania modlitewnego. Był energiczny, potrafił jak trzeba być rubaszny, umiał pięknie zaintonować dowolną pieśń i hasło, rzucał tłumowi uprzednio przygotowane slogany i ze wzruszeniem mówił o liderze. Potrafił rozbijać całą salę – na każdym spotkaniu czekano na *Sto lat*, zawsze to było jego zwieńczenie, eksplozja dobrego nastroju będącego mieszanką triumfalizmu z biesiadnym braterstwem.

Kosztel powitał ją z uśmiechem, nisko pochylając głowę, strzelając obcasami i ściskając dłoń w sam raz, ani za słabo, ani za mocno.

– Przepraszam za ten początek...

– Trochę mnie zdziwił, nie powiem.

– Mnie też dziwi, co się dzieje, nie tylko zresztą mnie... Jeszcze raz przepraszam i jak mówiłem – tu Jabłuszko zakłopotał się nieco – proponuję przejście na ty...

*Master of Ceremony* i wpływowy polityk partii rządzącej przyjął wyczekującą pozę. Strzepnąć tę propozycję jak dżdżownicę, która spadła z drzewa na ramię, czy też przyjąć? Nikt z mediów przeklętych nie był z nim na ty, tylko ci z wyklętych, czyli słusznych. Czują się trochę, oczywiście zachowując pewne proporcje, jak opozycjoniści pijący w Magdalence wódkę z Kiszczakiem. Polano im, a oni nie odmówili:

– Sebastian... – Jabłuszko nie usłyszał, więc wysłodził swe imię i szykował się do podania ręki.

„Życie” – pomyślała i przypomniała sobie, że jedni pili, a drudzy pili i mówili, że udawali.

– Joanna. – Podała rękę i oszczędnie się uśmiechnęła.

– Sytuacja jest skomplikowana. Skomplikowana i trudna... przerastająca moje kompetencje, zatem...

– Zatem co?

– Ja tylko aranżuję spotkanie, będę obecny, żeby obie strony czuły się komfortowo...

– Co jest grane, Jabłuszko?

– Sprawa jest na tyle poważna, że chce z tobą rozmawiać poseł Bronisław Staliński.

– Teflonowy Broniek? – znów powiedziała o jedno zdanie za dużo, ale nie mogła się powstrzymać.

Bronisław Staliński, nazywany Teflonowym Bronkiem, był tylko i aż członkiem sejmowej komisji do spraw służb, ale jego kompetencje i możliwości były o wiele, wiele większe. Nie był jak Jabłuszko typem polityka z Hollywood, nie był uśmiechnięty ani dobrze ubrany, chyba że porywał się na coś drogiego, co kończyło się kreacją dającą się opisać krótko: prowincjonalny przepych.

Nawet jeśli mówił o Liderze, na jego ustach pojawiał się ledwie cień uśmiechu, jego typowa mina przypominała pysk dobermana, który ma właśnie odgryźć komuś nogę. I podobnie jak doberman w świecie psów, nie słynął ze szczególnej inteligencji. Doberman nie ucą się nowych sztuczek tak szybko jak pudle, nie są tak dobrze ułożone jak owczarki alzackie, ale bywa, że potrafią być wierne jak kundle ze schroniska. Staliński był właśnie jak taka psia sierota wyciągnięta ze schroniska.

W czasach PRL nie był w opozycji, a po 1989 roku zmieniał partie jak rękawiczki. Nikt nie wie, jak przykleił się do Lidera, jak znalazł się w kręgu jego zaufanych ludzi i jak ze zwykłego posła stał się etatowym specjalistą od służb specjalnych. Dziwna to była postać, bez przyjaciół, bez zaplecza politycznego, bez życiorysu, ale za to cieszący się sympatią najważniejszej osoby w partii. Kosztel nie zdążył nic powiedzieć, bo drzwi uchyliły się i na salę wszedł Staliński.

W znoszonym garniturze, rozdeptanych butach, zszarzałej koszuli, której koniuszki kołnierzyka wywijały się w górę, oraz krawacie ze śladami wielokrotnego użycia podczas posiłków. Pięćdziesięcioparoletni, z nadwagą, łupieżem na przetłuszczonych włosach był jak negatyw sztywnego trzydziestoparolatka, którym był Jabłuszko. Partyjny konferansjer był w doskonałym garniturze, z którego kieszeni wystawała jedwabna poszetka. Zakup jego lśniących butów można byłoby sfinansować z miesięcznego programu pomocy wielodzietnym rodzinom, pod warunkiem że miałyby się przynajmniej piątkę nieletnich pociech.

– Dziękuję za przyjęcie zaproszenia – powiedział bez cienia uśmiechu, po czym usiadł w fotelu.

– Proszę podziękować panu rzecznikowi, bo to on zapraszał, a ja przyjechałam do niego.

– No to zaczynamy. I co? – Staliński był tak obcesowy, że Joanna postanowiła dać mu to do zrozumienia.

– Czyli włączyliście szumidła? – zapytała z kpiącą miną.

Teflonowy Broniek spojrzał na nią spode łba i powiedział:

– Ta złośliwość była niepotrzebna.

– U pana występuje za to totalny deficyt uprzejmości. – Po minie Stalińskiego nie było widać, że zrozumiał, o co jej chodzi. – Czuję się jak na jakimś cholernym przesłuchaniu.

– Seba, podaj kawę, jakąś wodę, może sok.

– Poproszę o zieloną herbatę i coś, co mi się należy od samego początku. Dlaczego chce pan ze mną rozmawiać? Tu, o tej porze, tak nagle?

– Nie wie pani?! – Teflonowy Broniek przeciągnął się w fotelu.

– Nie wiem.

– Żartuje pani!

– Nie żartuję. Czy może chodzi o sprawę ministra Dłużewskiego?

– Słucham? – Teflonowy Broniek uśmiechnął się nerwowo.

„Uderz w stół, a nożyce się odezwą” – pomyślała Joanna.

– To jak nie w tej sprawie, to w jakiej? Chodzi może o projekt Twardowski, studium wykonalności dla szybkiej kolei X i realne, prawdziwe dane o opłacalności tras Szczecin — Rzeszów i Białystok – Wrocław i...? – tak sobie rzuciła, ale i tym razem „nożyce” się odezwały.

– To fałszywe oskarżenie! – Bronisław Staliński znów wykazał się niepotrzebną nerwowością.

„Ale ja pana o nic nie oskarżam” – pomyślała, że Dłużewski i kolej X mogą być nowymi trupami w partyjnej szafie. Aż jej się to spodobało i miała ochotę na dalsze prowokacje, o co by go zapytać? Nie spytała, bo Jabłuszko pośpieszył swojemu szefowi na ratunek.

– Przecież przez telefon pytałem się, co jej powiedziałaś?! Dworzakowej. Co takiego powiedziałaś, że się tak zdenerwowała!

– Aaaa... – Uśmiechnęła się, jakby była blondynką, która dowiaduje się, że za słowami „bezpieczny seks” nie kryje się zamknięcie na klucz drzwi do sypialni. – Chodzi o moją próbę rozmowy z posłanką Dworzak?

– Dokładnie. Pani nie biega do sejmu, pani nie pojawia się już od lat na konferencjach prasowych, pani robi telewizję, nie wychodząc ze studia, czemu zatem ten nagły, że się tak wyrażę, powrót do źródeł? – Teflonowy Broniek odzyskał fason.

– Panowie mnie śledzą? – zapytała z udawanym oburzeniem, a później dodała: – To naprawdę taka sensacja, że osobisty doradca przewodniczącego, człowiek, który ma większy wpływ na służby niż minister, osobiście interesuje się moim życiem zawodowym?

– Pani się przecenia, chodzi nam o posłankę Dworzak, co takiego jej pani powiedziała, że zniknęła, to był jakiś szantaż? – Teflonowy dobrze się czuł w roli przesłuchującego.

Joanna zrobiła zdziwioną minę, nawet uśmiechnęła się niewinnie. Jabłuszko znów wkroczył do akcji:

– Joanno, mamy następujące równanie: znana dziennikarka po kilku latach nieobecności przychodzi do sejmu i rozmawia z posłanką, a wynik jest taki, że posłanka znika z sejmu, nie bierze udziału w obradach po raz pierwszy od wielu lat, nie ma jej na głosowaniu w sprawie odwołania ministra zdrowia i nie odpowiada na telefony, mimo że jutro jest kolejne ważne głosowanie!

– I tak wygracie te głosowanie, bo gamonie z opozycji nie tylko mają mniej głosów, ale i nigdy się nie stawiają się w komplecie – próbowała odwrócić kota ogonem.

– Doskonale wiesz, że Dworzak nie opuściła do tej pory żadnego głosowania przez te jej cztery kadencje w sejmie.

Fakt, kilka lat temu prasę obieżyły zdjęcia posłanki Dworzak, którą przywieziono do sejmu na noszach. Krzyczała wtedy, że umiera, ale jeszcze przed śmiercią zagłosuje, tak by dać świadectwo, że zaprotestowała przeciwko zbrodniczej polityce polskojęzycznego rządu, którym kierują kanclerz Niemiec i prezydent Rosji. Potrafiła przyjechać ze szpitala na przegrane głosowanie, a teraz nie było jej w sejmie. Nie są idiotami, żeby nie łączyć tego z nią.



– Przymierzam się do programu o morderstwach politycznych, wiem, wszyscy wiedzą o relacjach, które w młodości łączyły Zdzisławę Dworzak z księdzem Wiesławem... Zawsze była z tego dumna, chciałam ją zaprosić do programu.

– I o to chodziło?

– Tak, zapytałam o niego, a potem się na mnie rzuciła.

– Serio?

– Nie pytałam ani o znajomość z księdzem Olszyńskim, ani o fundację Prasa Biało-Czerwona, ani o udział w wycieczce delegacji komisji edukacji do Iranu... W końcu jako zadeklarowana katoliczka miała prawo wzbudzać sensację wizytą w kraju ajatollahów i zdjęciami w chuście.

– To było zaproszenie ze strony irańskiej... – zaczął zawodowy adwokat diabła, czyli rzecznik Kosztel.

– Ze strony Islamskiej Republiki Iranu?

– Dyplomacja i utrzymywanie kontaktów to rzecz święta!

– Zwłaszcza w kręgu fundamentalistów religijnych!

– A sprawa księdza Olszyńskiego przesadzona, szyta grubymi nićmi, lekkie mizianie i takie tam – włączył się Teflonowy. – Zresztą każdy zna jakiegoś księdza, żyjemy w katolickim kraju, a rzekoma afera PBC to temat zastępczy, wymyślony przez opozycję!

– A może jest rozczarowana brakiem poparcia dla profesora Wróbla albo chodzi o La Vallettę?

– O co? – Kosztel zagrał jak wytrwany aktor.

– Przecież wiem...

– Fakt, obiecano jej honor bycia ambasadorem Rzeczypospolitej na Malcie, ale niestety... – Teflonowy rozłożył ręce. – Inwestujemy w przyszłość Polek i Polaków i nie stać nas w tej chwili na otworzenie placówki. Wszystkie sprawy załatwia ambasada w Rzymie, słabo, ale...

– Wiem, wiem, ambasada w La Valletcie przegrała z programem budowy polskiego autobusu na prąd, który ruszy na trasy PKS, by ukrócić wykluczenia komunikacyjne?

– Widzę, że nie chce nam pani pomóc! Dziękuję za poświęcony czas. – Teflonowy Bronek zakończył spotkanie, a Kosztel

odprowadził ją do wyjścia.

– Kolejna niepotrzebna złośliwość, Joanno – powiedział z teatralnym bólem w głosie.

– Raczej kolejna niepotrzebna deklaracja, jakby je zebrać razem, to w przyszłym miesiącu z Międzykontynentalnego Narodowego Portu Komunikacyjnego pod Łodzią powinien odpłynąć pierwszy elektryczny PKS do Chicago? Współczuję ci, że musisz później prostować te bzdury.

– Są pewne opóźnienia...

– Naprawdę ci współczuję, to nie jest warte żadnych pieniędzy.

– A idee? – Jabłuszko był niezatapialny.

– *Śmierć za idee...*

– Śmierć?

– Taka płyta.

– Czyja?

– Zespołu Reprezentacyjnego.

– Wojska Polskiego?

– Nie, Georges'a Brassensa.

– Francuz?

– Nie, Polak.

– Nie rozumiem.

– Wiem, że nie rozumiesz, ale na pewno wygooglujesz, za to ja nie wygoogluję, jak można robić to, co ty robisz. Do widzenia – powiedziała i wyszła z Piekarni.

Zaraz po jej wyjściu Sebastian Kosztel wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął chaotycznie wystukiwać hasła: Brassens, *Śmierć za idee*. Wskoczyło mu nazwa Zespół Reprezentacyjny. Nie znał, ale już wiedział, nagrali płytę *Śmierć za idee*, zawierająca przede wszystkim utwory francuskiego barda Georges'a Brassensa. Odpalił muzykę, nie w jego stylu, zawracanie głowy, ciekawostką było dwóch muzyków, których znał z telewizji: Gugąła i Łobodziński! A idee? On nie miał zamiaru umierać za nie, na pewno nie!

\* \* \*

Joanna wyszła z siedziby Porozumienia i zobaczyła, że Misiek stoi przed jej mini, przyparty do auta przed dwóch mundurowych policjantów.

– Dobrze, że jesteś! – zawołał do niej.

– Czy to pani auto? – spytał niższy z policjantów.

– Tak!

– Zna pani tego człowieka? – tym razem pytał wyższy.

– Przyjechałam z nim.

Nie była to wiadomość, na którą czekali policjanci.

– Na pewno? – niższy zapytał, jakby liczył na to, że tym razem odpowiedź będzie inna. Nie była.

– Na pewno go przywiozłam, na pewno go znam, pracujemy zresztą w tej samej firmie.

– Czyli w telewizji... – Wyższy z policjantów rozpoznał w Joannie dziennikarkę z okienka.

„Brawo, Sherlocku” – chciała mu odpowiedzieć, ale nie zdążyła.

– Romek... – jęknął niższy. – Musimy odwołać posiłki.

– Za późno – powiedział Romek. – Już są.

Na końcu ulicy rozległ się dźwięk syreny, który narastał wraz ze zbliżaniem się w ich kierunku policyjnego radiowozu. Niebieski kogut rozświetlał ściany domów, a kiedy pojazd był jakieś sto metrów od nich, załoga wyłączyła koguta, była to furgonetka z miejscem dla aresztanta.

– Chcieli mnie przewieźć lodówką – zaśmiał się Misiek.

– Co zrobiłeś? – zapytała Joanna.

– Nic.

– Jak to nic?

– Proszę nie zmyślać – fuknął policjant Romek.

– Niech pan lepiej grzeje do kolegów, bo przybiegną tu galopem, rzucą na glebę i skują.

Marian miał już coś odpowiedzieć, ale z furgonetki wyskoczyło kilku policjantów w kombinezonach.

– Odwołuję wezwanie – wykrzyczał Romek.

– To pomyłka – wtórował mu niższy kolega.

Ateki podeszli do nich i zaczęła się rozmowa, gestykulowali, leciały przytłumione przekleństwa.

– Nic tu po nas, jakby mieli Romka i jego kumpla rzucić na glebę, to bym został, a na zwykły opierdół nie chce mi się patrzeć.

– Co zrobiłeś? – zapytała Joanna, gdy wsiadali do samochodu.

– Chciałem zajarać, więc byłem grzeczny i zrobiłem to poza samochodem. Stałem za drzewem i paliłem, a jak skończyłem, to wsiadłem z powrotem do samochodu. Wypadła mi zapalniczka, jak wsiadałem, więc sobie poświeciłem telefonem i wtedy te dwie pały zauważyły mnie i ruszyły. Myśleli, że okradam samochód, najwidoczniej wcześniej mnie nie widzieli.

– Żartujesz?

– Nie żartuję! Przecież wezwali kominiarzy! Nie miałem dokumentów i gdybyś nie przyszła, toby mnie skuli i odesłali na dołek!

– Może byś spotkał Artura?

Pośmiali się chwilę, Joanna odpaliła samochód i ruszyli. Nie ujechali nawet paru metrów, kiedy na ulicę wyskoczył niższy z policjantów.

– A pani dokąd?

– Do domu!

– Nie za bardzo się pani śpieszy? – Przy drzwiach wyrósł wyższy z policjantów.

– A co, chcieli panowie przeprosić redaktora Misiewicza?

– Proszę poczekać – warknął i wrócił do ateków.

– O co mu chodzi? – spytała Joanna.

– Kompletnie nie wiem, pozostaje nam czekać i patrzeć, jak kominiarze opierdalają krawężniki.

Policjanci z oddziału specjalnego nie mieli czasu na pogaduszki, więc zakończyli sprawę błyskawicznie. Zapakowali się do auta i odjechali, Romek ruszył w ich kierunku i po chwili był przy drzwiach.

– A czy pani wie, że tu nie można parkować?

– Wiem, ale...

– Normalnie to bym panią tylko pouczył, ale chciała pani uciec z miejsca wykroczenia...

– Zwykle tego nie robię i normalnie bym panu wyjaśniła, że najpierw powinien pan przeprosić za zamieszanie, ale zachował się pan fatalnie, zatem... – Już kiedy policjant mówił, wcisnęła numer do Kosztela i ustawiła rozmowę na głośnomówiący.

– Halo, coś sobie przypomniałaś? – rozległ się głos Kosztela.

– Nie, ale mam sprawę, czy jest jeszcze u ciebie poseł Staliński?

Romek zrobił się błąd jak ściana. To miał być spokojny, leniwy dyżur.

– Mogę go zawołać, a w czym rzecz? – wysłodził Kosztel.

– Chciałam się upewnić, że goście twoi i posła Stalińskiego, mogą stawać na kopercie.

– Oczywiście, że mogą, ale czy koniecznie chcesz go o to pytać? Czy masz jakiś problem? Halo, Joanna?

Joanna spojrzała na Romka, ten zamachał rękoma, co odczytała, że nie ma już żadnego problemu.

– Nic, tak się tylko pytałam na przyszłość.

Policjanci oddalili się od miniaka Joanny na bezpieczną odległość, teraz sytuacja się odwróciła, to jej się nie spieszyło, a oni chcieli, by odjechała jak najszybciej. W końcu ruszyła, streściła Miśkowi, co się działo w Piekarni. Po przejechaniu kilku przecznic przerwała i powiedziała:

– Mam wrażenie, że ten superb jedzie za nami.

– Masz manię prześladowczą.

– Nie, ale jest dość mały ruch i mam wrażenie, że cały czas go widzę.

– Zrób trasę sprawdzeniową.

– Co?

– Nie czytałaś Severskiego?

– Ach tak!

Przypomniała sobie znaczenie słów. Zamiast jechać Marszałkowską i dalej Waryńskiego do Riwery objechała plac Konstytucji i skręciła w Koszykową, tam na miniaturowym rondku zakręciła w stronę placu Trzech Krzyży.

– Oni za nami jadą! – Misiek uwierzył w to, co wydawało mu się pomyłką Joanny: – No, kurwa, jadą!

– Co robić?

– Dzwonić po policję?

– Do policji, że goni nas bezpieka? A może tylko straszą?

– Zaraz skończą się światła przy Pięknej, zwolnij, jakbyś skręcała w Chopina, i daj gazu!

Dała i... zamiast na późnym żółtym przy pierwszym błysnięciu czerwonego skręcić w Piękną, dała po hamulcach tak, że Misiek o mało nie przydzwonił głową w deskę rozdzielczą. Para, która szła chodnikiem, aż podskoczyła, bo opony zapiszczały jak podczas popisu jakiegoś dresa w golfie.

– Skręcili w Chopina! – wyjaśniła Miśkowi.

– Ufff, a może mamy manię prześladowczą?

Zmieniły się światła, ruszyli spokojnie i bez szaleństw, ale Joanna dalej zerkąła za siebie. Kiedy dojechała do domu, chciała o wszystkim porozmawiać z Arturem. Nie zasnęła, czekała na niego, siedząc, żeby nie zasnąć, była czujna jak żona, która w komediach albo na satyrycznych rysunkach czyha na męża z wałkiem w ręku. W końcu przyszedł, była druga w nocy, z trudem powstrzymywała wściekłość, ale jakoś dała radę. Postanowiła, że najpierw da mu się wygadać, to będzie zamiast liczenia do dziesięciu na uspokojenie.

– Inspektor Azuma to teraz oficjalny gość Komendy Głównej i ministerstwa, strasznie się sprężyli, chcieli nawet oddelegować oficera prasowego, ale Japończyk poprosił, żeby ci sami ludzie prowadzili go od przylotu do wylotu. Szanuję to, równy chłop. Jak tylko Azuma zidentyfikował zwłoki, to powiedział, że wszystko jasne. Prawie wszystko. Poszliśmy na piwo, ale ja zaproponowałem, że najpierw my powiemy, co wiemy. Zdziwił się i z ciekawością słuchał.

Powiedziałem o tym, że pan Kasai wiódł tu spokojne życie, miał nawet rodzinę, choć... wynajętą. Wielu samotnych Japończyków tak robi. Ze swoją rodziną spotykał się w poniedziałki, w całej tej szopce uczestniczył jego udawany teść, czyli emerytowany aktor Tadeusz Dzieciołowski, ten sam, który zagrał w reklamie herbatki i udawał na zdjęciu wujka posłanki Dworzak. Doszedłem też do tego, że Kasai

nie był zwykłym restauratorem, dwa razy postawił się, raz nawet stłukł trzech facetów.

Ale najważniejsze, że popełnił honorowe samobójstwo. Japonistka, z którą rozmawiałem, uświadomiła mi, że kiedy Japończyk odbiera sobie życie i wbija nóż we wnętrzności, jego asystent-sekundant ścina mu głowę, by zaoszczędzić cierpień. Inspektor Azuma był pod wrażeniem.

Okazało się, że pan Kasai nabroił. Pochodził z japońskiej kasty burakuminów. Kilka milionów ludzi, którzy są potomkami garbarzy, sprzątaczy, grabarzy i rzeźników. Oni i Koreańczycy są na marginesie i najłatwiej im zrobić karierę w yakuzie. Kasai został księgowym w gangu, ale sprzeniewierzył pieniądze, bo wpadł w długi hazardowe. Przeszedł jednak do konkurencji z kasą. Przyjęli go, bo była wojna gangów, ale dla spokoju wysłali tu, wraz z obstawą. Niestety wojna się skończyła i na znak pokoju poświęcono go. Nie wiadomo tylko, dlaczego zginął też jeden z kucharzy. Niezła historia, prawda?

– Naprawdę chcesz posłuchać niezłej historii?

# Rozdział 32

*Nie zmienimy nic na pewno już  
Pamięć o nas skłamię  
Chodźmy spać nie róbmy nic*[58]

## EIGHTIES

Zdzisława Dworzak siedziała wraz z matką w poczekalni kliniki rządowej przy skrzyżowaniu Emilii Plater i Hożej. Na stoliku leżały nie tylko „Trybuna Ludu” i „Życie Warszawy”, ale także „Gazeta Wyborcza” i „Tygodnik Solidarność”, najświeższe, dzisiejsze miały datę 12 września 1989 roku. Nowe tytuły pojawiły się w urzędach i szpitalach zaraz po czerwcowych wyborach. PZPR poniosła klęskę, a wraz z nią Stanisław Dworzak. Jego start w wyborach zakończył się porażką i trzydniowym pijaństwem, po którym źle się poczuł. Przepił to i znów był gotowy, choć coraz mniej rozumiał na co. Na początku lipca wkurwił się nie na żarty, bo żydek Michnik ośmielił się w swojej koszernej gazecie dać wstępniaka, w którym postulował „sojusz demokratycznej opozycji z reformatorskim skrzydłem obozu władzy”. Wasz prezydent, nasz premier! Z chujami na głowy się w tej „Wybiórczej” pozamieniali.

Nadal wierzył, że partyjny beton uspokoi ten bajzel i nie uważał, że trzeba im dać władzę, bo jak zaczną wprowadzać niepopularne zmiany w gospodarce, to wyjebią się kołami do góry. Czuli to, nawet Mazower napisał w „Tysolu”: „Spiesz się powoli”. To było czternastego lipca, ale już miesiąc później ten sam Mazowiecki miał być premierem Solidarności! Zebrało się paru towarzyszy, chcieli



zrobić ferment, ale wszyscy, nawet esbecy od Kiszczaka, odwrócili się tyłem.

Zamiast zwarciem szeregów skończyło się pijaństwem. Jeszcze większym niż poprzednio. Znów się źle poczuł, ale pomyślał, że to od wkurwu, który go dopadł. Nie odstawił alkoholu i po raz kolejny spił się jak bela na dzień przed expose premiera Mazowieckiego. Jedenastego września karetka zabrała go z domu, tym razem nie było wątpliwości, to nie wkurw, to nie upodlenie się wódką do spodu, tylko rozległy zawał serca. Był już prawie na tamtym świecie, ale jakoś złego diabli nie biorą. Matkę zupełnie pogięło, zamiast płakać, że się nie przekręcił, że w końcu nie zostawił ich w spokoju, ona ryczała, że nadal leży w szpitalu.

– Zdzisia, kochanie... – Matka chwyciła Suzi za rękę. – Na pewno nie zrozumiesz, bo czemu byś miała, bo ja sama tego nie rozumiem, ale ja... ja kocham tego skurwysyna. – Ścisnęła Suzi za rękę. – Córeczko, powiedz, że wszystko będzie dobrze. Lekarze mówili, że z tego wyjdzie, że to zawał, ciężki zawał, ale że jednak ma silny organizm, że wszystko jest pod kontrolą. Ja widzę, że lepiej jest, siedziałam z nim dzisiaj, więc na pewno będzie dobrze, on zdrowieje. To nim wstrząśnie, on się bardzo zmienił, spokorniał, zrozumiał wiele spraw. Wie, że wódka go zabije, zrozumiał, że ma nas, że kochamy go, że rodzina jest najważniejsza.

– Tak, mamo, na pewno wszystko będzie dobrze. – Suzi odwzajemniła się uściskiem.

– Ja ci to muszę powiedzieć. – Matka prawie wbiła się jej w rękę. – On potrafił być draniem, ale ja nie pozostawałam mu dłużna, wiesz...

Suzi udawała, że nie wie, w sumie nie wiedziała, ale domyślała się, wręcz była tego pewna. Bo to był chory układ. Matka była żoną kacyka, który był najpierw ważny w gminie, później w powiecie, województwie i wreszcie w Warszawie. Pięła się w górę, znosząc jego wybryki, oszustwa i bezwzględność. Za bony i talony, za wyrwanie się z prowincji, za syrenkę, dużego fiata i poloneza, za wyjazdy do Bułgarii i Budapesztu, za wczasy w rządowych i partyjnych ośrodkach, konserwowego Krakusa, paszport. Za mieszkanie ze sprzętami na talony, z kolorowym telewizorem

i założoną od ręki na poczekaniu linię telefoniczną. Za pozycję kolanowo-łokciową, uległą, bierną, a jak trzeba, aktywną. Z czasem bierność oznaczała seks, a aktywność pracę dla domu. Z czasem aktywność oznaczała markowanie roli matki i żony, a aktywność rznięcie się z facetami, którzy dawali obietnice.

Zdzisława kiwnęła głową z udawanym zrozumieniem i odwzajemniła się uściskiem, potem wstała i objęła matkę. Z oczu Bożeny Dworzak popłynęły łzy.

– Prawda, wszystko będzie dobrze... – matka powtarzała te słowa jak mantrę.

– Tak, mamusiu – odpowiedziała Suzi, obejmując ją i patrząc na deszcz płynący po szybach. – Wszystko będzie dobrze. – Pogłaskała matkę po policzku i spojrzała w jej załzawione oczy, głęboko i przenikliwie, tak by dodać jej wiary. – Wszystko będzie dobrze – powtórzyła, choć wiedziała, że nic nie było i nie będzie dobrze.

## 2020

Zniknięcie Zdzisławy Dworzak mogło być polityczną bombą atomową, a oni, mogło się tak okazać, mieli w ręku walizkę i kody do odpalenia pocisku. Robiło się coraz goręcej, wczorajszą absencję jakoś można było wytłumaczyć, ale dziś nie pojawiła się na bardzo ważnym głosowaniu. Co więcej, miała się odbyć dyskusja na temat kandydata na stanowisko ministra kultury.

Teraz znalezienie Suzi Dworzak było najważniejsze, zrobili burzę mózgów, ale zabrakło na niej Jagi. Weszła spóźniona o blisko pół godziny. Nie przeprosiła, tylko od razu spytała:

– Macie jakiś pomysł?

Nie mieli.

– A ja mam. Wiele lat temu był taki reportaż, pewnie mający ocieplić jej wizerunek, o tym, jak przygarnia psy. Pokazany był jej dom na Mokotowie, pełen psów, które wzięła z ulicy, nazywała te znajdy córeczkami i synkami. Cała zgraja biegała po bliźniaku, który

odziedziczyła po rodzicach. Pamiętam, jak biegały po salonie i po schodach, jak wypełniały kanapy, wspinały się na łóżka, tarzały się na trawie w ogródku. Nie było ich tyle, co u Violetty Villas albo u Bożeny Wahl, także warunki, przynajmniej tak to wynikało z reportażu, były o niebo lepsze.

– I co w związku z tym? – Joanna powiedziała to głosem, w którym czuć było zniecierpliwienie, bo nie zrozumiała tego wywodu, na dodatek Jaga kojarzyła się jej z konkretem, a tym razem było trochę lania wody.

– Na co dzień mieszka na Mokotowie i tam była realizowana większość materiału, ale w finale wyjeżdża ze swoją sforą na działkę położoną gdzieś w lesie czy na wsi. Wiem, kto robił reportaż, Klaudia Zielińska, już wysłałam do niej esemesa, odpowiedziała, że mnie nie zna...

– Zawsze taka piczka-zasadniczka – syknęła Joanna.

– Po prostu nie zna mnie, a informatycy nie założyli mi jeszcze telewizyjnego konta, ale wysłałam jej prośbę, że jeśli nie wie, kim jestem, to niech to wyśle do ciebie. Przed chwilą wysłałam jej esa – zakończyła.

Jak na zamówienie, rozległ się odgłos przychodzącej wiadomości, Joanna wzięła do ręki telefon.

– Klaudia podała adres: Wilga, Cypisa 10.

– Chyba Cybisa? – zdziwiła się Jaga.

– To nie o malarza chodzi, tylko o Cypisa, syna Rumcajsa – wyjaśnił Misiek, zaśmiewając się.

– Nie znam – niemal jak na zawołanie odpowiedzieli zgodnie Jaga i Wojtek.

– Nie spodziewam się, zły PESEL, to znaczy lepszy. – Joanna się uśmiechnęła. – To postacie z czechosłowackich bajek.

– Cypisa, róg Myszkki Miki? – zażartował Misiek. – I może jeszcze równoległa do Krasnali?

– Myszkki Miki krzyżuje się z Kaczorem Donaldem, a Krasnali idzie po przekątnej, nie byłeś w Wildze? Tam są takie adresy.

– Byłem, ale niewiele pamiętam, kiedyś były porządne melanże: z dostawą pod drzwi i z odwózką.

- Nie snuj alkoholowo-kombatanckich opowieści, tylko zbieraj to wszystko do kupy, nie mamy czasu! – Joanna fuknęła na Miśka.
- A ty dzwoń po Artura – zripostował Michał.
- Czemu?
- Obawiam się, że możemy go potrzebować.
- Sądysz, że tak? A jak ma pojechać z ekipą TV?
- Nie wiem, trzeba coś wymyślić.

W pół godziny później jechali w kierunku Wilgi, w telewizyjnym wanie podróżowali Joanna, Misiek, operator Walczak oraz Jaga i Wojtek. Za nimi jechał policyjny samochód bez oznaczeń prowadzony przez starszego sierżanta Sławomira Wiśniewskiego.

\* \* \*

To było ponad trzydzieści lat temu, ale doskonale pamiętała to popołudnie w klinice przy Emilii Plater. Straciła wszelkie złudzenia już dawno temu. Więzy, które ją łączyły z rodzicami, przetarły się dawno, może nie od razu do końca, ale trzymały się na kilku nitkach, później już tylko na jednej, mocno poszarpanej, ale po śmierci Blacka i Wieśka wszystko puściło. Niech ojciec wyjdzie ze szpitala, niech pójdzie na emeryturę albo rentę, wtedy opuści segment na Mokotowie i pójdzie w świat. Tak wtedy planowała.

Ale stało się inaczej. Źle się stało. W kubku była herbata, ciepła, ale nie gorąca, paręnaście minut temu zaparzona mieszanka czarnej herbaty z earl greyem. Cytryna, dużo cytryny, bo wzmacnia i daje witaminę C. I dwie łyżeczki cukru, lekko wypukłe, takie jak zwykle. Cukier oczywiście biały, żadne tam brązowe, trzcinowe, jeszcze może bawarka z mlekiem sojowym – uśmiechnęła się. Czyżby jeszcze potrafiła się śmiać? Tylko po co? Otworzyła słoiczek, wzięła pełną garść tabletek, ale wsypała je z powrotem do środka.

\* \* \*

Telewizyjny van i policyjna osobówka minęły wieś Wilga i ośrodek wodny, który o tej porze roku zionął pustką. Po drugiej stronie drogi było leśne osiedle, gdzie stało kilkaset domków letniskowych. Zdecydowana większość z nich była o tej porze roku pusta, ich właściciele przyjeżdżali tylko latem. Były jednak wyjątki. Jędrzej Hardt, dziennikarz starej daty, który zamiast kopać się z koniem, czyli korporedakcjami, wybrał niezależność i leśny azyl. Żył jak paru innych mieszkańców tej okolicy z wynajmowania warszawskiego mieszkania i dorabiał, prowadząc firmowe profile facebookowe i jako administrator stron internetowych.

Kominek, czyste, zdrowe powietrze, nalewki, cisza, a jak trzeba, to dobra muzyka rockowa sprawiały, że nie czuł się tu samotny. Wpadali kumple ze starych czasów, a dzisiaj wpadała szczególna delegacja, którą sprowadził mu Michał. Misiek uprzedził Jędrzeja, że kilku kumpli wpadnie tu posiedzieć, popić wódkę i przenocować. I żeby się nie dziwił, bo to gliny. I że jak wszystko ogarnie, to dołączy do nich. Miał czterdzieści minut na posprzątanie, uzupełnienie zapasów w miejscowym sklepiku i wyciągnięcie koców oraz śpiworów. Szykowało się zaskakujące, ale z pewnością miłe popołudnie, bo Misiek Misiewicz był fajny jak mało kto i znał fajnych ludzi.

## **EIGHTIES**

Lekarka wyszła z gabinetu i powiedziała, że pacjent powinien spać jeszcze dwie–trzy godziny. Suzi odwiozła matkę na Mokotów, gdzie dwa lata temu zamieszkali w segmencie. Zaparzyła jej herbaty, dała środki na uspokojenie, położyła spać.

Posiedziała chwilę w domu i ponownie udała się na Emilii Plater. Ojciec nie spał i nie był już bezradnym starym karpiem, którego woda wyrzuciła na brzeg. Nie łapał już łapczywie powietrza, nie jęczał, nie tracił kontaktu z rzeczywistością. Znów był towarzyszem Dworzakiem, jak gdyby nie było czwartego czerwca i zawału.

Siedziała i patrzyła na tego przegranego bydlaka i nawet zaczęła go żałować i szukać w nim szans na pozytywną przemianę. Może jednak można do niego dotrzeć, może w końcu pogodzi się z porażką i zmianami, które musiały w końcu nastąpić. Pewnie pompuje się, pobudza, dodaje otuchy. Stara się znów wejść w galop, przynajmniej w myślach, robić dobrą minę do złej gry po to, by przetrwać.

– Tato... – zaczęła, kładąc mu dłoń na rękę, do której podłączona była kroplówka. – Nie bierz tego do siebie, ale w Polsce musiało się coś zmienić.

Nic nie odpowiedział. Patrzyła na jego twarz, która zastygła jak maska, myślał nad czymś, przymknął oczy jakby na znak, że to wszystko zrozumiał, przegryzł i spróbuje przetrwać. Leżał tak paręnaście sekund i nagle wybuchnął.

– Żle ci było? – zabalgotał. – Żle? Wczasy w Bułgarii, paszport, wyjazd na Zachód, mieszkanie, segment, tyłek miodem smarowałem, a ty?

– Tato, to naprawdę nic osobistego!

– Nic osobistego, docień idiotko, co dla ciebie zrobiłem!

– Tak, tato, doceniam.

Gryzła się w język, żeby nie trzasnąć pięścią w szafkę, żeby nie ryknąć na niego, trzasnąć drzwiami, wyjść i więcej już nie wracać. Uspokoiała się, ale po chwili uspokojenia i milczenia stary znów się nakręcił i znów ruszył do natarcia:

– Nie rozumiecie, ile dla was zrobiłem, ani ty, ani twoja matka, choć może ona nieco bardziej. Wiesz, kim byś była? Nikim! Myślisz, że była z ciebie taka artystka? Przepchnąłem cię do liceum plastycznego. Czy było warto? Nie, nie było, bo spiknęłaś się z tym towarzystwem, z tymi śmieciami! Co by było, gdyby ten pajac z czarnymi włosami nie fiknął z dachu? No, co by było? Nie wiesz? Ja też nie wiem, bo mogłaś też zostać żoną księdza, rodić mu dzieci i mieszkać w sąsiedniej parafii, a potem jakby go przenieśli, tobyś spakowała tobolek, wzięła dzieciaka i ruszyła za nim. Tak mogłaś skończyć, jako wieczna kochanka klechy!

Nie mogła tego znieść, wstała, miała ochotę wyszarpać spod nosa rurki z tlenem, a z ramienia wężyk kroplówki. Ale powstrzymała się,

stała nad nim, dysząc ze złości, nienawidziła go, ale jeszcze nie wiedziała jak bardzo.

– Co zrobiłeś z Wiesławem?

– Przeniosłem go, ha, ha, ha, ha! A co ty myślisz, że tylko generał rozmawiał z prymasem? Niżej też były owocne kontakty!

– Ty go zniszczyłeś!

– Zanim on zniszczył ciebie, nie mogłem sobie pozwolić na wnuka, którego ojcem byłby ksiądz. Myślisz, że usunęłyście tę ciężę bez mojej wiedzy? Ale ty jesteś naiwna. Ja jestem realistą, twardo, kurwa, stąпам po ziemi i czujnie czekam na wnuki.

– I nie masz żadnego!

– Lepiej żaden niż jakiś księżyk. Co bym mu kupił na „dzień dobry”? Małą sutannę i różaniec zamiast grzechotki? – Dworzak zaniósł się śmiechem.

Suzi czuła, że świat wokół niej wiruje, zrobiła krok w jego stronę, wyszarpała mu poduszkę spod głowy, tak to robią na filmach! Trzymała ją w górze i płakała, była coraz bliżej tej chwili, a on się śmiał, patrzył jej w oczy i śmiał się, jakby jeszcze parę godzin temu nie walczył o swoje życie.

„Powinieneś wypaść przez okno jak ten pisarz Zawieyski, który w 1969 roku zginął, spadając z czwartego piętra tej kliniki – pomyślała Suzi. – Podobno ktoś mu pomógł, tobie już nikt nie pomoże, bo jesteś przegranym zerem, rzuciła poduszką w uśmiechniętą, zdradziecką mordę swojego ojca i wybiegła na korytarz”.

## 2020

Przytyła ostatnio, a masa ma w takich sytuacjach znaczenie. Obok słoiczka z tabletkami postawiła drugi. Odkręciła oba, teraz powinno być dobrze, wsypała ich zawartość do gardła i popiła. To uspiłoby konia, krowę, nawet Godzillę.

\* \* \*

Jędrzej Hardt otworzył bramę i na jego posesję wjechało czarne auto. Wokół niego biegał pies, duży, silny kundel, który oszczekując gości, machał radośnie ogonem. Hardt z podziwem patrzył na pojazd, którym zajechała trójka gości, wyciągnął w górę kciuk w geście uznania.

Siedzący na tylnym siedzeniu Artur przypomniał sobie wczorajszą rozmowę z ważniakiem z ministerstwa, który przyszedł się przywitać z japońskim inspektorem. Na koniec już po „*muzeum lotnictwa, kurwa jego mać!*”, ważniak dodał jeszcze:

– Proszę wziąć jakieś lepsze auto, może bmw, Komenda Główna pomoże. Coś dobrego, tak żeby było, jak to mówią...

– Na bogato?

– Dokładnie na bogato i na wypasie!

No i przyjechali na wypasie, beemką, która miała być autem operacyjnym.

– Tak teraz policja jeździ? – powitał ich Jędrzej Hardt. – Ty musisz być Artur, ten od Joanny, znamy się, pracowaliśmy razem w radiu przez jakiś czas.

– Sierżant sztabowy Sławomir Wiśniewski – przedstawił się Wiśnia.

– Inspektor Takeshi Azuma – zaprezentował się japoński policjant, który wysiadł na końcu.

Po prostu Artur zadzwonił do Azumy i poprosił jak glina glinę.

– Potrzebuję cię, kolego. Pomożesz gliniarzowi z dalekiego kraju?

– Mów.

– Musisz mi dać alibi.

– Chcesz kogoś zabić?

– Raczej uratować.

– Co mam zrobić?

– Bardzo chcesz pojechać do wiejskiego domu, niecałe sześćdziesiąt kilometrów od hotelu, w którym mieszkasz? Będzie wszystko, co lubisz, co chciałeś zobaczyć i czego chciałeś spróbować,



przynajmniej to, o czym mi mówiłeś: las, pola, whisky w klubie golfowym, dzika rzeka, wódka z polską kiełbasą, kilku fajnych ludzi. Miły wieczór i nocleg w lesie. Po prostu zawiozę cię tam i przy okazji, przypadkiem, zapłączę się w pewną historię.

– Jestem gotowy! – służbiście wykrzyknął inspektor Azuma.

Kiedy Takeshi pił ze smakiem pierwszy kieliszek Chopina, podanego przez gościnnego gospodarza, kilometr dalej, przy ulicy Cypisa zatrzymał się telewizyjny van. Ekipa wysiadła z pojazdu i rozglądała się za jakimś dzwonkiem. Nie było, Misiek pchnął furtkę, która ustąpiła. Szli przez zaśnieżoną trawę, śladami setek odcisków psich łap.

– Musi tu być. Jest z psami – zakomunikował Wojtek.

– Taaak? – syknął Misiek, wskazując mu watahę, która zmierzała do nich od strony domku. Psy wylewały się przez klapkę w drzwiach i szybko zbliżały się do furtki.

– Nie wiem jak państwo, ale ja wypierdalam – Misiek powtórzył słynny odzew Gustawa Holoubka na słowa Janka Himilsbacha i wypchnął resztę ekipy poza posesję, na koniec sam się ewakuował i zamknął z trzaskiem furtkę. Tuż po tym psy dopadały jeden po drugim do furtki, bramy i siatki ogrodzeniowej.

– Wsiadajcie do vana, bo jak tu jest jakaś dziura, to wyjdą i nas zeżrą – zakomenderował Paweł Walczak.

Skryli się w samochodzie, psy rzeczywiście szukały sposobu, aby się do nich przedostać.

– Jedziemy! – zakomenderował Misiek.

– Dokąd? – zapytali zgodnie pozostali pasażerowie.

– Do sklepu, bo wy nie wiecie, a ja wiem, jak rozmawiać trzeba z psem. Joanno, dzwoń do Artura, niech tu zaraz będą, jeśli Dworzak nawet nie wyjrzała z domu przy takim skowycie, to jest się czego bać.

Były dwie skrajnie różne, ale bardzo pesymistyczne wersje: albo waruje w oknie z telefonem w dłoni i ściągnie im na głowę policję, albo stygnie i się rozkłada.

58 Père-Lachaise, wyk. Variété, sł. Grzegorz Kaźmierczak, muz. Variété.

# Rozdział 33

*Krzywda to rewanz, rewanz to pięść*

*Siła to odwet, zemsta... nie!*

*Wet za wet!*

*Wet za wet! ...nie![59]*

*Więc umrzyj dla świata, by narodzić się na nowo*

*Bez defektów![60]*

## EIGHTIES

Suzi wyszła na korytarz i przysiadła na krześle. Z jej oczu leciały łzy. Była stłamszona, wściekła, poruszona. Myślała, co robić dalej. Wyjść i nie wrócić? Chyba tak zrobi. Tak, nie wróci już, nie będzie go oglądać, skoro matka wybrała rolę jego służącej, to niech nią będzie do końca. Wróci na jego pogrzeb, ale nie z szacunku, tylko dla pewności, że zdechł.

– Coś się stało, potrzebuje pani pomocy? – zapytała pielęgniarka.

– Po prostu wzruszyłam się, że przeżył. Dziękuję bardzo za pomoc.

– Uśmiechnęła się niewinnie. – Proszę się mną nie przejmować.

– Po to tu jesteśmy. Może kawy albo wody?

– Może napiję się herbaty – poprosiła Suzi.

Pielęgniarka zaprowadziła ją do pokoju, tam można było wygodnie usiąść. Siostra przygotowała jej herbatę, bardzo dobrą herbatę.

– To mieszanka czarnej z earl grey. Może cytrynę? – W tej klinice była cytryna, akurat dzisiaj jej zbywało, bo zmarł pacjent i można było rozdzielić jego plasterki.

Sympatyczna siostra zostawiła ją samą, pożegnała się, bo miała do rozdania lekarstwa. Suzi posłodziła sobie łyżeczkę, potem drugą, smakowała w sam raz. Teraz będzie sobie robić taką herbatę! Dopięła do końca, do ostatniej kropli i podniosła się z krzesła.

## 2020

Hardt i Azuma wypili po małym kieliszku, a na palenisko trafiły kiełbasy i kawałki mięsa. Gospodarz, Japończyk i Wiśnia patrzyli w ogień i pieczone, jakby oglądali jakiś wielki film, dzieło Akiry Kurosawy albo mistrza Wajdy.

– To jest, kurwa, piękne, jak dzieło sztuki – westchnął Wiśnia, po czym swoim angielskim sierżanta sztabowego objaśnił zagranicznego gościa. – *Peace of art. Do you understand, mister inspector?* – mówił powoli, żeby tamten na pewno go zrozumiał.

Japończyk zrozumiał, bo kiwnął głową i patrzył na misterium pieczenia polskiej kiełbasy. Obcowanie ze sztuką, która oprócz obrazu dla oczu i przeznaczonego dla uszu skwierczenia dawała także, a może przede wszystkim niezwykle doznania nozdrzom.

Kontemplację przerwał im komunikat Artura.

– Proszę o pomoc, jest chyba niedobrze, do tego po działce biega kilkanaście psów, obawiają się najgorszego, że Dworzak leżakuje, a psy ją konsumują. Wejście może być trudne.

– Piłem, ale bierzemy mój samochód, tak jest, karma dla psów, no i kiełbasę, i boczek, wędlinę zgarniamy – powiedział Wiśnia.

Ku zaskoczeniu inspektora Azumy zaczęli się uwijać jak w ukropie.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nic co by pana interesowało, dla pana dobra będzie lepiej, jak pan zostanie.

– Nie ma mowy, jadę z wami.

Nic nie pomogło, po chwili Wiśnia powoził terenówką Hardta, do której wsiadł także inspektor Azuma. Mieli dwa kilometry do

pokonania, jadąc mieszanką asfaltowych i szutrowych dróg. Uwinęli się w półtorej minuty.

## **EIGHTIES**

Suzi weszła do pokoju ojca. Niemal siedział na łóżku, oglądał obrady Sejmu na turystycznym telewizorku, który przyniosła mu matka. Przemawiał Tadeusz Mazowiecki, pierwszy po wojnie niekomunistyczny premier Polski.

– Prezydent wasz, premier nasz – wycharczał. – Dopięliście swego, kurwa, wasza mać! Ja wam, kurwa, dam grubą kreskę – towarzyszu Dworzak przeinaczył słowa premiera. – A co ty tu robisz? Chcesz sobie historyczne exposé obejrzeć?

– Chcę czegoś zupełnie innego.

– W dupie to mam – odpowiedział.

Walczyła ze sobą, stanęła przy oknie i jeszcze próbowała się uspokoić. Trochę to trwało, opanowała nerwy, ale zdania nie zmieniła.

## **2020**

Psy nadal biegały i skakały przy ogrodzeniu. Azuma rozrzucił kawałki wędliny, wszedł do środka, przykucnął i mówił coś do psów spokojnym głosem. Mówił po japońsku, a kundle sprawiały wrażenie, jakby go rozumiały.

– Jezu, te kundle go rozszarpią – jęknął Artur.

– Zaraz się skończy babci sranie, rzucą się na niego, wszamię i jak to, kurwa, wytłumaczymy? Wyjebią nas – lamentował Wiśnia, rozdając wszystkim lateksowe rękawiczki, nie założył ich tylko Japończyk. – Co on ci powiedział?

– Że jest psim hipnotyzerem.

– To się okaże. – Wiśnia widział oczyma wyobraźni, jak kundle rzucają się na Japończyka, przewracają go, rzucają się do gardła. Krew tryska na śnieg, obrazek po stokroć gorszy od tego sprzed paru dni, kiedy to rodak Azumy, Kasai, leżał z odciętą głową w kałuży krwi.

Inspektor podszedł do największego kundla, dał mu kiełbasę, poklepał. Dalej mówił coś, modulując głos i zbliżał swoją twarz do psiej mordy. Nagle zwierzę wystrzeliło łbem do przodu, ale zamiast błysku kłów, jęku inspektora Azumy i tryskającej krwi był psi język, ślina i skomlenie. Bydlę polizało Japończyka po twarzy, odskoczyło i jakby zaprosiło do wspólnej wędrówki. Poszli, a potem już pobiegli w kierunku domu. Razem ze sforą weszli na ganek, dopiero teraz Azuma założył rękawiczki. Drzwi były zamknięte, więc inspektor zbił szybę, otworzył okno i wszedł do środka. Po chwili wyszedł z domu i gestem dał znać, że potrzebuje jednej osoby. Ruszyła Jaga, Wojtek chciał za nią iść, ale wstrzymała go ruchem ręki.

– Miałam psy, różne, małe i duże. Dam radę.

Weszła do środka, niedługo potem Joanna dostała esemes.

*Pogotowie! Chodźcie tu, ale pojedynczo.*

Joanna wezwała karetkę, reszta w odstępach biegła do domu, w którym zniknęli wcześniej inspektor i Jaga.

## **EIGHTIES**

Pijąc kawę, zobaczyła, że szafka z medykamentami i sprzętem medycznym jest otwarta. Zlustrowała jej zawartość tak z ciekawości, na wszelki wypadek. Kiedy pożegnała się z pielęgniarką podeszła do witryny, zdjęła z półeczki jednorazową strzykawkę i schowała ją do kieszeni.

Czy była zdecydowana? Tak, była. Czy można było cofnąć decyzję? Można było. Właśnie w tej chwili zasłabł przemawiający premier

Mazowiecki. Wyprowadzono go z sejmowej sali, a jej ojciec szalał:

– Zesracie się, a nie dacie rady! Ja wam, kurwa, dam grubą kreskę!

Dalej nie miał w sobie ani krztyny pokory, wciąż siedział na koźle, powoził i walił batem. Ostatnie tygodnie niczego go nie nauczyły. I kolejne też niczego go nie nauczą. Kiedy powiedziała, że nie jest tu po to, by oglądać exposé Mazowieckiego, tylko z innego powodu, on odpowiedział: „W dupie to mam”.

Wiedziała, że nie było już odwrotu. Dała sobie jeszcze trochę czasu, ale nie po to, by zmienić decyzję, tylko żeby się uspokoić. Musiała być opanowana, szybka i precyzyjna, bo margines błędu był zbyt wąski. Patrzyła na ulicę Emilii Plater, na przechodniów i gołębie, które obsiadały parapety. Odwróciła się w kierunku łóżka, raz jeszcze spojrzała na kroplówkę i położenie łóżka. Twarz ojca jej nie interesowała, to oblicze już знаła, znudziło się jej i obrzydło. Za chwilę wyrzeźbi jej nową odsłonę, ostateczną, którą będzie chciała zachować w pamięci. Zrobiła dwa kroki, zdecydowanym ruchem zamieniła w wenflonie rurkę kroplówki na strzykawkę.

– Co ty, kurwa, robisz? – zacharczał niezadowolony.

Nie powiedziała nic, tylko wstrzyknęła mu w żyłę powietrze, po czym na powrót podłączyła go do kroplówki. Zawyło EKG, zaraz tu będą, zobaczą krew, bo zamiany wenflonu na strzykawkę i z powrotem na wenflon nie poszły idealnie. Nie było czasu patrzeć, jak twarz starego wykrzywia się, jak opuszcza go życie. Przyłgnęła do niego, krzycząc – „Nie odchodź, tatusiu!” – tak by słyszały ją pielęgniarki i doktor biegnący teraz korytarzem. Kiedy drzwi zaczęły się otwierać, udawała, że robi mu sztuczne oddychanie, niewprawnie, w panice, tak że pochylając się nad nim, przewróciła kroplówkę. Cuchnął strasznie, czy tak pachnie śmierć?

Na ekranie telewizora znów pojawił się Tadeusz Mazowiecki i kontynuował exposé.

– Bardzo przepraszam, po kilku tygodniach zbyt intensywnej pracy doszedłem do stanu takiego jak polska gospodarka. Wyszedłem jednak z niego i mam nadzieję, że polska gospodarka też wyjdzie[61].

Stanisław Dworzak już tego nie słyszał.

## 2020

Wzięła środki nasenne, całą masę, kiedy Misiek znalazł opakowania, odsunął ekipę reanimacyjną złożoną z inspektora i Jagi. Nie bawił się w żadne finezyjne zagrywki, po prostu wsadził posłance Dworzak palce w gardło, oddychała jeszcze, więc najważniejsze było wyrzucenie z niej tabletek. Kiedy wydawało się, że wszystko na nic, zacharczała i odkorkowała się, przydały się rękawiczki, które rozdał wszystkim Wiśnia.

– No i, kurwa, mówiłem, że mnie kiedyś obrzyga! – krzyknął Misiek.

Obrócili ją na brzuch, psy skamlały, inspektor je uspokajał.

– Zawsze marzyłeś, żeby jej dać plaskacza – Joanna zachęciła Miśka do wymierzenia posłance otrzeźwiającego policzka. Zawahał się, Joanna pokręciła głową i zaczęła trzaskać po twarzy nieprzytomną Dworzak:

– Na facetów nigdy nie można liczyć!

– Bałem się, że jej zrobię krzywdę – tłumaczył się Misiek.

Wiśnia w tym czasie rozglądał się, szukał. Artur spojrzał na niego porozumiewawczo, obaj mieli ten sam cel – odnalezienie na miejscu samobójczej próby listu pożegnalnego.

Jeszcze dwa strzały w policzki i Dworzak się ocknęła. Pierwsze, co zobaczyła, to rozmazany kontur mężczyzny, który w świetle kominka stał z jej listem. Chciała krzyknąć, ale zobaczyła, jak koperta ląduje w płomieniach. Płonęła, a wraz z nią nieodwracalnie odchodziły wszystkie tajemnice Zdzisławy Dworzak. Teraz znów mogła żyć, bo przy całej reszcie upublicznienie jej romansu z księdzem Wiesławem było ledwie drobiazgiem.

\* \* \*

Policjanci z posterunku w Wildze przyjechali w pięć minut, karetka z Grójca miała być za kwadrans, może dwadzieścia minut. Cały czas czuwali przy Dworzak i byli na linii z lekarzem z pogotowia.



Wydawało się, że wszystko jest w porządku, nawet ci, co nie palili łąpczywie, zaciągali się dymem, jako to po emocjach.

– Jak nad nimi zapanowałaś? – Artur w końcu mógł zaspokoić swoją ciekawość i spontanicznie przeszedł z inspektorem na „ty”. – Co zrobiłaś tym psom?

– Liczy się głos, intencje, pewność siebie i dotyk. Dlatego nie zakładałem rękawiczek – wyjaśnił, uśmiechając się. – Przecież mówiłem, że jestem zaklinaczem psów.

– Tylko nie mów mi, że jesteś szamanem!

– Jestem hodowcą psów, mam chłopaka rasy tosa-inu.

– Tosa-inu?

– To wielkie psy – podpowiedziała Jaga. – Japońska rasa, mówi się o nich dogi japońskie.

– Bliżej im do mastifów – doprecyzował Azuma.

– Ale to chyba dość łagodne psy... – powiedziała Jaga. – Słyną z inteligencji.

– Owszem, ale niektóre z nich muszą być szczególnie zdyscyplinowane. Żeby brać udział w walkach psów, mój Gojira no Musuko ma być posłuszny i zdyscyplinowany bardziej niż niejeden człowiek. To prawdziwy czempion, wygrał wszystkie walki, nigdy nie był zdyskwalifikowany.

– Pan go wystawia do walk psów? – Jaga spojrzała na Japończyka z niesmakiem. – To barbarzyństwo!

– Przykro mi, że pani tak uważa, ale może to przez pani niewiedzę.

– A co tu tłumaczyć? – prychnęła. – To obrzydliwe, nieludzkie!

– Nieludzkie, bo walczą psy, a nie ludzie – powiedział, uśmiechając się, inspektor Azuma. – Ale walczą jak ludzie, bo według przepisów sumo.

– Czyżby? – nie odpuszczała Jaga.

– Nie wierzy pani... – Azuma spojrzał Jadze głęboko w oczy, po czym skłonił się i zaczął przemowę: – To naprawdę sumo dla psów, mówi się nawet o psach tosa sumo-inu. Wie pani, na czym polega sumo? Zatem nie widzi pani w tych walkach kopania, ciosów, bicia i gryzienia.

– Trudno, żeby ludzie się gryźli.

– Ale taka jest istota psiej walki, oczywiście poza psim sumo. Tak jak w sumo, które pani nieraz widziała, chodzi o to, żeby przeciwnika wypchnąć za matę albo przewrócić, ewentualnie powalić. Psy, które kęsają, szczekają albo skomlą, zostają zdyskwalifikowane. Nie ma miejsca ani na strach, ani na nadmierną, dziką agresję, to prawdziwy psi sport. Kto nie chce, boi się, kto chce zrobić krzywdę ten odpada! Jeśli któryś z psów zostanie zraniony, jeśli nawet przypadkiem poleje się krew, to walka zostaje przerwana. Wygrywa wojownik, który powali przeciwnika na ziemię i przytrzyma go tak, by rywal nie mógł stanąć na łapach. Rywalizacja nie może trwać dłużej niż pół godziny, po tym czasie sędziowie wydają werdykt, ogłaszając zwycięzcą psa, który był aktywniejszy i miał przewagę.

– Skąd ten pomysł? – zapytał Wojtek.

– To był przypadek, pracowałem pod przykrywką, miałem przeniknąć do grona ludzi, którzy uczestniczą w walkach psów. To jest legalne, ale ma drugie dno. Jak wyścigi rowerowe keirin, pachinko, taka japońska krzyżówka jednorękiego bandyty z flipperem, także walki psów są terytorium, na którym działa yakuza. Sama yakuza także działa legalnie, ale nieraz łamie prawo. W ten sposób zostałem hodowcą psa bojowego i stałem się panem Gojira no Musuko. Przekonałem panią?

– No tak – powiedziała niepewnie. – A co znaczy... Gojira...

– Gojira no Musuko? Syn Godzilli.

– To piękne, pana Syn Godzilli uratował Godzillę, co za historia.

Karetka z Garwolina przyjechała szybko i z miejsca zabrała Zdzisławę Dworzak do szpitala. Ekipa telewizyjna pojechała za karetką, a policjanci na działkę Jędrzeja Hardta. Ta sprawa ich nie dotyczyła, jak będzie trzeba, to ich wezwą, teraz musieli wypełnić do końca swoją misję, czyli pobyt z japońskim inspektorem na łonie natury, plenerową wódeczkę oraz kiełbasę z różną i mięso z grilla.

\* \* \*

Tak jak w sprawie zabójstwa piłkarza Błochowiaka, Joanna znów była pierwsza. Kiedy w sejmie trwało zamieszanie związane z poszukiwaniem Zdzisławy Dworzak, Joanna Becker ustawiała się do pierwszego wejścia. Wszyscy byli w szoku, posłanka Porozumienia, jedna z najbarwniejszych postaci sejmu leżała w szpitalu w Grójcu.

Joanna nie podawała żadnych szczegółów, ale ludzie z Porozumienia mieli przekonanie graniczące z pewnością, że wie o wiele więcej. Wszelkie spekulacje na ten temat ucięły zdjęcia z drona i które pokazywały odjazd karetki.

– Co się stało? – zapytał Sebastian Kosztel, który zadzwonił tuż po pierwszej relacji Joanny sprzed szpitala.

– Wszystko, co mogłam, powiedziałam, posłanka Porozumienia Zdzisława Nowak zapadła na zdrowiu podczas pobytu na działce pod Warszawą. Przebywa w szpitalu Powiatowego Centrum Medycznego w Grójcu, jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, stan jest stabilny. Ostatnie dni to pierwsze dwa przypadki opuszczenia przez nią głosowań.

Kosztel słuchał, nie przerywał, znowu był złotym chłopcem Porozumienia, którego kochały starsze panie. Układny, grzeczny, lekko pyzaty, z nienaganną fryzurą, po prostu jak jabłuszko do schrupania. Rzecznika jednak rozpierało, miał ochotę warknąć: „I co jeszcze wiesz?!”. Ale powstrzymał się, z zaciśniętymi ustami czekał na ciąg dalszy, a ten go wcale nie usatysfakcjonował.

– Na koniec apel o pomoc dla psów posłanki Dworzak, pięknie prezentowały się na zdjęciach.

– Co tam robiłaś?

– Przejeżdżałam...

– Z ekipą telewizyjną...

– Nie, z tragarzami – zakpiła.

– Co jest grane, powiedz!

– Mam dwie odpowiedzi, ale z przykrością muszę to powiedzieć, żadna z nich cię nie usatysfakcjonuje.

Zapadło milczenie.

– Pierwsza to tajemnica dziennikarska, a druga RODO?

Teraz ona milczała, nie doceniała go, a jednak Jabłuszko ma łeb!

– Brawo, także...

– Także spotkamy się na miejscu.

– Lider też będzie? Ktoś ważny?

– Sejm mamy! – uciał Jabłuszko.

No tak, były sprawy ważne i ważniejsze. Rzecznik Porozumienia nie zdawał sobie sprawy jak ważne i skomplikowane.

\* \* \*

Zanim Jędrzej Hardt i policjanci dotarli na działkę, najpierw musieli zahaczyć o sklep. Musieli kupić kielbasę i mięso, bo to, co mieli, rozdali wszystko psom Zdzisławy Dworzak.

Wszystko poszło szybko, Hardt zaproponował, żeby zaczęli w plenerze, pod wiatą, gdzie stacjonował grill. Można było przy okazji palić papierosy, czego nie można było robić w domku. Inspektorowi wydawało się to ciekawe, więc pierwszą kolejkę uderzyli na dworze. Tak zaczęło się niestandardowe nomikai, czyli picie w ramach obowiązków służbowych. I w Japonii, i w Polsce pije się, by uczcić wspólne dokonania, a przecież domknęli sprawę zabójstw na Zawadach i uratowali posłankę Dworzak.

Pije się za przyszłe projekty, przecież zawsze może się okazać, że Artur z Wiśnią pojedą do Tokio, by badać sprawę polskiego gangusa. Co i rusz wznosili toast, by osiągnąć stan nomisugi, tak pożądanym podczas wszystkich spotkań integracyjnych na całym świecie, którego rausz jest dopiero otwarciem drzwi, a delikatna bania wejściem do przedpokoju. Hardt przekręcał kielbaski, ptaki śpiewały, żar z grilla przyjemnie rozgrzewał, wódka i zimowe słońce także.

Zwykle takie integracje odbywają się w Japonii po zmierzchu, ale ta była powiązana z całym ciągiem zdarzeń: wyprawą do psiarni Zdzisławy Dworzak, a następnie z jutrzejszym programem kulturalnym. Nawet Wiśnia kręcił głową, ale trzeba było szybko zacząć, by szybko skończyć, bo w niedzielę czekała Żelazowa Wola,

Chopin, zwiedzanie Warszawy, a na wieczór wyjazd do Malborka i Gdańska. Hardt włączył się do dyskusji i podpowiedział, żeby pokazał gościowi z Japonii trochę gotyku. Zabytki, muzea, eksponaty... dlaczego o tym teraz myśli? To oczywiste!

– Wiśnia, czemu cały czas jesteś w tych rękawiczkach? Wyglądasz, jakbyś miał oglądać miejsce zbrodni albo nosić zabytkowe graty. Nawet w sklepie je miałeś na dłoniach, a teraz pijesz w nich wódkę, karkówkę i kiełbasę też będziesz jadł w lateksie?

– Powiem uczciwie, boję się żony i nie chcę zostawiać śladów w monopolowym i na grillu. Przetłumacz to wszystko, komisarzu, sądzę, że pan inspektor musi znać prawdę, w końcu zaufał nam, pomógł.

Artur rozpoczął długą historię, w której finale wspólnie uczestniczyli, inspektor Azuma słuchał z wielkim zaciekawieniem. Trochę to trwało, zanim Artur skończył, poszła połówka Chopina, po solidnej porcji karkówki i po dwie kiełbasy na twarz. Po ostatnim słowie zapanowało milczenie, które przerwał inspektor Azuma.

– Chyba będzie z tego niezły bałagan, tak mi się wydaje, zresztą nie do końca się orientuję w waszych sprawach. I pewnie ich nie zrozumie.

– *Bo biez wodka nie razbieriosz.* – Wiśnia klasnął w dłonie. – *Let's go, come on, one glass of translator, do you understand, mister inspector?*

Tak najniezwyklejsze nomikai dynamicznie przeszło w fazę nomisugi – ku wielkiemu szczęściu wszystkich obecnych.

---

59 *Wet za wet*, wyk. Abaddon, sł. i muz. Tomasz Dorn, Tomasz Frost, Waldemar Jędrzejowski, Bernard Szarafiński.

60 *Samobójstwa*, wyk. Moskwa, sł. i muz. Paweł Gumola.

61 Fragment exposé premiera Tadeusza Mazowieckiego z 12 września 1989 roku.

# Rozdział 33 i 1/3

*Polityka jest brudna  
Rośnie na bazie gówna  
To zabawa stara jak świat  
Tutaj ścielą się trupy  
Musisz wciąż dawać dupy  
Uzależnia szybciej niż kwas[62]*

**2020**

Stała się popularna i lubiana. Bardziej niż zwykle. Ale nie wśród widzów, tylko polityków. Wcześniej była popularna, ale z sympatią do jej osoby bywało różnie. Teraz ją polubili, ale była to sympatia powierzchowna i krótkotrwała. Właśnie zadzwonił kolejny, Piotr Krajewski, jeden z filarów partii opozycyjnej. Był weteranem, tak mocno zasiedziały w polityce, że można byłoby go nazwać filarem nadkruszonym i zmurszałym. Ale Krajewski nie przyjmował tego do wiadomości i nadal podpierał strop partyjnego gmachu.

– Witaj, Joanno!

Niestety byli na ty. Potrafił też być czarujący, ale o tym już wiedziała. Na taki szarm mogłaby się nabrać, ale nie była młodą kozą, której zawróciłoby w głowie, że sam wiceprzewodniczący osobiście zadzwonił na jej prywatny numer.

– Widzę, że pani redaktor ma na koncie kolejny sukces – wrzucił niby to oficjalne zdanie, ale pokryte warstwą lukru. – A raczej zapowiedź megasukcesu, bo przecież to tylko wierzchołek góry lodowej!

– Słucham? – Udawała, że nie rozumie.

– Przecież wiesz, co się kryje za jej zniknięciem. Co się stało, że wylądowała w szpitalu?

– Czemu mam wiedzieć?

– Macie starcie w sejmie, ona znika, później się odnajduje w szpitalu, a ty przechodzisz tam zupełnie przypadkiem z tragarzami, a potem nadajesz na żywo jak z kosmodromu przed odpaleniem rakiety!

– Nie będzie żadnej rakiety, żadnej sensacji. Przynajmniej nie takiej, o jakiej myślisz, po prostu umówiła się ze mną na wywiad. U siebie na działce. Okazało się, że zasłabła, a resztę znasz.

– Jasne, z tobą, a nie z Górką, Grabowską czy Chojną? Cuda się zdarzają, ale nie takie!

– Moglibyśmy się założyć, ale od czasu kiedy powiedziałeś, że wygracie wybory i mówiłeś, że jak się nie uda, to oddasz stery młodym, to wiem, że nie warto się z tobą zakładać o cokolwiek.

– Wygralibyśmy przedterminowe i to w cuglach, gdybyśmy teraz znali całą prawdę o Dworzak – piękny baryton Krajewskiego już nie słodził.

– Poznacie ją za dziesięć dni, jak zwykle w środę wieczorem, punktualnie o dwudziestej drugiej! Do zobaczenia.

– Popełniasz błąd!

– Być może – na tym skończyła się ich rozmowa, a w chwilę później zadzwoniła do Miśka i zapytała: – Naprawdę może być tak, jak mówisz?

– Tak. I myślę, że to uczciwe rozwiązanie. Dobrze, że Krajewski cię nie skusił, bo po pierwsze, wciągnąłby cię na listę partyjnych dziennikarzy, a po drugie...

– I tak by to spieprzył?

– Na bank. Na przykład wyjechałby na narty, rozesłał tajny plik do wszystkich albo spaliłby jak byle dowcip. A my tego nie spieprzyimy i przede wszystkim będzie to uczciwe załatwienie sprawy, każdemu trzeba dać szansę.

– Każdemu, jeśli wcześniej nie było ostatejnie. Zdążymy?

– Jak zwykle.

Czy Dworzak da radę, jak zareaguje na wiadomość o tym, że jej list pożegnalny znajduje się w rękach faceta, o którego istnieniu nie miała pojęcia, aż do momentu, kiedy wsadził jej palce do gardła i wzbudził wymioty, które uratowały jej życie. Mieli się spotkać w trójkę z Miśkiem na spacerze i podziękować mu za ocalanie. Nie chciał przychodzić do domu Dworzak, bo bał się podsłuchów, w końcu wszyscy zachodzili teraz w głowę, co się tak naprawdę stało. Żeby tylko to dobrze rozegrał, bo miał w ręku prawdziwą bombę. Znała treść listu doskonale, już niemal na pamięć:

*Samobójstwo to grzech śmiertelny, ale tu właśnie o śmierć chodzi, o koniec wszystkiego. Ale nie będę przepraszać, Boga przepraszę, jak go spotkam, a inni nie będą się czuli moim odejściem obrażeni. Nie jestem osobą, po której odejściu będziecie płakać. Zasłużyłam na to.*

*Najpierw opowiem o Blacku. Nie wiem, czy mnie kochał, ale na pewno mu nie pomogłam. Marzyłam, żeby z nim być i byłam, ale po latach wiem, że chciałam, by tylko się mną interesował. Nie zauważyłam, że miał problemy, bo dopóki było wesoło, to jego picie i ćpanie mi nie przeszkadzało. Był w tym jakiś demoniczny urok. Miał swój styl. Wyróżniał się, a ja u jego boku. Kiedy zaczął się pogrążyć, byłam zła, ale zamiast go zmienić albo rzucić, związałam się z Clashem, gitarzystą Załogi, zespołu, w którym grał.*

*Clash chodził za mną jak pies, wierny i ufny, dawał to, czego nie miał Black. Z jednym chodziłam na imprezy i czułam się ważna, a z drugim czułam się kochana. Obaj byli jednak chłopcami, a ja szukałam dojrzałego faceta. Może chodziło o zastąpienie ojca, którego obecności nie czułam, a może o starszego brata, którego nigdy nie miałam. To mi dał ksiądz Wiesław.*

*Czy go uwiodłam? Na pewno nie on mnie, ośmieliłam go, prowokowałam, stało się. Bawiłam się tym, czułam się ważna, było mi z nimi dobrze, bo każdy coś wnosił, ale nic nie może*



przecież wiecznie trwać, a już na pewno nie takie układy. Wszystko runęło w okamgnieniu. Wiesiek podpadł. Sądziłam, że za politykę, że nacisnęli na kurię i za to go przenieśli. Przecież pilnowaliśmy się, spotykaliśmy się daleko od parafii w mieszkaniu jego znajomego, który pożyczał klucze. Na pożegnanie dał mi swoje taśmy, bo nie wiem, czy wiecie, ale on był muzykiem. Doskonałym muzykiem. Skomponował i nagrał muzykę do wierszy, z którymi mocował się Black i chłopcy z Załogi.

Zanim zaczęłam za nim tęsknić, pojawił się kolejny zakręt. Chłopcy postanowili postawić Blackowi ultimatum, wiedziałam o wszystkim od Clasha. Wszystko to w momencie, kiedy mieli ruszyć z kopyta – płyta, teledysk i wreszcie utwory. Tylko ja wiedziałam, skąd ta wena Białkowskiego, że to wszystko ksiądz Wiesław. Raz do niego pojechałam, ale źle się to skończyło, pogoniła mnie zakonnica, która go pilnowała, a zaraz za mną przyjechał ojciec.

Miałam wszystkiego dość, ale jakoś dryfowałam. Śpiewałam w chórkach, miałam wystąpić w teledysku. 9 marca 1985 poszłam na spotkanie z reżyserem teledysku, cała kapela była umówiona na dachu wieżowca na rogu Żelaznej i Krajowej Rady, bo tam miały być zdjęcia. Wiedziałam, że wcześniej przedstawię Blackowi plan na zmiany, że jak w „Ojcu Chrzestnym” dadzą mu propozycję nie do odrzucenia. Czułam, że muszę być, ale ojciec, pewnie coś przeczuwał, zbił mnie i powiedział, że mam zostać w domu. Nie zostałam, ale trafiłam tam za późno.

Kiedy znalazłam się pod domem ciotki Grega, od razu wiedziałam, że stało się coś strasznego. Nie myliłam się, Black leżał w kałuży krwi, ktoś przykrył go gazetą, a później kocem. Stałam i krzyczałam, ludzie próbowali mnie uspokoić, ale darłam się dalej, tylko tyle mogłam zrobić.

Zobaczyłam, jak milicjanci wyprowadzają z domu Clasha, to jego widziano, jak schodził z dachu, to on został uznany za mordercę. Reszta, to jest Greg i White oraz Andrzej Czerwiński, który był wtedy kierownikiem w domu kultury i jego protektor

Wetnicki mówili, że przyszli za wcześnie i mieli czekać na resztę w mieszkaniu ciotki Grega. Jak weszli, to on runął, ale nie wiedzieli, co się stało, zobaczyli tylko jak ciotka Grega leży na podłodze, zajęli się nią, ratowali. Wetnicki odwiedzał czasem Czerwińskiego, a później okazało się, że to on jest tym menago, który ma wszystko załatwić: nagranie, płytę, radio, telewizję, trasę i wreszcie teledysk. Wtedy pod blokiem przedstawił się i wylegitymował milicjantom, a oni przyjęli wobec niego służalczą postawę. Zrozumiałam, że musi być kimś wysoko postawionym albo esbekiem, inaczej nie rządziłby mundurowymi. Przesłuchano wszystkich, Greg musiał się stawiać, więc obili go, mówiono, że spadł ze schodów, wszyscy wtedy spadali ze schodów, bo przecież milicja nie biła.

Ojciec też podobnie tłumaczył siniaki moje i matki. Śledztwo szybko umorzono, a Clash nagle wyjechał za granicę, zawsze o tym marzył i dostał paszport od ręki. Dlaczego mi nie zaproponował wyjazdu, dlaczego się nie odezwał ani nie napisał? A wtedy pierwszy raz naprawdę go potrzebowałam. Nadal nie rozumiem, co się tam wydarzyło, ale oni kryją jakąś ponurą prawdę. Cały czas się za to obwiniam, bo gdybym tam była wcześniej... I gdyby Kowal był. Kowal był dla Blacka jak brat, rodzina ćpunów, wspólnota wspólnego odlotu. Ale nie przyjechał, bo bębnił na hajku przez cały dzień.

Z jakiś tydzień, dwa po pogrzebie Blacka doszło do mnie, że mi się spóźnia okres, ale zdarzało się, nie domyśliłam się, a matka po prostu wiedziała, bo jak prowadziła mnie na badania, a często coś wymyślała, to przy okazji sprawdzała, czy nie jestem w ciąży.

I byłam.

Nie wiedziałam, co zrobić, ona wyznaczyła termin, wszystko załatwiła, a ja byłam jak marionetka, nie wiedziałam, co robić.

Postanowiłam walczyć i zamiast na zabieg pojechać do Wiesława. Tylko on mi został, choć to absolutnie nie miało sensu. Wtedy przyszła wiadomość, że nie żyje, że wpadł pod pociąg, kiedy jechał na rowerze, że nic z niego nie zostało, że stało się to po pijanemu. A on przecież nie pił! Mówiło się, że to polityka, że

*przez Solidarność, że spotkała go kara za opozycję. Ale byli od niego ostrzejsi, mocniejsi, głośniejsi kapłani! Może on był dla nich ostrzeżeniem, może jego było łatwiej dorwać na prowincji? Widziano jakichś ludzi, którzy się tam kręcili, podobno się z kimś spotkał. Nie miałam już sił na nic.*

*W 1989 roku mój ojciec przyznał mi się, że przyłożył rękę do zniszczenia Wieśka. Śmiał się z niego, szydził z tego, co czułam. Zabiłam go. Tak, zabiłam mojego ojca. Wstrzyknęłam mu powietrze i ulżyło mi, ale tylko na chwilę. Po paru miesiącach zaczęłam żałować. Swojego zmarnowanego życia, ludzi, których nie ocaliłam, nawet śmierci ojca żałowałam i tego, co zrobiłam też. Przytłaczały mnie grzechy. Wspomnienia. Chciałam to odkupić, stałam się religijna, ale czy lepsza? Próbowałam z całych sił. Chciałam też spróbować życia z mężczyzną. Źle wybrałam, a on, kiedy musiał dokonać wyboru, nie wybrał mnie, tylko rodzinę. Pewnie zrobił dobrze, był uczciwy w swej nieuczciwości. Nie posunął zdrady w przepaść, ocalił swój dom, ale doprowadził do ruiny mój.*

*Na koniec Jerzy Wełnicki i Andrzej Czerwiński, ludzie niezatapialni, wszystkim potrzebni. A najbardziej sobie. Z Wełnickim ktoś skończył i bardzo dobrze, pewnie gangsterzy, bo szedł z nimi ręka w rękę. A Czerwiński? Po tym liście, który pewnie trafi do mediów, będzie skończony.*

*Nie przepraszam, bo już nie mam kogo przepraszać. Nie ma sensu przepraszać za swoje zmarnowane życie. Nie ułożyło się tak, jakbym tego pragnęła i zakończyłam je grzechem śmiertelnym. Można w tym miejscu tylko prosić o opiekę nad moimi psami. Nie mścijcie się na nich za to, że to właśnie ja je przygarnęłam.*

\* \* \*

Misiek spotkał się z Dworzak, która – o dziwo – zareagowała bardzo spokojnie. Może to była kwestia środków uspokajających, a może

udana akcja telewizji. W ciągu kilku dni wszystkie psy Zdzisławy Dworzak poszły do nowych właścicieli. Oczywiście Misiewicz nie poinformował jej, w jaki sposób list trafił w jego ręce. Mówienie o tym, że znalazł go sierżant Wiśniewski, ale uznał, że będą z tego tytułu same kłopoty i oddał list Miśkowi, byłoby niepotrzebnym ryzykiem. „Co mam zrobić?” – zapytała, a warunki nie były wygórowane. Chodziło o wywiad, w którym nie padną pytania o romans z księdzem i zabójstwo ojca.

– Skoro pani żyje, a w końcu sam się do tego trochę przyczyniłem, byłoby głupio żądać czegoś, co miało ujrzeć światło dzienne tylko jako część listu zza grobu.

Dogadali się.

To wydanie magazynu „W środku tygodnia” wyjątkowo nie zawierało żadnych materiałów, była to rozmowa Joanny z Suzi i tylko na początku i końcu było po jednym numerze. Program otwierał fragment *Testamentu* Borgesa w wykonaniu Załogi. White, który wrócił ze swojego studia na południu, chciał oczywiście wbić do studia, zaistnieć, wypromować płytę. Joanna grzecznie mu podziękowała, bo z programu o Załodze wyszła spowiedź Zdzisławy Dworzak. Rozliczyła się ze swoją przeszłością – z czerwonym ojcem, swoją młodością, najpierw bananową, pełną przeprowadzek, później szaloną przy rockowej grupie z narkotyzującym się wokalistą, wreszcie z odnalezieniem miejsca w Kościele. Wtedy pojawił się dwuznaczny fragment – że do Kościoła zbliżyła ją fascynacja osobą kapłana, księdza Wiesława. Ten uśmiech, spojrzenie, coś ulotnego, ale znaczącego dla tych, którzy potrafią czytać między wierszami. A może nie było w tym nic dwuznacznego, tylko Joanna wiedziała, co się za tym kryło?

Zdzisława Dworzak mówiła też o tym, jak wpłynęło na nią gwałtowne odejście Blacka i księdza, o późniejszym zawodzie miłosnym i frustracji brakiem udanego życia prywatnego, rodziny i umiejętności wejścia w bliższe związki. O ucieczce w politykę, radykalizacji i wreszcie znalezieniu jedynych bliskich przyjaciół, jakimi stały się dla niej psy.

Na pytanie o Czerwińskiego odpowiedziała, że dobrze zrobił, rezygnując z ubiegania się o urząd ministra. Miała być i jego wypowiedź, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Dziwne to było, operator powiedział, że Michał zdążył się spotkać z Czerwińskim jeszcze przed przyjazdem ekipy, że kiedy weszli, wyglądało na to, że dziennikarz i kandydat na ministra kultury się posprzecza. Nagranie zostało zerwane, a jeszcze tego samego dnia Czerwiński ogłosił rezygnację ze stanowiska ministra, na którym widział go Lider. Joanna wiedziała, co zaszło, Misiek powiedział, co wie, i zakończył rozmowę słowami: „Będziesz wiedział, co z tym zrobić”.

Na koniec wywiadu Dworzak powiedziała, że rezygnuje z polityki, przed kamerą podpisała dokument o zrzeczeniu się mandatu poselskiego i ogłosiła, że jako świecki wolontariusz wyrusza do Afryki, by wspomagać misję w jednym z najbiedniejszych krajów.

Program zakończył teledysk *Jedno prawo* grupy Immanuel, nagrany w 1987 roku, niemal w tym samym miejscu, w którym miał być nakręcony klip Załogi. Po prostu chłopcy z Immanuela mieszkali kilka bloków obok i ciągnęło ich na dach, z którego jak na dłoni widać było Pałac Kultury. Teledysk pokazywał tamte czasy – tłum młodych ludzi, którzy grali i tańczyli na dachu, stojąc ponad miastem i na tle Pałacu Kultury, zdjęcia z festiwalu „Róbrege” i wreszcie słowa piosenki, może naiwne, ale szczere i mocne:

*Jedno prawo dla wszystkich*  
*Od początku świata jedno prawo*  
*Jedna droga dla wszystkich*  
*Od początku świata, jedno prawo*[\[63\]](#)

Zaraz po skończeniu programu rozdzwoniły się telefony, ale na próżno, bo Zdzisława Dworzak była już daleko od Polski.

Kiedy samolot oderwał się od pasa startowego, Suzi po raz ostatni spojrzała na Warszawę. Czy wróci tu kiedyś? A jeśli tak, to kiedy? Na pewno nieprędko. Nie chce tu być, nie może, spaliła mosty, nie miała już w Polsce czego szukać. Zgodziła się na propozycję Becker

i Misiewicza, bo jak się miała nie zgodzić i nie szło tylko o to, że mieli ją w rękę, ale i o psy. Zadbali o nie i to było najważniejsze. Oddał jej list, ale przecież na pewno miał jego kopię, teraz to się robi od ręki, telefonem. Nie wyrzuciła go, nie podarła w strzępy, nie spaliła, nosiła go przy sobie, żeby nie zapomnieć, choć tego co tam zapisała, zapomnieć się nie da.

\* \* \*

Czwartek po programie to był jakiś szal organizacyjny. Na Joannę spadła lawina informacji, musiała pod nie ustawić swój grafik, a przy okazji zorganizować życie innym. Przede wszystkim szaleństwo, którym będzie wyjazd do Japonii. Artur jedzie tam na zaproszenie japońskiej policji. Chcieli wysłać kogoś innego, ale gospodarze twardo zaznaczyli, że zaproszenie jest imienne. Wiśnia też pojedzie, ale do Piły na kurs, po którym ma w końcu zostać aspirantem. Będzie to wyprawa większa niż do Japonii, bo poprzednie szkolenie zamiast awansem skończyło się skandalem. Wiśnia, jak to po swojemu powiedział – dał w puzon jednemu dziadowi, który w dupie był i gówno widział, a cały czas go pouczał. Sierżant był chyba bratem bliźniakiem Miśka, nieraz Joanna żartowała, że powinni sobie zrobić badania genetyczne. Najważniejszą rzeczą było ogłoszenie, że jedno ze stażystów zostanie z nimi na dłużej, a właściwie na stałe. W sumie to była miła sprawa.

\* \* \*

Artur siedział przy biurku i czytał maila od inspektora Azumy. Spodziewał się jakichś szczegółów swojej podróży do Japonii, tymczasem okazało się, że chodziło o sprawę pana Kasai, która definitywnie została zakończona. Interpol złapał mordercę. Mimo bałaganu, który panował w Hongkongu, miejscowa policja była w stanie zajmować się czymś więcej niż tylko tłumieniem zamieszek i złapała sprawcę na promie, który płynął z Makau.

Tak to sobie wymyślił, lot przez Bliski Wschód, później Macau International Airport, promem do Hongkongu i stamtąd do Seulu. Dookoła świata, z fałszywymi dokumentami, ale z elektroniczno-cyfrową smugą, której nie potrafił zatrzeć. Dlaczego Hong Bum-kun chciał dotrzeć do Seulu? Bo był Koreańczykiem, tak jak drugi z kucharzy z Yoyogi Park. Inspektor wyjaśnił, że yakuza chętnie przygarnia nieczystych i Koreańczyków, których nie chcą mieć w swoich szeregach korporacje.

Cała trójka była obywatelami drugiej kategorii. Niby jak reszta mieszkańców Japonii równi wobec jej prawa, ale niepisany kodeks towarzysko-obyczajowy zamykał im większość dróg awansu. Kasai był potomkiem rzeźników, którzy tak jak grabarze, śmieciarze oraz przedstawiciele paru innych profesji pozostawali na marginesie życia, bo byli burakuminami. Było ich około trzy miliony – ludzi, którzy wciąż mieli kłopot ze znalezieniem pracy. Prowadzono nielegalnie ich katalogi, by koncerny nie popełniły błędu i nie zatrudniły przypadkiem któregoś z nich. W podobnej sytuacji byli Koreańczycy, którzy byli największą mniejszością narodową w Japonii. Było ich około miliona i nie mieli lekko, więc chętnie lgnęli do yakuzy. Na pewno dobrze się czuli w Polsce, mieli duże, jasne mieszkania, tacy ludzie jak Kasai, Hong Bum-kun i Cha Myung-bo nie musieli nikomu się tłumaczyć ze swojego pochodzenia.

Hong Bum-kun miał przy sobie list, w którym pan Kasai przeproszał swoich szefów. Rozumiał, że tak musiało się stać, bo zdefraudował pieniądze, nadużył zaufania i zdradził. Że rozumie gang, od którego odszedł, bo ważna jest grupa i pokój, a nie ktoś tak niepewny jak on. Podziękował za życie na banicji, bo to był dobry czas, na który nie zasłużył. Dziękował też za honorowe rozwiązanie sprawy, za to, że mógł odebrać sobie życie w ten sposób i umrzeć jak samuraj. Hong Bum-kun był jego sekundantem, skrócił cierpienia, zachował się jak przyjaciel i jednocześnie wykazał się lojalnością wobec swoich szefów. Cha Myung-bo namawiał ich, żeby wspólnie uciekli, bo Kasai miał dostęp do tajemnic gangu i jego kont bankowych. Nie przystali na to, dlatego musiał zginąć. Kasai i Hong

Bum-kun wspólnie udusili Cha Myung-bo, po czym przeprowadzili rytuał.

\* \* \*

Wojtek szedł do telewizji jak na ścięcie. Nie dawał sobie większych szans na pozostanie. Na sto procent konkurs, w którym przynajmniej w teorii miał pięćdziesiąt procent szans na wygraną, zakończy się sukcesem Jaga. Zniknęła gdzieś. Wyjechała i była poza zasięgiem. Najpierw zaczął kompulsywnie obżerać się kabanosami, kebabem, hamburgerami i wszystkim, co miało mięso, a później wpadł w wegański trans. Tak jakby od jedzenia kotletów z soi, potraw dla królików i picia mleka z ryżu nagle na jego tinderowym profilu miała się objawić Jaga.

Nie było żadnej uroczystości, żadnego otwarcia kopert, żadnego *The Winner Is...* Byli sami, Misiewicz i Wojtek, Joanna i Jaga nie przyszły. Misiewicz zrobił skwaszoną minę i zabawił się w mistrza ceremonii.

– Nie wiem dlaczego, sam się sobie dziwię, ale ze wstrętem to przyznaję, że zasugerowałem Joannie, a ona to klepnęła i posłała wyżej, że od dzisiaj jesteś naszym stałym współpracownikiem. Szmal, identyfikator, socjal, poczta i tak dalej.

Zamiast okrzyku radości było pytanie.

– A Jaga?

– A Jaga? Pukasz ją i nie wiesz? Wyjechała do Berlina. Stypendium, doktorat, książka nawet z tego będzie.

– Ale skąd wiesz...

– Że ty ją? Chłopaku, nie trzeba mieć rentgena w oczach, to widać. A że nie rozumiem, o co w tym wszystkim kaman, to inna sprawa. Na browara byśmy poszli, wyjaśniłbyś to i owo, ale masz inne sprawy. Dwa dni wolnego masz, śmigaj do Rzeszy, raz dwa!

– Zaczynam pracę od wolnego?

– Tak, zaczniesz od wolnego, a jak nie zaczniesz, to znaczy, że jesteś lamusem, którego zwolnię przy najbliższej okazji! – Misiewicz,



mówiąc to, robił groźne miny, tak groźne, że było wiadomo, że żartuje.

Po dwóch minutach do Miśka przyszedł mail, to Wojtek wysłał go z komórki:

*Twoja kobieta właśnie zajechała pod telewizję, jest z nią jakiś chłopak.*

Gocha? Tutaj? Pracowała przecież w konkurencji, więc się tu nie pokazywała. Miał wyłączony telefon, bo był w studiu, uruchomił go ponownie i wyskoczył piardylion nieodebranych. Tak, to dzwoniła Gocha, pewnie jakieś bilety, teatr, kino inna atrakcja. Oddzwonił.

– Halo, długo jeszcze?

– Co długo?

– Czekam na ciebie!

– Wiem, już idę.

Nie pytał dalej, bo wiedział, że coś się stało, że musi się spieszyć. Gocha rzadko kiedy po niego przyjeżdżała, a już nigdy nie wystawała pod firmą. W końcu jak się pracuje w konkurencji, to głupio wejść do środka, ale czekać przed bramą też jest niefajnie. Szybko zgasił kompa, zamknął biurko i ruszył po schodach, nie czekając na windę. Gocha nie była sama, towarzyszył jej jakiś chłopak, może czternastoletni gimbus. Na głowie miał kapelutek, taki, jaki nosili kiedyś żeglarze. Ale ten był z innego materiału i był granatowy, i miał znaczek... Tak, to była czapka rybacza Wisły Kraków, kim był ten chłopaczek, co tu robił, z Gochą, pod telewizją, w dodatku w tym nakryciu głowy? Do tego kogoś mu przypominał, skądś go znał, ale skąd?!

– Nie chciał czekać w domu, zresztą przyjechał najpierw do mnie, ciebie chyba się bał.

– O co chodzi? – Misiek miał wrażenie, że jest w jakiejś cholernej ukrytej kamerze, w dodatku kręconej na jakimś niezłym haju.

– Wiedział, pół Polski wie, że jesteśmy razem, więc najpierw poszedł do mojej redakcji. Kibic czeka na panią redaktor, żadna

sensacja...

– Ale co ja mam do tego? – Misiek był coraz bardziej zdezorientowany. – Chłopaku, o co kaman?

– Nazywam się Kazik, jestem pana... no, jestem twoim synem.

– O kurwa, ja pierdolę – wystękał Misiek niemal tak, jakby ktoś puścił z taśmy głos Miauczyńskiego z *Dnia świra*. – Niemożliwe... – Mówiąc to, przesuwał się w kierunku chłopaka.

– Niemożliwe, niemożliwe – zaśmiała się Gocha, ale nie było w tym drwiny – na kilometr widać, że twój.

– Wisła – powiedział, chwytając w palce rondo czapeczki. – Znaczą się Kraków, Zwierzyniec, dom przy Błoniach, między Cracovią i Wisłą, Marta Staniewska... Masz czternaście lat?

– Tak, mam czternaście lat.

– Ale ja nic... – przytulił chłopaka – nic nie wiedziałem.

– Mama nie chciała cię znać, bo uciekłeś!

– Nie uciekłem, wyjechałem, coś się skończyło...

– Nic nie wiedziałeś? – zapytała Gocha, ale patrząc na twarz Miśka, na jego twarz wyrażającą kompletne zdezorientowanie, przyznała: – No chyba nie wiedziałeś.

– A matka ci nie mówiła, kto jest ojcem?

– Mówiła, że wyemigrowałeś i zginąłeś w wypadku, klasyka. Ale się uparłem i mi powiedziała, więc wsiadłem w pociąg, w pociągu sprawdziłem w sieci, bo najpierw chciałem wiedzieć, czy mam czego szukać. Do pani Leśniewskiej...

– Miałeś mi mówić po imieniu – odezwała się Gocha.

– Bo Gochy programy znam i mi się wydała w porządku, no i jest w porządku, więc do niej najpierw.

– Dlaczego teraz, akurat...

– No bo... – Chłopak zdjął wiślacką czapeczkę i odsłonił całkowicie łysą głowę.

– Przegrałeś jakiś zakład, chłopaku?

– Tak, z życiem, mam chemioterapię, nie wiadomo, co będzie, chciałem cię poznać, a że się tak porobiło, to się matka zgodziła, chociaż mówiła, że...

– No nieważne, co mówiła. – Misiek przytulił do siebie łysego typa, którego widział pierwszy raz w życiu i się popłakał.

---

62 *Płoną opony*, wyk. Big Cyc, sł. i muz. Jacek Jędrzejak.

63 *Jedno prawo*, wyk. Immanuel, sł. Piotr „Mrówa” Mrowiński, muz. Immanuel.

# OUTRO

*Życie!  
Życie to tylko chwila.  
Przed nami jest noc.  
Przed nami jest świat,  
Przed nami jest świat.  
Bez końca!*[\[64\]](#)

Na tarasie posiadłości położonej w Andaluzji siedziała czwórka ludzi, dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Mimo że spotykali się już w tym miejscu, wcześniej podziwiali krajobraz, jakby widzieli go pierwszy raz. Nic dziwnego, z tarasu, którego częścią był basen i ogródek, z jednej strony było widać morze, a z drugiej urokliwe miasteczko, pełne białych kamieniczek, nad którymi górowała skała z ruinami zamku i starym kościołem.

Mężczyźni oddalili się od kobiet i stanęli przy barierce.

– Nie możemy się zdecydować – powiedział Greg. – Czy nad morzem, czy tutaj?

– Trzymam dla was dwa domy, macie dwa tygodnie, żeby się zdecydować, osobiście doradzam ten na sąsiednim wzgórzu, jeśli go nie weźmiecie, to Alejandra gotowa jest sprzedać nasz dom i przenieść się do niego. Musisz się spieszyć, Greg – przynaglał wesoło mężczyzna. – Oczywiście nie są tanie, ale teraz stać nas na wszystko, nawet na profesjonalne studio, bo to moje ma jeszcze pewne braki.

– Słuchaj, Clash, stać nas na wszystko, ale za jaką cenę...

– Greg, wiem doskonale, może jednak trzeba było się z nim podziałkować?

– Ela powiedziała, że po jej trupie. Po jego trupie. Ona nie odpuszcza. Dziad zmusił cię do wyjazdu, żeby pozbyć się świadka

z miejsca samobójstwa Blacka, mnie zmusił do milczenia, bo miał na mnie tę legitymację. Później w 1987 roku przyssał się do naszego biznesu i miał dziesięć procent dla siebie, teraz przegiął, ten skurwysyn zażądał trzydziestu procent od transakcji. Ty, ja i Ela, i jeszcze, kurwa, on, pojebało go! Wiesz, jaka jest, że potrafiła pogonić Suzi, że kiedyś nawet pobiła jedną laskę, ona wszystko zawsze brała bardzo osobiście. Zrobiła to, bo inaczej zagryzłaby się, bo inaczej...

– Sądysz, że on by na tym nie poprzestał?

– Tak, forsa by mu się skończyła, bo ostatnio padły mu wszystkie interesy, narobił długów. Lista tych, którym wisiał kasę, w tym także miastowych, jest długa, to oni są podejrzani, o to się nie obawiam, ale Elka... Jest twarda, nie widać po niej, że go skończyła, ale może coś w niej siedzi w środku, nie wiem, kurwa, nie wiem. – Greg dokończył kieliszek cavy, patrząc w kierunku morza. – Będziemy z tym musieli jakoś żyć, nie wyobrażasz sobie, kurwa, co to znaczy.

– Tak, nie wyobrażam sobie – powiedział Clash i także dopił swój kieliszek. Bąbelki cavy uderzyły o podniebienie, klepnął Grega w plecy i poszedł w kierunku wiaderka z lodem, w którym stała butelka.

„Żebyś ty, kurwa, wiedział, że ja wiem” – pomyślał. I przypomniał sobie ten dzień: 9 marca 1985 roku. Płonął Teatr Narodowy, a Black stał na dachu domu i patrzył na ogień i dym jak jakiś jebany Neron na pożar Rzymu. Niepotrzebnie się wtedy wyrwał, powiedział mu, jaka jest propozycja zespołu, żeby zszedł z prowadzącego wokalu, żeby dalej był na scenie, żeby wybierał wiersze, żeby grał na drugich klawiszach, projektował okładki i plakaty. A on zaczął się śmiać i rzucił mu w twarz:

– I kto to mówi! Cienias, który posuwa pannę jako trzeci w kolejce! Okruszki z pańskiego stołu, po mnie i po jakimś klesze, myślisz, że nie wiem?! – Śmiał się, a potem kazał mu podać fajka, bo mu się skończyło jaranie. – Ale żaden śmietnikowy, skocz na dół do kiosku, może są gitanesy albo partagasy, coś dla facetów z jajami! – powiedział i stanął na samym brzegu.

Stał, kiwał się i chyba coś nucił, chyba ten kawałek Turbo z keksami i fabryką. Clash stał jak zamurowany, aż w końcu coś w nim pękło i ruszył do niego, pchnął go, a on poleciał, bez krzyku, jakby nie wierzył w to, co się dzieje. Runął na dół, upadł z hukiem, Clash odskoczył od gzymsu i zaczął uciekać.

Otworzył drzwi na klatkę schodową, ale usłyszał, że idą: White, Greg, Boss i Wełnicki. Wrócił na dach, schował się za betonowym sześcianem, który wieńczył wyjście z klatki schodowej. Kiedy usłyszeli krzyki z dołu podbiegli do krawędzi dachu, wtedy on za ich plecami wskoczył w drzwi i ruszył klatką schodową na dół. Na trzecim piętrze zorientował się, że w górę biegną ludzie, biegli, bo winda nie chodziła. Ruszył na górę, walił do drzwi ciotki Grega, ale zanim mu otworzyli, dopadli go ludzie, którzy szli od dołu.

Był pierwszym podejrzanym, ale nic mu nie udowodniono. Jakoś nie był w szoku, że na jedno z przesłuchań przyszedł Wełnicki. Po kwadransie milicjant, który zwykle go przesłuchiwał, wyszedł na papierosa i zostali z Wełnickim sami. Powiedział mu, że jeszcze nie mówił o tym, że wszyscy byli tam umówieni i że wie, że wchodzili na dach. I że to chyba by mu nie pomogło. Wełnicki powiedział tylko, że dalej ma się trzymać tej wersji i że coś da się zrobić. Na kolejne przesłuchanie przyszedł z paszportem i dobrą radą:

– Masz trzy dni na wyjazd, rozumiemy się?

Rozumieli się, w sumie zawsze o tym marzył. Zostawił wszystko, wyjechał z gitarą i plecakiem. Po kolei pryskały wszystkie marzenia, był bliski dna, sprzedał gitarę, pracował w górnianych miejscach. W 1988 roku rzuciło go do Hiszpanii, tam się zaczepił, poznał Alejandrę, odbił się od dna. Po czerwcu 1989 roku napisał do Grega, okazało się, że on też rzucił grę i że robi biznes. Zaczęli wysyłać towary, realizować zamówienia, z czasem organizowali transport nie tylko na trasie Hiszpania – Polska – Hiszpania, ale rozwinęli sieć na pół Europy. Pieniądze zainwestowali w plac i centrum logistyczne pod Warszawą.

Od początku na ich biznesie żerował Wełnicki. Wyciągał ich z różnych kłopotów, z każdych, które sam wcześniej zorganizował. W końcu problemy się skończyły, ale był u niego na stałej pensji,

która wraz ze sprzedażą firmy poszła mu się pieprzyć. I on też poszedł się pieprzyć. Czerwiński pewnie też, ministra z niego już nie będzie. Zostanie po nich wszystkich pośmiertna płyta Załogi, dzięki której White zostanie w końcu artystą pełną gębą, Black i Kowal mrocznymi bohaterami, a oni z Gregiem tymi zapomnianymi.

A swoją drogą to ciekawe, jak White stał się songwriterm? Jakieś natchnienie złapał, pewno się zakochał w Suzi, bo przecież wszyscy się w niej kochali. Nawet ksiądz.

Redakcja  
*Paweł Wielopolski*

Korekta  
*Bożena Sigismund*

Projekt graficzny okładki  
*Agnieszka Kielak*

Zdjęcie wykorzystane na okładce  
©AdobeStock

Skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2020  
© Copyright by Grzegorz Kalinowski Warszawa 2020

Wydanie pierwsze  
ISBN: 978-83-66195-71-4

Wydawca  
Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81  
redakcja@skarpawarszawska.pl  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Dystrybutor  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
e-mail: [dystrybucja@dressler.com.pl](mailto:dystrybucja@dressler.com.pl)  
[www.dressler.com.pl](http://www.dressler.com.pl)

Skład wersji elektronicznej  
[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)



**Załoga** to **pierwszy polski kryminał rockowy**, który zabierze was w podróż w szalone lata osiemdziesiąte i ani na chwilę nie pozwoli odetchnąć!

Komisarz Artur Konieczny pracuje nad sprawą tajemniczej rodziny japońskiego biznesmena. W tym samym czasie redaktor Joanna Becker przygotowuje program poświęcony muzyce z lat osiemdziesiątych. Trafia na historię mało znanego zespołu Załoga, którego karierę przerwała śmierć wokalisty – Blacka. Z czasem praca nad programem przeradza się w rozwiązanie zagadki kryminalnej. Dziennikarskie śledztwo Joanny i kryminalne Artura przyniosą zaskakujące odpowiedzi w finale, którego nikt się nie spodziewa.



Kupując tę książkę,  
wspierasz Fundację  
„Rak'n'Roll”  
KRS 0000338803  
[www.raknroll.pl](http://www.raknroll.pl)

### GRZEGORZ KALINOWSKI

Były dziennikarz TVN i Radia Zet. Sprawozdawca sportowy NC+, dokumentalista, pisarz. Nominowany do nagrody Telekamery „Tele Tygodnia”, Wielkiego Kalibru i Złotego POCISKU w kategorii najlepszy polski kryminał.

PATRONAT MEDIALNY:



[skarpawarszawska.pl](https://skarpawarszawska.pl)